

ALEXANDRA DUNCAN

Kontynuacja
Ocalonej

GŁĘBOKA PRÓŻNIA



VIA

Alexandra Duncan

GŁĘBOKA PRÓŻNIA

Przetoczył Janusz Maćczak



Tytuł oryginału: *Sound*
Copyright © 2015 by Alexandra Duncan
Copyright © for the Polish edition by Grupa Wydawnicza Foksal, MMXVII
Copyright © for the Polish translation by Janusz Maćczak, MMXVII
Wydanie I
Warszawa MMXVII

[Rozdział 1](#)

[Rozdział 2](#)

[Rozdział 3](#)

[Rozdział 4](#)

[Rozdział 5](#)

[Rozdział 6](#)

[Rozdział 7](#)

[Rozdział 8](#)

[Rozdział 9](#)

[Rozdział 10](#)

[Rozdział 11](#)

[Rozdział 12](#)

[Rozdział 13](#)

[Rozdział 14](#)

[Rozdział 15](#)

[Rozdział 16](#)

[Rozdział 17](#)

[Rozdział 18](#)

[Rozdział 19](#)

[Rozdział 20](#)

[Rozdział 21](#)

[Rozdział 22](#)

[Rozdział 23](#)

[Rozdział 24](#)

[Rozdział 25](#)

[Rozdział 26](#)

[Rozdział 27](#)

[Rozdział 28](#)

[Rozdział 29](#)

[Rozdział 30](#)

[Rozdział 31](#)

[Epilog](#)

Motyle wciąż umierały. Wzdłuż tylnej ściany gabinetu doktor Osmani, za jej biurkiem, stały rzędem niskie cylindry z żywicy akrylowej, w których znajdowały się delikatne pазie królowej o cętkowanych skrzydłach oraz ciemniejsze motyle ptasioskrzydłe.

– To musi być jakaś choroba genetyczna – powiedziałam, wyciągając w kierunku doktor Osmani ostatnią ofiarę: zwykłego motyla o niebieskich skrzydłach. – Nie radzą sobie z atmosferą.

Podniosła wzrok znad biurka zastawionego panoramicznymi monitorami, holograficznymi roślinami w doniczkach i filizankami po herbacie. Końcem rysika szturchnęła martwego motyla, leżącego na mojej obleczonej w ochronną rękawicę dłoni. Zacisnęła usta, co stanowiło u niej odpowiednik zmarszczenia brwi.

Skąd wiemy, że przyczyną nie są algorytmy atmosferyczne błędnie wyliczone przez osobę, która zajmuje się owadami? – rzekła.

Zacisnęłam pięść w przedniej kieszeni mojego kitla laboratoryjnego i popatrzyłam w górę, na obracającą się figurkę nagradzanego konia Osmani, Trafalgara, na szczycie szafy magazynowej. Oczywiście, doktor Osmani obwinia mnie. Inaczej musiałyby przyznać, że zawiodła jej inżynieria genetyczna.

– Pszczoły są zdrowe – zauważyłam.

Zmusiłam się, by rozewrzeć dłoń, wyjęłam rękę z kieszeni i ostrożnie włożyłam niebieskiego motyla z powrotem do przezroczystego plastikowego woreczka.

– Problemem nie są pszczoły – powiedziała doktor Osmani.

Rzuciła mi spojrzenie, które zmroziłoby mnie w pierwszych miesiącach pracy u niej. Nawet jej wysoko upięty, lśniący kok wyglądał, jakby piorunował mnie wzrokiem.

– Chce pani zobaczyć moje wykresy? – spytałam, walcząc z chęcią skrzyżowania ramion na piersi.

Zanim dostałam ten przydział, nie interesowałam się entomologią, ale teraz uwielbiałam wszystkie moje roznoszące pyłki owady – zarówno z rzędu Lepidoptera, jak i Anthophila. Przez pierwszych kilka tygodni uczyłam się na pamięć ich nazw. Dostojka dafne, o skrzydłach przypominających witraże. Baroneta, w czarne i złote tygrysie cętki. Ogoniasty szydło, cały lawendowoszarzy, z wyjątkiem ogniście czerwonej linii na brzegach skrzydeł. Kiedy doktor Osmani po raz pierwszy próbowała obarczyć mnie winą za zaburzenia rozwoju motyli, pomyślałam, że ma rację. Przeniknęło mnie uczucie wstydu tak lodowate, że aż pałące. Czy naprawdę mogłam spowodować ich śmierć? Przecież postępowałam tak ostrożnie. Ale gdy dwukrotnie sprawdziłam swoje obliczenia, a doktor Osmani nadal obrzucała mnie oskarżeniami, mój wstyd zmienił się w oburzenie.

– Nie obchodzę się z motylami ani trochę mniej ostrożnie niż z pszczołami – oświadczyłam. – Mogę tego dowieść.

– A więc obejrzyjmy te wykresy – powiedziała i wyciągnęła po nie rękę.

Zawahałam się. W pośpiechu, by pokazać doktor Osmani niebieskiego motyla, zostawiłam mój notebook z wykresami w laboratorium symulacyjnym owadów zapylających.

– Ja... ee... nie mam ich przy sobie.

Rysy doktor Osmani stwardniały niczym masa perłowa naszego statku. Westchnęła.

– A będziesz łaskawa powiedzieć mi, gdzie one są?

– W laboratorium symulacyjnym? – rzuciłam.

Wiedziałam dokładnie, gdzie zostawiłam notebook, ale kiedy jestem zdenerwowana, nadaję wszystkiemu, co mówię, niepewną intonacją pytającą.

– Świetnie. – Doktor Osmani uniosła ręce w udawanym geście kapitulacji i odwróciła się z powrotem do monitorów na biurku. – Przyślij mi te wykresy. Zobaczymy, co w nich jest.

Nie zdążyłam się powstrzymać i mimowolnie przewróciłam oczami. Obliczone przeze mnie algorytmy są w porządku.

– Widziałam to, Guiteau – powiedziała doktor Osmani, nie podnosząc na mnie wzroku.

Chaila, zakłęłam w duchu. Kiedy się denerwuję, robię się „przemądrzała”, jak mawia moja przybrana matka Soraya, co jest uprzejmiejszym sposobem powiedzenia: „bezczelna”. Odkąd u niej zamieszkałam, usiłuje oduczyć mnie przewracania oczami, lecz nie całkiem jej się udaje. Gdybym była w naszym domu, przeprosiłaby za mnie, albo moja siostra Ava kopnęłaby mnie w pizszel, aby mi przypomnieć, że sama powinnam to zrobić – ale od nich obu dzieliły mnie teraz setki tysięcy kilometrów.

Doktor Osmani uniosła głowę i zmierzyła mnie zimnym wzrokiem.

– Ile masz lat, specjalistko Guiteau?

Poczułam swędzenie w dawnych bliznach na dłoniach. Doktor Osmani doskonale zna moje dane. Zadaje tego rodzaju pytania celowo, ilekroć chce coś udowodnić.

– Osiemnaście – odpowiedziałam.

To kłamstwo przyszło mi łatwo. Osiemnaście lat to dolna granica wieku kwalifikującego do służby na statkach Głębinowych Sondowań zajmujących się badaniem i eksploatacją odległych rejonów Próżni – statkach takich jak nasz R.S.S. Ranganathan. W takich momentach żałuję, że kiedy kazałam przerobić swoje dokumenty, nie uczyniłam się starszą – ale choć jestem wysoka, wątpię, czy ktokolwiek by w to uwierzył.

Doktor Osmani skrzyżowała ramiona i pochyliła się ku mnie nad biurkiem.

– Byłoby dobrze, panno Guiteau, gdybyś pamiętała, że nie jesteś już rozpieszczoną uczennicą wstępnych kursów. Tutaj jesteś naukowcem. Postaraj się zachowywać stosownie.

Policzki mi zapłonęły, a w oczy zapięły łzy. Aż do teraz doktor Osmani była jednym z niewielu członków załogi, którzy nigdy nie wspomnieli ani słowem o moim wykształceniu. Zwłaszcza personel lotniczy lubił dokuczać mi z tego powodu, że uczęszczałam do Akademii Revati, jednej z najlepszych w Mumbaju prywatnych szkół dla dziewcząt. Nawet niektórzy spośród pozostałych asystentów naukowych gwizdali cicho, kiedy im mówiłam, gdzie się uczyłam. Nieważne, jak ciężko pracowałam w Revati, nieważne, że zrezygnowałam z przyjaźni, imprez i wolnych weekendów, żeby tak wcześniej ukończyć naukę w liceum. Nieważne, przez co przeszłam, zanim trafiłam do Akademii. Fakt, że się tam kształciłam, automatycznie czynił ze mnie rozpuszczoną smarkulę.

– Dobrze – odrzekłam i skinęłam głową, powstrzymując łzy. Nie zamierzałam

rozpłakać się w obecności doktor Osmani. W żadnym razie. – W porządku.

Wyglądało na to, że skończyła rozmowę, więc wepchnęłam ręce w kieszenie kitla i ruszyłam chyłkiem do drzwi.

– Guiteau?

Zatrzymałam się i obejrzałam. Doktor wskazała moją kieszeń.

– Och, racja – rzuciłam.

Zawróciłam i podałam jej torebkę z niebieskim motylem.

– Dziękuję – powiedziała. Wzięła ją ode mnie i wyjęła z szuflady biurka długą pęsetę.
– To wszystko.

Pośpiesznie wyszłam z gabinetu, ale nie dość szybko, by uniknąć widoku tego, jak doktor Osmani wyjmuje z torebki niebieskiego motyla i ostrożnie wkłada go do termoplastycznego pojemnika. Kolejny okaz do jej kolekcji.

Na korytarzu roilo się od ludzi. Na ruchomych chodnikach inżynierzy, technicy i asystenci naukowci lawirowali w ciżbie, przyciskając do piersi notebooki; wracające z ostatniej wachty załogi pilotów parskały śmiechem; członkowie personelu technicznego i pracownicy obsługi pchali wózki z wyposażeniem. Idealne warunki, żeby zniknąć w tłumie.

Weszłam szybko na ruchomy chodnik, który błyskawicznie poniósł mnie w kierunku centrum okrętu. Ranganathan to jeden z największych czynnych statków badawczych. Ma kształt konchy, o długości kilku kilometrów i przebija się spiralnie przez głębie przestrzeni kosmicznej. Jest na tyle wielki, by dzięki wirowaniu wytwarzać własne pole grawitacyjne, i posiada własną flotę mniejszych stateczków służących do przeprowadzania rekoniesansów krótszego zasięgu oraz do obrony. Bioinżynieryjny projekt doktor Osmani jest tylko jednym z tysięcy prowadzonych w laboratoriach Ranganathana. Gdy zostanie ukończony, powinniśmy dysponować kilkoma odmianami odpornych pszczoł i innych owadów zapylających, dobrze przystosowanych do ciężkich warunków panujących na księżycach i planetach – ciałach niebieskich, które czynimy podatnymi do zamieszkania przez naszych kolonistów.

Ale najwyraźniej nie będziemy mieć motyli. Przynajmniej dopóki nie zdołamy odkryć, co zaburza ich rozwój.

Zeszłam z ruchomej ścieżki na prawo, ściągnęłam rękawice i podrapałam się po dłoniach. Każdą przecinała gruba ukośna białoróżowa blizna, ukrywając ich naturalne linie i uniemożliwiając wszelkim wróżkom wystającym na rogach ulic Mumbaju odczytanie mojej przyszłości. Zamknęłam oczy i oparłam się o poręcz, pozwalając, by oblał mnie blask obrazów przyrody jarzących się na ścianie. Nie ma mowy, żebym pognąła aż do laboratorium symulacyjnego po mój notebook, żeby doktor Osmani mogła przez resztę popołudnia robić ze mnie kozła ofiarnego. Zresztą ona prawdopodobnie już o mnie zapomniała.

Co nie znaczy, że nie lubię swojej pracy. Lubię. Obserwowanie zachowań owadów zapylających, śledzenie prawidłowości, próby przewidzenia, jakie czynniki wspomogą ich rozwój – uwielbiam to wszystko. Przyglądanie się, jak hipotezy się potwierdzają jest fascynujące. A moje obecne stanowisko zapewni mi w przyszłości możliwość

samodzielnego prowadzenia badań laboratoryjnych, dokonywania własnych eksperymentów. Ostatnio jednak zaczęłam się zastanawiać, czy ta gra jest warta świeczki. Wcześniej sądziłam, że będę tu pasowała lepiej niż w domu, w Mumbaju. Myślałam, że znajdę się wśród ludzi podobnych do mnie, którzy mnie rozumieją. Ale tak się nie stało. Bez względu na to, dokąd trafiam, zawsze różnię się od innych. Jestem za młoda. Nie wyglądam na Hinduskę. Nie mam poczucia humoru.

– Zażyłaś już dziś swój potas? – odezwał się cicho mój naręczny komunikator przyjaznym głosem przypominającym mi Shushri Advani, instruktorkę jazdy konnej w Akademii Revati. – Odpowiednia równowaga elektrolityczna stanowi niezbędny warunek zachowania zdrowego serca i mięśni.

– Nie teraz, Advani-ji – mruknęłam i wcisnęłam wyłumienie dźwięku komunikatora.

Nasze trykoty i kombinezony ciśnieniowe monitorują łącznie puls, stan układu nerwowego i oddech, szukając oznak stresu. To wspaniale, tylko że Advani-ji nie zawsze potrafi uchwycić różnicę pomiędzy niedoborem potasu a irytacją.

Wokół mnie na ścianach i na suficie zmieniały się obrazy ukazujące sceny z rodzinnych stron. Przy ruchomym chodniku pojawiło się młode drzewko wilgotne od rosy, skąpane w złocistozielonym świetle. Szeleścił bluszcz, śpiewały ptaki, a wśród konarów śmigały papugi o jaskrawym upierzeniu. Od czasu do czasu poprzez liściaste gałęzie dostrzegałam przelotnie łąkę. Można by niemal wyobrazić sobie, że jest się z powrotem na Ziemi, gdyby nie sterylna woń. Trochę zeszło ze mnie napięcie.

– Hej, memsahib – usłyszałam i ktoś klepnął mnie z tyłu w ramię. – Jedziesz chodnikiem jak my wszyscy? A gdzie twój koń?

Zesztywniałam i szybko wsadziłam ręce w kieszenie. Nie musiałam się odwracać, by wiedzieć, że to Hayden Rubio. Rozpoznałam go po ostrym, sosnowym zapachu wody kolońskiej. Nie powinnam była nigdy wyjawiać, że w Revati brałam lekcje jazdy konnej – ale powiedziałam o tym, zanim się zorientowałam, że personelowi lotniczemu nie można ufać, zwłaszcza przystojnemu zielonookiemu Rubio o zmierzwionych włosach.

Odwrociłam się, grzebiąc w kieszeniach w poszukiwaniu rękawic, i obrzuciłam go moją najlepszą imitacją ostrego, śmiercionośnego spojrzenia doktor Osmani.

– Cześć, Rubio.

– Witaj, memsahib Guiteau – odrzekł z ceremonialnym ukłonem.

Wzniosłam wzrok ku fałszywemu błękitnemu niebu i westchnęłam. Rubio zaczerpnął zwrot „memsahib” z jednego z tych starych filmów o brytyjskiej okupacji Indii, w których pełno jest mdlejących i oblewających się rumieńcem białych dam, wystrojonych aż po szyję w koronki i paradujących z parasolkami. Nie mam pojęcia, dlaczego skojarzył je ze mną – dziewczyną o ciemnej cerze, z włosami związanymi w praktyczny warkocz, noszącą laboratoryjny kitel.

– No co? – spytał i trącił mnie łokciem. – Czy nasza Władczyni Pszczół nie zniży się do rozmowy ze mną?

– Zamknij się, Rubio – rzuciłam i zdołałam wciągnąć jedną rękawicę.

– Przemówiła do mnie! – wykrzyknął. Przycisnął dłoń do piersi. – Och, moje serce nie zniesie tak wielkiej łaski...

Odwróciłam się do niego plecami i usiłowałam założyć drugą rękawicę. Nie zamierzałam dziś pozwolić, żeby Rubio mi dokuczał. Po prostu pojedę dalej ruchomą ścieżką, a on w końcu się odczepi i pójdzie sobie.

Rubio znowu klepnął mnie w ramię.

– A więc, memsahib...

Moje dwa palce, mały i serdeczny, trafiły w ten sam otwór rękawicy.

– Przysięgam, Rubio, jeśli jeszcze raz mnie tak nazwiesz, pożałujesz, że nie urodziłeś się bez języka.

Gdy go poznałam, nie mógł uwierzyć, że przybyłam z Mumbaju. On i pozostali członkowie zespołu pilotów byli młodszy od moich kolegów, asystentów naukowych – mniej więcej w takim wieku, jaki widniał w moich dokumentach – i mniej skłonni do pogrążania się w lekturze w trakcie posiłków. Miałam dość jedzenia w milczeniu, więc w drugim tygodniu lotu zaniósłam swoją tacę do ich stolika na drugim końcu mesy.

Rubio zawołał do mnie wtedy przez stół:

– Hej, ty, dziewczyno z laboratorium!

Podniosłam na niego wzrok i uniosłam brwi.

– Mówisz do mnie?

– Tak, do ciebie.

Skrzywiłam się.

– Mam imię, wiesz?

– Tak? Zechcesz nam je zdradzić?

– Miyole – powiedziałam.

– Miyole i co dalej?

– Guiteau.

– Miyole Guiteau? – powtórzył płaskim, nosowym głosem. Uniósł brwi i włożył do ust kawałek pieczonego ziemniaka. – Co to za nazwisko? Francuskie czy jak?

– Haitańskie – wyjaśniłam.

Chociaż gniazdo rodzinne mojej matki pochłonęły wzbierające oceany, jednak nauczyła mnie, skąd pochodzi moje nazwisko. Przynajmniej tyle o niej pamiętałam.

Rubio rzucił kpiącym tonem:

– No jasne. A ja zaokrętowałam się na Atlantydzie.

– Jak to?

– Haiti – rzekł. Ugryzł następny kawałek ziemniaka i pomachał ku mnie widelcem. – Nierzeczywiste.

Spojrzałam na niego osłupiała.

– Mówisz serio?

– On ma na myśli, że już nie istnieje – wtrącił się jeden z pozostałych chłopców. – Przecież zostało całe zatopione.

– To nie znaczy, że jest nierzeczywiste – odrzekłam. Wrzuciłam widelec do mojej miseczki z warzywnym biryani; straciłam apetyt. Nie po raz pierwszy mówiono mi, że ziemia mojej matki nie istnieje. Zdarzało się to w Akademii Revati. I w stajniach. A nawet na uniwersytecie. – Właśnie stamtąd pochodził lud mojej matki. To znaczy, ich przodkowie.

– Więc jak trafiłaś do Mumbaju? – zapytała jedna z dziewczyn, Brytyjka, sądząc

z akcentu.

– Ja... – zaczęłam odpowiadać, ale Rubio mi przerwał:

– Nie wyglądasz też na Hinduskę. Czy one przeważnie nie mają jaśniejszej cery niż twoja?

Przewróciłam oczami.

– Nie – odparłam.

Jak to możliwe, że ten *badirchand* zatrudnił się na hinduskim okręcie badawczym, a nie wie najprostszej rzeczy o tym kraju?

– Rubio, nie rób z siebie takiego głupka – powiedziała Brytyjka.

– Sorry – rzekł i uniósł ręce w kpiącym geście przeprosin.

Zmierzyłam go ostrym, przenikliwym wzrokiem.

– Sorry – powtórzył. – Po prostu też nie mówisz jak Hinduska. – Wzruszył ramionami i odwrócił się do pozostałych. – Znacie Sunitę? Tę z eskadry B? Ona jest z Mumbaju, a mówi całkiem inaczej.

– Sunita pochodzi z Madrasu – powiedział ten pierwszy chłopak.

Odchrząknęłam, ściągając ich uwagę z powrotem na siebie.

– Chciałam powiedzieć, że zostałam adoptowana. – Spojrzałam gniewnie na Rubia. – Od ósmego roku życia mieszkałam w Mumbaju. Należę do tego miasta tak samo jak wszyscy inni jego mieszkańcy.

– A więc wybac mi, memsahib – rzekł Rubio, nasączając każde słowo ironią.

Wszyscy się roześmieli, a to określenie przyłgnęło do mnie.

Po tamtym zdarzeniu znowu zaczęłam jadać z innymi asystentami naukowymi pogrążonymi w lekturze podręczników. Lepiej być ignorowaną niż wykpiwaną.

Obraz na ścianach się zmienił i teraz nagle mknęliśmy po grani nad łańcuchem łagodnych wzgórz; na ich wierzchołkach stały wiatraki. Poniżej, w dolinie, widniało miasteczko skąpane w jaskrawym blasku słońca. W końcu zdołałam wcisnąć dłoń w rękawicę.

Rubio oparł się o poręcz ruchomego chodnika.

– Nie masz zbyt wielkiego poczucia humoru, co, Guiteau?

Wpatrzyłam się w osadę w dole.

– Chyba nie – przyznałam.

– Pewnego dnia cię rozgryzę – powiedział; potrząsnął miękkimi brązowymi włosami i kpiąco pogroził mi palcem.

– Tylko się nie nadwyreż – mruknęłam i wcisnęłam się w potok ludzi śpieszących chodnikiem na lewo od nas.

Szłam szybkim krokiem, a obrazy na ścianach wokół mnie zmieniały się gwałtownie – pojawiły się na nich brukowana ulica z latarniami z kutego żelaza, ładny letni ogródek z pluszczącymi wodotryskami, urocza miejska dzielnica domków z solarnymi panelami na szczytach dachów, odbijającymi światło porannego słońca. Głupi Rubio. Obejrzałam się, by się upewnić, że nie idzie za mną.

O co chodzi chłopcom takimi jak on? Potrafią tylko wyśmiewać się ze wszystkich. Dawniej, w Mumbaju, miałam w głowie tylko naukę, jak mawiała Soraya: omijałam wszystkie imprezy w dzielnicy Salt i nie zwracałam uwagi na grupki chłopców

i dziewczyn zbierających się po lekcjach przed bramami Akademii Revati – wszystko, żeby móc dostać się tutaj. I po co? Żeby jakiś modnie potargany *dhakkan* mógł dokucać mi na każdym kroku złośliwymi uwagami? Nie na to się pisałam.

Łukowe ściany nagle się skończyły, a sufit zastąpił wysoki, sklepiiony strop z widokiem na gwiazdy w górze. Ruchoma ścieżka zwolniła do tempa pełznięcia, gdy zbliżaliśmy się do rozległego trawiastego terenu z ławeczkami parkowymi z prawdziwego drewna i krzewami przyciętymi w kształty strusi, słoni i skaczących delfinów. Znaleźliśmy się w parku rekreacyjnym na górnym poziomie.

– *Chaila* – zakląłam, gdyż przymulona nastrojem wkurzonej urazy pojechałam chodnikiem za daleko i zostawiłam za sobą laboratorium symulacyjne.

Zawróciłam, a potem opuściłam ruchomą ścieżkę już na właściwym przystanku przy laboratoriach symulacyjnych i sztywnym krokiem przeszłam przez rejon badawczy, mijając nieznanymi mi naukowców ubranych w białe szczelne kombinezony chroniące przed skażeniami, zaopatrzone w niewielkie owalne wizjery, przez które widać było tylko twarze. Asystenci w zewnętrznych laboratoriach unosili głowy, gdy przechodziłam obok nich, ale żaden nie pomachał do mnie ani się nie przywitał. Może gdybyśmy nie mieli wszyscy takich trudności z nawiązywaniem kontaktów towarzyskich, zaczęlibyśmy pozdrawiać się nawzajem w trakcie pierwszego tygodnia po wyjściu z doku portowego. Ale nie zrobiliśmy tego, a podjęcie prób teraz byłoby jeszcze bardziej krępujące. No i dobrze. Skierowałam się do azylu mojego laboratorium. Właściwie to laboratorium doktor Osmani, ale ona nie postawiła w nim nogi od drugiego tygodnia po opuszczeniu przez nasz okręt orbity, kiedy to przekazała obowiązek utrzymania tamtejszego siedliska biologicznego mnie.

Wstukałam na ściennej klawiaturze mój kod dostępu i zanurkowałam do ciemnego laboratorium. Zewnętrzne drzwi zasunęły się za mną z solidnym trzaśnięciem, odcinając od odgłosów statku. Oparłam się o nie, zamknęłam oczy i wdychałam atmosferę pracowni naukowej. W tym pomieszczeniu wszystko miało sens, przebiegało według przewidywalnych wzorców. Czułam się tu bardziej u siebie niż w jakimkolwiek innym miejscu na statku, nawet niż w parku rekreacyjnym z jego trawiastymi alejkami i boiskami.

Zapaliły się światła. Zamrugałam, zrzuciłam z siebie kitel, cisnęłam go na metalowy stół warsztatowy obok mojego notebooka, a potem ściągnęłam rękawice. Lampy zapłonęły także w szklanych komorach symulacyjnych, oświetlając dwa siedliska biologiczne, które doktor Osmani i ja zmodyfikowałyśmy tak, aby idealnie imitowały warunki, jakie napotkają nasze odmiany owadów, kiedy zostaną dostarczone do pogranicznych kolonii. Po lewej bujne palmy i hiacynty napierały na zaparowane szyby, a winorośle i mchy zaczęły już wpełzać na pnie drzew. Komora po prawej, o szklanych ścianach zimnych przy dotknięciu, była niemal pusta. Na kamienistym gruncie płożyły się rosnące nisko krzewy jałowca, a niebieskie kwiaty lnu kołysały się, gdy na ich płatkach przysiadły pszczoły. Każda komora była osobnym, wiernie odtworzonym fragmentem świata.

Sprawdziłam temperaturę i równowagę gazową – komora numer dwa potrzebowała 0,78 cząsteczki azotu na milion – a następnie zaprogramowałam rozpylacze, tak aby dostarczyły wieczorną dozę odżywczego deszczu. Potem zablokowałam zewnętrzne

drzwi, przysunęłam krzesło do ściany i wspierałam się do mojego najbardziej ulubionego miejsca w całym statku.

Okręty takie jak Ranganathan nie są budowane, lecz niejako wyhodowywane, co niekiedy powoduje drobne niedoskonałości. Moje laboratorium jest właśnie jedną z takich anomalii. Sufit po jednej stronie się zakrzywia i przechodzi w ścianę, z której dwa metry od podłogi wystaje coś w rodzaju półki. Jeśli przysunie się krzesło i wgramoli się na nią, trafia się do pustej wnęki w ścianie. Na końcu wnęki znajduje się trójkątny iluminator, przez który widać nieskończony bezmiar przestrzeni kosmicznej.

Wpełzałam do wnęki i dotarłam do iluminatora. Czasami nawet śpiam tutaj, kiedy moje współlokatorki sprowadzają na wieczór do naszego pokoju chłopców albo dziewczyny.

Zdjęłam przydziałowe pantofle, oparłam się o poduszkę, którą pożyczyłam sobie z jednego z salonów dla załogi, i owinęłam się moim starym sari jak kocem. To jedna z niewielu pamiątek z domu, jakie pozwolono mi zabrać – pierwsze sari, które kupiła mi Soraya. Wystarczyło mi przesunąć palcami po wytartym niebieskim jedwabiu i wyhaftowanych wokół rąbka paradnych koniach, bym znalazła się znowu w tamtym sklepie w Mumbaju, wirująca w moim nowym stroju na staroświeckiej drewnianej podłodze.

Soraya rozpromieniła się wtedy i klasnęła w dłonie.

– Och, musimy kupić ją dla ciebie. Idealnie na tobie leży. Czyż nie leży na niej idealnie, Avo?

A potem sprzedawczynie podsunęła mi pod oczy inny zwój lśniącego materiału.

– Tak, tak, i tę też.

Tamto uczucie – beztroska. I wszyscy się uśmiechali, zadowoleni i przynajmniej tym razem nie zaniepokojeni. Nawet Ava, zawsze martwiąca się o pieniądze, uśmiechnęła się. A ja wróciłam pociągiem do domu w nowym sari.

– Czujesz się przygnębiona? – spytał teraz komunikator uprzejmym głosem Advani-ji.
– Zastryk witaminy D może zwalczyć uczucie depresji...

– Sza – rzuciłam i znowu wyciszyłam dźwięk.

Spojrzałam przez iluminator na odległe błyszczące gwiazdy. To prawdziwy powód, dla którego zatrudniłam się na tym okręcie. Nigdzie na Ziemi nie można doświadczyć takiego dreszczu ekscytacji. Głębokie próżni wydawały się tak doskonale nieruchome, a jednak wiedziałam, że tętnią w nich promieniowanie, pyły kosmiczne i ciemna materia. Pola grawitacyjne tworzą pływy wokół gwiazd i wciągają w wiry ich księżyce. Czułam, jak coś porusza się tam na zewnątrz i we mnie, jakbym była dzwonem rozbrzmiewającym jakimś niewidzialnym rezonansem. Wiedziałam, że takie myślenie jest nienaukowe. W przestrzeni kosmicznej nie ma wystarczającej ilości materii, by przenieść przez próżnię dźwięk albo doznanie, lecz mimo to czułam jej przyciąganie.

Coś we mnie zelżało – jakby bryła lodu oderwała się od lodowca – i zawahałam się na skraju wspomnień. Przed moimi oczami przemykały ulotne obrazy – czerwony latawiec, czarna kura bantamka krocząca dumnie po rozpalonym żarem słońca blaszanym dachu, bosy chłopiec biegnący obok mnie. Wszystkie te obrazy były tam, czekały w małej czarnej skrzynce mojego umysłu, by wyskoczyć z niej jak na sprężynie. Ale czy chciałam je wypuścić?

Kiedy byłam małą, Ava raz do roku zabierała mnie na *ghaty* żeby zapaliła dla mojej matki świeczkę w małej papierowej łódce. „Żebyś ją pamiętała”, mówiła Ava. Ale pamiętanie o niej oznaczało też pamięć o tym, co utraciłam – latawiec, kure, ją. Oznaczało ryzyko, że jeśli nie zachowam ostrożności, jeśli będę wspominać zbyt długo i zbyt wiele, te ruchome piaski mnie wciągną. Oznaczało ryzyko pojawienia się tej drobnej, niewdzięcznej myśli, która stale mnie dręczyła: „Dlaczego moja matka nie została w fotelu pilota, kiedy nadeszła ta wielka fala? Dlaczego zamiast schodzić sama, nie posłała na dół Avy, żeby mnie uratowała? Dlaczego to właśnie moja matka nie ocalała?”.

Sięgnęłam do kieszeni i wyjęłam mój stary ręcznik. Tutaj, z dala od Ziemi i jej satelitów oraz wszystkich, którym mogłabym chcieć wysłać wiadomość, był niemal bezużyteczny, ale do jednego mógł się nadal przydać. Odszukałam zachowane w nim zapisy i znalazłam ten, o który mi chodziło. Może dzisiaj będzie właśnie ten dzień. Może dziś zdołam obejrzeć go do końca.

Na ekraniku pojawiła się twarz Avy okolona rozkołysanymi czarnymi włosami sięgającymi niemal do ramion. Ava miała na sobie zniszczoną kurtkę, którą dała jej przed śmiercią moja matka, a na nadgarstku nosiła mnóstwo bransoletek. Ava nie jest moją prawdziwą siostrą, ale moja matka przygarnęła ją, kiedy dziewczyna była chora i nie miała dokąd pójść. Na jej widok poczułam bolesny ucisk w piersi. Nie powinnam myśleć tego, co przed chwilą. Ava mnie kocha. Po tamtym sztormie zaopiekowała się mną. Gdyby nie ona, nigdy nie spotkałabym Sorai ani nie dorastałabym, mając wszystko, czego mogłam zapragnąć. Żałowałam, że nie mogę z nią teraz porozmawiać. Poradziłaby mi, jak mam postępować z doktor Osmani, albo przynajmniej zgodziłaby się ze mną co do tego, jaka z niej przekłeta *kuttiya*, i podpowiedziałyby odpowiednie słowa, żeby spławić Rubia.

– Cześć, Miyole. – Ava odgarnęła włosy za uszy i nachyliła się bliżej kamery. Za nią przeszedł do kuchni jej mąż Rushil, nucąc melodię z jakiegoś starego filmu, który oboje uwielbiają. – Gratulacje z okazji dostania się do Instytutu Głębinowych Sondowań. Wiem, że dążyłaś do tego, odkąd byłaś jeszcze małą dziewczynką, a Rushil i ja jesteśmy z ciebie dumni.

Rushil wyjrzał z kuchni i pomachał do mnie.

– Cześć, Miyole!

Ava posłała mu przez ramię uśmiech, a potem odwróciła się znowu do kamery.

– W każdym razie to oznacza, że przez jakiś czas nie będziemy cię widywać, więc chciałam, żebyś miała to. – Spoważniała. – To zapis, który w tym roku znalazłam na dysku pamięci mojego słupa. Nie wiedziałam, kiedy właściwie mam ci go dać. Myślałam, że może gdy skończysz osiemnaście lat, ale ponieważ odlatujesz, wydaje się, że teraz jest właściwa pora.

Pochyliła się do przodu, żeby wyłączyć obiektyw kamery, ale zawahała się przez chwilę.

– Kochamy cię, Miyole. Wiem, że gdyby żyła twoja matka, też byłaby z ciebie dumna.

Ekran ściemniał i zapadła cisza, a potem rozległ się elektroniczny szum, miarowy jak

monsunowy deszcz. Wiedziałam, co zaraz nastąpi, lecz i tak gardło mi się ścisnęło i nagle straciłam pewność, czy w ogóle zdołam tego wysłuchać.

– Trajektoria pięć, potwierdzona – przebił się przez szum głos mojej matki. – Proszę o podanie koordynat lądowania.

Moja matka Perpétue. Kiedy w nasz dom na Gyre uderzył sztorm, Ava wypatrzyła mnie i Kaia na kładce domu naszej sąsiadki, wdowy, i utrzymywała słup wiszący nieruchomo w powietrzu, podczas gdy moja matka zeszła do nas. Ale wtedy nadeszły wyższe i potężniejsze fale. Matka zobaczyła, że wali się na nas olbrzymi wał wody, i popchnęła mnie pierwszą w górę drabinki awaryjnej słupu, lecz sama nie zdążyła wejść za mną. Fale ściągnęły w dół ją, i Kaia też. Wszystkie moje senne koszmary kończą się w taki sposób – potężną, okrutną falą wciągającą w głębinę kogoś albo coś, co jest mi drogie.

W zapisie nastąpiła chwila ciszy, a potem znów zabrzmiał głos mojej matki:

– Odebrałam koordynaty. Sektor B-kropka-294, lądowisko Delta. Przyjmuje trajektorię podejścia.

Po sztormie szukałyśmy mojej matki, ale nie udało się nam jej odnaleźć. Fale pochłonięły całe Gyre. Dawniej myślałam, że to oznacza, iż matka mogła przeżyć, unosząc się na falach w jakimś na wpół zatopionym pontonie, albo trafiła do jakiegoś szpitala w rejonie Pacyfiku i leży na oddziale rehabilitacyjnym, czekając, aż wróci jej pamięć. Teraz jednak wiem, czym naprawdę były te myśli – dziecięcymi fantazjami. Kiedy pierwszy raz usłyszałam głos matki z tego zapisu, zalała mnie gwałtowna fala okruczeństwa wspomnień, o których nie wiedziałam nawet, że tkwiły gdzieś na dnie mojej pamięci. Nierówne kroki matki na schodach i wywołany tym niepokonany przypływ radości i podekscytowanego oczekiwania. Maślany aromat pieczonych orzeszków w papierowej torebce. Moja matka rozłupująca ich skorupki płaską stroną ostrza noża. I przypomniałam sobie to, co wiedziałam przez cały czas: gdyby matka przeżyła, odszukałaby mnie.

Poczułam w gardle rosnącą kulę i oblał mnie zimny pot. W głębi mojego mózgu coś się poruszyło. Chciałam zapomnieć, ale to uczucie było w mojej krwi i kościach, w ścieżkach neuronowych, których od dawna nie przemierzałam. Próbowałam zmusić się do zaczerpnięcia oddechu, lecz nie potrafiłam. Zapięły mnie dłonie, w miejscu, w którym rozcięta od czepiania się drabinki awaryjnej słupu pozostawiły blizny. Wzbierała we mnie panika, olbrzymi wał czarnej wody narastał bez końca, aż wreszcie przesłonił niebo. „To nie jest rzeczywiste”, powiedziałam sobie. Ale było. Tkwiło we mnie zawsze, strzegąc drogi powrotnej do mojego dzieciństwa i Gyre, gotowe zatopić mnie, jeśli znajdę się zbyt blisko.

Zatrzymałam odtwarzanie zapisu; oddychałam ciężko.

Rozwarłam zaciśnięte dłonie. Blizny nadal na nich były, śliskie od potu, nie krwi. To zbyt wiele. Wtuliłam nos w sari. Lepiej – łatwiej – być córką Sorai, uczennicą prywatnej szkoły dla dziewcząt w Mumbaju, która uprawia jazdę konną, a wieczorami wkuwa do egzaminów. Potem przypomniałam sobie, jak Rushil uczył mnie w parku Shivaji gry w krykieta, i gwizd staroświeckiego imbryka do herbaty Sorai, a nie to jak moja manman splatała mi warkocze albo wcierała przed snem krem w łokcie, nie widok oślepiająco jaskrawego, gładkiego jak szkło oceanu po sztormie.

Łup!

Gwałtownie poderwałam głowę. „Ten dźwięk”. Wstrzymałam oddech, a mój umysł dopiero po kilku sekundach zdołał wrócić do teraźniejszości. „Coś uderzyło w iluminator”.

Bicie mojego serca przyśpieszyło. Pochyliłam się do przodu. Szyba iluminatora była przezroczysta, trójwarstwowa i nadzwyczaj mocna. Podobnie jak reszta statku, powstała z samouszczelniającej się masy perłowej, zmodyfikowanej bioinżynieryjnie tak, by imitowała strukturę komórkową muszli skorupiaków. Nie dostrzegłam na niej żadnej rysy. Tak naprawdę nie zobaczyłam niczego oprócz gwiazd i aksamitnie czarnej pustki przestrzeni kosmicznej. Spojrzałam z dołu, pod innym kątem. Wciąż nic. Przcisnęłam skroń do szkła i wyteżyłam wzrok, by zbadać obszar nad statkiem.

I wtedy to zobaczyłam – unoszącą się nad nami gmatwaninę światła pozycyjnych i metalu oraz zwiewną lodową chmurę wlewającą się w czerń. W pierwszej chwili nie mogłam pojąć, co to takiego.

Potem dotarło do mnie: „Powietrze. To jakiś statek tracący powietrze”.

Na kilka sekund zabrakło mi tchu, niezdolna zareagować. Mogłam tylko patrzeć, jak ten obcy statek broczy tlenem w upiornej ciszy próżni.

Ryknęły syreny alarmowe Ranganathana. Lampy na suficie zgasły, w ich miejsce zapaliły się żółte światła awaryjne. Zastygłam w bezruchu, jakby przez moje ciało przepłynął śmiertcionośny prąd, blokując mięśnie. Część mnie znalazła się znowu na drabince, w centrum huraganu, a matka krzyczała do mnie, żebym weszła na górę.

– UWAGA, UWAGA. KOD CZARNY – kobiecy głos przebił się przez uporczywe wycie alarmu. – WSZYSTKIE ZESPOŁY RATOWNICZE NA STANOWISKA. POZOSTALI CZŁONKOWIE ZAŁOGI PROSZENI SĄ O UDANIE SIĘ DO WEWNĘTRZNYCH REJONÓW STATKU. POWTARZAM, KOD CZARNY.

To do mnie. Powinnam zjawić się na stanowisku. Ale nie potrafiłam oderwać się od iluminatora. Nadchodziła fala. W pole widzenia wpłynęły światła pozycyjne myśliwców jednej z naszych eskadr obronnych, krążących wokół wraku tracącego powietrze. Część kadłuba oderwała się, siejąc odłamkami jak płatkami kwiatów. Odetchnęłam gwałtownie. „Ten statek się rozpada”. Ale potem ta oddzielona połowa odpaliła silniki, oświetlając w końcu scenę na tyle, bym mogła zobaczyć, co się naprawdę dzieje.

Zdezelowana bryła silikonu i metalu tracąca drogocenne powietrze to kuter Wędrowców, a ten drugi statek, wchodzący w łuk, by stawić czoło naszym myśliwcom, to szkuner z rodzaju tych polujących na mniejsze samotne jednostki. W ciemności zapłonęły światła pozycyjne jeszcze dwóch identycznych szkunerów, które bezgłośnie zajęły pozycje na flankach pierwszego. To *Dakait*. Piraci.

Pobiegłam przez korytarze, w których rozbrzmiewał echem tupot moich bosych stóp. Zapomniałam o kitlu laboratoryjnym i rękawiczkach; ściszałam w dłoniach podręczną apteczkę. Tym razem Advani-ji zachowała milczenie. Na ścianach odbijał się żółty blask światła awaryjnych.

– KOD CZARNY, KOD CZARNY. PROSZĘ ZACHOWAĆ SPOKÓJ I OSTROŻNIE UDAĆ SIĘ DO NAJBLIŻSZEGO BEZPIECZNEGO MIEJSCA.

Pognałam do strefy hangarów. Jeżeli nasze myśliwce zdołały wziąć na hol ten ginący kuter Wędrowców, właśnie tam go ściągną. Ile jeszcze powietrza w nim zostało? Włączyłam dźwięk w moim komunikatorze i wybrałam częstotliwość pierwszej pomocy.

– Spodziewane ofiary w ludziach – odezwał się śpiewnie kobiecy głos. – Potrzebny cały personel medyczny.

– Objętość cylindra równa się iloczynowi jego wysokości, kwadratu promienia i liczby pi – wyrecytowałam.

Przypominanie sobie wzorów pomaga mi czasami zapanować nad moim układem limbicznym. Jeżeli mogłam pomyśleć o objętości zasobów powietrza tego kutra Wędrowców, nie musiałam myśleć o...

Ściana na lewo ode mnie eksplodowała. Pękały grodzie, w korytarzu ze skwierczeniem rozbłysły światła. Runęła nim lawina odłamków, oderwanych fragmentów żywej skóry Ranganathana. Nie pamiętałam, żebym upadła, czy choćbym się zatrzymała, ale nagle leżałam na podłodze, osłaniając rękami twarz. A potem huk ucichł i poprzez dzwonienie w uszach słyszałam tylko wycie syren alarmowych. Uniosłam głowę. W powietrzu unosił się pył. Olbrzymia bryła metalu przebiła zewnętrzny kadłub statku i ścienne grodzie. Dopiero po chwili rozpoznałam w niej jeden z naszych myśliwców.

– Wyłom w kadłubie, możliwe ofiary w ludziach, poziom laboratorium symulacyjnego, główny korytarz – powiedziałam drżącym głosem do mojego komunikatora, chociaż nie miałam pewności, czy nadal działał.

Advani-ji wydała niskie, przeciągłe jęknięcie, od którego przeszły mnie ciarki.

Wgramoliłam się na wysoką stertę szczątków, pośliznęłam się i niemal rozciąłam sobie rękę o odłamek ściennej grodzi, nim dotarłam do kokpitu myśliwca. Okna przesłaniała warstwa zmiażdżonych na proch kawałków masy perłowej Ranganathana. Zawahałam się. W środku mógł ktoś być. Może Rubio. Nie chciałam znaleźć go martwego wewnątrz tego myśliwca.

Starłam pył rękawem i zajrzałam przez okno do kokpitu. Był pusty. Zobaczyłam, że zniknął fotel pilota wyposażony w tymczasowy system podtrzymywania życia. Widocznie pilot pociągnął za dźwignię katapulty. Pozwoliłam sobie na wdech i natychmiast zakaszałam. Powietrze nadal wypełniał drobny pył, nadając korytarzowi nierealny wygląd mglistej nocy w Mumbaju. Wszędzie wokół mnie rozbrzmiewały skwierczenia i trzaski. Drobne szczeliny w ścianach zniknęły, a z miejsca katastrofy i ze ścian wypełzła lśniąca, półprzezroczysta powłoka masy perłowej, izolując szczelnie myśliwiec i wszystkie odłamki pod nim. Ranganathan zaczął zablizniać swoje rany.

Z mojego komunikatora poprzez szum zakłóceń dobiegł niewyraźny głos.

– Raport o ewentualnych ofiarach przyjęty – zdołałam zrozumieć. – Wysłano ekipę ratowniczą.

– Odwołuję – odpowiedziałam.

Kolana zaczęły mi dygotać. Chciałam usiąść przy wolnym od szczątków fragmencie ściany, ale wiedziałam, że jeśli to zrobię, nie zdołam wstać i zamiast wykonać moje obowiązki, będę musiała zdać się na pomoc jakiegoś innego ratownika.

– Nie znaleziono żadnych ofiar – zameldowałam. – Wyłom w trakcie samonaprawy.

Spojrzałam na siebie. Żadnych poważniejszych obrażeń, tylko smugi popiołu na ubraniu i pył we włosach. Na bosych stopach miałam mnóstwo drobnych rozcięć, pokrywała je skorupa zakrzepłej krwi zmieszanej z roztartą na proch masą perłową. Powinnam była włożyć moje laboratoryjne pantofle, chociaż i tak podarłyby się na strzępy. Gdybym znalazła się w tym miejscu zaledwie sekundę wcześniej, zmiażdżyłby mnie wrak myśliwca.

Podłoga pode mną zadrżała i zamigotały te lampy, które jeszcze się paliły.

– WYŁOM W POWIERZCHNI KADŁUBA. KOD NIEBIESKI, WYŻSZY POZIOM REKREACYJNY – spokojnie odezwał się znów ostrzegawczy głos. – UWAGA! ZALECA SIĘ WŁOŻENIE SKAFANDRÓW CIŚNIENIOWYCH.

„Wyłom w powierzchni kadłuba”. Przez moment myślałam, że omyłkowo odtworzono ponownie mój raport, ale nie. „Kod niebieski”. To oznaczało groźne uszkodzenie, wpływające na systemy dostarczania powietrza. Zawahałam się. Moje skafander ciśnieniowy i hełm zostały w laboratorium, od którego dzieliła mnie taka sama odległość jak od hangaru. Jeśli zawrócę, mogę nie dotrzeć na swoje stanowisko.

W trakcie mojego ostatniego roku nauki w Akademii Revati powstała szczelina w nadmorskim wale przeciwpowodziowym na północ od wschodniej części Mumbaju i doszło do zalania linii tranzytowych. W katastrofach pociągów magnetycznych zginęło dwadzieścia dziewięć osób. Kolejnych piętnaście utonęło. Setki innych trafiło do prowizorycznych szpitali urządzonych na dachach domów i peronach kolejowych. Chciałam wtedy pomóc. Chciałam oddać krew potrzebującym, ale ochotniczy ratownicy nie zgodzili się, ponieważ byłam dzieckiem. A Soraya nie puściła mnie do polowych szpitali, chociaż sama tam poszła. Mogłam tylko siedzieć w domu, oglądać wiadomości i żałować, że nie dane mi jest zatkanie tej szczeliny w wale ani uleczenie ran świata moją krwią.

Teraz wiedziałam, co muszę zrobić.

Wrak myśliwca blokował mi drogę, więc zawróciłam, odszukałam najbliższe schody i pośpiesznie wbiegłam nimi do jednego z korytarzy towarowych wiodących pod podłogami poziomów statku, których używamy do transportowania lotnych lub delikatnych materiałów, gdy nie chcemy ryzykować przewożenia ich przez główny hol. Pod stopami czułam zimną posadzkę. Nadal rozbrzmiewały sygnały alarmowe, ale lampy już nie migotały – oświetlały zakrzywione ściany w szarym kolorze muszli. Przed sobą spostrzegłam coś zagrządzającego część korytarza.

Zwolniłam. Czy to inny fragment roztrzaskanego myśliwca? To coś było metalowe, lecz tak pogruchotane, że nie potrafiłam tego zidentyfikować. Widniejąca dalej szczelina w ścianie z masy perłowej już zasklepiła się koalescencyjnie w coś śliskiego

i połyskującego. Usłyszałam za plecami szuranie kroków. Odwróciłam się akurat w porę, by uchylić się przed ciosem kolbą karabinu. Do krwi gwałtownie napłynęła mi adrenalina, przenikając moje członki jak roztopione żelazo. Padłam na pokład i odczołgałam się na łokciach do tyłu, aż dotarłam do wraku myśliwca. Nade mną stał wysoki, mocno zbudowany mężczyzna w maskującej kamizelce kuloodpornej; proste jasne włosy miał ściągnięte do tyłu i związane w węzeł. *Dakait*.

Wzniósł karabin do uderzenia niczym maczugę. Nie miałam czasu pomyśleć ani nie mogłam zrobić uniku, oparta plecami o wrak. Odwróciłam twarz do ściany. „Siła równa się iloczynowi masy i przyspieszenia. Siła równa się iloczynowi masy i przyspieszenia...”

W holu rozbrzmiał echem wystrzał. Otworzyłam oczy. Dwaj strażnicy z Ranganathana zbiegali ku nam ze szczytu najbliższych schodów. Chciałam zawołać do nich, lecz głos odmówił mi posłuszeństwa.

Dakait zerknął przez ramię, a potem rzucił mi uśmiech.

– Szczęściara.

Odwrócił się szybko i w tym ułamku sekundy dostrzegłam swoją szansę. Gdy przeskakiwał przez stertę poskręcane metalu, mogłam wyciągnąć rękę i chwycić go za kostkę. Sprawić, że się potknie, straci cenne sekundy, a wtedy dopadną go strażnicy. Mogłam go powstrzymać.

Dostrzegłam szansę, ale moja ręka się nie poruszyła. Nie potrafiłam się zmusić, by ją wyciągnąć. Nie zdołałam go zatrzymać.

Dakait przesadził stertę odłamków i zniknął. Strażnicy z tupotem pognali za nim. Zostałam sama, mając w uszach tylko sygnały alarmowe i swój zdyszany oddech.

Doznałam hiperwentylacji. Dygotałam. A potem podźwignęłam się znów na nogi, gdyż byłam potrzebna.

Napotkałam jednego ze strażników, który z pustymi rękami wracał do mnie biegiem.

– Nic ci się nie stało, specjalistko? – zapytał.

Pokręciłam głową. W ustach czułam suchość.

– Uciekł? – spytałam, chociaż już znałam odpowiedź.

Strażnik potrząsnął głową.

– Są zuchwali. Próbują wdrzeć się na pokład... – Szeroko otwartymi oczami rzucił spojrzenie przez ramię. Był chudy, z krótko ostrzyżonymi czarnymi włosami, niewiele starszy ode mnie. – Mieli transportowiec. Wbili go w strop naszego statku nad parkiem rekreacyjnym na górnym poziomie.

– *Chaila* – zakląłam szeptem.

Ci *Dakaici* muszą być szaleni, skoro sądzą, że zdołają przejąć okręt Instytutu Głębinowych Sondowań. Ale w momencie, gdy to pomyślałam, przypomniałam sobie, że w Mumbaju czytałam artykuł o grupie *Dakaitów*, która opanowała na kilka godzin rządowy statek dostawczy, zanim siły bezpieczeństwa go odbiły. Zagrożenie atakiem było na tyle realne, że mieliśmy na Ranganathanie własne myśliwce i uzbrojonych strażników.

– Na pewno dobrze się czujesz? – spytał strażnik.

– Tak. – Spróbowałam przełknąć ślinę, ale zaschło mi w ustach. – Nic mi nie jest.

Strażnik się wyprostował.

– Rozgromimy ich, specjalistko. Nie martw się. Znajdź sobie skafander ciśnieniowy i trzymaj się na uboczu. To już nie potrwa długo.

Skinęłam głową, ale gdy tylko zniknął mi z oczu, wetknęłam pod ramię moją apteczkę i ruszyłam przed siebie korytarzem towarowym. Sądząc z tego, co zobaczyłam, potrzebni będą wszyscy ratownicy medyczni, jakich uda się ściągnąć do rejonu hangarów.

W hangarze panował chaos. Kłębiły się tam ekipy ratownicze dźwigające gaśnice chemiczne i ciągnące nosze na kółkach. Pośrodku doku tkwił kuter Wędrowców; z pęknięć w jego kadłubie wydobywał się dym. Trzech ludzi w jednoczęściowych kombinezonach personelu technicznego wyjąca elektryczną piłą do metalu próbowało wyważyć uszkodzoną klapę wjazdu statku i uwolnić ewentualnych ocalałych członków jego załogi. Spod piły tryskały na podłogę rozpalone do białości iskry. W powietrzu unosił się gęsty, drażniący chemiczny odór tłącego się metalu i plastiku.

Mocniej chwyciłam podręczną apteczkę i powiodłam wzrokiem po tłumie, szukając czerwono-żółtej kamizelki dowódcy zespołu ratowniczego, ale widziałam tylko przydzielone białe kombinezony. Powinnam pomóc, ale przy czym? Czy mam chwycić gaśnicę chemiczną i pomagać zdusić płomień? Dołączyć do sanitariuszy wyjmujących pośpiesznie balsamy na oparzenia i butle z tlenem? Przepchnąć się przez tłum do stojącego w szoku strażnika w mundurze poplamionym krwią?

Wycie piły do metalu nieco przycichło, a potem urządzenie zatrzymało się ze zgrzytem. Grupka robotników skupiona wokół kutra wydała triumfalny okrzyk. W końcu wypatrzyłam oficer pokładową.

– Cofnąć się! – krzyknęła, wymachując ku nam rękami. – Cofnąć się wszyscy oprócz ekip strażackich!

Kłapa wjazdu upadła na podłogę z głośnym brzękiem i z poszarpanego otworu wzniosły się ku krokwiom hangaru gęste kłęby siwego dymu. Zespół przeciwpożarowy wbiegł do wnętrza statku. Ratownicy nie przestawali tłumić ognia gaśnicami, ale reszta nas zamarała, wstrzymując oddech, w oczekiwaniu na powrót strażaków. Mijały sekundy. Trzydzieści. Sześćdziesiąt. Dziewięćdziesiąt.

I wtedy ich zobaczyliśmy. Najpierw z otworu wyłonił się chudy młody mężczyzna w zbyt dużej koszuli i kamizelce. Przez chwilę myślałam, że ma siwe włosy, ale zaraz zdałam sobie sprawę, że cały jest pokryty popiołem i sadzą. Ratownicy stojący najbliżej wjazdu pomogli mu zejść na pokład, a on, zdezorientowany, z szarą twarzą, powiódł po nas spojrzeniem zaczerwienionych oczu. Następnie wyszła kobieta, tuląc do piersi wrzeszczące niemowlę, a po niej pojawił się starszy brodaty mężczyzna, wspierający się ciężko na jednym ze strażaków i przyciskający dłoń do lewego oka. Na końcu wyszła chwiejnie dziewczyna w moim wieku trzymająca na rękach bezwładne małe dziecko.

– Pomóżcie jej! – krzyknęła, gdy pędzili do niej najbliżsi ratownicy medyczni. – Ona nie oddycha.

Też tam pobiegłam. Nie byłam pewna, jak zdołam pomóc z moją podręczną apteczką pełną doraźnych opatrunków, ale uznałam, że zdecyduję o tym na miejscu. Inni ratownicy skupili się wokół ocalałych; przykładali im do twarzy maski tlenowe

i rozrywali opakowania z opatrunkami przeciw oparzeniom. Już niemal dotarłam do tej dziewczyny, gdy z włazu wyskoczył na pokład jakiś niewielki czarno-szary kształt, sprawiając, że tłum przede mną się rozstał. To coś smyrnęło prosto między moimi nogami i uciekło.

– Niech ktoś złapie to zwierzę! – krzyknęła oficer pokładowa.

Nikt się nie poruszył. Nie mieliśmy pojęcia, jak się do tego zabrać.

– Ty. – Oficer pokładowa spojrzała na mnie i wskazała palcem. – Odszukaj je. Chcę, żeby przeszło kwarantannę.

– Ja? – spytałam.

Popatrzyłam na nosze na kółkach z leżącą na nich tą małą dziewczynką, której dwaj inni ratownicy medyczni zakładali maskę tlenową na uwalaną sadzą twarzączkę. Jeden z nich zaczął jej robić sztuczne oddychanie, uciskając klatkę piersiową.

– Tak, ty! – krzyknęła oficer pokładowa. – Ruszaj. I to już, zanim to zwierzę zniknie gdzieś wewnątrz okrętu.

Rzuciłam ostatnie spojrzenie na dziewczynkę z kutra Wędrowców – drobną i kruchą, jak któryś z moich motyli przed opuszczeniem kokonu – i pobiegłam z powrotem w kierunku, z którego przyszłam, w głąb korytarza prowadzącego do parku rekreacyjnego. Miałam nadzieję, że dopisze mi szczęście i drzwi do parku okażą się nadal zamknięte, gdyż wtedy to zwierzę nie ucieknie dalej.

Zbliżając się do tych drzwi, zwolniłam. Światła awaryjne wciąż błyskały, wskutek czego ściany i sufit były na przemian żółte i szare. Na końcu korytarza pełzył po podłodze mały, czarny kształt. Odwrócił się ku mnie i zamarł, błyskając oczami fosforyzującymi upiornie w niemal całkowitej ciemności.

Po plecach przebiegły mi zimne ciarki. Kot? Słyszałam, że na niektórych statkach trzyma się je jako maskotki przynoszące szczęście oraz z powodu ich umiejętności łowienia szczerów – zwyczaj będący reliktem czasów, kiedy eksplorowaliśmy tylko ziemskie morza. Na Ranganathanie nie mieliśmy kotów. Nasze przewody wentylacyjne były zaopatrzone w biomarkery odstraszające gryzonie, a załoga takiego topowego okrętu nie musi polegać na przesadach, by zapewnić sobie bezpieczny lot.

„Złap tego kota i wynoś się stąd”, powiedziałam sobie. Im mniej czasu spędzę w tym żółtym półmroku, tym lepiej. Wciąż miałam wrażenie, że kątem oka dostrzegam jakieś poruszające się cienie.

– Chodź tu, kocie – powiedziałam.

Przykucnęłam i powoli ruszyłam do przodu z wyciągniętą ręką. Czułam się dość głupio. Wstąpiłam do służb medycznych, żeby ratować ludzkie życia, a nie uganiać się za domowymi zwierzętami. Nawet nieszczególnie lubiłam koty. Stanowczo nie zamierzałam dopuścić, by z powodu takiego stworzenia zabił mnie jakiś *Dakait*.

Zwierzę wytrzeszczyło oczy i umknęło chyłkiem.

– Cholera – mruknęłam i podążyłam za nim.

Starłam się go nie wystraszyć, ale ilekroć się zbliżałam, kot rzucał się w panice przed siebie. Wciąż przypomiinałam sobie uśmiech tamtego *Dakaita* i mocno zacisnęłam pięści, aż paznokcie wbiły mi się w dłonie pozbawione nerwów czuciowych. Ava wiedziałaby, co zrobić. Ona ma podejście do zwierząt, jakiego ja nigdy nie nabiorę, chyba że chodzi o konie. Spróbowałam sobie wyobrazić, jak ona i Rushil przywołują na

wpół zdziczałe koty skradające się po ich doku remontowym. Uklękałam na środku korytarza i odchrząknęłam. Kot przyglądał mi się nieufnie ze sporej odległości.

– Chooodź tu, kocie – pisnęłam moim najcieńszym głosem, mając nadzieję, że to nie są ostatnie słowa, jakie wypowiem, zanim dostanę cios w głowę i stracę przytomność. Przełknęłam ślinę i ściągnęłam wargi do cmoknięcia, jakim Rushil przywoływał zabłąkane bezpańskie zwierzęta. – Chodź do mnie, kici kici.

Kot znieruchomiał, taksując mnie wzrokiem, a potem z wahaniem zrobił krok w moim kierunku.

– Bardzo dobrze. – Zabębniłam palcami po podłodze i znowu cmoknęłam. – Chodź tutaj, ty nędzny mały draniu.

Bezszelestnie podszedł bliżej, wciąż obserwując mnie podejrzliwie. Był powalany sadzą, a na spuszczonej ogonie miał przypalone futro. Miauknął cicho, chrapliwie.

Poczucie winy złagodziło mój głos. Ja też uciekłabym w panice, gdybym niemal spłonęła w pożarze, a potem ścigałaby mnie jakaś obca olbrzymka.

– Chodź do mnie, maleńki – powiedziałam.

Wyciągnęłam rękę i kot trącił głową moją dłoń.

– Świetnie, doskonale. – Zwabiłam go bliżej, aż zaczął się ocierać o moją nogę, zostawiając smugi sadzy na mundurowych spodniach. – Grzeczny kotek.

Podniosłam go i przycisnęłam do piersi. Wczepił pazury w moją koszulę i przywarł do mnie swoim drobnym ciałem. Jego serce łomotało szybko, a każdemu oddechowi towarzyszył cichy świst. I nie przestawał drzeć.

– Hej, wszystko w porządku. – Pogłaskałam go niezdarnie. – Nie bój się. Wszystko dobrze.

Tego jeszcze brakowało, żeby to stworzenie umarło na moich rękach wskutek hiperwentylacji i tachykardii. Wówczas utknęłabym na oddziale kwarantanny, dopóki nie zjawiłby się któryś z lekarzy, żeby przeprowadzić sekcję zwłok tego kota.

Wróciłam do doku; przez całą drogę kot tulił się do mnie. Tłum się przerzedził, a jedynym śladem po pożarze była unosząca się w powietrzu niebieska mgiełka dymu. Kot miauknął do mnie ochryple.

Dziewczyna, którą wcześniej widziałam, ta która wyniosła małą, stała teraz z dłońmi wspartymi na biodrach przed dowódczynią akcji ratowniczej. Mogła być najwyżej w moim wieku – moim prawdziwym wieku, nie tym w dokumentach. Jej ubranie i skórę pokrywał oleisty popiół, a sadza zlepiła włosy.

– Jak to, nie będziecie ich ścigać? – rzuciła.

Głos miała niski i schrypnięty od dymu – i coś w jego brzmieniu sprawiło, że poczułam ucisk w piersi. Gładkie, przejrzyste morze. Ava lecąca słupem nad wodą tuż po sztormie, kiedy jeszcze myślałyśmy, że może odnajdziemy ocalałych. Kiedy czepiałam się wątej nadziei, że być może jednak odszukamy moją matkę.

– Oni porwali mojego brata – mówiła dalej dziewczyna. – Musicie ich ścigać. Musicie go odbić.

Głos jej się załamał i przeszedł w atak kaszlu.

Oficer pokładowa odczekała, aż dziewczyna złapie oddech.

– Panienko – rzekła zmęczonym głosem. – To olbrzymi okręt badawczy o powierzchni przeszło pięciu kilometrów kwadratowych. Nawet gdybyśmy mogli

poświęcić paliwo na zmianę kursu, nigdy nie zdołalibyśmy dogonić statku *Dakaitów*. One są zaprojektowane, aby mieć tę jedną cechę, której nam brak, czyli szybkość.

Dziewczyna otarła z oczu sadzę.

– Macie myśliwce. One mogłyby ich pokonać.

Oficer pokładowa przecząco pokręciła głową.

– Mają tylko krótki zasięg. Prowadzą pościg, dopóki starcza im paliwa.

– Trochę pomogły. – Dziewczyna objęła się ramionami. – Ale pozwoliły tamtym uciec. Nie mogliście schwytać przynajmniej jednego ich statku?

Oficer pokładowa zacisnęła usta w wąską linię.

Mocniej przytuliłam kota. Nie złapali żadnego z *Dakaitów*? Mają cały wielki okręt badawczy Instytutu Głębinowych Sondowań dysponujący myśliwcami i uzbrojonymi strażnikami, a jednak tamci im uciekli? Przez głowę przemknął mi obraz buta pirata, którego nie złapałam, i zalała mnie fala wstydu. To nie *oni* pozwolili tamtym uciec, lecz *my*. Ja.

– Pozwól mi porozmawiać z waszym kapitanem – zażądała dziewczyna.

– Z naszą komandor – poprawiła ją oficer pokładowa.

– Kapitan, komandor, wszystko jedno – rzekła dziewczyna. Głos jej drżał. – Czy nie wiecie, co oni mu zrobią?

Oficer pokładowa ze znużeniem przestąpiła z nogi na nogę.

– Naprawdę mi przykro, panienko. Oczywiście, możesz pomówić z komandor, jeśli chcesz. – Machnięciem ręki przywołała jednego z ratowników medycznych ładujących na wózek puste butle po tlenie. – Ale najpierw musimy cię zbadać. Przeszłaś okropne rzeczy: byłaś wystawiona na działanie dwutlenku węgla o wysokim stężeniu, doznałaś oparzeń skóry...

– Nic mi nie jest – warknęła dziewczyna, gdy ratownik przycisnął stetoskop do jej piersi.

– Proszę, panienko – powiedział. – Próbujemy ci pomóc.

Oficer pokładowa odwróciła się i niemal wpadła na mnie.

– Och – westchnęła. Przez jej twarz przemknął wyraz ulgi. – Złapałaś go.

– Tak – potwierdziłam.

Za jej plecami sanitariusze układali dziewczynę na ruchomych noszach.

– Bardzo dobrze, załogantko... – oficer urwała, niepewna jak się nazywam.

– Specjalistka Guiteau. Jestem jedną z asystentek doktor Osmani – powiedziałam.

– Doktor Osmani? A więc pracujesz w dziale biologicznym?

– Tak jakby. – Popatrzyłam obok niej na dziewczynę leżącą na noszach i zakrywającą dłońmi oczy. – Moją specjalnością jest raczej biomorfologia i biomimetyka, ale...

– Nie, to świetnie – przerwała mi oficer. – Jesteś właściwą osobą, by zająć się tym problemem – rzekła, wskazując na kota.

Wytrzeszczyłam oczy nie mniej od niego.

– Ja? Ale... nie, ja nie...

Kiwnęła głową.

– Jak dotąd dobrze sobie z nim radzisz. A jeżeli to stworzenie jest nosicielem jakichś chorób, przypuszczalnie już się na nie naraziłaś. Nie mogłabym znaleźć lepszej kandydatki do przeprowadzenia kwarantanny i procesu odkażania.

Widocznie twarz poszarzała mi na popiół, bo oficer zmieniła ton i poklepała mnie po ramieniu.

– Nie martw się, specjalistko. To tylko niezbędna procedura. Jestem pewna, że to stworzenie nie ma żadnej śmiertelnej choroby. Powiadomię doktor Osmani, że zostałaś tymczasowo oddelegowana do obowiązków związanych z sytuacją kryzysową.

– Dziękuję – usłyszałam swój głos.

Odwróciłam się, żeby odejść, ale coś mnie powstrzymało.

– Pani oficer – odezwałam się.

– Tak?

– Tamta mała dziewczynka, ta która nie oddychała – powiedziałam. – Czy doszła do siebie? Nic jej nie jest?

Twarz oficer pokładowej złagodniała.

– Wyzdrowieje. Przez krótki czas podawano jej tlen. Na szczęście jest bardzo młoda. Nie zapamięta nic z tego.

– Racja – przytaknęłam, lecz w głębi duszy w to wątpiłam.

Nawet jeśli nie zapamięta szczegółów, nawet jeśli spróbuje zapomnieć, czy kiedykolwiek całkiem jej się to uda? A może ten incydent będzie powracał skrycie w nocnych koszmarach i budził się w jej świadomości, ilekroć ona poczuje dym? Może wtopi się w jej naturę jak coś wszczepionego w kod genetyczny? Rzuciłam ostatnie spojrzenie na powalaną sadzą dziewczynę leżącą na noszach nieruchomo niczym kamienny posąg, a potem przytuliłam do siebie nowego podopiecznego i zaniosiłam go do mojego laboratorium.

Miesiąc przed tym, jak złożyłam podanie o przyjęcie do Instytutu Głębinowych Sondowań, wciąż miałam oficjalnie szesnaście lat. Udałam się więc na spotkanie z jedyną znaną mi osobą, która mogła sfalszować moje dokumenty, osobą, która pomogła Avie i mnie, gdy po raz pierwszy przybyliśmy do Mumbaiu – z Rushilem.

Z okien pociągu magnetycznego, którym jechałam z mojej spokojnej, pełnej zieleni dzielnicy do Salt, gdzie Ava i Rushil prowadzili swój dok remontowy, widziałam coraz mniej drzew – zamiast nich pojawiały się stare budynki z nowymi oknami i resztkami ręcznie malowanych szyldów na ceglanych murach. Tory kolei magnetycznej biegiły nad kryjącymi się w ich cieniu *tapri* i wózkami sprzedawców soku, i nad pękami olbrzymich rur, którymi pompowano wodę z powrotem do morza, by uchronić przed zalaniem niżej położoną część miasta. To, że przed wiekami Mumbai nie zniknął pod wodą, jak tyle innych nadmorskich miejscowości, zawdzięczamy wyłącznie naszym cywilnym oddziałom inżynieryjnym. Zbudowały one ogromne wały przeciwpowodziowe i skomplikowany system drenażu, którego używamy aż do dziś.

Oczywiście ten system nie zawsze działa idealnie. Tamtego dnia wyszłam z pociągu prosto w połać grząskiego, chlupoczącego błota i podziękowałam moim szczęśliwym gwiazdom, że pamiętałam, by włożyć grube buty. W wyżej położonych rejonach Mumbaiu nosimy sandały z odkrytymi palcami i miękkie wyszywane pantofle, ale niżej, w dzielnicy Salt, nieliczne maszyny sprzątające przegrywają walkę z pyłem i odpadkami, które zaśmiecają nie tylko mniejsze ulice, lecz nawet główne arterie. Sytuację jeszcze pogarszają wszechobecne końskie odchody.

Przybrałam niedostępną minę i ruszyłam ulicą, klucząc w potoku rowerzystów, innych przechodniów oraz mężczyzn i kobiet jadących konno. Obowiązujący na terenie Mumbaiu zakaz używania pojazdów z silnikami spalinowymi nigdy nie wydawał mi się niczym dziwnym, ale pochodzące z Londynu dziewczyny w Akademii Revati uskarżały się na to, dopóki nie usłyszały, że mogą jeździć przez miasto konno.

Mijałam ulicznych handlarzy oraz sklepy i tanie restauracje naprzeciwko stacji kolejowej Old Dharavi.

– *Chhatri! Chhaata!* Parasole i parasolki! – krzyczał handlarz sprzedający je na ulicy. Spostrzegł mnie i powiedział: – Nie daj się zaskoczyć przez deszcz, *ladki*. Zniszczy ci to ładne ubranie.

Roześmiałam się.

– *Ji nahi*. Mam mnóstwo parasolek.

– Więc może *choodi*? – zaproponował, podnosząc kilka okrągłych metalowych bransoletek. – Nigdy nie można mieć zbyt wiele *choodi*.

Przecząco potrząsnęłam głową. Gdyby jak zwykle towarzyszyła mi moja najlepsza przyjaciółka Vishva, zatrzymałybyśmy się przy tym handlarzu. Miała taki sam jak on pogląd dotyczący *choodi*. Ale nie było ze mną Vishvy. Odkąd przestałam uczyć się w Revati i zaczęłam uczęszczać na zajęcia na uniwersytecie, widywałyśmy się coraz rzadziej. Ogarnęło mnie poczucie samotności. Gdybyśmy nadal chodziły razem do szkoły, Vishva wlokłaby się za mną. „Żeby zapewnić ci moralne wsparcie”, powiedziałyby, lecz tak naprawdę by marzyć o Rushilu. Nie zbijało jej z tropu to, że

Rushil był: a) żonaty, b) kimś w rodzaju mojego brata i c) dziesięć lat starszy od niej. Albo może właśnie dlatego lubiła o nim marzyć, bo wiedziała, że to beznadziejna sprawa.

Przepchnęłam się obok sprzedawcy parasoli oraz innych ulicznych handlarzy, oferujących rozłożone na kocach używane ręczniki, zwane tutaj mandarynami, i części do tabletek. W głębi dzielnicy Salt ulice były cichsze, a po obu stronach jezdni pojawiły się płoty. Dok parkingowy Rushila i Avy otaczało wysokie ogrodzenie z metalowej blachy falistej zwieńczone drutem kolczastym.

Wcisnęłam guzik dzwonka przy bramie.

– Rushil! – zawołałam.

– Mała Mi? – poprzez elektryczny szum dobiegł mnie jego głos.

– Tak, to ja. Mogę wejść?

Umarłabym, gdyby któraś z koleżanek z klasy usłyszała, jak nazwał mnie moim dziecięcym przydomkiem, jednak tutaj, na terenie doku, nie przeszkadzało mi to. Była to jedna z tych na poły krępujących, a na poły miłych rzeczy, jakie robili on i Ava, co do których nigdy nie mogłam zdecydować, czy je lubię, czy ich nie cierpię.

– Oczywiście – odrzekł Rushil, po czym zabrzmiał brzęczyk i zamek bramy się odblokował.

Wewnątrz, na rozpalonym słońcem asfaltowym lądowisku, stały w nieładzie rozmaite statki powietrzne – niektóre o nowoczesnych opływowych liniach i nieskazitelnie białych płytach pancerza, inne wybebeszone, z zardzewiałymi wnętrzościami rozłożonymi wokół podwozi. Na szczycie przyczepy kempingowej Avy i Rushila jeden z kotów zamieszkujących to złomowisko ziewnął i wyciągnął się w cieniu talerza anteny satelitarnej.

– Rushil! – zawołałam w panującą tu ciszę.

– Jestem na tyłach, w ogródku – odpowiedział.

Okrążyłam ich maleńki domek i weszłam na niewielką połąć zieleni wciśniętą klinem między tylną ścianę przyczepy a płot z blachy falistej. Gdy wyłoniłam się zza rogu, Rushil wyprostował się i wytarł dłonie w biały podkoszulek bez rękawów. Czoło miał zroszone potem.

– Cześć, Mi – powiedział. Wskazał kciukiem plastikową miskę na stole za sobą, wypełnioną po brzegi ogórkami. – Soraya chciałaby trochę? Mamy ich nadmiar.

– Nie. Wiesz, jaki ona ma dziwny stosunek do marynat – odparłam. Soraya była prawdopodobnie jedyną osobą na całym subkontynencie indyjskim, która nie lubiła pikli ani czatni. Klapnęłam na jedno ze składanych krzesełek przy stole i odchyliłam się do tyłu, by znaleźć się w cieniu. – Ale powiem jej, że je zaproponowałeś.

– Uff. – Rushil usiadł ciężko na drugim krzesełku i obiema dłońmi otarł pot z twarzy. – Cieszę się, że się zjawiłaś. Potrzebowałam przerwy w pracy. Madame, czemu zawdzięczam twoją wizytę?

Przygryzłam wargę; ogarnęło mnie nagle zdenerwowanie.

– Potrzebuję przysługi.

– Przysługi? – Rushil uniósł brwi. – Wiesz, że Avy nie ma, prawda? Wróci dopiero o zmierzchu.

– Nie od niej – wyjaśniłam. – Od ciebie.

– Ode mnie? – powtórzył, marszcząc brwi.

Pochyliłam się do przodu na krzesło, tak że siedziałam teraz mniej więcej prosto.

– Kiedy Ava i ja po raz pierwszy się tu zjawiłyśmy, załatwiłeś jej dokumenty, pamiętasz?

– Uhm – przytaknął Rushil, a na jego twarzy pojawił się niepokój.

– Chciałabym... – Wzięłam głęboki wdech i szybko wypuściłam powietrze z płuc. – Chciałabym, żebyś pomógł mi poprawić moje dokumenty tak, abym mogła złożyć podanie o przyjęcie na misję Głębinowych Sondowań.

Rushil przez chwilę siedział w milczeniu, a potem pochylił się do przodu i wstał.

– Straszny upał. Chyba muszę się czegoś napić. A ty? Chcesz herbatę? Wodę? Sok z...

– Rushil – powiedziałam, po czym też wstałam i posłałam mu moją najlepszą imitację spojrzenia Sorai wyrażającego rozczarowanie.

– Miyole. – Wsparł dłonie na biodrach i odpowiedział mi takim samym spojrzeniem.

– Ava by mnie zabiła. Soraya by mnie zabiła.

– Wcale nie. – Przecząco potrząsnęłam głową. – Nie, jeśli rozumieją. Przecież w gruncie rzeczy nie ma w tym nic złego.

Rushil przewrócił oczami.

– Ale też nic dobrego. Wiesz, czego by to wymagało, prawda? Oszukania całej bandy rządowych naukowców, zhakowania państwowej bazy danych...

– To nie byłoby oszustwo! – przerwałam mu.

– Jakkolwiek to nazwiesz – rzekł.

Opadł z powrotem na krzesło, pochylił się do przodu i oparł głowę na rękach.

– Rushil, proszę – powiedziałam tonem, którego używałam, kiedy jeszcze nosiłam warkoczyki i chciałam dostać więcej cukru do herbaty. – Jestem już tak blisko. Żeby wziąć udział w tej wyprawie, trzeba ukończyć osiemnaście lat, a ja, kiedy wystartuję, będę miała siedemnaście. To tylko niewielka korekta dokumentów, nic więcej.

Nie powiedziałam jednak – czego nie wiedział nikt oprócz mnie – że dokumenty, które przed laty wyrobiła dla mnie Soraya, zawierały błąd. Kiedy przybyłam do Mumbaju, badający mnie lekarz uznał, że mam dziewięć lat, zapewne z powodu mojego wysokiego wzrostu, a później nikt nigdy nie podał tego w wątpliwość. Ani moi nauczyciele, ani Soraya, ani nawet Ava. W istocie była to kwestia zaledwie kilku miesięcy – najwyżej pół roku – ale gdy uciekałyśmy przed sztormem, miałam osiem lat, nie dziewięć.

Kiedy się zorientowałam, że doktor mylnie ocenił mój wiek, bałam się cokolwiek o tym wspomnieć. Soraya i moi nauczyciele mogliby zdecydować, że jestem za młoda, by uczyć się w Revati, a ja uwielbiałam tę szkołę. Tylko dzięki niej każdego ranka wstawałam z łóżka i tylko ona pomagała mi zapomnieć o mojej matce na tyle długo, bym zdołała dotrzeć do wieczora. Później zaś poruszenie tej kwestii wydawało mi się po prostu zbyt kłopotliwe. „Och, a przy okazji – wiem, że nie przeszkadzało mi to przez pół życia, ale dokumenty, dzięki którym zostałam obywatelką subkontynentu indyjskiego, są całkowicie błędne”. Wszystko to oznaczało, że kiedy Ranganathan opuści dok portowy, będę miała dopiero szesnaście lat. Nie osiemnaście, czy choćby siedemnaście. Szesnaście.

– Niewielka korekta. – Rushil roześmiał się i potrząsnął głową, ale oczy mu zabłyśły.

– Potrzebowałybyś dobrego, solidnego hakowania, żeby wytrzymało rządową kontrolę. Z wszystkimi bajerami.

Uśmiechnęłam się.

– Wiesz, że nie mam nic przeciwko temu.

– Wiem. – Popatrzył na mnie i nagle wydał mi się znużony, starszy niż jego dwadzieścia siedem lat. – Jesteś pewna, że właśnie tego chcesz?

Uśmiech spełził mi z twarzy. Zdawałam sobie sprawę, ile będzie kosztowało Rushila ponowne nawiązanie kontaktu z siecią mumbajskich hakerów i dostawców fałszywych dokumentów. Bardzo się starał trzymać wszelki element kryminalny z dala od swojej firmy, z dala od Avy, co było prawie niemożliwe dla kogoś, kto jako dzieciak wzrastał pośród gangów dzielnicy Salt. I oto ja prosiłam go, żeby znowu się z nimi zadał. Mogłam się wtedy wycofać. Może powinnam była tak postąpić. Ale to by oznaczało następne dwa lata kursowania pomiędzy uniwersytetem a domem, kiszzenia się wciąż w tym samym środowisku, podczas gdy moje kolejne przyjaciółki z klasy odfrunęłyby do Londynu, Madrasu czy Bagdadu, by rozpocząć własne życia. Nawet Vishva miała za rok wyjechać z Mumbaju.

Przełknęłam z wysiłkiem.

– Zawsze tego chciałam – odrzekłam.

I przynajmniej to nie było kłamstwem.

– Prawdziwy z ciebie mały diabeł – powiedziałam do kota.

Staliśmy naprzeciwko siebie w laboratorium, wrogo mierząc się wzrokiem – ja ze strzykawką, w rękawiczkach, z przedramionami obwiązanyymi dermalnymi bandażami, kot przyparty do szafek magazynowych z nierdzewnej stali, z uszami położonymi płasko na łbie i nastroszonym futrem, wskutek czego wyglądał na dwa razy większego. Okazało się, że pod warstwą popiołu jest pręgowany, w kolorze curry i z ryżowo-białym podbrzuszem, lecz to nie czyniło go ani trochę mniej przerażającym. Udało mi się zmyć z jego sierści sadzę, kosztem kilku głębokich zadrapań na rękach, ale ilekroć przysuwałam igłę strzykawki, kot wydawał niskie, groźne warknięcia, wysuwał pazury i syczał na mnie jak gęś.

– Co z tobą? – spytałam, zmuszona zniżyć się do błagalnego tonu. – Próbuje ci pomóc.

W laboratorium rozległ się wysoki dźwięk, oznajmiający, że ktoś stoi przed drzwiami.

Wskazałam mojego podopiecznego igłą i powiedziałam:

– Zostań tutaj.

Wydał z siebie kolejne gardłowe warknięcia, ale nie ruszył się z miejsca.

Podeszłam na palcach do drzwi i zerknęłam przez wizjer. Odpowiedziała mi spojrzeniem dziewczyna z kutra. Jej włosy bez pokrywającej je warstwy popiołu były miodowo-brązowe i spadały wilgotnymi splotami na ramiona. Błądą twarz miała całą w piegach, jakby ktoś wysypał jej na grzbiet nosa puszkę cynamonu. Trzymała na rękach tę małą dziewczynkę. Obie miały na sobie luźne niebieskie tuniki i spodnie, jakie otrzymują pacjenci na oddziale medycznym. Ręce starszej dziewczyny były obwiązane grubymi bandażami, a mała miała przylepiony pod nosem dozownik tlenu.

Na mój widok dziewczyna zmarszczyła brwi i powiedziała coś, czego nie usłyszałam przez drzwi.

– Zaczekaj! – odkrzyknęłam, chociaż wiedziałam, że ona też mnie nie usłyszy. Schyliłam się, by włączyć interkom, a potem znów pojawiłam się w jej polu widzenia. – Nie usłyszałam cię. Możesz powtórzyć?

– Powiedzieli, że masz naszego kota – rzekła głosem ostrym jak ścięta krawędź urwiska.

– Zgadza się – odrzekłam, starając się przybrać równie zniecierpliwiony ton. – Przeprowadzam standardowe testy kwarantanny.

Za moimi plecami kot znowu wydał ostrzegawcze miauknięcie.

Dziewczyna oparła małą na drugim biodrze.

– Powiedzieli, że do tej pory powinnaś je już skończyć.

– No, ale nie skończyłam – odparłam, starając się pohamować irytację. „Zachowuj się profesjonalnie”, powiedziałam sobie. Byłam asystentką naukową, przedstawicielką Instytutu Głębinowych Sondowań, a tamci Wędrowcy przeszli przez piekło. – To znaczy, wkrótce skończę, więc jeśli byłabyś uprzejma poczekać...

– Wielkie nieba! – wykrzyknęła. Odwróciła się na moment, a gdy znów na mnie popatrzyła, miała zaciśnięte zęby, przez co jej ostry podbródek wydawał się jeszcze bardziej wystający. Spojrzała w dół na dziewczynkę. – Słuchaj, Milah mnóstwo dziś przeszła. Ona chce tylko zobaczyć kota, potem sobie pójdziemy.

– Nie mogę pozwolić wam na kontakt z kotem – usiłowałam wyjaśnić. – Nie, dopóki nie dokończę procedury kwarantanny.

– Więc ją dokończ – warknęła.

– Właśnie próbuję – odparowałam. – Gdyby tylko mi nie przeszkadzano, a twoje parszywe zwierzę zechciało współpracować!

Zasłoniłam sobie dłonią usta. Nie chciałam wypowiedzieć na głos tej ostatniej części.

Dziewczyna zamknęła oczy, westchnęła i powstrzymała się przed powiedzeniem tego, co najwyraźniej zamierzała. Zamiast tego zaproponowała:

– Jeśli mnie wpuścisz, zdołam go uspokoić i będziesz mogła przeprowadzić wszystkie testy, jakie zechcesz. On prawdopodobnie jest przestraszony, to wszystko.

W zamyśleniu przygryzłam wargę. Przerwanie kwarantanny przed ukończeniem testów było wbrew przepisom, ale wcześniej dziewczyna przez cały czas przebywała z tym kotem i nie złapała żadnej śmiertelnej choroby. Nie wypuszczono by jej z oddziału medycznego, gdyby wykryto u niej jakieś patogeny czy pasożyty. Co zaszkodzi, jeśli pozwolę jej wejść?

– Jeżeli cię wpuścę, nie będziesz mogła stąd wyjść, dopóki nie zanalizujemy wyników badań – ostrzegłam ją.

– Doskonale – odparła; przez jej twarz znów przemknął wyraz zniecierpliwienia i pohnęła dzieckiem na biodrze.

Odblokowałam zamek.

– Twój wybór.

– Dziękuję – powiedziała. Wcisnęła się do środka, jeszcze zanim drzwi całkiem się otwały. – Nie masz pojęcia, ile to znaczy dla Milah i mnie.

Wzruszyłam ramionami, niepewna co mam o niej myśleć.

– Cześć, Tibbet. – Dziewczyna przyklęła i przemówiła łagodnie do kota, który przycupnął na ładzie. – Wszystko w porządku. Jestem tutaj.

Zwierzę przestało wydawać z siebie gęsie syki i wyginać grzbiet w łuk, ale jego czarne oczy pozostały czujne, źrenice rozszerzone, a w gardle zawibrowało nerwowe warknięcie.

Stojąca obok dziewczyny Milah zamarła i szeroko otwartymi oczami wpatrzyła się w kota.

– Bet? – spytała.

Dziewczyna zerknęła na nią.

– Tak. Tibbet jest wkurzony, prawda? Nie podoba mu się tutaj. – Mówiąc to, zmierzyła mnie ostrym spojrzeniem.

Wzięłam do ręki strzykawkę. „Jesteś profesjonalistką”, przypomniałam samej sobie.

– Podam mu środek uspokajający, jeśli mi pomożesz.

Dziewczyna odwróciła się z powrotem do kota.

– Chodź tu, Tibbet. Już wszystko w porządku. Nikt cię nie skrzywdzi.

Zwierzę zawahało się na skraju lady. Wszystkie wstrzymałyśmy oddech, ale kot w końcu zeskoczył na podłogę i ostrożnie podszedł do dziewczyny.

– Właśnie tak – powiedziała śpiewnym tonem, gładząc go po głowie. – Bardzo dobrze.

Podniosła wzrok na mnie i kiwnęła głową. „Teraz”.

Uklęłam obok niej i wbiłam igłę pod skórę kota. Zesztywniał na moment, gdy wstrzykiwałam niewielką dawkę ketaminy, a potem powoli zwiotczał na rękach dziewczyny. Wywalił języczek, który wyglądał jak zabawna różowa metka.

Zaniepokojona Milah uniosła głowę.

– Bet umarł?

– Nie, nie. – Dziewczyna pogłaskała ją po ramieniu. – On tylko śpi, widzisz? – wyjaśniła, pieszczotliwie gładząc futro kota.

Milah zmarszczyła brwi.

– Jak mama?

Dziewczyna się zawahała.

– Nie, Groszku. – Wyciągnęła rękę i pogłaskała małą po włosach. – Twoja mama się nie obudzi, pamiętasz? Ale Tibbet tak.

Milah uniosła rączkę do podbródka i uczyniła palcami serię znaków, przez cały czas wpatrując się intensywnie w starszą dziewczynę.

Przez twarz nastolatki przemknął wyraz bólu.

– Nie – powiedziała spokojnie i odpowiedziała podobnymi znakami. – On wróci. Obiecuję.

Dopiero po chwili pojęłam, co oznaczają te ruchy palców. Widywałam je na starych filmach, a kiedyś na uniwersyteckim kursie historii biomedycyny mieliśmy zajęcia na ten temat. Zanim zaczęto zapobiegać głuchocie kuracjami genetycznymi i stosowaniem implantów, ludzie niesłyszący porozumiewali się za pomocą swoich dłoni. Ale to było przed wiekami.

– Czy ona... jest głucha? – wyrwało mi się.

Dziewczyna rzuciła mi gniewne spojrzenie.

– Nie.

– Ale przecież...

– Jej ojciec jest głuchy – przerwała mi. – Mój brat Nethanel. Ten, którego tamci porwali.

Te słowa uderzyły mnie jak cios w pierś. „Jej ojciec. Mój brat. Ten, którego porwali”. Wszystkie elementy ułożyły się w całość. Nic dziwnego, że ta dziewczyna zachowuje się tak gwałtownie i opryskliwie. Znowu wezbrało we mnie poczucie winy. Gdybym wtedy nie zamarła ze strachu, gdybym wyciągnęła rękę i zatrzymała tamtego *Dakaita*...

– Och. – Przełknęłam z wysiłkiem. – Co ona powiedziała?

Dziewczyna przez chwilę nie mogła wydobyć z siebie głosu. Wreszcie odrzekła:

– Spytała, czy Nethanel odszedł, żeby być z jej mamą.

– Och – westchnęłam znowu.

Co mogłam na to odpowiedzieć? „Przykro mi z powodu twojego brata. Być może miałam szansę powstrzymać ludzi, którzy go porwali, ale chyba nigdy się tego nie dowiemy. Plusem jest to, że twoja bratanica kiedyś zapomni o swoim ojcu”.

Odwróciłam wzrok i zajęłam się przygotowaniem następnej strzykawki. Za moimi plecami tamte dwie kontynuowały rozmowę trzepotaniem dłoni i cichymi szeptami. Starłam się nie zwracać na nie uwagi, dać im trochę prywatności i skupić się na czymś innym niż moje poczucie winy. Ułóż w rzędzie paski diagnostyczne. Zaprogramuj analizator patogenów. Uporządkuj pojemniki z wacikami i korpusy strzykawek, które kot porozrzucił po ladzie.

Zerknęłam przez ramię. Ujrzałam na twarzy Milah wyraz, jaki mają małe dzieci, które zaraz wybuchną płaczem. Ten widok poruszył we mnie jakąś czułą strunę i zanim się zorientowałam, co właściwie robię, sięgnęłam do tamtej wnęki w ścianie i wyjęłam z niej sari.

Milah wybałuszyła na mnie oczy, jakbym była ulicznym sztukmistrzem nagle wyczarowującym ptaka.

Potrząsnęłam sari.

– Masz – powiedziałam. Rozłożyłam je na podłodze niczym koc piknikowy i wzięłam na ręce kota, który wyglądał jak kłębek futra. – Potrzyj go, a ja pobiorę mu trochę krwi. Potem zaraz stąd wyjdziemy.

Starsza dziewczyna posłała mi nikły uśmiech wdzięczności, usadowiła Milah na wytartej tkaninie i umieściła kota na jej kolanach. Miał rozwarty pyszczek i bezwładnie rozkraczone łapki, ale mimo to Milah głaskała go po grzbiecie i przemawiała do niego pieszczotliwie.

– Doskonale – powiedziałam. – Świetna z ciebie asystentka.

Strzykawką pobrałam kotu krew i wypuściłam ją na paski diagnostyczne. Za mną Milah paplała i wydawała kojące dźwięki nie będące właściwie słowami.

Starsza dziewczyna odchrząknęła.

– Dziękuję.

Włożyłam paski diagnostyczne do analizatora i zamknęłam drzwiczki.

– Żaden problem – odrzekłam. Zerknęłam na nią przez ramię i na moje policzki wypłynął gorący rumieniec. „Bądź profesjonalistką”. – To znaczy, cieszę się, że mogłam

pomóc.

Dziewczyna wstała i wyciągnęła do mnie rękę.

– Jestem Cassia.

Uścisnęłam jej dłoń, chociaż ten gest wydał mi się dziwacznie oficjalny i dorosły.

– Miyole.

Opuściłyśmy ręce i stałyśmy zakłopotane. Za moimi plecami analizator mruczał cicho.

– Dziękuję, że pozwoliłaś jej zobaczyć Tibbeta. – Dziewczyna wskazała ruchem głowy Milah i znowu uśmiechnęła się lekko.

Wzruszyłam ramionami.

– To nic wielkiego. Nigdzie się z nim nie wybierałam.

– Po prostu chodzi o to, że... ona potrzebowała czegoś znajomego, wiesz?

– Tak. – Popatrzyłam na sari, a potem spuściłam wzrok na moje dłonie w rękawiczkach. Zaswędziały mnie blizny pod lateksem. – Rozumiem.

Rozumiałam to bardziej, niż mogła przypuszczać.

Cassia spojrzała na mnie i jej twarz złagodniała.

– Tak?

To jedno słowo nieoczekiwanie mnie poruszyło i nagle mi się wyrwało:

– Straciłam matkę.

Nie mówiłam o tym od wielu lat. Nie powiedziałam nikomu na Ranganathanie. Żadnemu z moich profesorów na uniwersytecie. Nikomu, kto nie znał mnie z czasów mojego dzieciństwa.

– Och. – Cassia oparła się o ładę obok mnie. – Przykro mi.

Przez chwilę stałyśmy w milczeniu obok siebie, nie dotykając się, ale na tyle blisko, że czułam ciepło jej ramienia.

– Kto cię wychowywał? – spytała. – Ojciec?

Zawahałam się, kolejna fala wspomnień uderzyła we mnie jak powrotny prąd przyboju. Ciemność. Ładownia słupu. Błysk i wrażenie, że samo powietrze jest rozrywane na strzępy. Odepchnęłam te obrazy. Nie byłam pewna, czy jeśli się w nich pogrążę, zdołam z powrotem się wynurzyć.

– Nie – odparłam. – Nie on.

Analizator patogenów zakończył pracę i wydał szybki czterodźwiękowy sygnał. Otrząsnęłam się ze wspomnień. Teraz nie pora na nie.

– Gotowe – oznajmiłam.

Wprowadziłam wyniki do swojego notebooka, a Cassia zaglądała mi przez ramię.

– Jest zdrowy – powiedziałam, wiodąc palcem w dół listy rezultatów badań. – Kilka drobnych patogenów i przypadek *otodectes cynotis*, ale nic czego nie potrafilibyśmy wyleczyć.

– Oto-czego? – spytała Cassia i rzuciła zaniepokojone spojrzenie na bratanicę, która właśnie całowała kota w czubek głowy.

– Świerzbowca usznego – wyjaśniłam z lekceważącym machnięciem ręki.

Cassia się skrzywiła, a ja nie zdołałam się powstrzymać i parsknęłam śmiechem. Na jedną krótką chwilę przygniatający mnie ciężar zniknął. Milah popatrzyła na nas, zdziwiona.

– Przepraszam – rzuciłam i zgasiłam uśmiech.

„Zachowuj się neutralnie. Profesjonalnie”. Miałam jej pomóc, a nie wylewać na nią moje smutki czy narażać ją na wybuchy szaleńczego chichotu.

– Nie, w porządku. To...

Cassia urwała i wykrzywiła usta. Zamrugła i odwróciła wzrok, zdążyłam jednak zobaczyć łzy spływające jej po twarzy.

– Och, nie. – Wyciągnęłam ku niej rękę, ale natychmiast powstrzymałam ten gest. – Przepraszam, tak mi przykro. Nie zamierzałam...

– Nie, to nie twoja wina. – Ze złością otarła policzki. – Ja po prostu... zapomniałam przez chwilę o tym wszystkim.

Oczy miała już suche, ale twarz nadal zaczerwienioną.

Część mnie chciała otoczyć ją ramieniem, zaparzyć jej herbatę, pogłodzić ją po plecach tak, jak robiła Soraya, kiedy budziłam się z krzykiem w środku nocy. „Ale ona nie jest małym dzieckiem – przypominałam sobie. – Jest w moim wieku i prawie jej nie znam”.

– Przepraszam. – Pociągnęła nosem. – Płacz to głupota.

– Wcale nie – zaprzeczyłam. – Ja też byłabym wstrząśnięta po wszystkim, przez co przesłaś. Atak piratów, utrata brata...

– Nie straciłam go – przerwała mi głosem, w którym znów zabrzmiało nieco poprzedniej zapalczowości.

Zmarszczyłam brwi.

– Ale ci *Dakaici*...

– Nie boję się kilku porywaczy – rzuciła.

Było jasne, co miała na myśli: „W przeciwieństwie do waszej komandor”.

Te jej słowa uderzyły mnie zbyt mocno. Cofnąłam się.

– Nikt nie chciał tego, co się stało. – Skrzyżowałam ramiona na piersi. – Zrobiliśmy, co w naszej mocy.

Cassia prychnęła ironicznie.

Wszystko czułe we mnie stwardniało.

– Wiesz, że nie możemy zmienić trajektorii lotu. Sukces całego procesu formowania planety zależy od tego, czy dostarczymy w porę nasz ładunek. Komandor Dhar powiedziała ci to samo.

– Więc znajdę sposób, żeby sama to zrobić. Bez względu na to, co mówi wasza komandor. Uwolnię brata.

Potrząsnęłam głową.

– Zginiesz.

Zacisnęła zęby.

– Może. – Przeszyło mnie spojrzenie jej zaczerwienionych oczu. – A ty nie masz czegoś, za co oddałabyś życie?

Przez głowę przemknęły mi obrazy Avy, Sorai, mglisty widok twarzy mojej matki. Jej dłonie na szczeblach drabinki. „Wchodź, Miyole!”. Pękający wał przeciwpowodziowy i ściana wody, która zalewa kanały odpływowe i zatapia studnię mojej bezsilności.

– Oczywiście, że mam – odrzekłam cicho.

Nie wiedziałam, co to dokładnie jest, ale wyczuwałam kontury. Skoro moja matka poświęciła siebie dla drugiej osoby, być może ja też potrafię. Może odziedziczyłam po niej tę cechę. Może wpisała ją w moje DNA albo przekazała mi, gdy pochłaniała ją fala. Napotkałam spojrzenie Cassii i przepłynął między nami jakby elektryczny prąd.

– Oczywiście – powtórzyłam.

Oddaliłam się ukradkiem do kobiecej kwatery mieszkalnej i zamknęłam się w kabinie prysznicowej. Wszystkie moje współlokatorki były jeszcze na służbie i w pomieszczeniu panowała nieczęsta cisza, niczym w przydomowym ogródku otoczonym siatką tłumiącą dźwięki. Ilekroć zamykałam oczy, widziałam nogę tamtego wymykającego mi się *Dakaita* i kuter płonący na tle gwiazd. Wszystko to rozgrywało się wciąż na nowo w mojej głowie, w kompletnej, zimnej ciszy. Czy właśnie to słyszał brat Cassii? Nie kojący szmer wody i szum wentylatorów, lecz absolutny brak dźwięków? Przebiegł mnie dreszcz, pomimo obmywających mnie ciepłych strug. Stałam pod prysznicem, wpatrując się pustym wzrokiem w ścienne kafelki tak długo, że delikatny dzwonek ostrzegł mnie, iż zużyłam swój dzienny przydział wody.

Opuściłam kabinę i cichym krokiem poszłam do swojej kwatery mieszkalnej. Na koi leżał ekranem do góry mój notebook, sygnalizując mruganiem nową wiadomość:

ZMIANA HARMONOGRAMU: O 18.00 CZASU POKŁADOWEGO GUITEAU MA SIĘ STAWIĆ W JADALNI OFICERSKIEJ NA ŚRODKOWYM POZIOMIE.

„Jadalnia oficerska? Środkowy poziom?”. Szeroko otworzyłam oczy. Tam jada komandor Dhar. Dlaczego miałoby chcieć się spotkać akurat ze mną? Kolacja z komandor to zaszczyt, na jaki zasługuje ktoś, kto wydobył ocalałych z płonącego wraku statku, a nie osoba, która nie zdołała powstrzymać *Dakaita* i zajmuje się siedmiokilogramowym kocurem. To musiała być jakaś pomyłka. Lada moment dyżurni operatorzy uświadomią sobie błąd i usuną tę notkę z mojego rozkładu zajęć.

Rozczesałam włosy i spróbowałam je ułożyć we fryzurę inną niż pufiasty dzwon, który to kształt najchętniej przyjmują, kiedy tylko nie są splecione w warkocz. Nigdy nie potrafiłam zrozumieć, dlaczego Ava zawsze strzyże się na krótko, skoro mogłaby zapuścić długie fale. Spojrzałam na notebook. Wiadomość nie zniknęła. Westchnęłam i zaplotłam czuprynę w dwa ciasne francuskie warkocze łączące się u podstawy czaszki. Wyjęłam z szafki na ubrania mój ciemnogramatowy galowy mundur i rozłożyłam go na koi. Przez całą podróż ani razu nie miałam go na sobie. Nie musiałam, gdyż przez większość czasu chodziłam w kitlu laboratoryjnym albo w codziennym kombinezonie ciśnieniowym. Przesunęłam dłonią po mosiężnych guzikach. Nie ma sensu wkładać tego munduru, skoro zaraz musiałabym go z powrotem zdejmować.

Ponownie sprawdziłam wiadomość. Nadal widniała na ekranie. ZMIANA HARMONOGRAMU.

Wiedziałam, że powinnam odczuwać ekscytację. To była dla mnie szansa zabłyśnięcia przed wyższymi oficerami. Tak naprawdę jednak pragnęłam odszukać Cassię i Milah, zabrać je do mesy na biryani i okrę – potrawy poprawiające nastrój – a potem może pokazać im park. „Cassia”. Przypomniałam sobie naszą rozmowę w laboratorium i skrzywiłam się. Co mnie napadło, że powiedziałam jej o mojej matce? Tak bardzo się starałam zapomnieć o tamtym okresie, być mumbajską wersją siebie, a teraz nagle zwieram się komuś, kogo dopiero co poznałam. Nawet w domu jedyną osobą spoza rodziny, której o tym opowiedziałam, była Vishva. Ale Vishva była moją najlepszą przyjaciółką, nieomal krewną – przynajmniej dopóki przed kilkoma miesiącami nie opuściłam szkoły.

Wyjęłam z kieszeni mandarynę i sprawdziłam godzinę: 20.34, 7 kwietnia, sobota. Wciąż miałam ustawiony czas Mumbaiu. Było coś pokrzepiającego w tym, że mogłam spojrzeć na wyświetlacz i pomyśleć: „Och, w Revati jest teraz pora lunchu”, albo wyobrazić sobie, że Soraya wraca pociągami z popołudniowych zajęć na uniwersytecie. Od kilku miesięcy udawało mi się nie myśleć o Vishvie, ale coś w Cassii znowu mi ją przypomniało. „Gdzie ona teraz jest? – zastanawiałam się. – Co robi?”.

Sobotni wieczór. Vishva prawdopodobnie wybrała się do klubu i tańczy zapamiętałe, potrząsając długimi, czarnymi włosami. Albo może umówiła się z jakimś chłopcem i obcałowuje się z nim w łódce wiosłowej w cieniu Wielkiego Wału. W istocie nie wiedziałam, co robi. Przez pierwszych kilka lat byliśmy nierozłączne – na szkolnych wycieczkach zawsze trzymałyśmy się razem, po lekcjach wspólnie prowadziłyśmy kółko biomimetyczne. Przewodnicząca i wiceprzewodnicząca. Dwie najlepsze uczennice w klasie.

A potem, gdy miałyśmy piętnaście lat, postanowiłam opuścić Revati i podjąć naukę w college’u – i wszystko się zmieniło. Vishva się zmieniła.

Miesiąc przed początkiem moich zajęć na uniwersytecie spotkałam Vishwę i grupkę innych dziewczyn z naszej klasy na dworcu kolejowym w pobliżu mojego domu.

– Miyole! – wykrzyknęła Vishva. Uniosła ręce i podeszła do mnie chwiejnie na wysokich srebrzystych szpilkach. Czarne włosy miała upięte w zgrabny kok z boku głowy, a dekolt powłóczystej pomarańczowej bluzki opuściła tak, by odsłonić ramiona. Chwyciła mnie w objęcia. – Przyjechałaś!

– Oczywiście, że przyjechałam.

Spojrzałam w dół na swoje płaskie pantofle i zwykłą lawendową bluzę od dresu. Vishva dopiero w szpilkach dorównywała mi wzrostem. Tylko że ja wyglądałam na nienaturalnie wyrośniętą dziesięcioletnią dziewczynkę w towarzystwie grupy prawdziwych nastolatek.

– Dokąd pójdziemy? – spytałam.

– Ty decyduj – rzekła z uśmiechem Vishva. – To twoja impreza pożegnalna.

Szturchnęłam ją żartobliwie i przewróciłam oczami.

– Mówiłam ci, to nie jest pożegnanie. Zostanę w mieście, tylko będę uczęszczać na uniwersytet. Nadal będziemy się stale widywać.

Mogłam wyjechać dalej. Przyjęto mnie także do college’ów w Bengaluru, Oksfordzie, Zurychu, Kairze, Kalkucie i Dżajpurze, ale Soraya nie chciała, żebym wywędrowała tak daleko od domu, przynajmniej dopóki nie skończę osiemnastu lat. Tak więc wstąpiłam na uniwersytet w Mumbaiu.

– No, więc dokąd idziemy? – spytała Vishva.

– Może na wzgórze Malabar? – zaproponowałam.

Vishva się skrzywiła.

– Znowu? Serio? I co będziemy tam robić – wślizgniemy się ukradkiem do którejś z restauracji w nadziei, że uda się nam przelotnie dostrzec Liama Chowdhury’ego?

Wymówiła nazwisko aktora takim tonem, jakbyśmy obydwie przez ostatnie dwa lata nie miały obsesji na punkcie filmów z nim i nie gromadziły w mandarynach jego zdjęć.

Zmarszczyłam brwi.

– Co masz przeciwko Liamowi Chowdhury’emu?

– Nic. – Vishva opuściła ręce. – Tylko po prostu... *chaila*, Mi. Czy nie chcesz dla odmiany zrobić raz czegoś innego?

Poskrobałam się czubkiem pantofla w kostkę i zerknęłam na pozostałe dziewczyny. Moja druga po Vishvie najbliższa przyjaciółka Aziza wyjechała do Stambułu odwiedzić ojca, więc Vishva przyprowadziła stadko innych dziewczyn z klasy. Znałam je, ale nie utrzymywałam z nimi kontaktów, chyba że musiałyśmy zrealizować wspólnie jakiś szkolny projekt czy coś w tym rodzaju. Większość z nich spędzała czas, wisząc na mandarynach albo plotkując, jednak teraz Siobhan Nguyen i Chandra Avninder, dwie najbogatsze uczennice w naszej szkole, przysłuchiwały się nam.

Z zakłopotaniem przestąpiłam z nogi na nogę.

– Na przykład czego?

Oczy Vishvy zabłysły i uświadomiłam sobie, że przez cały czas czekała, abym zadała to pytanie. Zerknęła na Siobhan i Chandrę.

– Twoja siostra mieszka w Salt, prawda?

Przyjrzałam się jej. Co knuła? Przecież doskonale wiedziała, gdzie mieszkają Ava i Rushil. Milion razy była u nich w domu na podwieczorku.

– No i?

Vishva pośpiesznie mówiła dalej:

– Więc znasz tamtejszą okolicę, tak?

Siobhan i Chandra teraz już niewątpliwie słuchały. Nawet nie udawały, że przeglądają wiadomości w swoich mandarynach. A Vishva rzuciła mi spojrzenie mówiące, że wyjdzie z siebie, jeśli nie przystanę na jej plan.

Kiwnęłam głową.

– Tak, znam.

– Super. W Salt na wzgórzu otwarto niedawno ten klub, Pradeep, i Chandra mówi, że nie sprawdzają tam dowodów tożsamości dziewczyn, więc na pewno wejdziemy. – Vishva posłała przez ramię uśmiech naszym koleżankom z klasy i znów odwróciła się do mnie. – Co o tym myślisz?

Popatrzyłam na swój ubiór. Stanowczo bardziej nadawał się do lodziarni na wzgórzu Malabar niż do klubu. A Pradeep... Lubiłam dzielnicę Salt, ale nie przepadałam za tamtejszymi klubami. Załoczone, z głośną muzyką, błyskającymi światłami, ludźmi przekrzykującymi dudniące basy, powietrzem ciężkim od duszących oparów dymu, potu, rozlanych drinków, perfum i wody kolońskiej. Wiedziałam, że niektórzy w tym gustują – Vishva tak – ale na myśl o byciu uwięzioną w ciemnym pomieszczeniu, w którym nikt mnie nie usłyszy, natychmiast zrobiło mi się niedobrze.

– Czy nie mogłybyśmy zamiast tego pójść do kina? – wyszeptalam.

– Chodzimy do kina co tydzień. – Vishva oklapła jak marionetka, której przecięto sznurki. – No, daj spooookój, Miyole.

Westchnęłam. Siobhan i Chandra zajęły się swoimi mandarynami, ale niewątpliwie nadal słuchały. Może ta eskapada okaże się zabawniejsza, niż się zapowiadała. Może mi się spodoba. W końcu przecież lubiłam tańczyć, nawet jeśli nie miałam takiego poczucia rytmu jak Vishva, a do klubów chodzi się właśnie na tańce.

– Dobrze – powiedziałam. – Chodźmy.

Vishva pisnęła z radości.

– Wiedziałaś, że się zgodzisz! To będzie takie *jhakaas*! Spodoba ci się, Mi.

Pojechałyśmy wszystkie pociągiem do Salt, gadając przez całą drogę. Vishva poszperała w torebce, znalazła złocisty błyszczący pasek i pomalowała mi nim powieki, a Drishti, przyjaciółka Chandry, pożyczyła mi swój pasek, żebym nie wyglądała, jakbym wybierała się na recital skrzypcowy. Vishva próbowała mnie nakłonić, żebym rozplotła warkocze, ale dawałam jej po łapach, aż wreszcie zostawiła mnie w spokoju. Nie lubię, jak ktokolwiek oprócz Sorai dotyka moich włosów.

Wyładowałyśmy się z pociągu na stacji Sion i ruszyłyśmy na wzgórze. Vishva i pozostałe dziewczyny trzymały się razem; chichocząc, pokazywały palcami wszystko, co miałyśmy, i wrzeszczały, kiedy przypadkiem wdepnęły w błotną kałużę. Sprzedawca czaju obrzucił je gniewnym spojrzeniem znad swojego wózka, a jakiś dwudziestokilkuletni facet trącił łokciem swojego kumpla i popatrzył pożądliwie na Siobhan, gdy przystanąła, by sfotografować mechaniczną zamiatarkę ulic, której pokrywą ktoś pomalował tak, że przypominała skorupę żółwia.

Żołądek ścisnął mi skurcz niepokoju. Zazwyczaj przyjeżdżam do Salt w zwykłych butach i ubraniu. Staram się nie ściągać na siebie uwagi. Ale moje przyjaciółki wyraźnie wyglądały na turystki, uosabiały w każdym calu stereotyp rozpuszczonych dziewcząt z prywatnej szkoły, które zniżyły się do spędzenia weekendowego wieczoru w kiepskiej dzielnicy.

Zwolniłam nieco, zwiększając o kolejny metr dystans między mną a rozgadaną grupą.

– Miyole! – zawołała Vishva za siebie. – Pośpiesz się! Nie znamy terenu i nie wiemy, dokąd iść.

Upadłam na duchu. Nie one. My. Byłam jedną z nich.

Dotarłyśmy do klubu Pradeep, gdy słońce zaszło już za wał przeciwpowodziowy. Przez pomalowane na czerwono ściany budynku z pustaków przenikało dudnienie basów. Wzmógł się wiatr – spódniczka oblepiła moje nogi, podmuch obsypał nas piaskiem z ulicy.

– Faj – rzuciła Vishva. Odwróciła się plecami do wiatru i podeszła bliżej do mnie. – Będzie tak *jhakaas*, Miyole. Zobaczysz.

W drzwiach stał potężnie zbudowany, krótko ostrzyżony mężczyzna w obcisłym czarnym podkoszulku. Przyglądał się uważnie wszystkim przechodzącym, a od czasu do czasu jego twarz o kamiennych rysach ożywiała się, gdy mrugał do którejś z dziewczyn.

Vishva i pozostałe przyjaciółki zachichotały, kiedy gwizdnął na nie i machnięciem ręki zachęcił, żeby weszły. Ale gdy ja się zbliżyłam, powstrzymał mnie, unosząc dłoń.

– Zaczekaj chwilę. – Zmierzył mnie wzrokiem od stóp do głowy i nagle pożałowałam, że nie pozwoliłam, by Vishva zrobiła coś z moimi włosami. – Ile masz lat, dzieciaku?

Zerknęłam na Vishvę, która z otwartymi ustami stała już w drzwiach.

– Dziewiętnaście? – rzuciłam piskliwym głosem.

Bramkarz pokręcił głową.

– Nie wydaje mi się. Pokaż mi jakiś dowód tożsamości.

– Ona jest ze mną. – Vishva cofnęła się z powrotem do drzwi. – To moja przyjaciółka. Bramkarz popatrzył na Vishvę, na mnie, potem znów na nią i uniósł brew.

– Ty też masz dziewiętnaście lat?

Cofnęła się.

– Nie. Ee... osiemnaście. Mam osiemnaście.

Mężczyzna chrząknął.

– No cóż, ty możesz zostać albo wyjść, ale twoja przyjaciółka nie wejdzie bez dowodu tożsamości.

Popatrzyłam bezradnie na Vishwę. „Nie zostawiaj mnie tutaj samej”. Fałszywe dowody osobiste były drogie i dotąd nie potrzebowałam takiego. Vishva mówiła, że tutaj nie zażądają ode mnie dokumentów.

Spojrzała przez ramię na Siobhan i Chandrę stojące pod pulsującymi światłami na parkiecie, a potem znowu na mnie.

– Przepraszam, Mi – powiedziała i cofnęła się o następny krok.

Pierś przeszył mi krótki, ostry ból.

– Vishva...

– Znajdę cię później, dobrze? – Weszła w tłum. – Pójdziemy na wzgórze, jak chciałaś. Miej włączoną mandarynę – rzuciła jeszcze do mnie, przekrzykując głośną muzykę.

Łzy zapiekły mnie w oczy, ale nie zamierzałam płakać przy tym bramkarzu i ludziach stojących w kolejce do klubu. Rozpłakałam się dopiero później, gdy wracając samotnie pociągiem, zaczęłam się zastanawiać, czy nie wpuszczono mnie, bo rzeczywiście wyglądałam zbyt młodo, czy może miała z tym coś wspólnego moja ciemna cera i cudzoziemski wygląd. Ale w tamtej chwili patrzyłam tylko oślepiała, jak moja najlepsza przyjaciółka znika w ciemnym wnętrzu, w ścisku ciał, nawet nie obejrząwszy się na mnie.

Zadzwieczał kolejny dzwonek, ostrzegając mnie, że jeśli mam zdążyć na czas do jadalni oficerskiej, to pora się ubrać. Nie mogę wciąż rozpamiętywać jakiejś głupiej urazy z okresu liceum. Poza tym to tamta nieudana próba wejścia do klubu Pradeep nasunęła mi pomysł przerobienia moich dokumentów i dostania się na Ranganathana. Gdyby tamtej nocy Vishva nie porzuciła mnie dla swoich nowych przyjaciółek, może nadal objażałabym się po Mumbaju, czekając, aż moje życie dopiero się zacznie. I ktoś inny musiałby ratować przerażone kosmosem koty.

Wstałam i potrząsnęłam swoim uniformem, strzepując z rękawów niewidoczne kłaczki, a potem przytknęłam go do siebie przed wysokim lustrem na drzwiach.

– Będzie dobrze – powiedziałam.

Gdyby to była pomyłka, z pewnością do tej pory już by ją skorygowano.

W tym momencie drzwi się rozsunęły i do pokoju weszły wszystkie trzy moje współlokatorki.

– O rany! – wykrzyknęła Madlenka, zrzucając kitel laboratoryjny. – Ale strój, Miyole. Wybierasz się gdzieś dziś wieczorem?

Jyotsana i Lian uśmiechnęły się na widok trzymanego przeze mnie uniformu.

– Czy to jakiś chłopak? – spytała Jyotsana i oczy jej rozbłyły. – To chłopak, prawda? Czy to ten pilot eskadry obronnej, który stale za tobą chodzi?

Przez ułamek sekundy myślałam, że naprawdę można spłonąć od rumieńca.

– Rubio? – spytałam słabym głosem.

– Właśnie on – potwierdziła Jyotsana. – Ten z rozczochranymi włosami, tak?

– Nie – wydusiłam. – Zdecydowanie nie. Nie.

– Daj spokój, Jyotsana, nie każda ugania się za chłopcami – powiedziała Madlenka i rzuciła mi współczujące spojrzenie.

Jej przyjaciółka pracowała w dziale obsługi napędu okrętu i kiedy w pierwszym tygodniu lotu zagrałyśmy raz w „prawdę czy wyzwanie”, zmusiła mnie do wyznania, że na uniwersytecie durzyłam się beznadziejnie i bez wzajemności w dziewczynie z mojej grupy z biochemii. Miała na imię Karishma i włosy sięgające bioder. Była też sześć lat starsza ode mnie i potajemnie zaręczona z asystentem na uczelni, ale wówczas o tym nie wiedziałam.

– Nie – powtórzyłam bardziej stanowczo, niż zamierzałam. – Nie ma nikogo, jasne? Nie było już w moim życiu czasu na zadurzenia.

– W porządku. – Jyotsana uniosła ręce w geście kapitulacji, ale posłała Madlence spojrzenie mówiące, że ani trochę mi nie wierzy.

Wszystkie trzy miały po dwadzieścia parę lat i uważały, że dysponują jakimś rodzajem szóstego zmysłu, jeśli chodzi o moje życie uczuciowe.

– Więc dokąd się wybierasz? – spytała Lian.

Starannie złożyła swój laboratoryjny kitel i wrzuciła do zsypu na rzeczy do prania.

– Do... ee... jadalni oficerskiej na środkowym poziomie?

– Na środkowym poziomie? – powtórzyła Madlenka.

Westchnęła zaskoczona, a potem wszystkie trzy zaczęły wydawać podekscytowane okrzyki:

– *Aiyo*, naprawdę?

– Jakie to fascynujące!

– Jak zdobyłaś zaproszenie?

– To zamierzasz włożyć? – spytała Madlenka, wskazując ruchem głowy galowy uniform, który wciąż trzymałam w ręku.

– T-tak? – wyjąkałam.

Madlenka potrząsnęła głową.

– Musisz bardziej się wystroić.

Jyotsana ją poparła:

– *To środkowy poziom*, Miyole. Twoja szansa. Musisz sprawić, by cię zauważyli.

Poczułam nerwowy skurcz w żołądku.

– Ja... nie wiem, czy tego chcę.

Pragnęłam jedynie, żeby wszyscy zostawili mnie w spokoju i dali mi szansę rozgryźć, co jest nie w porządku z naszymi owadami zapylającymi. Chciałam zostać zauważona z powodu mojej pracy, nie ubioru.

– Oczywiście, że chcesz. – Zaaferowana Madlenka odgarnęła włosy do tyłu. – Będą tam pierwsi oficerowie, zastępcy dowódcy. Jeśli zrobisz na nich dobre wrażenie, dostaniesz każdy przydział, jaki zechcesz.

Miała rację. To była dla mnie szansa na własne laboratorium, na samodzielne prowadzenie eksperymentów. Koniec z zależnością od doktor Osmani. My wszyscy, którzy zatrudniliśmy się na Ranganathanie jako asystenci naukowcy, wiedzieliśmy, w jaki sposób to działa. W trakcie lotu do pogranicznych placówek liczyły się tylko przygotowania do wsparcia procesu formowania planet, ale w drodze powrotnej

niektórzy z nas dostaną szansę na przejęcie nieużywanych laboratoriów i prowadzenie własnych eksperymentów – a decyzje o tym podejmuje właśnie pierwszy oficerowie.

– Nie martw się. – Lian ujęła mnie za ramię. – Pomożemy ci.

Jyotsana już otworzyła moją szafkę i odsunęła na bok mundury, żeby przyjrzeć się ubraniom, które zabrałam z domu.

– Ooch! – wykrzyknęła i wyjęła sari ze złocisto-czerwonym wzorem oraz jaskrawoniebieskie *choli* i spódnicę, które zakłada się pod spód.

– Wykluczone – zaprotestowałam.

Bluzeczka *choli* odsłaniała moje ramiona i sięgała jedynie do dolnej linii żeber, pozostawiając goły niemal cały brzuch – doskonale pasowało to do parnego popołudnia w Mumbaju, ale nie do kolacji w mesie oficerskiej. Według instrukcji, jaką otrzymaliśmy przed lotem Ranganathanem, każdy mógł zabrać jeden cywilny wieczorowy strój, jednak gdy tylko weszłam na pokład i zobaczyłam, że wszyscy noszą koszule z długimi rękawami i zapiętymi pod szyję kołnierzykami, wepchnęłam moje sari na dno szafy.

– Ale to jest takie ładne. – Jyotsana podsunęła mi ubiór pod oczy. – Zresztą o wiele lepiej ci w jaskrawych kolorach.

Madlenka przytaknęła.

– I wielu pierwszych oficerów pochodzi z Indii, więc nie zaszkodzi pokazać im, że ty też jesteś stamtąd.

Skrzywiłam się.

– Sama nie wiem. Czy to nie byłby rodzaj... jak to się nazywa? Nepotyzmu? Faworyzowania?

Madlenka przewróciła oczami i wzruszyła ramionami.

– To się nazywa: „Właśnie tak funkcjonuje świat”.

Jyotsana się roześmiała.

– Miyole, traktujesz wszystko strasznie serio.

– Masz. – Lian wzięła sari i narzuciła na mój galowy mundur. – A może włożysz je w taki sposób, na wierzch uniformu?

– Chyba... chyba tak – odrzekłam.

W połączeniu z granatowym uniformem złocisty strój wydawał się trochę bardziej poważny i elegancki.

– Wspaniale! – Jyotsana klasnęła w dłonie. – Włóż je! Włóż je!

Przebrałam się w mundur, a potem Jyotsana pomogła mi udrapować na nim sari, podczas gdy Lian zajęła się wprawdzie moimi włosami. Gdy zamykałam oczy, miałam wrażenie, że jestem znowu na Gyre i matka delikatnie zaplata mi warkocze. To kolejny powód do żalu – zapomniałam, jak odtworzyć misterny styl, w którym fryzowała siebie i mnie przed wyprawami na niedzielne zakupy. Zarówno Soraya, jak i Ava próbowały uczesać mnie w sposób, jaki opisywałam, ale że ich włosy były tak odmienne od moich, nigdy nie wyszło to tak samo.

Wokół mnie rozległy się chichoty. Otworzyłam oczy. Madlenka skradała się do mnie ze szminką.

– Och, nie! – zaprotestowałam.

Odchyliłam się do tyłu, przez co wyciągnęłam zgrabną zakładkę, w jaką Jyotsana

właśnie ułożyła materiał przy mojej talii, i sprawiłam, że Lian szarpnęła mnie za włosy.

Madlenka westchnęła i wzniosła wzrok do sufitu.

– Czy możesz nam zaufać? Boże, jesteś taka sama jak moja piętnastoletnia kuzynka. Jakbyś nigdy jeszcze nie była na oficjalnej kolacji.

Zamknęłam się i pozwoliłam Madlence działać. To co robiła, przypominało mi dom o wiele bardziej, niż chciałabym komukolwiek wyznać.

Kiedy skończyły, popchnęły mnie do lustra na drzwiach. Zatrzymałam się gwałtownie, zdezorientowana. Dziewczyna spoglądająca z lustra w niczym mnie nie przypominała. Sari pokazało, że mam biodra, których nigdy nie było widać w codziennym mundurze, a złoty kolor tkaniny uwydatnił miodowo-brązową barwę moich oczu. Lian udało się nawet spleść mi włosy w elegancką spiralę na szczycie głowy – chyba prawdą jest to, co się mówi, że aby pracować w robotyce, trzeba mieć zręczne palce. Ale naprawdę zaparło mi dech na widok moich warg. Były takie czerwone... takie pełne. Przed oczami przemknęła mi twarz mojej matki, z aureolą włosów spływających w luźnych splotach, z ustami umalowanymi w kolorze piór szkarłatnego ptaka nektarnika; to mgliste wspomnienie stało się nagle idealnie wyraźne.

Oparłam się o ścianę. W mojej pamięci matka była zawsze doskonale piękna. Teraz jednak przypomniałam sobie szramę przecinającą lewą stronę jej ust, powodującą sztywność uśmiechu. Jednak ta blizna nigdy nie powstrzymywała mamy przed wybieraniem najjaskrawszych kolorów szminki. Taki miała styl. Byłam teraz bardzo podobna do niej.

– Miyole? – Lian dotknęła mojego ramienia. – Dobrze się czujesz?

Moja twarz w lustrze poszarzała. Wyglądałam, jakbym miała zwymiotować.

– Nic mi nie jest. – Odwróciłam się od lustra i odchrząknęłam. – Dzięki za to co zrobiliście. Naprawdę.

– Zawsze do usług. – Lian wymieniła zaniepokojone spojrzenia z Jyotsaną i Madlenką. – Na pewno dobrze się czujesz?

– Nigdy nie czułam się lepiej – odrzekłam.

Tym razem pamiętałam, żeby zmusić się do uśmiechu – takiego, jak te, które stosowałam, gdy Ava lub Soraya zaczynały przesadnie mi matkować i chciałam, żeby już przestały zajmować się moimi sprawami.

– Lepiej już idź – powiedziała Madlenka. – Chyba nie chcesz się spóźnić na kolację z pierwszymi oficerami.

Wymknęłam się na korytarz i wierzchem dłoni wytarłam z ust szminkę. Zazwyczaj przemieszczam się z pokładu na pokład schodami awaryjnymi – w ten sposób napotykam mniej ludzi – ale nie chciałam pojawić się w jadalni na środkowym poziomie, wyglądając, jakbym przyszła prosto z trzykilometrowej rundy na ruchomej bieżni, więc tym razem skierowałam się do wind.

Znalazłam sobie miejsce z tyłu kabiny, przy oknie z widokiem na mijane pokłady. Za mną wepchnął się tłum techników od konserwacji i remontów; kilku z nich przyglądało się mojemu ubiorowi. Drzwi windy zaczęły się zasuwac, lecz znieruchomiały, gdy z zewnątrz dobiegł okrzyk:

– Zaczekajcie! Przytrzymajcie drzwi.

W tłum na przedzie kabiny wcisnął się młody mężczyzna ze starannie rozczochranymi brązowymi włosami.

– Dzięki – rzucił.

Przycisnęłam się do okna i przykucnęłam. Rubio. Po prostu super. Nie po raz pierwszy przeklełam mojego pecha polegającego na tym, że byłam jedną z najwyższych dziewczyn na pokładzie Ranganathana. Może Rubio wysiadzie na którymś z najbliższych poziomów i nawet nie zauważy, że jedziemy tą samą windą. Zorientowałam się, że trę bliznę na lewej ręce i splotłam dłonie, żeby się przed tym powstrzymać.

Winda gładko ruszyła w dół. Pod nami rozciągał się park rekreacyjny, zielony i starannie utrzymany; tu i ówdzie członkowie załogi uprzętałości po niedawnym ataku. Kopulasty strop został uszkodzony, kiedy *Dakaici* wdarli się przez, teraz już zarośnięty, wyłom w kadłubie Ranganathana. Część żywopłotu tworzącego w parku zielony labirynt wypaliła się do poczerńiałych gałązek, jednak nadal mogłam rozpoznać jego wzór – centralna piasta i rozchodzące się z niej promieniście dwadzieścia cztery szprychy, zamknięte w kole: krąg życia. Ten symbol widniał na fladze mojej przybranej ojczyzny, lecz oznaczał też coś więcej: dharma, obowiązek – fundament życia na okręcie. Każdy z nas miał do odegrania rolę w zasiedleniu Głębokiej Próżni – pogrążonych w półmroku światów leżących na skraju zasięgu słońca – nawet jeśli ta rola wydawała się czasami absurdalna lub bezsensowna, jak na przykład ściganie kocura czy wkładanie sari na kolację z pierwszymi oficerami.

Winda zatrzymała się na poziomie zielonych trawników ogrodu rekreacyjnego. Wysypali się z niej technicy obsługi, ale Rubio tylko odstąpił na bok, żeby ich przepuścić.

„Niech mnie nie zauważy. Niech mnie nie zauważy”, błagałam w duchu. Ale nadaremnie. Gdy drzwi się zasunęły, Rubio rozejrzył się po kabinie i dostrzegł mnie.

Oczy mu rozbłysły.

– Cześć, memsahib!

Cholera.

Wyprostowałam się.

– Dzień dobry, Rubio – rzekłam lodowato oficjalnym tonem.

Przepchnął się na tył windy, gdy zjechała pod poziom rekreacyjny. Okna pociemniały.

– Ładnie wyglądasz. – Jego spojrzenie przesunęło się po sari, a potem zatrzymało na moich piersiach. „Uroczo”. – Dokąd się wybierasz tak wystrojona?

Zesztywniałam.

– Do sali jadalnej pierwszych oficerów.

– Niemożliwe! – wykrzyknął. Klepnął mnie w ramię w o wiele zbyt poufały sposób i uśmiechnął się szeroko. – Ja też.

– Ty? – spytałam z niedowierzaniem.

Dopiero teraz spostrzegłam, że on również ma na sobie ciemnogrnatowy galowy mundur.

Widocznie odczucia wyraźnie odmalowały mi się na twarzy, bo Rubio wybuchnął śmiechem.

– Tak, ja. Moja eskadra pomogła odpędzić tamtych *Dakaitów*. – Uniósł brew. – A czym ty zasłużyłaś sobie na zaproszenie?

– Niczym – mruknęłam i wpatrzyłam się obok niego w ciemne okno.

Niczym, jeśli nie liczyć wykąpania na wpół zdziczałego kota, co byłoby najbardziej żenującym powodem zaproszenia na oficjalną kolację oficerską, jaki można sobie wyobrazić. Nie mogło więc chodzić o to.

– Daj spokój, memsahib, mnie możesz powiedzieć – rzekł. – To musiało być coś nadzwyczajnego, skoro aż zaproszono cię tutaj, na dół.

Wskazał głową podłogę pod nami, pokład pierwszych oficerów leżący w samym sercu okrętu.

– Naprawdę, niczego nie dokonałam.

– Należysz do zespołu ratowniczego, prawda? – spytał. Szeroko otworzył oczy. – Czy ocalałaś kogoś z tamtego kutra? Może uratowałaś przed śmiercią konającego lub coś w tym rodzaju?

Niemal się roześmiałam, ale Rubio miał poważną minę.

– Raczej nie.

– Powiedz mi, Guiteau.

Teraz mówił już wręcz błagalnym tonem, co sprawiłoby mi ogromną satysfakcję, gdybym rzeczywiście ukrywała przed nim jakąś ciekawą informację.

Ale tak nie było. A tym razem Rubio nawet nie użył wobec mnie tego głupiego przezwiska.

– Naprawdę nie mam pojęcia, dlaczego mnie zaproszono. Utknęłam za jakimś wrakiem i dotarłam na miejsce niemal ostatnia. Wszystko co zrobiłam, to... no... – urwałam.

– Co? – spytał z uśmiechem i w jego oczach znów zamigotał szelmowski błysk.

„Pozwoliłam uciec jednemu z *Dakaitów*. Zawiodłam we wszystkim, co powinnam zrobić”.

– Doprowadziłam do końca parę spraw – powiedziałam.

– Hm – mruknął i obrzucił mnie nieukontentowanym spojrzeniem, ale nie dodał nic więcej.

Winda zjechała w otwartą przestrzeń ponad środkowym poziomem rekreacyjnym i przez okna kabiny wpadło sztuczne światło słońca spływające spod krokwi stropu. Park był upiornie opustoszały. Zazwyczaj na tutejszym boisku grano w krykieta, a pary wylegiwały się w wolnym czasie na trawie. Widocznie wszyscy wypełniali dodatkowe zadania lub byli zbyt wstrząśnięci, by opuścić kabiny mieszkalne. Poczulałam ukłucie wyrzutów sumienia. Powinnam być z nimi, a nie wybierać się na oficjalną kolację, odświeżona i wystrojona.

Winda zwolniła, zatrzymała się i rozległo się ciche brzęknięcie.

– Tutaj wysiadamy – rzekł Rubio i sprawdził swoją fryzurę, przeglądając się w metalowych drzwiach. – Jesteś gotowa, memsahib?

Westchnęłam. Rubio nie potrafił na długo zapanować nad swoją prawdziwą naturą. Najwidoczniej nawet na kilka minut. W chwili, gdy drzwi się rozsunęły, wybiegłam z kabiny i poszłam szybkim krokiem po ruchomym chodniku, usiłując uciec nie tyle od Rubia, co od własnych myśli.

Dotarłam do kwatery oficerskiej pierwsza; Rubio przytruchtał za mną. Drzwi otworzyły się błyskawicznie. Za nimi znajdował się przestronny salon z sofami z białej sztucznej skóry i fałszywymi oknami, przez które wpływało ultrafioletowe światło, idealnie imitujące późne popołudnie na subkontynencie indyjskim. Na suficie wyświetlano obraz wiszącego ogrodu z hibiskusami kołysanymi łagodnym wietrzykiem. Na drugim końcu salonu otwarte staroświeckie drzwi na zawiasach prowadziły do sali jadalnej.

– Nazwisko?

Drgnęłam. Tuż przy drzwiach siedziała urzędniczka za zabytkowym drewnianym biurkiem o nogach w kształcie zwierzęcych łap. Wstała i wyszła zza biurka, trzymając w ręku tablet.

– Ee... – wyjąkałam.

Słyszałam, że pierwsi oficerowie lubują się w przepychu i ceremonialności, jednak to przekroczyło moje wyobrażenia. System bezpieczeństwa okrętu z powodzeniem spełniłby tę samą rolę, co ta urzędniczka, a ona w tym czasie mogłaby wykonywać jakąś pożyteczniejszą pracę.

Kobieta uśmiechnęła się i wyczekująco puknęła rysikiem w ekran tabletu.

– Specjalistka naukowa Miyole Guiteau? – wydusiłam z zakłopotaniem.

Uch! „Przecież nie chciałam powiedzieć tego pytającym tonem”.

– Jesteś na liście zaproszonych, panienko. Życzę ci miłego wieczoru. – Urzędniczka dała mi ręką znak, żebym weszła dalej, i odwróciła się do Rubia. – A ty? Nazwisko?

Z jadalni dobiegł wybuch śmiechu. Przystanąłam niepewnie w salonie i patrzyłam. Większość sali zajmował długi stół zastawiony porcelaną i kryształami na lnianych serwetkach. Na tyłach pomieszczenia grupa oficerów skupiła się wokół baru, sącząc ze szklaneczek jakiś wiśniowoczerwony trunek. Spozstrzegłam doktor Osmani, w sukni z białego surowego płótna okrywającej ją szczelnie od szyi do stóp. Stojący obok oficer powiedział coś, a ona uśmiechnęła się, raczej ustami niż oczami.

Przynajmniej nie byłam tutaj jedyną osobą przesadnie wystrojoną.

Zauważył mnie jeden z oficerów, przystojny starszy mężczyzna z gładką brązową twarzą i siwymi włosami zaczesanymi misternie do góry we fryzurę pompadour.

– Ach, zjawili się nasi goście. – Gestem ręki przywołał mnie bliżej. – Wchodź, wchodź. Czy mogę zaproponować ci drinka? Czego się napijesz? Wina? Sherry?

– Ee... – wyjąkałam.

Soraya nigdy nie piła alkoholu, chociaż miała w domu wino i piwo dla gości zapraszanych na kolację. Zazwyczaj naśladowałam jej abstynencję – nie z pobudek religijnych, jak w jej przypadku, ale ponieważ w tych niewielu przypadkach, kiedy spróbowałam alkoholu, przymulił mnie i otepił. Nie podobało mi się też to, jak odgradzał moje zmysły od świata.

– Ja nie... – zaczęłam.

– Oboje uwielbiamy sherry – wtrącił Rubio, podchodząc do mnie. – Dziękujemy, sir.

– Tak trzymać, chłopcze – rzekł starszy mężczyzna i mrugnął do niego, po czym się odwrócił.

– Co ty wyprawiasz? – syknęłam. – Nie chcę alkoholu.

– Nie odmawia się szefowi działu telemetrii – powiedział Rubio, nie odrywając

wzroku od mężczyzny, który właśnie nalewał dla nas czerwony trunek do dwóch szklaneczek.

– Ale ja...

– Nie musisz tego pić. Wystarczy, że pozwolisz, by ten oficer przyrządził dla ciebie drinka. – Rubio przewrócił oczami. – Szczerze, memsahib, sądziłem, że osoba taka jak ty, należąca do wyższej sfery, orientuje się w tych sprawach.

– Stale ci powtarzam, że nie jestem... – zaczęłam, lecz w tym momencie oficer kierujący działem telemetrii wrócił z naszymi drinkami.

– Dziękuję panu. – Rubio uśmiechnął się, uniósł szklaneczkę do ust i wypił łyk.

– Dziękuję – wymamrotałam za nim.

– Jakie urocze sari – rzekł z uśmiechem oficer, wręczając mi drinka. – Panno...?

– Guiteau – powiedziałam. – Specjalistka naukowa.

– Guiteau – powtórzył i uśmiechnął się jeszcze szerzej. Wskazał na moje sari. – Moi koledzy i ja czujemy się zaszczytzeni tym, że znasz naszą ojczyznę. Musiałaś zadać sobie wiele trudu, żeby zdobyć taki piękny strój.

Jego słowa zaskoczyły mnie i dotknęły. Spojrzałam na niego, starając się zachować obojętny wyraz twarzy. „Starsi oficerowie decydują o przydziale laboratoriów”, przypomniałam sobie. Spodziewałabym się tego rodzaju uwagi po Rubiu, ale nie po starszym oficerze, zwłaszcza pochodzącym z mojego kraju. Powinien widzieć, że jestem jego krajanką, a nie cudzoziemką usiłującą wkraść się w łaski.

Z zakłopotaniem przestąpiłam z nogi na nogę.

– Właściwie nie – odpowiedziałam. Nabyłam to sari w dużym, widnym sklepie w południowym Mumbaju, naprzeciwko sklepu, w którym Soraya kupowała dla mnie szkolne mundurki, odległym od naszego domu o zaledwie dwadzieścia minut jazdy koleją magnetyczną. – To wcale nie było trudne.

– Guiteau też pochodzi z Indii – pośpieszył z wyjaśnieniem Rubio. – Z Madrasu, prawda?

Skrzywiłam się za moją szklaneczką sherry.

– Z Mumbaju – sprostowałam.

– Ach, tak? – Oficer zamrugnął i przyjrzał mi się uważniej. – Nigdy bym się nie domyślił.

Uniosłam brwi i wyrwało mi się, zanim zdołałam się powstrzymać:

– Co to miało znaczyć?

Zapadła krępująca cisza. „Jesteś głupia, Guiteau”, zrugłam się w duchu. Powinnam po prostu przyjąć drinka i trzymać buzię na kłódkę, a nie zadzierać z jednym z oficerów. Mocniej ścisnęłam w dłoni śliską szklaneczkę.

– Nic – odrzekł szef działu telemetrii i posłał mi cierpki uśmiech. – Absolutnie nic. Jeśli pozwolicie... – Skłonił się lekko i wrócił do swoich towarzyszy.

– Wspaniale – mruknął Rubio.

– Nie prosiłam cię o pomoc – odwarknęłam.

Nie wiedziałam, dlaczego wszystko co mówię, brzmi gniewnie, chociaż czułam się jedynie zraniona; wszystkie te setki drobnych urazów sumowały się w głęboką ranę.

– Boże uchowaj, żeby ktokolwiek próbował pomóc wielkiej memsahib Guiteau – rzekł Rubio.

Zakołysał reszką sherry na dnie swojej szklaneczki i opróżnił ją jednym haustem.

– Mówiłam ci – wycedziłam przez zęby – przestań mnie nazywać...

Śmiech oficerów za nami nagle ucichł i w pomieszczeniu zaległa cisza. Powietrze wypełniła jakaś gryząca woń. Rubio z otwartymi ustami wpatrzył się w coś za mną. Odwróciłam się. W progu stała Cassia, śmierdząca dymem, w tym samym pobrudzonym sadzą ubraniu, w którym wyniosła Milah z płonącego statku. Wcześniej, pośród całego tego zamieszania, nie zwracałam wielkiej uwagi na jej strój. Miała na sobie ciemnoszarą pikowaną kurtkę, kilt z plisami ostrymi jak brzytwy, czarne spodnie i ciężkie buty. Potargane włosy dziewczyny sterczały na wszystkie strony, piegi niemal zniknęły pod groźnym czerwonym rumieńcem sięgającym aż do szyi, a jej spojrzenie mówiło, że gdyby mogła, spaliłaby na popiół ten pokój, cały okręt i wszystkich w nim.

Obok Cassii stał chudy młody mężczyzna o takich jak ona miodowych włosach – ten, który pierwszy wyszedł z ich płonącego statku – ubrany w czysty niebieski strój z oddziału medycznego.

– Witam, panie Kaldero. – Z grupki oficerów przy barze wystąpiła komandor Dhar. Uśmiechnęła się życzliwie. – I panią, panno Kaldero. Bardzo się cieszymy, że przyjęliście nasze zaproszenie.

– Dziękuję – powiedział mężczyzna i uściśnął podaną przez nią rękę. – Proszę mi mówić Ezar.

– Kapitanie – poprawiła Cassia, rzucając ostre spojrzenie. – Kapitanie Kaldero. Nie Ezarze.

– Pełnię tę funkcję tylko tymczasowo – uściślił Ezar z przeproszającym uśmiechem. – Dopóki nasz ojciec nie powróci do zdrowia.

– Oczywiście, rozumiem – odrzekła bez wahania nasza komandor.

Wszyscy pozostali oficerowie wymienili współczujące spojrzenia. „Kapitan czego?”.

– Może usiądziecie? – zaproponowała komandor Dhar, wskazując stół. – Teraz kiedy jesteśmy już wszyscy, możemy zacząć jeść.

Cassia opadła na najbliższe krzesło i wbiła ponure spojrzenie w blat stołu, podczas gdy reszta z nas zajmowała swoje miejsca. Oficer po lewej stronie dziewczyny nieznacznie odsunął od niej swoje krzesło. Nawet po mojej stronie stołu czuć było roztaczany przez Cassię odór, jednak najwyraźniej zamierzaliśmy wszyscy postąpić za przykładem komandor i nie zwracać na to uwagi. Cassia obrzuciła spojrzeniem kolejno wszystkich zebranych, jakby prowokując nas, żebyśmy skomentowali stan jej ubrania. Kiedy jej wzrok padł na mnie, na moment lekko uniosła brwi – i wyglądała raczej na urażoną niż gniewną.

Przełknęłam gulę w gardle. Jak ta scena musiała wyglądać w oczach Cassii: my wszyscy roześmiani i popijający drinki, podczas gdy *Dakaici* zabierają jej brata coraz dalej w Głęboką Próżnię. Popatrzyła posępnie na porcelanowy talerz przed nią. Poczulałam w żołądku nerwowy skurcz. Oto ja z nieszczęśliwą miną użalam się nad sobą z powodu tego, że szef telemetrii wziął mnie mylnie za cudzoziemkę, podczas gdy ona przeżywa prawdziwy dramat, gdyż straciła kogoś bliskiego.

„Spójrz na mnie – pomyślałam. – Proszę, spójrz na mnie”. Gdyby tylko popatrzyła w moją stronę, przynajmniej zobaczyłaby w moich oczach prośbę o wybaczenie. „Nie jestem częścią tego wszystkiego. Nie prosiłam się, żeby tu być”. Ale Cassia nie spojrzała.

Oficerscy stewardzi podawali kolejne potrawy. Chrupiące chlebki paratha nadziewane przyprawionymi ostro ziemniakami. Pakory z ciecierzycą, słodki miętowy jogurt raita, zielone czatnie, czatnie z mango i talerze ryżu posypanego szafranem. Plastry smażonego, panierowanego sera dla wegetarian i pikantne curry z jagnięciną dla pozostałych. Na deser kandyzowane owoce tamaryndowca i lody kulfi z kardamonem, słodkie i zimne. Reszta naszej załogi jadła dziś wieczorem zwykłe curry z ciecierzycy albo potrawkę z soczewicy z chlebkiem naan, ale w głębi duszy żałowałam, że nie jestem teraz z nimi, zamiast być tutaj. Ledwie potrafiłam się zmusić,

by unosić widelec do ust.

Nachyliłam się do Rubia siedzącego obok mnie.

– Czy oni jadają tak codziennie?

Wzruszył ramionami.

– Co cię to obchodzi? Po prostu korzystaj, póki możesz. – Nadział na widelec kawałek delikatnej jagnięciny i włożył do ust. – Och. Niebiańsko pyszne.

– Specjalistko Guiteau. – Komandor Dhar odsunęła swój niemal już pusty talerz i pochyliła się do przodu, najwyraźniej zamierzając nadal podtrzymywać iluzję, że ta sytuacja jest całkiem zwyczajna. – Słyszałam, że poświęciłaś dziś swój czas, by uprzejmie pomóc naszym gościom.

Zerknęłam przez stół na Cassię. Nasze spojrzenia spotkały się na krótką chwilę.

– Nie zrobiłam wiele, pani komandor. – Opuściłam widelec, nagle zaniepokojona. Czy rzeczywiście po wszystkim, co się dziś wydarzyło, właśnie dlatego mnie tu zaproszono? Z powodu nędznego kota? – Jestem pewna, że zasługi pana Rubio są o wiele większe.

– Ależ skąd. – Rubio pochylił się, oparty na łokciach, i obdarzył komandor jednym ze swych czarujących uśmiechów. – Nam, pilotom, przypada większa porcja chwały, niż zasługujemy.

Komandor Dhar uśmiechnęła się z zadowoleniem.

– Specjalistka Guiteau odegrała kluczową rolę w schwytaniu jednego z najbardziej krnąbrnych członków załogi kapitana Kaldero – powiedziała z nutą rozbawienia w głosie.

Starsi oficerowie się roześmiali. Podniosłam na nich wzrok, zażenowana. Mniejsza o to, co Rubio pomyśli sobie o moich umiejętnościach ścigania kotów. Rzecz w tym, że wątpiałam, by Cassia i jej rodzina uznali cokolwiek z tej przykrew sceny za zabawne. Co też strzeliło komandor do głowy, że powiedziała coś takiego? Zapragnęłam, żeby w tym momencie doszło do niewielkiego przebiccia kadłuba okrętu albo nastąpiła awaria systemu wentylacyjnego. Jakiś niewielki problem, ale wystarczający, by wszyscy musieli pognać na swoje stanowiska.

– Naprawdę? – Rubio odwrócił się do mnie, unosząc brew. – Kogo?

– Tibbeta – wymamrotałam, zapadając się głębiej w krzesło.

– Kogo? – ponowił pytanie, marszcząc brwi.

– Tibbeta. – Odchrząknęłam. – Okrętowego... ee... kota.

– Kota? – powtórzył z miną, jakby ktoś wręczył mu milion rupii i medal za zwycięstwo w międzyplanetarnym konkursie na zdobycie najdziwaczniejszej wiadomości.

Twarz oblał mi rumieniec gorący jak płyty chodnikowe w Mumbaju. Gdyby nie to, że Rubio i komandor Dhar spoglądali na mnie, wpełzabym pod stół, by skonać tam ze wstydu.

– Więc opowiedz nam o tym, specjalistko – powiedziała z uśmiechem komandor. – Jestem pewna, że po dzisiejszych dramatycznych wydarzeniach wszystkim nam dobrze zrobi trochę beztroskiej rozrywki.

– Ja... no...

Rzuciłam żalosne spojrzenie na Cassię, mówiące: „To nie był mój pomysł”. Za mną

doktor Osmani zachichotała, gdy szef telemetrii szepnął jej coś do ucha.

Cassia z trzaskiem odłożyła widelec na stół i odsunęła swoje krzesło.

– Komandor Dhar, nie przyszliśmy tutaj dla rozrywki. Przyszliśmy zorientować się, co możemy zrobić w sprawie mojego brata. – Wsparła się dłońmi o blat stołu i pochyliła do przodu. – Pomoże nam pani, czy zamierza spić się do nieprzytomności, jak wszyscy inni tutaj?

Zgromadzeni umilkli, zszokowani. Doktor Osmani przycisnęła serwetkę do ust i uniosła brew. Znałam tę jej minę. „Jakież to prostackie” – myślała. Moje zakłopotanie zmieniło się w rozpaloną do białości furję. Nagle przestało mnie już obchodzić, co ta kobieta sobie pomyśli, i nieważne, czy jest światowej sławy specjalistką w dziedzinie bioinżynierii, czy nie. Dlaczego w ogóle kiedykolwiek zależało mi na tym, żeby ją zadowolić?

Kapitan Ezar odchrząknął i przerwał ciszę:

– Moja siostra ma na myśli to, że chociaż doceniamy waszą gościnność, pani komandor, mamy problemy, których nie rozwiąże posiłek.

– Tak, oczywiście. – Komandor Dhar spoważniała. – Proszę was o wybaczenie. Za kilka dni zbliżymy się do stacji na planetoidzie Ceres. Możemy użyczyć wam promu, który was tam zawiezie, i pomóc w zarezerwowaniu miejsc na statku, którym wrócicie do waszego domu.

Cassia wybałuszyła oczy, jakby udławiła się kością kurczaka. Wzdrygnęłam się. Niewiele wiedziałam o Wędrowcach, ale jednego byłam pewna – że krążą pomiędzy planetami i stacjami, podejmując się tu i ówdzie drobnych prac. Ktoś powinien był poinformować o tym komandor.

Ezar pokręcił głową.

– Dziękujemy, ale naszym domem był nasz statek.

– Wobec tego zapraszamy, żebyście zostali u nas i spróbowali go wyremontować – powiedziała komandor bez mrugnięcia okiem. – Otrzymacie wszelką pomoc, jaką będziemy w stanie wam zapewnić. Techników, inżynierów, sprzęt...

– Ale co z naszym bratem? – wtrąciła znowu Cassia.

Twarz komandor złagodniała.

– Naprawdę bardzo wam współczujemy z powodu waszej straty. Oczywiście możemy odprawić symboliczną ceremonię pogrzebową, kiedy wasz ojciec wyzdrowieje, albo wcześniej, jeżeli wolicie. Jeśli moglibyśmy zrobić coś jeszcze...

– Nie straciliśmy go. – Cassia uchwyciła się brzegu stołu. – Został porwany. I rzeczywiście jest coś, co moglibyście zrobić.

Komandor Dhar zeszywniała.

– Panno Kaldero, zmiana kursu tego okrętu nie jest taką prostą sprawą, jak zdajesz się sądzić – powiedziała, tracąc swoje dyplomatyczne opanowanie.

– Nie proszę o to – odparła Cassia. – Ale macie myśliwce. Czy nie moglibyście użyć ich do wytropienia tych *Dakaitów* i odbicia mojego brata?

Siedzący po przeciwnej stronie stołu starszy oficer odpowiedzialny za bezpieczeństwo, odchrząknął i odezwał się:

– Odradzałbym to, pani komandor. Bez pełnego zestawu myśliwców okręt byłby niemal bezbronny w przypadku ataku. By ratować jednego chłopca, narazilibyśmy

życie dwunastu tysięcy ludzi.

Rubio przytaknął skinieniem głowy.

Cassia spiorunowała ich wzrokiem.

– To nie jakiś chłopiec, lecz mój brat. Ojciec Milah. – Przy tym ostatnim słowie głos się jej załamał.

– Cassio – powiedział Ezar cichym, ostrzegawczym tonem i ujął ją za przegub.

– Nie. – Wyrwała mu się. – Nie będę czekała bezczynnie, pozwalając, by tamci go uprowadzili. Nie jestem tchórzem, jak niektórzy tutaj. Znajdę jakiś sposób.

Omiotła nas wszystkich wzrokiem, zatrzymując go na pół sekundy na mnie, po czym odwróciła się gwałtownie i wybiegła z sali.

Przez chwilę wszyscy milczeli, zszokowani.

Wreszcie Ezar odchrząknął i rzucił komandor Dhar przepraszające spojrzenie.

– Proszę nam wybaczyć, pani komandor. Moja siostra jest bardzo młoda. Nethanel był nie tylko jej bratem, lecz także najlepszym przyjacielem. Całe to wydarzenie... – urwał, szukając odpowiedniego słowa – wstrząsnęło nią.

– Proszę nie przepraszać, kapitanie – powiedziała komandor Dhar, zbywając jego zakłopotanie machnięciem ręki.

I wtedy wszyscy w jadalni odetchnęli. Doktor Osmani upiła łyżeczek sherry ze swojej szklanki, a w sali znów rozbrzmiał szmer rozmów.

– Wszyscy byliśmy kiedyś młodzi jak ona – mówiła dalej komandor. – Jeśli pan chce, mogę polecić jednemu z naszych psychologów, żeby do niej zajrzał.

Kapitan Ezar pobladł i miał minę, jakby komandor zaoferowała mu zgniłą rybę.

– Dziękuję, to nie będzie potrzebne.

Przeniosłam wzrok z niego na komandor, potem na drzwi. Najwyraźniej nikt inny nie zamierzał tego powiedzieć.

– A gdyby tak... – zaczęłam cichym głosem i urwałam.

Wszyscy zwrócili głowy ku mnie. „*Chaila*”.

Odchrząknęłam. Nie chciałam być tą, która to powie, ale nie mogłam milczeć, zwłaszcza że byłam współodpowiedzialna za ucieczkę *Dakaitów*.

– A gdybyśmy dali jej jeden z naszych promów? – zaproponowałam. – Skoro możemy użyć go na czas potrzebny do odstawienia jej na stację Ceres, to czy nie mogłaby wziąć go na dłużej i wyruszyć sama na poszukiwanie brata?

Rubio przecząco pokręcił głową.

– Te promy nie są przystosowane do dalekich rejsów.

– Ale dałoby się je przystosować – nalegałam. W miarę jak mówiłam, pomysł coraz bardziej krystalizował się w mojej głowie. – Moglibyśmy zmodyfikować jeden...

– Nawet gdybyśmy to zrobili – przerwała mi komandor Dhar – i ona by ich odnalazła, to co wtedy? Skazalibyśmy ją na pewną śmierć, albo co najmniej niewolę, gdyby *Dakaici* nie zabili jej na miejscu. Ta dziewczyna znajduje się teraz pod naszą opieką i jesteśmy zobowiązani zapewnić jej bezpieczeństwo.

– Więc mogłaby odnaleźć ich i zawiadomić...

– Kogo? – prychnął Rubio. – Nie jesteśmy policją. Nie możemy pilnować porządku w całym Układzie Słonecznym.

– Ktoś powinien. – Pochyliłam się do przodu i zacisnęłam pięści, wbijając paznokcie

w dłonie pokryte szramami. – A właśnie my wiemy, co się stało. Nie możemy stać biernie z boku, pozwalając na bezprawie.

Doktor Osmani odchrząknęła i zmierzyła mnie zimnym, nieprzyjaznym wzrokiem.

– Specjalistko Guiteau, przypominam ci, że jesteśmy na statku badawczym, a nie na okręcie wojennym.

– Ale mimo to możemy ich powstrzymać. – Odwróciłam się do komandor Dhar. Serce waliło mi w piersi. Musiałam to wszystko jakoś naprawić. – Proszę. Tylko jeden prom. Przecież i tak zamierzaliśmy go im odstąpić.

Przez chwilę komandor wahała się i już myślałam, że być może się zgodzi. Ale potem spuściła wzrok i przecząco potrząsnęła głową.

– Nie pozwolimy, żeby panna Kaldero zginęła z powodu kogoś, kto prawdopodobnie już nie żyje.

Przez ułamek sekundy byłam w tej oficerskiej jadalni, a jednocześnie trzymałam się kurczowo żelaznej poręczy na kładce domu wdowy pośród pierwszego i jedyne go tajfunu, jaki kiedykolwiek nawiedził Gyre. Deszcz zacinął mi w twarz, dłonie płonęły bólem. Moje uszy wypełniał wysoki, jękliwy dźwięk. Usiłowałam odepchnąć to wspomnienie, ale pulsowało we mnie, promieniowało z moich kości. A co, gdyby tamtego dnia moja matka i Ava nie przyleciały po mnie? Gdyby uznały, że już zginęłam podczas sztormu? Gdyby przeprowadziły taką samą kalkulację i zdecydowały, że dwie osoby nie powinny narażać życia, by uratować życie jednej?

– Ale to jej wybór – powiedziałam. Łzy ścisnęły mi gardło. Zawsze płaczę, kiedy jestem rozgniewana, teraz jednak nie zamierzałam tego robić. – Ona wie, czego żąda. To jej życie.

– Myśli, że wie. – Komandor Dhar posłała mi smutne, spokojne spojrzenie i zorientowałam się natychmiast, że mówi nie tylko o Cassii. – Ale to jeszcze młoda dziewczyna. Nie pojmuję, że to nie jest takie proste, że jeżeli wyruszy w pościg za nimi i zginie, nie tylko ona jedna ucierpi. Kiedy dorośnie i sama zacznie dowodzić ludźmi, których życie będzie zależało od niej, wówczas zrozumie. Musimy zrobić to, co jest najlepsze dla największej liczby ludzi.

Miałam wrażenie, jakby nastrojono te słowa dokładnie na częstotliwość moich wspomnień. Dłonie mi płonęły. Brakowało mi powietrza.

– Ale...

– Myślę, specjalistko, że komandor poświęciła wystarczająco dużo czasu twojej prośbie – rzekła doktor Osmani.

Wycie w mojej głowie stało się jeszcze bardziej przenikliwe, a potem przycichło. W uszach dudnił mi puls.

– Oczywiście. – Wstałam i odsunęłam krzesło, starając się, żeby moje wewnętrzne rozdygotanie nie rozprzestrzeniło się na ręce i nogi. Wychodząc, zatrzymałam się przed komandor Dhar. – Dziękuję za tę lekcję moralnego relatywizmu – powiedziałam; głos zadrżał mi dopiero przy ostatnim słowie.

W sali zapadła martwa cisza.

– Memsahib... – wymamrotał pod nosem Rubio.

Zignorowałam go. Zignorowałam ich wszystkich. Część mnie wiedziała, że popełniłam okropny błąd, obrażając samą komandor okrętu, ale w gruncie rzeczy

miałam to gdzieś. Z dłońmi i kośćmi płonącymi bólem dotarłam do drzwi i wypadłam z sali jak burza, mijając osłupiałych oficerów i urzędniczkę.

Przez całe życie marzyłam o pracy na statku badawczym Głębinowych Sondowań. Jako mała dziewczynka siadywałam na dachu naszego domu na Gyre i obserwowałam odległe światła statków kosmicznych i satelitów krążących w górze, podczas gdy przy moich nogach gdakały kury. Nigdy nie utraciłam tego strzępu wspomnienia, może dlatego, że było bezpieczne, albo może dlatego, że stanowiło nieodłączną część mnie. Później, w trakcie mojego pierwszego roku nauki w Akademii Revati, instruktorzy zorganizowali dla nas wycieczkę na statek badawczy dokujący na orbicie, jeden z mniejszych, starszych braci Ranganathana. Szliśmy parami przez nieskazitelnie czyste korytarze; Vishva i ja trzymałyśmy się za ręce i gapiłyśmy się szeroko otwartymi oczami na naukowców i techników ubranych w eleganckie białe jednoczęściowe kombinezony i pantofle na miękkich podszewkach. Nie potrafiłabym ująć w słowa tego, co wtedy czułam. Każda osoba na pokładzie emanowała aurą spokojnej, rozważnej pracowitości, jakby wszyscy oni byli świadomi tego, że ich drobne zadania łączą się harmonijnie ze sobą i są niezbędne dla doskonałego funkcjonowania statku.

Wcześniej nigdy nie widziałam ludzi pracujących w taki sposób – nie w żyjącym w szalonym rytmie Mumbaju, gdzie wszyscy przepychają się, rywalizują o klientów, czas, zyski, ani nie na Gyre, gdzie każdy spokojny, monotony dzień upływający na zbieraniu śmieci na oceanicznej równinie odpadów był podobny do następnego. Wiedziałam wtedy tylko tyle – dziewczynka z szeroko otwartymi oczami, zwiedzająca pierwszy statek Głębinowych Sondowań, jaki widziała w życiu – że właśnie to chce robić. Zobaczyłam istoty ludzkie najbardziej zbliżone do doskonałości.

Wszystko to runęło w gruzy, gdy sztywnym krokiem opuszczałam rejon jadalni oficerskiej. Drzwi windy się zamknęły – na szczęście tym razem była pusta – i ciasne wnętrze wypełnił odgłos mojego oddechu, głośnego i ciężkiego, jak po biegu. Ukryłam twarz w dłoniach i osunęłam się na podłogę w kącie kabiny. Czy wtedy przed laty tylko wyobraziłam sobie harmonię panującą na tamtym statku? Czy byłam zbyt młoda, by dostrzec prawdę pod złudną powierzchnią? A może od tamtego czasu atmosfera na statkach badawczych się zmieniła? Sądziłam, że będę tutaj szczęśliwa, że znajdę się wśród ludzi podobnych do mnie. Ale nie są do mnie podobni. Są tacy sami jak Vishva, myślą tylko o sobie, gotowi pozbyć się każdego, kto przestał być przydatny.

Drzwi windy otworzyły się w pobliżu parku na górnym poziomie i do kabiny władował się tłum roześmianych techników i asystentów naukowych. Dźwignęłam się z trudem na nogi i przepchnęłam do wyjścia.

– Czujesz się zestresowana? – zapytała Advani-ji. – Ćwiczenia fizyczne redukują poziom lęku. Może spróbuj spaceru po parku rekreacyjnym.

– W porządku – odrzekłam, chociaż miałam ochotę raczej deptać trawę i wrywać gałęzie z labiryntowego żywopłotu, niż przechadzać się po wytyczonych spacerowych alejkach parku.

Przedarłam się ciężkim krokiem przez starannie przystrzyżone listowie i wkroczyłam do koła Aśoki. Żywopłot tworzył nie tyle labirynt, co raczej ścieżkę medytacyjną, zanurzoną w zieleni, docierało się nią niemal do tego samego miejsca, w którym się na

nią weszło. Zazwyczaj samotność tego miejsca działała na mnie kojąco, pomagała mi rozwiązać problemy dotyczące owadów zapylających czy znaleźć sposób uniknięcia tłumów w zatłoczonym holu, ale dzisiejszego wieczoru to nie podziałało. Ta sprawa była poważniejsza niż moje własne błahe zmartwienia.

Zostawiłam za sobą żywopłoty i poszłam dalej, obok ogrodów, a potem ruchomym chodnikiem. Na łukowych ścianach i suficie wyświetlano widok lawendowego zmierzchu z fruującymi świetlikami, a dalej, w surowym wnętrzu mesy, zachód słońca i chmury barwiące ciemniejące niebo różem i złotem. Wszystko to był fałsz, nie więcej niż elektryczne impulsy przebiegające przez ekran. Cały ten statek to jedna wielka iluzja, nawet nasza rzekoma misja. Kogo obchodzi, czy w koloniach będą tylko pszczoły, bez żadnych motyli? Jeżeli ludzkie życie nie jest warte tego, by o nie walczyć, dlaczego przejmować się owadami?

Korytarz wychodził na hangar, do którego ściągaliśmy tamten kuter. Ruchoma ścieżka zatrzymała się, wyrzucając mnie w to przestronne, pogrążone w mroku pomieszczenie. Na jego drugim końcu stał osmalony wrak kutra przykryty ognioodporną plandeką. Wszystkie moje poprzednie myśli się rozwiały, a potem serce znowu zabiło mi mocniej, krew zatętniła w żyłach. „Statek, statek, statek”.

Zbliżyłam się, odgłos moich kroków wzmacniała znajdująca się wysoko w górze kratownica metalowych dźwigarów. Przystanęłam przed wrakiem. W powietrzu unosiła się tłusta woń spalenizny, tak gęsta, że czułam jej smak w ustach, jej ciężar w płucach. Mikrobioniczne oczyszczacze powietrza na Ranganathanie niewątpliwie nadal wykonywały swoją ciężką niewidzialną pracę, ale nie zdołały jeszcze usunąć wszystkich śladów niedawnej tragedii.

Uniosłam brzeg plandeki i dałam nura do środka, wzbijając stopami w miękkich pantoflach kłęby popiołu. Zamrugalam, chcąc, by mój wzrok jak najszybciej przystosował się do ciemności, ale gdy to wreszcie nastąpiło, odkryłam, że niewiele było do zobaczenia. Zachował się tylko zakrzywiony metalowy szkielet nad moją głową; większość kadłuba wokół niego została wypalona. Wzdłuż jednej z częściowo naruszonych ścian stały rzędem szafki magazynowe. Ich metalowe powierzchnie były albo powgniatane, albo pokryte warstwą popiołu, a podłogę zaścieślały odłamki opancerzenia i resztki warstwy izolacyjnej. Po drugiej stronie kadłub wyginał się na zewnątrz, jego poszarpane brzegi były poskręcane jak paski cynfolii. Eksplozywna dekompresja. Niewiele trzeba, żeby zniszczyć statek, zwłaszcza tak niewielki, pozbawiony tyłu wbudowanych zabezpieczeń, jakie mamy na Ranganathanie. Wystarczy jeden niewielki pocisk przebijający kadłub, a cały statek może gwałtownie otworzyć się w próżni, niczym rozkwitający kwiat sfilmowany poklatkowo.

Ktoś starł popiół z jednej z wewnętrznych ścian, odsłaniając niewyraźny czerwono-złoty wzór – rozchodzące się grube linie na szaroniebieskim tle, otoczone wieńcem kwiatów z gwiazdami zamiast słupków.

Wewnątrz wybebeszonego statku rozbrzmiał echem stłumiony szloch.

Drgnęłam.

– Halo?

Łkanie ucichło.

– Kto tam jest? Czego chcesz? – dobiegł mnie z ciemności głos Cassii, drżący, ale

wyzywający.

– To ja. – Wpatrzyłam się w mrok. Cassia siedziała w wejściu do jednej ze schodni kutra. – Miyole.

Nie odpowiedziała, tylko otarła rękawem oczy.

– Nie powinnaś tu być – rzekłam. Podeszłam bliżej. – W powietrzu nadal jest pełno kancerogenów.

Spodziewałam się, że Cassia zripostuje jakąś kąśliwą uwagą w rodzaju: „Przyganiał kocioł garnkowi”, ale tego nie zrobiła. Zamiast tego objęła dłońmi głowę i zaczęła ją pocierać.

– Cassia? – odezwałam się; jej milczenie było o wiele gorsze niż płacz.

– Wasza komandor mówi, że możemy go wyremontować. – Uniosła głowę. – Czy myślisz, że w ogóle była tu i widziała, co z niego zostało?

– Nie wiem – odparłam.

Nie wiedziałam, czy komandor Dhar rzeczywiście nie znała rozmiaru uszkodzeń kutra, czy po prostu zaoferowała Cassii i jej rodzinie pretekst, by pozostali na pokładzie naszego okrętu. Wystarczyło jedno spojrzenie na ich statek, by nawet ci spośród nas, którzy zajmują się naukami biologicznymi, zrozumieli, że on nie nadaje się do naprawy.

Cassia znowu oparła głowę o framugę drzwi. Popatrzyła w górę, na płachtę plandeki widoczną w miejscu, gdzie powinien być sufit kutra.

– Milah lubiła tu przychodzić. Dawniej graliśmy często w „iskry i czajniki”. To była ulubiona gra Nethanela w czasach naszego dzieciństwa.

Nie wiedziałam, co powiedzieć. Soraya by wiedziała. Zawsze wyczuwała, kiedy potrzebowałam kojących słów, a kiedy chciałam, by zostawiono mnie spokoju, gdy chroniłam się wysoko pośród gałęzi japońskiego klonu rosnącego w rogu naszego ogródka na tyłach domu. Ale nie było jej tutaj. Byłam tylko ja, niezdarna i niezręczna. Pogładziłam rąbek swojego sari, spuściłam głowę i wbiłam wzrok w warstwę popiołu. Żałowałam, że nie mam na sobie mojego roboczego ubrania zamiast tego kostiumu. Tutaj, wewnątrz pogruchochanego kutra, mój strój wydawał się jeszcze bardziej nie na miejscu. Po chwili wahania usiadłam obok Cassii na okopconej podłodze.

– Myślisz, że ona go zapamięta? – spytała tak cicho, że ledwie ją usłyszałam.

Podniosłam na nią wzrok.

– Twojego brata?

– Jej ojca – poprawiła mnie, chociaż wydawało się, że te słowa ranią jej gardło. – Nethanel jest nie tylko moim bratem, lecz również jej ojcem.

Potarłam fragment podłogi. Palce pobrudziła mi tłusta, ciemna sadza, ale podłoga nie stała się ani trochę czystsza. Miałam wrażenie, jakby ta sadza się rozprzestrzeniała, plamiąc wszystko, czego tknie. Ręce Cassii też były nią powalane.

Spojrzałam na czerwono-złoty wzór na ścianie naprzeciw nas, a potem znowu na dłonie dziewczyny.

– Co to za rysunek? – spytałam.

Cassia popatrzyła na niego ponuro.

– Krąg Niebios.

– Co oznacza?

– Ma nas chronić. No wiesz, przed nieszczęściami. – Szarpnęła luźną nitkę przy mankiecie spodni. – Niezbyt pomógł. Najpierw matka Milah, a teraz Nethanel...

Znów ogarnęło mnie poczucie winy. Gdybym zatrzymała tamtego *Dakaita*, jego towarzysze być może zaczekałoby na niego, a nie uciekli. Moglibyśmy zorganizować akcję ratunkową albo wynegocjować wymianę – jego za Nethanela. Może Cassia nie straciłaby brata. Może Milah nadal miałaby ojca.

– Przykro mi – powiedziałam. Spojrzałam na nią. – Żałuję, że nie zdołałam temu zapobiec.

Cassia skrzywiła się drwiąco.

– Mówisz tak, jakby ta sprawa była już zakończona. – Popatrzyła gniewnie na krąg na ścianie, potem na mnie. – Nie będzie zakończona, dopóki go nie uwolnimy.

W mojej piersi wezbrała bezradność. Poczucie, że widzę rozgrywającą się katastrofę i nie jestem w stanie w żaden sposób jej zapobiec; mogę tylko obserwować, jak narasta.

– Gdybym potrafiła cofnąć się w... – zaczęłam, lecz urwałam.

Co dałoby Cassii, gdyby się dowiedziała, że miałam szansę uratować jej brata i zawiodłam?

Wybrałam inną taktykę.

– Może komandor zmieni zdanie – podsunęłam, lecz już mówiąc te słowa, zdałam sobie sprawę, jak absurdalnie brzmią.

Cassia parsknęła krótkim, szorstkim śmiechem.

– Jasne. Wasza komandor.

– Chcę pomóc. – Sięgnęłam do jej rękawa, ale zrezygnowałam w ostatniej chwili i moja ręka opadła na podłogę między nami. – Tylko że... nie wiem, co jeszcze mogłabym zrobić.

Cassia popatrzyła na moją dłoń, a potem na twarz. Nasze spojrzenia się spotkały. Pod oczami miała ciemne kręgi przypominające sińce. Przebiegło pomiędzy nami coś pierwotnego i intensywnego – miałam wrażenie, jakby całe moje ciało wstrzymało oddech. Było to tak odmienne od uczuć, jakie budziło we mnie towarzystwo Vishvy czy którejkolwiek z dziewczyn, które znałam w Mumbaju, inne nawet od durzenia się w Karishmie. Poczułam ciarki przebiegające po skórze przedramion.

– Gdybym zdołała dotrzeć na Ceres – rzekła z wahaniem Cassia. – Znam tam kogoś, kto mógłby pomóc.

Poczułam suchość w gardle. Wiedziałam, o co prosi. W głębi duszy przeczuwałam, do czego to wszystko zmierza, już od chwili, gdy wybiegłam z oficerskiej jadalni.

– Mamy promy zwiadowcze – powiedziałam cicho. – Te, o których mówiła komandor Dhar. Są krótkiego zasięgu, ale dałoby się je przerobić.

Otworzyłam oczy. Cassia w milczeniu wpatrywała się we mnie intensywnie, niczym konające z głodu zwierzę, któremu obiecano nakarmienie.

– W niczym nie przeszkodziłoby naszej misji, gdyby jeden zaginął – ciągnęłam. – Komandor sama niemal to powiedziała.

Cassia wciąż patrzyła na mnie, ze ściągniętymi brwiami i zaciśniętymi ustami.

– A czy zdołałby... dotrzeć na stację Ceres?

Skinęłam głową.

– Niewiele dalej, ale gdyby ktoś umiał wybrać odpowiednie miejsce na Ceres...
– A czy ta osoba – powiedziała powoli Cassia, pilnując się, by zachować obojętną minę – mogłaby dokonać tego samotnie?

– Tak – potwierdziłam. – O ile potrafi pilotować statek.

Na jej twarzy odbiło się rozczarowanie.

– A jeśli nie potrafi?

Zawahałam się. Sądziłam, że wszyscy Wędrowcy znają się na pilotażu. To jakby ktoś mieszkał na łodzi i nigdy nie nauczył się pływać. „Tylko, że to stale się zdarzało”, przypomniałam sobie nagle. Większość naszych sąsiadów na Gyre uważała, że moja matka postępuje szalenie lekkomyślnie, zabierając mnie ze sobą, gdy szła pływać w oceanie. „Pani kapitan, czy chcesz, żeby twoja córka stała się przynętą dla rekinów?”.

Przygryzłam usta.

– Ani trochę? – spytałam.

Cassia przecząco pokręciła głową.

– Pracowałam przy systemie odzyskiwania wody. I przy konserwacji filtrów powietrza.

Przełknęłam nerwowo. Sytuacja stała się nagle jeszcze bardziej skomplikowana.

– W takim przypadku potrzebowałyby kogoś, kto by ją tam zawiózł.

Cassia stłumiła jęk i potarła pięściami oczy. Kiedy opuściła ręce, na jej policzkach widniały ciemne półksiężycy sadzy.

– Ktoś musi zostać z Milah i niemowlęciem. Prawdopodobnie ciotka Rebekah. Z kolei mój ojciec jest ciężko ranny. A Ezar... – Potrząsnęła głową i popatrzyła na mnie bezradnie. – On woli myśleć, że Nethanel już nie żyje. Zresztą i tak nie byłby skłonny wziąć udziału w wyprawie ratunkowej.

„Nie żyje. Wyprawa ratunkowa”.

Czas się zatrzymał. Miałam wrażenie, że całe moje ciało brzęczy, jakby pszczoły zbudowały sobie we mnie ul. „Szybowanie nad wodą w poszukiwaniu zwłok mojej matki. Milah trzymająca na rękach bezwładnego Tibbeta. Cassia spoglądająca ze słusznym gniewem na komandor Dhar”. Kiedy byłam młodsza, Ava uparła się, żeby nauczyć mnie pilotowania starego słupek mojej matki. Po prostu na wszelki wypadek, powiedziała. Uważałam to za bezsensowne, wołałabym wykorzystać te gorące popołudnia na odrabianie lekcji albo na konną przejażdżkę z Vishwą. Wiedziałam już wtedy, że chcę zostać naukowcem, nie pilotem.

Ale jednak poznałam podstawy pilotażu.

Opanowałam je wystarczająco dobrze.

Cassia musiała dostać się na Ceres, a skoro nie potrafiła polecieć sama, był tylko jeden inny sposób dokonania tego. Wiedziałam, jak muszę postąpić. Wiedziałam, jak rozwiązać tę sytuację. Brzęczenie pszczoł nasiliło się nieznośnie, a potem ucichło.

– Mogłabym polecieć – powiedziałam w tej ciszy. – Mogłabym cię tam zawieźć.

Jedną z pierwszych rzeczy, jakie odkryli dawni pionierzy Głębinowych Sondowań, było to, że jeśli przez zbyt długi czas przebywasz dzień w dzień wciąż z tymi samymi ludźmi w zamkniętej przestrzeni, to nawet wszystkie fałszywe ogrody wszechświata nie uchronią cię przed popadnięciem w prawdziwy, ostry obłęd. Dręczą cię stres, poczucie izolacji i zaczynasz robić rzeczy, jakie nawet nie przyszłyby ci do głowy pod otwartym niebem – na przykład wszczynasz bójki na pięści czy dźgasz innych sztucami. Albo wrzeszczysz na swoją komandor i wypadasz jak burza z oficerskiej jadalni.

Właśnie dlatego nazajutrz po moim wybuchu przy kolacji znalazłam w swoim harmonogramie zajęć mnóstwo treningów świadomości i umówionych wizyt u okrętowych psychologów.

– Mogło być gorzej – orzekła Lian, zerkając nad moim ramieniem na ekran notebooka, i wzruszyła ramionami.

Miała rację. Mogło być o wiele gorzej. Dowództwo Ranganathana mogłoby uznać ten incydent za objaw niesubordynacji, a nie za emocjonalną reakcję spowodowaną stresem. A jednak...

– Nie mów o tym nikomu, dobrze? – poprosiłam, rzucając okiem na puste koje moich pozostałych współlokatorów.

Lian zawahała się i popatrzyła na mnie z ukosa.

– Jestem pewna, że one już wiedzą.

Ręce mi opadły.

Na twarzy Lian odbiło się poczucie winy.

– Właściwie to jestem pewna, że wszyscy już wiedzą.

Spoglądałam na nią pustym wzrokiem przez pół sekundy, zanim to do mnie dotarło. „Och, nie!”

– Od Rubia.

Lian przytaknęła.

– Od Rubia.

– *Chaila* – zakląłam. Opadłam z powrotem na koję i zakryłam twarz poduszką. – Powiedz mi przynajmniej, że po tym zajściu z oficerami zapomniał o kocie.

Lian milczała odrobinę za długo. Zerknęłam na nią spod poduszki.

– O tym też słyszałam – odrzekła i skrzywiła się. – Dziś rano w mesie.

Jęknęłam i przetoczyłam się na bok. Co ja takiego zrobiłam, że los pokarał mnie Haydenem Rubio? „Już niedługo”, przypominałam sobie. Za dwa dni nasz okręt znajdzie się na tyle blisko stacji Ceres, żeby można było dotrzeć do niej promem. Wtedy Rubio będzie najmniejszym z moich zmartwień.

Pośpiesznie wypełniłam poranne obowiązki – skontrolowałam siedliska owadów zapylających, zaprogramowałam timer odżywczego deszczu i zmodyfikowałam skład atmosfery. Za sprawą jakiegoś niezwykłego, korzystnego zbiegu okoliczności żaden z motyli nie umarł ubiegłej nocy. Niebiesko-czarny paż królowej przycupnął na porośniętej mchem gałęzi nade mną i delikatnie składał i rozkładał skrzydła. Obok połyskliwy motyl *Graphium cloanthus*.

Pierś przeszło mi poczucie winy. Odkąd wstąpiłam na pokład Ranganathana, byłam

odpowiedzialna za życie tych kruchych stworzeń – pszczoł i motyli. Obserwowałam, jak one i ich przodkowie powoli przechodzą przez stadia larwalne, otaczają się kokonami pod liśćmi, potem wyfruwają z nich z trzepotem skrzydeł, łączą się w pary, składają jaja i umierają. Wykradałam te jaja, żeby doktor Osmani mogła dokonywać w nich modyfikacji genetycznych, a później ukradkiem podkładałam je z powrotem na miejsce. Nanosiłam na wykresy każdy powtarzalny przypadek wpływu takiej modyfikacji na ich żywotność.

Teraz jednak miałam do zrobienia coś ważniejszego, czego nie mogłam zignorować. Musiałam pomóc Cassii uratować Nethanela. Sprawić, że Milah będzie dorastać pod opieką przynajmniej jednego z rodziców. Wiedziałam, że postępuję słusznie, niemniej ilekroć o tym myślałam, czułam mdłości jak przy chorobie morskiej. Nie chodziło tylko o perspektywę kradzieży promu i masy kłopotów, jaka się z tym wiązała. Ani o świadomość, że zaprzepaszczam lata pracy, jakich wymagało dostanie się do Instytutu Głębokich Sondowań. Ani o to, jak bardzo rozczarowana będzie Soraya, kiedy się dowie, co zrobiłam, ponieważ ona nigdy, przenigdy tego nie zrozumie. Może przyczyną było to wszystko razem. Albo może myśl o wszystkich tych nieznanach czynnikach, jakie napotkam po drodze. „Uratowanie Nethanela” to tylko hipotetyczny plan. Równie dobrze może się zdarzyć, że zostaniemy przyłapani w trakcie kradzieży promu albo dotrzemy na stację Ceres, ale stracimy trop *Dakaitów* i Nethanel zaginie w nieskończonej, mrocznej przestrzeni kosmicznej.

Odepchnęłam od siebie tę myśl.

– Przydzielą wam kogoś innego – powiedziałam do owadów za szklaną szybą. – Kogoś odpowiedniego.

Może doktor Osmani sama poświęci trochę czasu owadom zapyłającym i przekona się, że jednak to nie z mojej winy ginęły.

Wysłałam poranny raport i zbiegłam po schodach na poziom profilaktyki zdrowotnej, unikając zatłoczonej windy. Nawet kiedy mam dobry dzień, nie lubię oglądać tłumów ludzi, a jeżeli Lian miała rację co do tego, że rozpuszczona przez Rubia plotka dotarła już do wszystkich, dziś szczególnie zależało mi na tym, by trzymać się na uboczu.

Ściany na poziomie profilaktyki jarzyły się łagodnym księżycowym błękitem. Spłynął na mnie spokój, gdy szłam przez kręte korytarze. Wiedziałam, że statek subtelnie manipuluje moimi emocjami, oblewa mnie światłem w odcieniach, które jak dowiedziono doświadczalnie, wywierają kojący wpływ, ale moje ciało migdałowe – ośrodek mózgowy odpowiedzialny za emocje – nie miało nic przeciwko temu. Poczułam, że moje mięśnie ramion się rozluźniają. Na suficie nade mną widniał hologram przedstawiający splątane konary drzewa, a ponad nimi roziskrzone błękitne niebo. Tylko zapach rześkiego, sterylizowanego powietrza zamiast woni liści i wilgotnej ziemi zdradzał, że to iluzja.

Przystanąłam i dwukrotnie sprawdziłam harmonogram w moim notebooku. SALA SEMINARIJNA 12A – WARSZTATY KONCENTRACJI ŚWIADOMOŚCI. Przycisnęłam ekran do piersi i ruszyłam cicho w głąb korytarza, sprawdzając wyświetlacze na wszystkich mijanych szklanych drzwiach, póki nie znalazłam napisu odpowiadającego instrukcji w harmonogramie.

Psycholog siedział przy stoliku tyłem do mnie i rozmawiał z młodym mężczyzną

ubranym w jasnoszary uniform lotniczy. Znałam tego pilota. Alan Hwang. Przed kilkoma tygodniami wsiadł do jednego z myśliwców, wyleciał w próżnię i odmawiał powrotu, dopóki nie zabrakło mu tlenu. Chyba nie byłam w równie złym stanie psychicznym co on, prawda? Przecież nie próbowałam się zabić. Może właśnie dlatego nadal powierzano mi wykonywanie części moich rutynowych obowiązków, a Alana zamknięto na niemal miesiąc na poziomie profilaktyki zdrowotnej. Widocznie testy psychologiczne przeprowadzane przed przyjęciem do załogi okrętu IGS nie są w stanie wychwycić wszystkiego.

Moje czoło uderzyło w szybę z cichym stuknięciem. Psycholog odwrócił się, uśmiechnął błogo i skinął na mnie, żebym weszła.

Wyprostowałam się. Im szybciej się z tym uporam, tym wcześniej będę się mogła skupić na zgromadzeniu zapasów i użyciu należącego do Jyotsany certyfikatu bezpieczeństwa do zhakowania danych z dziennika pokładowego Ranganathana. Były w nim sygnał identyfikacyjny statku *Dakaitów* i kody ręcznego sterowania promem – czekające, aż załaduję je do mojej mandaryny. Chwilowo jednak musiałam zachowywać się normalnie albo przynajmniej normalnie jak na kogoś poddawanego ocenie psychologicznej. Aktywowałam zamek drzwi.

– Koncentracja świadomości zwiększa skuteczność i precyzję działania – przypomniała mi Advani-ji. – Jej codzienny trening może zredukować poziom lęku.

Gdy weszłam, Alan uniósł głowę i popatrzył na mnie. Wyglądał na całkiem zdrowego fizycznie – może nawet trochę pulchnego – ale wzrok miał pusty i przygaszony, jakby brakło mu energii, by spojrzeć mi w oczy. Nic dziwnego. Miał zaledwie dziewiętnaście lat, a jego kariera pilota skończyła się, zanim w ogóle się zaczęła – nie mówiąc już o powodach, które skłoniły go, żeby samowolnie wylecieć w próżnię.

Usiadłam naprzeciw niego przy szerokim stole pośrodku pokoju. Między nami leżały stery papieru do origami w pastelowych odcieniach.

– Specjalistka Guiteau, prawda? – zwrócił się do mnie nasz instruktor. – Bardzo się cieszę, że udało ci się do nas dołączyć. Dziś nauczymy się, jak robić z papieru żurawie.

Jeżeli miałabym powiedzieć coś dobrego o origami, to tyle, że oderwało mnie od zamartwiania się tym, iż popełniam okropny błąd, zostanę przyłapana i skończę jak Alan, z karierą zrujnowaną, zanim się zaczęła. Składając papier, przebiegłam w myśli mój plan w poszukiwaniu słabych punktów. Jutro w trakcie panującej na okręcie umownej nocy miniemy stację Ceres w odległości krótkiego lotu promem. W trzeciej godzinie trzeciej wachty, kiedy piloci i personel pokładowy udadzą się na spoczynek do swoich kwater, spotkam się z Cassią na poziomie hangaru. Wsłizniemy się obie do promu, a reszta będzie zależała od szybkości działania i elementu zaskoczenia. Złożyłam arkusz papieru na pół w trójkąt i kciukiem wygładziłam zagięcie.

– Jak ci idzie, Miyole?

Drgnęłam. David, psycholog, z miłym uśmiechem pochylił się nad moim ramieniem, by sprawdzić efekty mojej pracy. Wszyscy inni na okręcie przedstawiają się nazwiskami, poprzedzonymi określeniem specjalizacji zawodowej, ale psychologowie z jakiegoś powodu są zawsze po prostu Davidem, Yumiko czy Stjepanem. Przypuszczalnie po to, byśmy czuli się swobodniej i zwierzali im z naszych

najskrytszych lęków i zmartwień – czy coś w tym rodzaju.

– Świetnie – odpowiedziałam, wskazując rosnącą stertę papierowych żurawi, które zdołałam złożyć przez minioną godzinę.

Początkowo próbowałam składać je w rękawiczkach, ale okazało się to niewygodne. Ostatecznie przecież Alan i David nie sprawiali wrażenia plotkarzy. Jak dotąd albo nie dostrzegli blizn na moich dłoniach, albo nie zwracali na nie uwagi.

David wyjął ze sterty jednego papierowego ptaka i obejrzał go. Wyprostował mu dziób, którego rzeczywiście nie złożyłam szczególnie starannie.

– Wykonujesz je w pośpiechu – powiedział i ostrożnie odłożył żurawia z powrotem na stół przede mną.

– Staram się nie śpieszyć – skłamałam.

Usiadł obok mnie i wziął ze szczytu stosiku papieru nową kartkę.

– Wiesz, nieważne jak wiele ich zrobisz.

– Wiem – odrzekłam i rzuciłam złożonego koślawa ptaka z powrotem na stertę, do jego stada.

Dawid złożył arkusik na pół i wygładził go jednym płynnym, wprawnym ruchem.

– Mogę cię o coś zapytać?

W milczeniu wzruszyłam ramionami.

– Czy lubisz spacerować?

Zmarszczyłam brwi.

– Chyba tak.

Dawniej w Mumbaju wolałam pływać i jeździć konno, ale tutaj woda jest zbyt cenna, a konie na nic by się nam nie przydały.

Rozprostował kartkę i złożył ją wzdłuż drugiej przekątnej, tak że zagięcia się przecięły.

– To nie jest wyścig. Pomyśl o tym raczej jak o spacerze. Przechadzce. Czymś, co robisz po prostu dla przyjemności.

Kwadratowy arkusik w jego rękach zmienił się w romb.

Kiwnęłam głową, spuściłam wzrok i skubnęłam skórkę przy paznokciu.

– Rozumiem.

Nie wspomniałam jednak, że nigdy nie chodzę dla przyjemności, ale wtedy, gdy mój komunikator przypomina mi, że nie odbyłam przepisanej porcji ćwiczeń fizycznych, albo kiedy jestem zbyt zdenerwowana, by jasno myśleć. Albo gdy chcę uniknąć tłumów w windzie. W moim życiu nie ma miejsca na bezcelowe czynności.

David zamaszystym gestem skończył i wręczył mi idealnie złożonego ptaka z ruchomymi skrzydłami.

– Żyj terazniejszością, Miyole. Jeżeli zamkniesz się tutaj... – stuknął palcem w głowę – zaczniesz się tylko martwić sprawami, na które nie masz wpływu. Stracisz wszystko, co cię otacza – powiedział i rozłożył ręce, wskazując ten pokój, okręt, wszechświat.

I wiedziałam, że w pewnym sensie miał rację. Powinnam doceniać to, co osiągnęłam. Spośród miliardów ludzi na Ziemi zaledwie mniej więcej milion otrzymało wykształcenie kwalifikujące ich do udziału w misjach badawczych Głębinowych Sondowań, a z nich tylko kilka tysięcy rzeczywiście zostało wyselekcjonowanych i trafiło do tej służby. Mogłam się urodzić na pustkowiach Syberii, z dala od centrum

świata. Mogłam dorastać w biedzie, być zmuszona do przerywania szkolnej nauki i podjęcia pracy w fabryce albo zarabiania w jeszcze gorszy sposób. Mogłam zginąć podczas tamtego huraganu. Zamiast tego spełniły się wszystkie moje marzenia. Moje owady zapylające wniosą życie i pożywienie na niedawno przysposobione planety. Pewnego dnia ludzie zamieszkają tam w koloniach i odciążą przeludnioną Ziemię.

Ale wszystko to wydawało mi się teraz odległą abstrakcją. Cassia i Milah mnie potrzebowały. Mogłam coś zmienić. Miałam szansę uczynić dla Milah coś, czego nikt nie mógł nigdy uczynić dla mnie – zwrócić jej jedno z rodziców. Na co zdałyby się moje szczęście i edukacja, gdybym nie mogła tego dokonać? Na co zdałby się mój pobyt tutaj, gdybym nie podjęła przynajmniej próby naprawienia tej jednej sprawy?

Po zajęciach warsztatowych powinnam była według harmonogramu przez godzinę spacerować po parku. Zamiast tego powędrowałam przez poziom profilaktyki zdrowotnej, wypatrując Cassii. Prawdopodobnie była gdzieś tutaj. Jej ojcu zrobiono przeszczep skóry w poparzonych miejscach, a współczesna bionika umożliwiła zastąpienie jego zranionego oka. Wiedziałam, że przypuszczalnie powinnam unikać tej dziewczyny, ale dręczył mnie niepokój, a moje ciało drżało nerwowo, jakbym wypila na raz cały dzbanek herbaty. Poczuję się spokojniejsza, kiedy ją zobaczę.

– Rada dotycząca zdrowia – zaszczebiotała Advani-ji. – Czy wypijaś dziś wystarczającą ilość płynów? Picie wody normuje przyspieszone tętno.

– Wypchaj się – mruknęłam i wyciszyłam komunikator.

Znalazłam Cassię w jednej z poczekalni dla gości. Przyglądała się ojcu śpiącemu na szpitalnym łóżku po drugiej stronie szklanego przepierzenia. Lewe oko zakrywał mu biały bandaż, a przez rozwarłe usta wnikała do gardła rurka intubacyjna. Jego klatka piersiowa miarowo wznosiła się i opadała, ale pod czerwoną, łuszczącą się skórą na ramionach i szyi widać było placki chorobliwie bladej tkanki w miejscach, gdzie lekarze nie ukończyli jeszcze skórnych przeszczepów. Cassia siedziała w ciemności sztywno wyprostowana, z szeroko otwartymi oczami; wydawała się niemal tonąć na olbrzymiej białej sofie zajmującej większość pokoju.

Usiadłam obok niej. Przez chwilę żadna z nas się nie odzywała.

Potem Cassia powiedziała chrapliwym, gardłowym głosem, nie odrywając wzroku od ojca:

– Nie powinnyśmy być widziane razem.

– Wiem – odrzekłam. Nie patrzyłam na nią, tylko przed siebie. – Ja po prostu...

„Musiałam cię zobaczyć – chciałam powiedzieć. – Musiałam sobie przypomnieć, dlaczego to robię”. Przez krótką chwilę przeniknęło mnie instynktowne pragnienie, by ująć ją za rękę. Ale Cassia siedziała tak sztywno, jakby każdy ruch mógł sprawić jej ból.

– Jak on się czuje? – spytałam, wskazując głową jej ojca.

– Lepiej. – W końcu odwróciła głowę i spojrzała na mnie. Odruchowo podrapała się we własne opatrunki. – Wasi lekarze wszczepili mu nowe oko.

– Czy przeszczep się przyjął?

Skinęła głową i niemal się roześmiała.

– Oko jest nawet tego samego koloru, jak tamto, które stracił.

– To... dobrze – wyjąkałam; nie wiedziałam, co jeszcze powiedzieć.

– Jasne – rzekła z nutą goryczy w głosie i znowu odwróciła wzrok. – Wspaniale. Wszystko układa się teraz doskonale. On wkrótce będzie mógł znowu podjąć się prac remontowych, jakby nic się nie stało.

Zapłonął we mnie gniew, niczym tarcza ochronna.

– Wiesz, że nie to miałam na myśli.

Cassia zacisnęła zęby i rzuciła mi gniewne spojrzenie, a ja odpowiedziałam takim samym.

Ona pierwsza odwróciła wzrok.

– Przepraszam – powiedziała głosem ściszym, ale drżącym od wysiłku, by się opanować. – Nie chodzi o to, że nie jestem wdzięczna. Tylko że... wiem, że ojciec zrezygnowałby z tego nowego, wspaniałego oka, gdyby to mogło zwrócić nam Nethanela.

– Wiem.

Zanim się zorientowałam, co robię, przykryłam jej dłoń swoją. Palce Cassii pozostały chłodne i nieruchome pod moimi. Bez względu na to, jaki gniewny ogień płonął w niej przed kilkoma chwilami, już się wypalił i pozwoliła się dotknąć.

Spojrzała w dół na nasze dłonie i nagle oblał mnie gorący rumieniec zakłopotania. Co ja robię? Nie chciałam incydentu takiego, jak w trakcie mojego ostatniego roku nauki w Akademii Revati, kiedy graliśmy w butelkę i gdy ja nią zakręciłam, trafiło na Kiran. Ta dziewczyna miała długie brązowe ręce, cerę niemal równie ciemną jak moja i zabawne wgłębienie w kolanie, które z jakiegoś powodu mnie podniecało. Wcześniej uśmiechała się do mnie, siedząc po drugiej stronie kręgu – wstydliwie, spod długich czarnych rzes, a ja zastanawiałam się, czy istnieje jakiś algorytm umożliwiający zakręcenie butelką tak, by zatrzymała się, wskazując na wybraną przeze mnie osobę. Pocałowałyśmy się powoli i niewinnie, lecz przebiegł mnie zmysłowy dreszcz. Gdybym miała pióra jak ptak, ten pocałunek sprawiłby, że by się nastroszyły. Ale gdy Kiran się cofnęła, wykrzywiła się i demonstracyjnie otarła usta dłonią, którą następnie próbowała wytrzeć o wszystkich chłopaków i dziewczyny siedzących w kręgu. Odtąd starałam się być ostrożniejsza, bardziej powściągliwa. Nie czynić żadnych pochopnych przypuszczeń.

– Przepraszam – rzuciłam i zaczęłam cofać rękę, ale palce Cassii drgnęły, jakby nagle się ocknęła, i włożyła dłoń w moją.

– Nie – rzekła oschłym głosem. – Jeszcze nie odchodź. Zostań ze mną.

„Pojemność minutowa serca jest równa iloczynowi tężnia i objętości wyrzutowej”.

Przełknęłam z wysiłkiem przez ściśnięte gardło.

– Dobrze.

Wierzch jej palców muskał wnętrze mojej dłoni. Nie mogłam niczego poczuć w miejscach moich blizn, gdzie zakończenia nerwowe były uszkodzone, ale wszędzie indziej czułam ciepło jej skóry. Jej dłoń znieruchomiła. Zesztywniała z napięcia. Cassia wyczuła linie woskowej zabliznionej tkanki i wiedziałam już, co zaraz nastąpi. Odruch wstrętu albo co gorsza, chorobliwe zaciekawienie.

Odwróciła moją dłoń i głośno wciągnęła powietrze.

– Co ci się stało? – spytała.

Skrzywiłam się. Ale mijały sekundy, a ona nie cofnęła ręki.

– To było dawno – powiedziałam. – Nie dotarłam do lekarza dość szybko, by zapobiec powstaniu blizn.

Skinęła głową, a ja sobie przypominałam, że dostęp do lekarzy jest tutaj znacznie trudniejszy niż w centrum nowoczesnego Mumbaiu. Może byłam dla Cassii mniejszym dziwadłem niż dla któregoś z moich współtowarzyszy z załogi Ranganathana.

– Przykro mi – rzekła.

– W porządku – odparłam. – To już nie boli.

Nie powiedziała nic więcej, ale też nie puściła mojej dłoni. Trzymała ją mocno, lecz nie za mocno, wpatrując się w długie szklane okno oddzielające nas od jej ojca. Ciepło jej skóry wniknęło w moją, powędrowało w górę ręki, kojąc nerwowe napięcie w moim ciele. Nie przejmowała się moimi szramami. Nie chciała dowodów na to, że tu pasuję. Potrzebowała tylko mnie. Przez całe życie szukałam sposobu uczynienia świata odrobinę lepszym, a teraz, kiedy zyskałam taką szansę, nie zamierzałam z niej zrezygnować.

Leżałam na mojej koi, całkowicie ubrana; zasłona przy łóżku odgradzała mnie od blasku ekranu notebooka. Za półtorej godziny miałam spotkać się z Cassią przed hangarem. Czy zdołam wylecieć promem z doku, jak jej obiecałam? Ava stale powtarzała, że pilotowania się nie zapomina, ale minęło już kilka miesięcy, odkąd ostatnio odbyliśmy razem treningowy lot.

Obróciłam się na koi i wtuliłam twarz w poduszkę. Istniało tyle nieprzewidzianych czynników, tyle sposobów, na które wszystko mogło pójść źle. A jeśli ktoś znajdzie nasze zapasy ukryte w promie, zanim tam dotrzemy? A jeśli ktoś widział, jak trzymałyśmy się za ręce? A jeżeli ktoś już wcześniej podsłuchał Cassię i mnie szepczące w wypalonym wraku kutra i teraz komandor Dhar tylko czeka, żeby przyłapać nas na gorącym uczynku? Cassia w gruncie rzeczy nie ukrywała, że chce wyruszyć na poszukiwanie brata. Może ją obserwują. Stłumiłam jęk. Powinnam była dzisiejszego wieczoru pozostać w świetlicy z moimi współlokatorkami, jakby wszystko szło zwykłym torem, jakbym nie zamierzała wkrótce popełnić kradzieży, wskutek czego mogę stanąć przed komisją dyscyplinarną Instytutu Głębokich Sondowań i dostać dożywotni zakaz udziału w jego ekspedycjach. Albo co gorsza, trafić do obozu karnego.

Wszystko co było we mnie chłodno logiczne, wiedziało, że postępuję w najgłupszy możliwy sposób. Wiedziałam, co powiedziałyby Soraya. W głowie wciąż rozbrzmiewał mi jej rozgoryczony, zatroskany głos: „Tak ciężko na to pracowałaś. Odrzucasz swoją przyszłość”.

Była ze mnie taka dumna, kiedy jej oznajmiłam, że w Instytucie Głębokich Sondowań uczyniono dla mnie wyjątek, pierwszy w historii, i przyjęto mnie pomimo młodszego wieku. Dałam jej nawet do podpisania fałszywe formularze. Dlaczego miałyby w to nie uwierzyć? Przecież od ósmego roku życia brałam udział w Akademii Revati w zajęciach dla zaawansowanych. W wieku piętnastu lat dostałam się na uniwersytet. Dlaczego więc Instytut Głębokich Sondowań nie miałby również przyjąć mnie wcześniej?

Być może w Instytucie nie przejęto by się moim zbyt młodym wiekiem. Może rzeczywiście zrobiono by dla mnie bezprecedensowy wyjątek. Ale nie mogłam ryzykować. Nie mogłam w ten sposób ściągnąć na siebie ich uwagi. Ponieważ gdyby mi odmówiono, utknęłabym na Ziemi aż do następnej wyprawy badawczej Głębokich Sondowań. Uczęszczałabym na rozmaite kursy uniwersyteckie, po prostu żeby się czymś zająć, natykałabym się w pociągach na Vishvē. Byłabym zawsze na moim roku tą najmłodszą, o najciemniej cerze, najbardziej egzotyczną i obcą. Kręciłabym się tylko w kółko.

To Ava mnie przed tym uratowała. Dzięki niej trafiłam tutaj.

Kilka tygodni po tym, jak wpadłam do Rushila i błagałam go, żeby zhakował moje dane, on i Ava zaprosili mnie do siebie na kolację. Czekałam, aż napomknie coś o tamtej sprawie – przez cały posiłek i później, gdy siedzieliśmy w ogródku za domem w pomarańczowym blasku lampy z olejkiem odstraszającym owady. Ale potem, długo po zapadnięciu zmroku, Rushil wymówił się, że chce iść spać.

– Chyba powinnam już wracać – powiedziałam.

– Zostań jeszcze trochę – rzekła Ava napiętym tonem.

Miała dziwną minę, jakby usiłowała ukryć z troską.

Opadłam z powrotem na krzesło. Lampa rzucała ostre cienie na twarz Avy.

– Rushil mi powiedział – oznajmiła.

– Ava...

– Dlaczego go o to poprosiłaś, Miyole? – Pochyliła się do przodu i utkwiała spojrzenie w swoich stopach. – Czy nie dostajesz wszystkiego, czego chcesz?

– Owszem, dostaję – przyznałam cicho.

– Ale jednak to zrobiłaś. – Podniosła wzrok na mnie. – Dlaczego ci tak śpieszno, Mi? Przecież to nie jest ostatnia ekspedycja Instytutu Głębinowych Sondowań. Będzie następna za... kiedy... za trzy lata?

– Tak, ale wtedy będę miała dwadzieścia lat – powiedziałam.

Ava uniosła brew.

Wiedziałam, jak głupio to zabrzmiało, lecz nie chodziło tylko o kolejne dwa lata studiów – to byłyby jeszcze dwa lata czekania, aż zrobię coś pożytecznego, czekania aż moje życie się zacznie.

– Ale gdybym mogła polecieć teraz – naciskałam, sfrustrowana – skończyłabym osiemnaście lat po zaledwie kilku miesiącach podróży. Siedemnaście i pół czy osiemnaście? Czy to naprawdę taka wielka różnica?

– Może i nie – odrzekła Ava, wzruszając ramionami.

Odwrociła wzrok i popatrzyła na swój statek, Perpétue, nazwany tak od imienia mojej matki. Obie wiedziałyśmy, co ona robiła w moim wieku. Uciekała przed niebezpieczeństwem. Całkiem samodzielnie pilotowała statek. Opiekowała się mną.

– Jestem już gotowa – powiedziałam. – Wszystkie moje przyjaciółki z Akademii Revati wyjechały, a ludzie, których znam na uniwersytecie, rozpoczęli praktyki i staże. Co mam robić przez następne dwa lata – objać się i chodzić na kolejne zajęcia z chemii organicznej?

– Lubisz chemię organiczną – przypomniała mi Ava.

– Nie w tym rzecz – odparłam.

Ava westchnęła.

– Naprawdę tego chcesz, tak?

– Nigdy nie chciałam niczego innego – zapewniłam.

Obie wiedziałyśmy, że to prawda. Ava była świadkiem, jak pierwszy raz oznajmiłam przy kolacji, że chcę zostać inżynierem Głębinowych Sondowań. Kiedy byłam młodsza, czytała mi do poduszki artykuły naukowe. Widziała, jak uczyłam się do późnej nocy w moim pokoju.

Wstała.

– Chodź.

Ogarnęło mnie napięcie, po części z podekscytowania, po części z lęku.

– Dokąd idziemy?

Ava nie od razu odpowiedziała. Wzięła lampę.

– Masz pieniądze? – spytała.

– Dwa tysiące rupii.

Skinęła głową.

– Jeśli to dla ciebie zrobię, musisz mi coś przyrzec.

Czy ona mówiła o tym, o czym myślałam? Odpowiedziałam, starając się, żeby mój głos nie zabrzmiał piskliwie:

– Cokolwiek zechcesz.

– Już nigdy nie poprosisz Rushila o nic nielegalnego. – W blasku lampy jej rysy stwardniały. – Nawet o to, żeby nieprawidłowo przeszedł przez jezdnię.

Roześmiałam się.

– Mówię poważnie, Mi – rzekła z naciskiem Ava. – Zbyt ciężko pracuje, żeby wszystko stracić. Kocham cię nad życie, ale nie możesz więcej narazić go na niebezpieczeństwo.

Przyjrzałam się jej. Była niższa ode mnie już odkąd skończyłam trzynaście lat, jednak wciąż nie przywykłam, żeby spoglądać na nią w dół, nie w górę. Była dla mnie na poły matką. Albo może po prostu kimś w rodzaju starszej siostry.

– Przyrzekam. – Uniosłam jedną rękę, a drugą przycisnęłam do serca. – Nigdy więcej nie sprawię kłopotu Rushilowi.

– Dobrze – powiedziała Ava i dmuchnięciem zgasła lampę.

Wyspa R leży pośrodku grząskich terenów, na wschód od miasta właściwego. Jest to skupisko domów z przerobionych metalowych kontenerów okrętowych, otoczone przez drzewa bananowe i morwy. Z jego środka, niczym odsłonięty kręgosłup, sterczy szkielet opuszczonego wieżowca.

Wynajętą lekką łódką wiosłową Ava i ja przepłynęłyśmy przez to bagniste rozlewisko na stały ląd. Funkcję bramy wejściowej na wyspę pełnił kontener – sześcienny, z odpiłowaną zewnętrzną klapą, pusty, poza masą brzęczących, migoczących lamp. Nasze kroki zadzwoniły i odbiły się echem w głębi tego tunelu. Po skórze przebiegły mi ciarki.

– Możemy zawrócić – powiedziała cicho Ava. – Jeżeli się rozmyśliłaś...

– Nie – odparłam i opanowałam nerwy.

Jeszcze tylko godzina czy dwie i znikną wszystkie przeszkody na drodze do mojej przyszłości. Zerknęłam w górę na maleńkie czarne kopułki na suficie nad nami – miniaturowe kamery. Przebycie tego tunelu w całkowitej ciemności byłoby mniej przerażające. Wtedy przynajmniej nie widziałabym ścian i sufitu zamykających się wokół nas.

Z drugiej strony tunelu nadszedł jakiś pijany mężczyzna, powłócząc nogami i mamrocząc coś pod nosem. Przysunęłam się bliżej do Avy, która miała rozpiętą kurtkę, żeby odsłonić nóż przy pasku. Facet minął nas, rzucając tylko lepkie spojrzenie.

Wkrótce znalazłyśmy się znowu na dworze. Wspięłyśmy się po grzechoczących metalowych schodach i przeszłyśmy po kładce na parter wieżowca. Z pustych miejsc, w których kiedyś były ściany i okna, pulsowały fioletowe i żółte światła i dochodziła elektroniczna muzyka bhangra tak głośna, że jej bas zagłuszył mocne bicie mojego serca. Na parkiecie panował ścisk. Pośrodku, niczym wyspa, tkwił bar ze ścianą szklanych butelek, otoczony przez tańczących lub skupionych w zadymionych kątach ludzi. Na którymś z ciemnych pięter nad nami ktoś krzyknął dziko i na promenadzie z tyłu roztrzaskała się ciśnięta butelka piwa.

– Co to za miejsce? – spytałałm Ave, przekrzykując muzykę. – Przeprowadziłaś mnie do jakiegoś klubu?

Wydawało się, że mnie nie usłyszała.

– Musisz mi obiecać, że nigdy nie przyjdiesz tu sama! – krzyknęła, kiedy precisiśmy się przez tłum i usiadłyśmy przy barze. – I nie mów o tym miejscu Vishvie. Ona nie jest taka sprytna i obrotna, za jaką się uważa.

– W porządku – odrzekłam, skinąwszy głową.

Z tym nie będzie problemu, gdyż nie rozmawiałam z Vishwą od co najmniej pół roku. Ava nachyliła się do mojego ucha.

– Połóż na kontuarze swoją mandarynę i pilnuj jej.

– Co?

– Po prostu tak zrób – powiedziała. – Zobaczysz dlaczego.

Wyjęłam z kieszeni mój ręcznik i umieściłam go ostrożnie przed sobą na blacie baru. Niemal natychmiast pojawił się przed nami mężczyzna w cienkim obcisłym podkoszulku przesadnie uwydatniającym muskulaturę klatki piersiowej.

– Czym mogę paniom służyć? – zapytał z uśmiechem i jedną ręką sięgnął po moją mandarynę, a drugą podał nam dwie szklanki.

Wyrwałam mu mandarynę i spojrzałam na Ave.

– Nie chcemy drinków – powiedziała. Przykryła płasko dłonią swoją pustą szklankę.
– Chcemy pogadać.

Mężczyzna się wyprostował. Z jego twarzy zniknął uśmiech.

– O czym?

– O papierach. – Ava wskazała głową na mnie. – Dla niej.

Przytaknęła.

– Pozwólcie, że przyrządzę wam drinki.

– Nie potrzebujemy... – zaczęłam, ale Ava położyła dłoń na moim ramieniu i powiedziała:

– Po prostu zaczekaj.

Dłonie mi się pociły. Barman napełnił moją szklankę jakimś wściekle niebieskim płynem, potem dolał trochę czegoś tłustego i pomarańczowego, a na koniec wrzucił cały korniszon nadziany na jaskrawobiałą pałeczkę koktajlową.

– Zjedźcie windą dwa piętra i skręćcie w lewo. Ostatnie drzwi po prawej – powiedział, podsuwając mi drinka.

Znów popatrzyłam na Ave.

– Zrozumiałam – rzekła.

– I dzieciaku – zawołał za mną, gdy już odchodziłam – na twoim miejscu bym tego nie pił.

Ostatnie drzwi po prawej otworzył mężczyzna w wieku Avey. Rzucił okiem na trzymanego przeze mnie drinka i skinął ręką, żebym weszła.

Ava chciała pójść za mną, ale powstrzymał ją, unosząc dłoń.

– Jeden drink, jedna osoba.

– Jesteśmy razem – rzekła Ava. – Ciotka Rajni mnie zna.

Spojrzał na nią z beznamiętnym wyrazem twarzy.

– Powiedziałem: jeden drink, jedna osoba.

Ava wsparła dłonie na biodrach, wskutek czego jej kurtka się rozchyliła, odsłaniając nóż.

– A ja powiedziałam, że jesteśmy razem.

– Co to za awantura? – dobiegł z wnętrza gardłowy kobiecy głos. – Czy to jakiś drink dla mnie?

Mężczyzna westchnął, odwrócił się i ujrzałyśmy tęgą kobietę siedzącą na elektronicznym wózku inwalidzkim w rogu pokoju przed ścianą ekranów.

– Tak, ciotko – odpowiedział.

– Więc przestań dokuczać tym miłym młodym damom i przynieś go tutaj.

Kobieta podjechała do nas i wyciągnęła rękę na powitanie. Nosila okulary przeciwsłoneczne, chociaż w pokoju panował półmrok, a szarosiwe włosy miała splecione na szczycie głowy w konstrukcję z warkoczyków ze spływającymi przez nie potokami luźnych pasm.

– Witaj, ciotko Rajni. – Ava wystąpiła naprzód. – Dziękuję, że zgodziłaś się z nami spotkać. To moja przybrana siostra Mi...

– Tak, tak. – Ciotka Rajni zatrzymała wózek przy mnie i popatrzyła znacząco na miksturę w mojej ręce. Podałam jej szklanke. – Najpierw wypijemy, potem porozmawiamy.

– Oczywiście – powiedziała Ava i wygładziła dłońmi kurtkę.

Znałam ten jej gest. Zawsze w ten sposób uspokajała się, opanowywała przed załatwieniem jakiejś trudnej sprawy.

Ciotka Rajni kciukiem i palcem wskazującym wyłowiła korniszon, uniosła szklanke do warg i przechyliła. Nikt się nie odezwał, gdy łąpczywie piła jej zawartość, a potem wsadziła do ust korniszon i schrupała go z lubością.

– No – rzekła i wskazała kanapę pokrytą fioletowym aksamitem. – A teraz usiądźmy jak ludzie cywilizowani.

Usiadłyśmy obie. Ochroniarz zajął pozycję przy drzwiach i udawał, że nie słucha.

– Ciotko, więc jak powiedziałam... – zaczęła Ava.

Kobieta potrząsnęła palcem przed jej twarzą.

– Nie ty. – Odwróciła się do mnie. – Ona. To ona przyniosła drinka, więc to ona czegoś chce.

Nerwowo przełknęłam ślinę. Miałam nadzieję, że Ava poprowadzi rozmowę za mnie, a ja będę musiała tylko wręczyć pieniądze. Potarłam dłonie i pożałowałam, że nie wzięłam rękawiczek. Miałam kilkanaście par – z niebieskiego aksamitu, żółtej sztucznej skóry i zwykłe czarne wełniane – ale nie przypuszczałam, że będę ich potrzebować na wieczorną wizytę u Avy i Rushila.

– No, mów – ponagliła mnie ciotka Rajni. – Mam tej nocy jeszcze inne sprawy do załatwienia.

– Ja... ee... potrzebuję pewnej korekty dowodu tożsamości – powiedziałam ze spuszczoną głową.

Ciotka Rajni potarła podbródek.

– Ktoś cię ściga, dziecko?

Podniosłam na nią wzrok, zaskoczona.

– Nie. To nie to. Nic w tym rodzaju.

– Nie? – Ciotka Rajni uniosła brew nad szkłem okularów i odwróciła się do Avy. – Jest inna od dziewczyn, które zwykle przyprawdzasz. Co ty kombinujesz, Parastrata?

Rzuciłam spojrzenie na Avę. Czasami dostawała wiadomość od jakiejś młodej uciekinierki – dziewczyny, która tak jak ona dorastała w załodze kupców przemierzających Głęboką Próżnię – i znikwała na kilka godzin lub dni. Niektóre z tych dziewczyn nawet zatrzymywały się u nas, podczas gdy Ava starała się znaleźć im jakieś miejsce. Czy przyprawdzała je do tej ciotki Rajni, żeby załatwić im fałszywe dokumenty? Rushil zrobił to samo dla Avy, kiedy dopiero co wylądowałyśmy w Mumbaju – zdobył dla niej pozwolenie na pracę, żebyśmy mogły przetrwać. Ale dlaczego nic mi o tym nie powiedziała? Mogłabym jej pomóc. Zawsze jej pomagałam, zwłaszcza na początku, gdy byłyśmy zdane tylko na siebie. Czyż nie byłyśmy zespołem? Siostrami? Czy nie ufała mi, że dochowam sekretu?

Odsunęłam od siebie uczucie urazy.

– Muszę być starsza – wyjaśniłam. – Osiemnastoletnia. Muszę już tej wiosny mieć osiemnaście lat.

Wstrzymałam oddech. To zabrzmiało o wiele bardziej krępująco niż w mojej głowie, ale przynajmniej zdołałam wypowiedzieć te słowa.

Ciotka Rajni milczała chwilę, potem zdjęła okulary przeciwsłoneczne. Jedno z jej oczu było mętnie niebieskie – ślepe – ale drugie błyszczało jak rtęć. Bioniczne sztuczne oko. Starałam się nie gapić i pohamowałam odruchową chęć pytania, jak ono działa. Uwielbiałam biomimetykę i przeszczepy protetyczne, ale problem w tym, że zazwyczaj osoby, u których się je stosuje, nie chcą mówić o straszliwych ranach czy chorobach, które doprowadziły do ich częściowej cyborgizacji. Ciotce Rajni musiało się przydarzyć coś złego, gwałtownego. Potrafimy leczyć większość zaburzeń genetycznych i deformacji, ale jeśli doszło do jakiegoś urazu i trzeba zastąpić cały narząd...

Kobieta popatrzyła swym bystrym, lśniącym rtęciowo okiem na Avę.

– Więc teraz przyprawdzasz mi dzieciaki z prywatnego liceum, które chcą pić piwo i palić szlugi, tak? – Rzuciła jej gniewne spojrzenie. – Myślisz, że właśnie tym się zajmuję? W twoim Salt jest mnóstwo durniów załatwiających takie sprawy. *Rundi ki bachi...*

Twarz spłonęła mi rumieńcem.

– To nie o to chodzi.

– Ach tak? – Ciotka Rajni skierowała oko na mnie. – Więc dlaczego taka miła, bogata dziewczynka jak ty miałaby potrzebować czegoś takiego? Hm?

– Ciotko, czy to naprawdę ważne, dlaczego ona tego potrzebuje? – wtrąciła się Ava. – Zapewniam cię, to nie po to, żeby mogła nocami wymykać się do klubów.

– *K ipay* – rzuciłam. Nachyliłam się ku ciotce Rajni. To nie mogło się tak skończyć. Zaszłam już zbyt daleko. – To nie dla zabawy. Potrzebuję porządnych papierów. Przerobionych dokumentów imigracyjnych, danych ze szkoły, wszystkiego.

Stara kobieta burknęła coś zrzędliwym tonem i z powrotem nałożyła na nos okulary przeciwsłoneczne.

– Te rzeczy są zawsze ryzykowne. Zawsze. Lubię wiedzieć, że moja klientka nie wskaże na mnie palcem, jeśli jej mamusia odkryje, co się stało.

Rzuciła mi kwaśne spojrzenie, ale przynajmniej już nie obrażała Avy.

– Ona tak nie zrobi – powiedziała Ava.

– Więc niech sama to powie.

– Nie zrobię – zapewniłam.

I mówiłam serio. Nie zrobiłabym tego. Pragnęłam za wszelką cenę dostać się na pokład tego okrętu badawczego Instytutu Głębinowych Sondowań i powiedziałabym wszystko, żeby dopiąć swego.

Ukryłam teraz twarz w dłoniach. Ava wpadnie w furję, kiedy się dowie, co zrobiłam. Byłam pewna, że włamanie się do systemów łączności i obronnego okrętu oraz nadużycie mojego certyfikatu bezpieczeństwa – a raczej certyfikatu Jyotsany – aby ukraść prom zwiadowczy, jest nielegalne. A po wszystkim, co Ava dla mnie zaryzykowała, po obietnicy, jaką jej złożyłam... Kiedy na Ranganathanie odkryją moje zniknięcie, przeczesały moje dane, szukając czegoś podejrzanego, co wcześniej przeoczyli, a wtedy z pewnością znajdą dowód fałszerstwa. Przed nerwowym tarcem dłoni aż do krwi powstrzymywała mnie jedynie myśl, że jeśli ktokolwiek będzie w stanie zrozumieć desperackie kroki, jakie podjęłam, to właśnie Ava.

Sprawdziłam godzinę. Do spotkania z Cassią zostało sześćdziesiąt minut. Nie byłam w stanie wyleżeć ani chwili dłużej. Odciągnęłam zasłonę przy łóżku, wyłączyłam notebook, jak najciszej odszukałam buty, włożyłam je i zawiązałam sznurowadła.

Gdy skradałam się do drzwi, Lian poruszyła się na koi.

– Miyole? Co robisz?

– Nic – szepnęłam. – Idę sprawdzić coś w laboratorium owadów zapylających. Chyba ustawiłam zbyt wysoki poziom azotu.

– Och – rzuciła; odwróciła się z powrotem plecami do mnie i opuściła głowę na poduszkę.

Wstąpiłam do laboratorium, żeby po raz ostatni zobaczyć, co u moich owadów zapylających. Skrzydła motyli zadrżały, gdy wewnątrz ich biomów zapłonęły lampy. Przez chwilę stałam i przyglądałam się im, a potem weszłam do śluzy powietrznej oddzielającej je od reszty okrętu. Zaryglowałam drzwi, zmieniłam ciśnienie atmosferyczne, dopasowując je do panującego w biomie, i wkroczyłam tam.

Otoczyło mnie wilgotne powietrze. Mój nos podrażniła nikła woń zgnilizny przebijająca się spod intensywnego zapachu roślinności. To miejsce bardziej niż starannie utrzymane tereny ogrodów rekreacyjnych przypominało mi Mumbai – jego parki po porze monsunowej i gęsty, wilgotny upał w szkolnych cieplarniach. Przyklekłam powoli obok młodego drzewka puchowca pięciopęcikowego rosnącego pośrodku biomy. Początkowo motyle nerwowo zatrzepotały skrzydłami, ale gdy usiadłam na wilgotnym torfie, po kilku sekundach zapomniały o mojej obecności. Znowu spojrzałam na wyświetlacz komunikatora. Miałam jeszcze trzy kwadransy.

Oparłam się plecami o pień i zamknęłam oczy. Za godzinę będę albo mknąć przez kompletną ciemność przestrzeni kosmicznej, albo siedzieć w pace. Tak czy owak, przez długi czas będę czuła tylko zapach recyklingowanego powietrza i nie dotknę niczego równie realnego jak te wilgotne liście i ziemia.

Coś połaskotało mnie w rękę. Otworzyłam oczy. Na moich kostkach palców

balansował motyl z rodziny powszelatkowatych, cały ciemnoniebieski z wyjątkiem kobaltowego cętkowanego wzoru na grzbiecie. Wstrzymałam oddech. Zazwyczaj gdy wchodziłam do biomy, działałam szybko i sprawnie, starając się, aby mój pobyt w jak najmniejszym stopniu zakłócił życie owadów zapylających. Nigdy nawet nie przyszło mi na myśl, że gdybym wystarczająco długo pozostała w bezruchu, któryś z moich podopiecznych mógłby na mnie usiąść.

Motyl poruszył skrzydłami. Zrobiłam drżący, powolny wydech, starając się go nie przestraszyć. Czy to stworzenie przetrwa po moim wyjeździe? Czy przeżyje na tyle długo, by znieść jaja? Czy może skończy w jednej z akrylowych gablot doktor Osmani? A co stanie się ze mną? Na zewnątrz, w Głębokiej Próżni, będę równie bezbronna jak ten motyl. Jak długo zdołam przetrwać poza Ranganathanem, który chroni mnie przed asteroidami przebijającymi kadłub i przed handlarzami niewolników?

Objęłam rękami kolana i przyciągnęłam do piersi. Mogłabym wrócić do łóżka, zdjąć buty i przespać do sztucznego okrętowego poranka. Udawać, że nic z tego się nie wydarzyło. Mogłabym, prawda? Ale Cassia będzie na mnie czekać w ciemnym doku. Czy potrafiłabym spojrzeć sobie w twarz, wiedząc, że miałam szansę pomóc jej odzyskać brata, zwrócić Milah ojca, lecz nie wykorzystałam jej, ponieważ w ostatniej chwili obleciał mnie strach? Ponieważ znowu pozwoliłam, by ten strach mnie pokonał? Czy byłabym w stanie spać w nocy, czy też ilekroć zamknęłabym oczy, widziałabym nogę tamtego *Dakaita* wyślizgującą się z mojego chwytu?

Ponownie sprawdziłam w komunikatorze godzinę. Za piętnaście minut miałam być w doku. Moje senne oszołomienie się rozwiało. Pora ruszać. Nie wiedziałam, co się zdarzy ani czy ktokolwiek tutaj zrozumie moją decyzję. Komandor Dhar na pewno nie. Ani doktor Osmani. Rubio będzie rozpowiadał wokół, jak to on od początku wiedział, że jestem szalona i kłamliwa. Ale to wszystko nie wpływało na to, co musiałam zrobić. Nie zmieniało tego, co było słuszne. Podźwignęłam się na nogi. Motyl odfrunął szybko do swoich krewniaków na drzewie.

Wysłałam ze służby biomu i na palcach poszłam po torbę na ramię, którą ukryłam we wnęce w laboratorium. Odpięłam od przegubu komunikator, narzuciłam na kombinezon ciśnieniowy zwykłą czarną kurtkę i zapięłam ją na suwak, a potem włączyłam mandarynę. Na szczęście to do niej Ava załadowała swoją pożegnalną wiadomość. W przeciwnym razie nigdy bym nie pomyślała o tym, żeby zabrać z domu urządzenie działające niezależnie od systemów Ranganathana.

Zostało mi dziesięć minut.

Gdy zamykałam za sobą zewnętrzne drzwi laboratorium, światła zgasły i w ciemnym wnętrzu zamrugała czerwono lampka bransolety mojego komunikatora. Za kilka minut Advani-ji zawiadomi ochronę, że nie odbiera sygnałów z mojego skafandra, ale póki co systemy statku nie zdołają mnie namierzyć. Ruszyłam w głąb słabo oświetlonego korytarza; nade mną na suficie wyświetlano obrazy nocnego nieba.

Pięć minut.

Przede mną pojawił się dok, cichy i ciemny. Zeszłam z chodnika w cień sterty jakichś skrzynek z żywnością w pobliżu wejścia. Jeżeli harmonogram wacht strażników, do którego zyskałam dostęp dzięki certyfikatowi bezpieczeństwa Jyotsany, był dokładny, Cassia i ja miałyśmy siedmiominutowe okno czasowe na porwanie promu po tym jak strażnik na służbie sprawdzi teren.

Dostrzegłam go przelotnie na drugim końcu doku, w pobliżu falangi myśliwców przygotowanych do akcji. Jego czarno-szary mundur był niemal niewidoczny w przyćmionym świetle, ale bransoleta komunikatora błyskała regularnie co dziesięć sekund. Odliczyłam między kolejnymi błyskami: „Raz, dwa, trzy, cztery, pięć, sześć, siedem, osiem, dziewięć...”

Jeszcze trzy minuty.

– Teren czysty – dobiegł mnie w ciszy jego głos. – Przechodzę do laboratoriów symulacyjnych.

„Laboratoria symulacyjne”. Dopiero po chwili pojęłam. Właśnie stamtąd przyszłam.

Strażnik odwrócił się i zaczął iść w moim kierunku.

– *Chaila* – szepnęłam i wycofałam się za skrzynki najdalej, jak zdołałam.

Nie uwzględniłam tego, kiedy włamałam się do harmonogramu dyżurów ochrony. Miałam na kombinezonie ciśnieniowym czarną kurtkę i nie zdradzi mnie bransoleta komunikatora, ale cień skrzynek nie był dostatecznie głęboki. Wystarczy, że strażnik rzuci jedno baczne spojrzenie w moją stronę, a zauważy mnie. Zamknęłam oczy i wstrzymałam oddech, jak gdyby to, że nic nie widzę, mogło uczynić mnie niewidzialną.

Odgłos jego mocnych, miarowych kroków się przybliżał. Wcisnęłam się plecami w skrzynki. „Stopień rozszerzenia się źrenicy zależy od natężenia światła otoczenia albo od jego braku...” Strażnik mnie minął – „Proszę, niech się nie zatrzyma!”, a potem wyszedł na korytarz i oddalił się ruchomym chodnikiem.

Wysłałam z cieni i odczekałam, aż mój wzrok przywyknie do półmroku. Po chwili Cassia wyłoniła się zza wraku swojego statku. Na ramionach miała dwie torby, a trzecią wetknęła pod pachę. W milczeniu uniosłam dłoń w powitalnym geście i ruszyłam przez

pusty hangar. Pomachała w odpowiedzi i pośpieszyła ku mnie najszybciej jak zdołała z ciężkimi torbami.

– Udało ci się – powiedziała i posłała mi nikły uśmiech. Była nieco zdyszana, a jej włosy spadały luźnymi falami. – Przyszłaś.

– Powiedziałaś ci, że przyjdę – odrzekłam.

Na jej widok mój lęk się rozwiął. „To jest słuszne. Mogę wszystko naprawić”.

Kącik jej ust się uniósł.

– Myślałam, że może cię odstraszyłam.

– Jeszcze nie – odparłam z uśmiechem i wyciągnęłam rękę po jedną z toreb. – Daj.

Cassia przycisnęła je mocno do piersi.

– Nie, poradzę sobie.

– Na pewno? – spytałam, marszcząc brwi.

– Poniosę je – powiedziała i w tej samej chwili z torby pod jej pachą dobiegło niskie, niemal niesłyszalne warknięcie.

Wytrzeszczyłam oczy.

– Co to jest?

– Nic – rzuciła, po czym przepchnęła się obok mnie i ruszyła w kierunku rzędu promów dokujących po lewej stronie hangaru.

– Hej! – syknęłam.

Dogoniłam ją szybko i złapałam za ramię. Traciłyśmy cenne sekundy. Lada moment ktoś zobaczy nas przez jedną z setek miniaturowych kamer zamontowanych w ścianach i dźwigarach stropu.

– Bądź poważna. Co tam masz?

Wzniosła wzrok do sufitu i westchnęła, a potem powoli odsunęła zamek błyskawiczny torby. Wiedziałam, że nie spodoba mi się to, co znajdę wewnątrz, lecz mimo to zajrzałam i zobaczyłam strasznie wkurzonego Tibbeta. Spojrzał na mnie spode łba czarnymi oczami o rozszerzonych źrenicach i wydał kolejne niskie warknięcie, od którego zjeżyły mi się włoski na karku.

Uniosłam głowę i popatrzyłam z niedowierzaniem na Cassię.

– Zabrałaś kota?

Częściowo zasunęła suwak torby, zostawiając szczelinę wystarczającą, by do środka mogło się dostać powietrze.

– Wiedziałam, że nie zrozumiesz – burknęła, po czym odwróciła się na pięcie i ruszyła szybko.

– Masz rację – rzekłam, z wysiłkiem zniżając głos znowu do szeptu, i potruchtałam, żeby dotrzymać jej kroku. – Zechcesz mi powiedzieć, jak twój milusiński może nam pomóc przy uprowadzeniu promu?

– On nie jest *milusińskim* – rzuciła.

Zanurkowała pod dziobem promu, który wybrałyśmy, i odwróciła się do mnie. W ułamku sekundy irytację na jej twarzy zastąpiło zszokowanie.

– Miyole... – wydusiła i zaraz potem poczułam na karku nacisk czegoś twardego i zimnego.

– Nie ruszaj się, memsahib.

Zamarłam. „Rubio”.

Obszedł mnie, trzymając paralizator wymierzony w moją klatkę piersiową. Przeniósł spojrzenie ze mnie na Cassię.

– Czy któraś z was zechciałaby powtórzyć ten fragment o uprowadzeniu promu?

– Posłuchaj, Rubio... – zaczęłam. Ze zdenerwowania poczułam suchość w ustach. Zerknęłam na Cassię, która powoli otwierała zamek błyskawiczny torby z Tybbetem. Co ona wyprawia? – Chyba się przesłyszałeś. Musiałeś błędnie zrozumieć.

– Och, z pewnością się nie przesłyszałem. – Popatrzył na Cassię, która przestała otwierać torbę, a potem znów na mnie. – Nie jesteś tak przebiegła, jak myślisz, memsahib.

– Rubio, proszę... – Mówiłam teraz błagalnym tonem, chociaż wiele mnie kosztowało płaszczenie się przed nim.

Przez głowę przemknęły mi wizje mojej zrujnowanej przyszłości: Cassia i ja w areszcie; nieuniknione śledztwo; pytania: „Kto zmienił twoje dane w rejestrach?”; odesłanie na Ziemię; brat Cassii bezpowrotnie zaginiony.

– Nie rozumiesz – powiedziałam. – Komandor Dhar nie pozostawiła nam wyboru. Musiałyśmy tak postąpić.

– Jedyne, co jedno z nas musi zrobić, to zameldować o tym – odparł Rubio i uniósł do ust komunikator na nadgarstku.

– Zaczekaj! – zawołałam i w tym samym momencie Cassia cisnęła torbę z Tybbetem prosto w pierś Rubia.

Kot wyskoczył z torby i wylądował na nim. Rubio wrzasnął i cofnął się z miną wyrażającą bardziej zaskoczenie niż ból, chociaż na jego szyi i twarzy pojawiła się siatka cienkich czerwonych linii w miejscach, gdzie pazury Tybbeta rozorały mu skórę. Cassia zamachnęła się i drugą torbę walnęła go w głowę.

Rubio wybałuszył oczy. Upadł ciężko jak worek i z okropnym łupnięciem rąbnął głową o podłogę.

Niedobrze. Bardzo, bardzo niedobrze.

Obie stałyśmy nad nim w osłupiałym milczeniu.

Cassia przycisnęła dłoń do ust.

– Czy on nie żyje?

Uklęłam przy Rubiu i przytknęłam palce do jego szyi. Wyczułam nierówny puls.

– Nie. Być może doznał wstrząśnienia mózgu.

Cassia odetchnęła z ulgą.

– To dobrze. – Chwyciła go za nogi i odciągnęła o kilka kroków. Kurtka Rubia sfałdowała się pod jego głową. – Pomóż mi.

– Cassia... co my robimy? – wyjąkałam, podnosząc go za ręce.

Poczłapałam za nią, gdy wlekliśmy jego bezwładne ciało.

– Nie możemy go tutaj zostawić – powiedziała.

Zerknęłam w górę na kamery. Może teraz nikt nas nie obserwował, ale kiedy znikniemy, odtworzą wszystkie nagrania i zorientują się, co zrobiliśmy.

– Myśle, że możemy.

– Nie wiemy, ile podsłuchał – rzekła Cassia. – Mógłby im powiedzieć, dokąd lecimy.

– Chyba nie masz na myśli... – Rzuciłam spojrzenie na prom. – Nie możemy go zabrać ze sobą.

Cassia stęknęła i lepiej uchwyciła Rubia za kostkę.

– Nie mamy wielkiego wyboru. Jak się ocknie, to podniesie alarm.

Rubio jęknął. Jego głowa odchyliła się bezwładnie do tyłu.

– A my nie wywołamy alarmu, forsując zabezpieczone drzwi promu zwiadowczego?
– spytałam.

– Chyba mogłybyśmy walnąć go jeszcze raz w głowę, jeśli o to ci chodzi.

– Nie! – powiedziałam głośniejszym głosem, niż zamierzałam. To słowo rozbrzmiało echem w hangarze. Spojrzałam ponuro na Cassię. Straciłyśmy już zbyt wiele czasu. Nie mogłyśmy sobie pozwolić na kontynuowanie tego sporu. – Masz rację, w porządku?

Upuściła nogi Rubia, gdy ja delikatnie ułożyłam jego zranioną głowę na podłodze. Wyjęłam z kieszeni moją mandarynę, odnalazłam na wyświetlaczu właściwe okno i podłączyłam ten niewielki przyrząd do sterownika kłapy wjazdu promu. Zamki ustąpiły ze stłumionym szcęknięciem, cicho zawyła hydraulika i kłapa się otworzyła.

Cassia znowu chwyciła Rubia za nogi i zaczęła go wciągać na rampę załadowniczą.

– Zajmę się nim i Tibbetem. Ty idź uruchomić prom.

– Jesteś pewna? – Zawahałam się. – Poradzisz sobie sama?

– Idź – niemal krzyknęła. – Tamten strażnik lada moment tu wróci.

Kiwnęłam głową i wbiegłam po rampie do niewielkiej ładowni promu. Przeszłam szybko przez przedział maszynowni, a potem przez ciasną kwaterę mieszkalną, przeznaczoną do spędzenia najwyżej kilku dni poza Ranganathanem, i wspierałam się po krótkiej drabince do kokpitu. Wcisnęłam się w fotel pilota, podłączyłam moją mandarynę do gniazda pulpitu sterowniczego i pstryknęłam włącznik napędu pomocniczego. Pod moimi dłońmi zapłonęły jaskrawo nowiutkie panele kontrolne. W powietrzu unosiła się nikła woń świeżo zlutowanego metalu. Wątpiłam, by wcześniej ktokolwiek latał tym promem. Zbudowano go specjalnie dla naszej misji badawczej.

Kody Jyotsany przeniknęły przez ochronną zaporę promu jak przez masło. Kolejno aktywowały się systemy statku – środowiska wewnętrznego, telemetrii, nawigacji, pól ochronnych, grawitacji. Z kwatery mieszkalnej dobiegły mnie metaliczny brzęk i stęknienie Cassii. Odsunęłam osłony iluminatora i wyjrzałam na hangar. Na jego drugim końcu pojawiła się w drzwiach sylwetka strażnika i nagle znieruchomiała.

„*Vaat lag gayii*”.

– Cassia! – zawołałam. – Pora ruszać!

Dziewczyna stanęła u podnóża drabinki prowadzącej do kokpitu.

– Ale Tibbet...

– Czy nie możesz przestać myśleć o tym nędznym kocie? – warknęłam.

Obrzuciła mnie gniewnym spojrzeniem.

– Ten... – zająknęła się – ten nędzny kot uratował nas obie.

Odblokowałam przełączniki napędu i uruchomiłam silniki. Konstrukcję statku przeniknęło niskie, pulsujące dudnienie, a przez otwartą kłapę wjazdu wpadł ryk powietrza, gdy silniki nabierały mocy.

– Nie możemy! – wrzasnęłam, przekrzykując hałas. – Musimy startować!

– Nie zostawię go! – odkrzyknęła Cassia i zniknęła mi z oczu.

Mocno ścisnęłam dźwignie napędu i zmusiłam się, by ich nie pchnąć. Nie mogłam odlecieć bez Cassii. Po drugiej stronie hangaru strażnik szedł energicznym krokiem

w naszym kierunku, z paralizatorem w ręce i komunikatorem przy ustach. Sytuacja szybko stawała się coraz groźniejsza.

– Cassia! – zawołałam ostrzegawczym tonem.

W odpowiedzi ponownie zawyły hydrauliczne tłoki klapy wjazdu, która po chwili się zamknęła, odcinając nas od ryku i chaosu na zewnątrz.

– Mam go! – Cassia pojawiła się ponownie u stóp drabinki, zdyszana; zjeżony Tibbet popatrzył na mnie wytrzeszczonymi oczami.

– Przypnij się! – krzyknęłam i nie czekając, uruchomiłam silniki pomocnicze.

Prom z gwałtownym szarpnięciem ruszył do przodu. Jego dziób pochylił się w dół i teraz z przenikliwym zgrzytem szorował po podłodze doku. *Chaila*. Naparłam z całej siły na dźwignie gazu, starając się utrzymać równy kurs. Pilotowanie w zasięgu grawitacji jest zawsze najtrudniejszą częścią, a ten prom był cięższy niż stary słupek, który Ava odziedziczyła po mojej matce. Co innego jechać konno, a co innego na słońcu. Z trudem uniosłam dziób statku i poleciałam powoli w kierunku bramy hangaru. Pęd powietrza z silników pomocniczych uderzył w strażnika pod nami. Mężczyzna krzyknął coś bezgłośnie do swojego komunikatora i wymierzył paralizator w brzuch naszego statku.

Włączyłam system łączności promu i wysłałam polecenie otwarcia śluzy. Olbrzymie owalne wrota hangaru drgnęły i zaczęły się powoli obracać. Zapłonęły ostrzegawcze światła, zalewając dok czerwonym blaskiem. Kadłub promu tłumiał wszystkie zewnętrzne dźwięki, ale nasz system łączności uruchomił syrenę ostrzegawczą, a spokojny, monotony głos wygłosił instrukcję:

CAŁY PERSONEL MA OPUŚCIĆ HANGAR Q-17 PRZED STARTEM. UWAGA: ZA CHWILĘ NASTĄPI DEKOMPRESJA ŚLUZY.

Pod nami strażnik biegł do wyjścia. W centrum wewnętrznych wrót hangaru pojawił się mały otwór i po chwili powiększył się na tyle, by wypuścić nasz statek. Drżącymi rękami skierowałam prom do przodu i w końcu dotarliśmy do otworu. Kadłub poszorował po owalnej krawędzi i cały prom zadygotał, ale zaraz potem wylecieliśmy w ciemność śluzy.

Przez chwilę nic nie widziałam i zastanawiałam się, czy zostaliśmy uwięzieni, czy unieważniono zdobyte przeze mnie kody ręcznego sterowania.

Znowu odezwał się monotony głos:

DEKOMPRESJA.

Prom zatrząsał się w prądzie powietrza wysysanego ze śluzy przez pompy pneumatyczne, ale ścisnęłam mocno dźwignie napędu i opanowałam te drgania.

– Miyole? – zawołała z dołu Cassia i przypomniałam sobie, że ona tam, z Rubiem i kotem, niczego nie widzi.

– Trzymaj się! – odkrzyknęłam. – Już prawie po wszystkim.

Zewnętrzne wrota śluzy obróciły się szybko i otworzyły. Ujrzałam ścianę niezliczonych lśniących gwiazd, a także wirujący powoli olbrzymi jasny kadłub Ranganathana. Zakręciło mi się głowie. Niebo podskakiwało gwałtownie, a moje oczy usiłowały odnaleźć w nim drogę. Oszołomiona, naparłam na dźwignie napędu – prom zanurkował w dół, przeleciał tuż obok zewnętrznej krawędzi śluzy, a potem pomknął do przodu w pustkę.

Ustał wpływ grawitacji Ranganathana i żołądek podjechał mi aż do serca. W krótkim, ale wlokącym się w nieskończoność czasie, zanim włączyło się znacznie słabsze pole grawitacyjne promu, przypomniałam sobie, jak dawniej w Mumbaju razem z Vishwą i kilkoma innymi dziewczynami z Akademii Revati skakałam do wody z jednego z niższych poziomów wału przeciwpowodziowego. Wcześniej słyszałyśmy, jak kilka starszych dziewczyn w szkole rozmawiało o miejscu, z którego można skoczyć do zbiornika retencyjnego, a potem znowu się tam wspiać. Z dołu nie wyglądało to tak źle, jednak gdy stanęłam na wystającej półce, wpijając gołe palce stóp w gorący metal, ta przepaść wydała mi się bezdena. Ale musiałam skoczyć, bo wcześniej kpiłam z Mirandy Jae, że się boi. Aż do tamtej chwili nie doświadczyłam niczego porównywalnego z grozą wyzwolenia się na moment spod panowania siły wszechświata tylko po to, by zaraz ze śmiertelnie niebezpieczną prędkością ta siła odzyskała nade mną władzę.

Poczułam na ramieniu dotknięcie.

– Miyole.

Drgnęłam. Wirowanie wszechświata zwalniało. Podążyłam za posępnym wzrokiem Cassii i popatrzyłam w przedni iluminator.

– Musimy lecieć dalej – powiedziała i wcisnęła się w fotel drugiego pilota obok mnie.

Racja. Zamrugałam, usiłując zwalczyć resztki zawrotów głowy. Nie mogliśmy tkwić tutaj niczym senny paw. Musieliśmy odlecieć, zanim Ranganathan wyśle swoje myśliwce, żeby sprowadziły nas z powrotem.

Zobaczyłam jakiś ruch na ekranach przekazujących obraz z rufy. Jak na zawołanie, wrota śluzy znowu się otwały i z hangaru za nami wypadły trzy matowoczarne myśliwce przypominające wielkie metalowe ptaki.

– *Vaat!* – zakląłam i gwałtownie pchnęłam dźwignie napędu.

Prom wystrzelił do przodu; przyspieszenie wdusiło Cassię i mnie w fotele, a Ranganathan na naszych rufowych ekranach skurczył się do rozmiaru muszelki. Silniki, nie spętane grawitacją i oporem atmosfery, śpiewały, a drążki gazu reagowały na moje najłżejsze dotknięcia.

Cassia popatrzyła na mnie na poły ze strachem, a na poły z podziwem.

– *Chaila* – szepnęłam z uznaniem; ten statek był stworzony do Głębokiej Próżni.

Przed naszym dziobem eksplodowała ostrzegawcza flara.

System łączności statku ożył.

– Prom zwiadowczy 49-Q. Nie masz zezwolenia na odlot. Natychmiast wracaj do doku.

Cassia rzuciła mi zaniepokojone spojrzenie. Zareagowałam uruchomieniem naszych pól ochronnych i zablokowałam dźwignie gazu w pozycji „naprzód”. W tak dużej odległości od stacji Ceres nie mieliśmy się za czym ukryć – nie było tu niczego oprócz drobnego pyłu asteroidowego i promieniowania. Naszą jedyną szansą była maksymalna prędkość i nadzieja, że Ranganathan nie upoważni pilotów swoich myśliwców do ostrzelania nas.

Na moment oślepił mnie wybuch następnej flary przed naszym przednim iluminatorem.

– Prom zwiadowczy 49-Q – powtórzył głos z systemu łączności. – Zawróć ze swego

obecnego kursu albo będziemy zmuszeni unieszkodliwić wasz pojazd.

Cassia wcisnęła się plecami w fotel drugiego pilota i wytrzeszczyła oczy.

– Nie zrobią tego – powiedziałam na wpół do niej, a na wpół do siebie. – Nie zrobią.

Wcisnęłam do oporu dźwignie gazu. Prom skoczył do przodu i Ranganathan za nami zmalował do jaskrawej plamki, ale myśliwce nie zostały z tyłu. Krew dudniła mi w uszach. „Energia równa się iloczynowi masy i kwadratu prędkości światła”.

– Prom zwiadowczy 49-Q – odezwał się znowu głos w głośniku, a potem równie nagle urwał.

Ich milczenie denerwowało mnie bardziej niż eksplozje flar i ostrzeżenia. Metalowe ptaki nadal mknęły po obydwu stronach naszego promu, czarne cienie w doskonałej ciemności próżni.

„Leć dalej – powiedziałam sobie. Przełknęłam gulę rosnącą mi w gardle. – Leć dalej”.

Cisza rozpościerała się wokół nas, ciężka i nieprzenikniona. A potem, gdy już miałam wrażenie, że moje płuca zaraz eksplodują, myśliwce zrezygnowały i zawróciły. Obserwowałam na ekranach rufowych, jak się oddalają. Roztopiły się w ciemności, a sam Ranganathan stał się tylko jedną z miliona gwiazd.

– Nie możesz tego zrobić, memsahib – powiedział Rubio.

Wcześniej Cassia przywiązała go do medycznych noszy na kółkach, należących do wyposażenia promu. Teraz ona i Tibbet przyglądali mu się nieufnie z saloniku dla pasażerów po drugiej stronie kwatery mieszkalnej statku.

Zeszłam z ostatniego szczebla drabinki.

– Myślę, że mógłbyś przestać mnie już tak nazywać.

Rubio obrzucił mnie gniewnym spojrzeniem.

– Wpadłeś w poważne tarapaty. Nie rozumiesz? Już się z tego nie wyplącesz...

– Tak, przewidziałyśmy to – odparłam i kolistym gestem ręki wskazałam wnętrze skradzionego promu, a potem zaczęłam szperać w szafkach w poszukiwaniu apteczki.

– Nie. – Rubio potrząsnął głową i skrzywił się. – Być może uszłaby wam na sucho kradzież promu, ale porwanie? Kiedy Instytut Głębinowych Sondowań was dorwie, spędzicie resztę życia w obozie karnym.

Cassia wyglądała na przestraszoną.

– Czy to prawda? – spytała.

Wzruszyłam ramionami, chociaż słowa Rubia mnie też zaniepokoiły.

– To on tak mówi.

– Ja nie tylko mówię to, ale wiem. – Rubio przekreślił się na noszach, by spojrzeć na mnie. – A jeśli szychy z Ranganathana nie zdołają was dopaść, postarają się oto piloci z mojego zespołu.

Demonstracyjnie przewróciłam oczami i otworzyłam apteczkę.

– Więc chyba będzie lepiej, jeśli się tobą zajmimy – powiedziałam, po czym wyjęłam kieszonkową latarkę i zapaliłam ją.

Rubio cofnął się jak najdalej ode mnie, napinając nylonowe taśmy, którymi Cassia przywiązała go mocno do noszy.

– Co ty robisz? – spytał z niepokojem.

– Zbadam cię pod kątem wstrząśnienia mózgu, *badirchand* – wyjaśniłam. Sięgnęłam ku jego głowie, ale znów szarpnął się do tyłu. – Nie ruszaj się, dobrze?

– Tylko jeśli mnie rozwiążesz.

Wzniosłam wzrok do sufitu.

– Oboje wiemy, że to niemożliwe. A więc, łaskawie pozwolisz, żebym obejrzała twoją głowę, czy może wolałbyś nie wiedzieć, że masz wylew krwi do mózgu?

Rubio po raz ostatni szarpnął więzy, a potem odchylił się do tyłu na noszach.

– Dobrze – rzekł ponuro.

Poświeciłam mu latarką w jedno oko, potem w drugie. Jego źrenice w błękitnych tęczęwkach się zwężyły. Dobrze.

– Czy czujesz mdłości?

Rubio się roześmiał.

– Żartujesz? Nie, czuję się absolutnie wspaniale po tym jak mnie porwano i przywiązano do noszy.

Sporunowałam go wzrokiem.

– Bądź poważny. Czy masz zawroty głowy? Czujesz się, jakbyś miał zwymiotować?

Westchnął.

– Nie. Ale głowa boli mnie jak diabli, dzięki niej – rzekł i rzucił gniewne spojrzenie na Cassię, która udała, że nie usłyszała, i dalej gładziła Tibbeta po łbie.

– Jasne. A my zapomnimy, jak wyciągnąłeś na nas paralizator, tak? – rzuciłam.

Wsadziłam latarkę do kieszeni, wyjęłam z foliowego woreczka środek przeciwzapalny i podsunęłam Rubiowi do ust.

– Masz, połknij to.

Popatrzył na mnie podejrzliwie.

– Co to jest?

Westchnęłam.

– Środek przeciwbólowy. A myślisz, że co?

Zamiast odpowiedzi uniósł brwi.

– Świetnie. – Gwałtownie położyłam tabletkę na pokrywcę apteczki, poza zasięgiem Rubia. – Cassia!

Podniosła na mnie wzrok, a ja wskazałam głową kokpit. Potrzebowałyśmy miejsca, w którym Rubio nie będzie mógł nas podsłuchać.

– Co, zamierzacie mnie tutaj tak zostawić? – spytał, wijąc się na noszach.

– Właśnie. Burza mózgow. – Wciągnęłam się na drabinkę. – Lepiej odpocznij, skoro nie zamierzasz brać żadnych lekarstw.

Cassia podążyła za mną do kokpitu i dokładnie zamknęła za nami drzwi.

– Czy on mówił poważnie? – spytała; niepokój wyrył bruzdę między jej brwiami. – Jesteś pewna, że nikt nie będzie nas ścigał?

– On blefuje – odrzekłam, mając nadzieję, że się nie mylę.

– A jeśli nie? – rzuciła i objęła się ramionami.

– Wówczas to mnie będą tropić. Tobie nic nie zrobią.

Zmarszczyła brwi.

– Skąd wiesz?

– Ponieważ im nie pozwolę.

Cassia uśmiechnęła się i osunęła na fotel drugiego pilota.

– I kto teraz blefuje?

– Mówię serio – powiedziałam. Ale coś było nie w porządku. Cassia unikała mojego wzroku. – Dobrze się czujesz?

– Jasne – odpowiedziała natychmiast zbyt wesołym tonem. – Wszystko idzie zgodnie z planem.

Pochyliłam się nad pulpitem sterowniczym. Staralam się zignorować jej fałszywą pogodę ducha, żeby móc rozeznąć się w znaczeniu migających lampek i przesuwających się przez ekran odczytów napakowanych gęsto liczbami. Wskaźnik pola ochronnego zmienił kolor z żółtego na zielony, gdy przelatywaliśmy przez drobny pył zewnętrznego pasa asteroidów.

– Jesteśmy w odległości sześciu godzin lotu od stacji Ceres. – Wyjęłam z kieszeni moją mandarynę i podałam Cassii. – Sporządziłam listę rzeczy, których będziemy potrzebować, żeby doposażyć prom do dalszej podróży. Myślisz, że uda się nam znaleźć to wszystko?

– Czy kiedykolwiek tam byłaś? Na stacji Ceres? – Cassia przewinęła listę i odchyliła

się do tyłu w fotelu. – Jeśli coś nie jest przyspawane, można sprzedać to na Ceres.

– Co, zamierzasz sprzedać Rubia? – zażartowałam.

Spojrzała na mnie z powagą i zdałam sobie sprawę, że to wcale nie było zabawne. Spuściłam wzrok.

– Przepraszam – bąknęłam.

Potarła palcem ekran z odczytami telemetrii.

– Właściwie to znam kogoś, kto da nam dobrą cenę za ten statek.

Zamrugalam.

– Chcesz sprzedać prom? Ale... myślałam, że mówiłaś...

– Mówiłam, że muszę dotrzeć na Ceres. Możemy tam dostać kryję wyposażoną do podróży w Głęboką Próżnię.

– Kryję? – powtórzyłam i skrzywiłam się.

– Pewnie – rzekła Cassia. – A co, naprawdę sądziłaś, że stracimy czas na doposażenie tego statku? Zresztą twoi ludzie będą go szukać.

– A dlaczego nie? – spytałam.

Powiodłam wzrokiem wokoło po nowiutkich panelach kontrolnych, po nieskazitelnie czystych fotelach w eleganckim szarym kolorze. Nie było tu zbyt przestronnie, ale z pewnością lepiej niż w jakiejś kryję.

– To by zajęło zbyt wiele czasu. – Cassia ponuro wyjrzała przez przedni iluminator. – Tamci *Dakaici* już i tak mają nad nami kilka dni przewagi. Im dłużej przetrzymują Nethanela, tym mniejsze jest prawdopodobieństwo, że go odnajdziemy.

W zamyśleniu przygryzłam wargę.

– Więc ta osoba, która z nami zahandluje...

Cassia skinęła głową.

– Cukierczek.

– Mówisz do mnie? – spytałam i przeniknęło mnie uczucie będące skomplikowaną mieszaliną zakłopotania i przyjemności. „Dlaczego ona mnie tak nazywa?”.

Cassia spiekła raka.

– Nie. Cukierczek to... no, on jest kimś w rodzaju mojego wujka – wyjaśniła zażenowana.

– Kimś w rodzaju twojego wujka? – powtórzyłam, czerwieniąc się równie mocno jak ona.

– No, właściwie nie. – Zawahała się, szukając odpowiednich słów. – On i mój ojciec traktują się nawzajem jak bracia, chociaż naprawdę nimi nie są. Ale jeden zrobiłby dla drugiego wszystko.

Uniosłam brwi.

– I to znaczy, że on dla ciebie też zrobi wszystko?

– Prawdopodobnie tak.

Sposób, w jaki to powiedziała, niezbyt mnie przekonał.

– Prawdopodobnie?

Cassia spojrzała mi w oczy.

– Ufasz mi, tak?

Zawahałam się. Ufam, prawda? Inaczej nie byłoby mnie tutaj. Ale z drugiej strony, co to za historia z tym kotem? I dlaczego Cassia pozwoliła mi wierzyć, że

zmodyfikujemy prom, chociaż od początku chciała go sprzedać? Dlaczego mi o tym nie powiedziała?

– Tak? – powtórzyła pytanie i na jej twarzy odbił się niepokój.

Usiadłam naprzeciwko niej i delikatnie dotknęłam palcami jej palców. Miała ciepłe, miękkie dłonie, paznokcie gładkie jak muszelki wypolerowane wodą.

– Tak – odpowiedziałam. Spojrzałam na nasze dłonie, moje pokryte bliznami, i znowu na nią. – Tylko że... jeżeli działamy razem, nie możesz mieć przede mną tajemnic. Takich jak zamiar zabrania ze sobą Tibbeta czy sprzedaży promu. Musisz mówić mi o wszystkim.

– Przepraszam. – Kosmyk falistych włosów opadł jej na oczy i spojrzała na mnie poprzez niego. – Pomyślałam, że rozmyślisz się, jeżeli ci powiem.

Zmarszczyłam brwi.

– Dlaczego?

Wzruszyła ramionami i odwróciła wzrok.

– Cassia...

Potrząsnęła głową.

– Wszystko tak się skomplikowało.

Skrzywiłam się drwiąco.

– Myślisz, że boję się komplikacji?

– Nie. Tak – rzuciła zmieszana. – Nie byłam pewna.

– No więc się nie boję – oświadczyłam. – Tkwimy w tym razem, tak?

Cassia się zawahała. Odchyliłam się do tyłu, urażona.

– Czy ty nie ufasz mi?

– Chcę ci ufać – powiedziała. – Jesteś tutaj i w ogóle. Wiem, ile to znaczy. Tyle że... zawsze byliśmy tylko ja i mój brat. Ja i Nethanel, zwłaszcza od śmierci jego żony, Ume.

– No tak – rzekłam cicho.

Przez pewien czas byłyśmy tylko Ava i ja, zanim odszukałyśmy Sorayę. Tylko my dwie. Stanowiłyśmy zespół. Nigdy nie przestałam tak tego odczuwać, nawet kiedy poślubiła Rushila, a ja wyjechałam do Instytutu Głębinowych Sondowań.

Cassia zacisnęła usta i przez chwilę wydało mi się, że coś zamigotało w jej oczach.

– To co dla mnie robisz, jest...

– Nie robię tego tylko dla ciebie – powiedziałam. – To nie dlatego tu jestem.

Potarła oko. Jeden kącik jej ust uniósł się w szelmowskim uśmiechu.

– Wiem. Po prostu chcesz mieć więcej czasu na poznanie Tibbeta.

Napięcie między nami się rozwiało. Roześmiałam się.

– Aha. To mój ulubiony członek tej załogi.

– A nie Rubio? – spytała, unosząc brew.

– On jest zaraz po Tibbecie – przyznałam.

Obie zachichotałyśmy. Może i wpadłyśmy w beznadziejne tarapaty, ale przynajmniej nie byłyśmy same.

Pod nami wirowała stacja Ceres, rozpościerająca się na powierzchni karłowatej planety jak miedziana siatka przeświecająca spod czarnego lakieru. Kiedy zesliśmy niżej, ta siatka rozpadła się na milion bursztynowych lamp oznaczających rogi budynków

i płonących pod zakurzonymi sklepieniami stropami tuneli spajających stację. Uporządkowany wzór światła zakłócały olbrzymie otwory wiertnicze, rozjarzone łagodnym blaskiem, jak gdyby jądro planety zamieszkiwała kolonia robaczków świętojańskich.

– Jest ładna – szepnęłam, przesuając powoli drążki sterownicze do przodu.

– Tylko widziana stąd, z wysoka – powiedziała Cassia.

Zacumowaliśmy w pobliżu jednego z mniejszych odwiertów. Cassia sprawdziła więzy Rubia, a ja w tym czasie przetestowałam szczelność mojego skafandra ciśnieniowego. Przepisy Instytutu Głębinych Sondowań wymagają, żeby mieć na sobie taki skafander, ilekroć wkracza się w niestabilne środowisko, a z tego co mówiła Cassia, wywnioskowałam, że Ceres należy do tej kategorii.

– Będzie ci w tym gorąco – zauważyła i mocniej zacisnęła taśmę wokół lewego nadgarstka Rubia.

Ściągnęłam brwi.

– Czy oni nie wydobywają tam lodu?

– Tak tylko mówię. – Obeszła nosze i zaciągnęła pozostałe więzy Rubia. – Przynajmniej nie wkładaj na to jeszcze kurtki.

– Wiesz, ona ma rację – odezwał się Rubio. – Jest tam mnóstwo pyłu. Systemy cyrkulacji powietrza nie działają zbyt dobrze.

Spojrzałam na nich.

– Więc wy dwoje jednak w czymś się ze sobą zgadzacie?

Popatrzyli na siebie. Rubio prychnął, a Cassia odwróciła wzrok.

Gdy tylko otworzyliśmy zewnętrzne drzwi śluzy, załała mnie fala gęstego, gorącego powietrza. Nasz prom dokował wprost na podłodze hangaru wraz z kilkunastoma innymi niewielkimi statkami załadowującymi lub rozładowującymi towary. Wszystko pokrywała cienka warstwa pyłu – podłogę, gołe rury wijące się pod stropem, nawet mężczyźni i kobiety kierujących magnetycznymi wózkami pełnymi brył lodu wysokości człowieka. Nad naszymi głowami wirowały zgrzytliwie klimatyzatory usiłujące poradzić sobie z dwutlenkiem węgla wydychanym przez ten tłum ludzi.

Na naszych oczach jeden z klimatyzatorów się przegrzał. Wydał serię rozpaczliwych pisków i znieruchomiał. Dwaj mali chłopcy w podartych kombinezonach wspięli się szybko po drabince przyśrubowanej do ściany i pognali po rurach, wprawnie jak szczury biegnące po drucie. Jeden z nich sięgnął w głąb wlotu kanału wentylacyjnego i wygarnął garść czarnej mazi – złożonej prawdopodobnie z włosów, pyłu i zrzuconego naskórka, które zlepily się razem w wilgotnym powietrzu. Drugi usiadł okrakiem na przewodzie wentylacyjnym i wyjął z kieszeni mały wiatraczek. W parę chwil naprawili klimatyzator. Tłum na dole zaklaskał, a kilka osób rzuciło chłopcom w górę drobne monety lub ochłapy jedzenia.

– No, chodź. – Cassia szturchnęła mnie w plecy. – Bo zobaczą, że się gapisz.

Gdy wydostałyśmy się z doku i weszłyśmy do niskiej hali targowej, szczerze pożałowałam, że nie zostawiłam kombinezonu ciśnieniowego i nie ubrałam się, tak jak Cassia, w koszulę z krótkim rękawem i spodnie. W Mumbaju mieszka więcej ludzi, ale wypracowaliśmy tam sposoby, by nie wchodzić sobie w drogę, a gdy już nie możemy uniknąć ścisku, przynajmniej mamy nad sobą otwarte niebo. Tutaj krokwie sufitu

znajdowały się zaledwie metr nad głowami najwyższych mężczyzn, a kupcy sprzedający jedzenie lub używane części statków stali tak gęsto, że dla tłumu klientów zostało tylko wąskie przejście pośrodku hali. Wszyscy tłoczyli się, by zejść z drogi wózkom wiozącym bryły lodu do nabywców w dokach. Powietrze przenikał gęsty zapach syntetycznego oleju roślinnego i smażonych placków z delikatną domieszką odoru smaru. Cassia wyciągnęła do mnie rękę, a ja ją chwyciłam. Gdyby ten tłum nas rozdzielił, chyba już nigdy bym jej nie odnalazła.

– Dokąd idziemy? – krzyknęłam.

Odpowiedziała coś, ale zagłuszył ją hurgot wózków.

– Co? – spytałam.

– Do podziemi – powtórzyła.

Serce mi zamarło.

Zjechałyśmy otwartą windą towarową w dół szybu o ścianach z czarnej skały. Jedyne światło rzuciła lampa zawieszona na haku u szczytu kabiny oraz paski upiornie fosforyzującej farby wskazujące drogę. Spojrzałam w górę przez metalową kratę sufitu windy i dostrzegłam dwóch uliczników zjeżdżających na dachu kabiny – dwie niewielkie milczące sylwetki na tle maleńkiej kałuży światła.

Winda zatrzymała się przed wykutym w skale szerokim korytarzem prowadzącym do olbrzymiej śluzy. Chciałam wyjść z kabiny razem ze wszystkimi, ale Cassia pociągnęła mnie z powrotem.

– Jeszcze nie tutaj – powiedziała. – Chyba że chcesz wykopać trochę lodu.

Jeden z górników – chłopak kilka lat ode mnie – obejrzał się na nas, gdy Cassia zamykała metalową kratę windy. Zanim zjechałyśmy i zniknął mi z oczu, nasze spojrzenia spotkały się zaledwie na pół sekundy, lecz to wystarczyło, abym zobaczyła, że przez jego twarz przemknął wyraz lęku i niepokoju. Poza nami dwiema nikt inny nie został w kabinie.

– No, więc to miejsce, do którego jedziemy... – urwałam i odchrząknęłam. – Byłaś już tam kiedyś?

Cassia zerknęła w dół szybu.

– Raz czy dwa.

Popatrzyłam w górę. Tamci ulicznicy też zniknęli.

– A ten twój wuj Cukierczek... dlaczego przebywa tam na dole, na dnie odwiertów?

– On jest *shateigashira* na Ceres – odrzekła po prostu.

– Kim?

– No wiesz, jakby szefem – powiedziała.

Zmarszczyłam brwi.

– Szefem stacji?

Dlaczego nie powiedziała mi o tym wcześniej? I dlaczego do biura szefa stacji trzeba zjeżdżać windą aż na dno opuszczonego szybu wiertniczego? Moje dłonie w rękawiczkach zaczęły się pocić.

– Nie. – Cassia przecząco pokręciła głową. – To nie tak. Wiesz, czasami ktoś jest oficjalnym kierownikiem, ale tak naprawdę wszystkim kieruje ktoś inny.

– No tak – bąknęłam zaniepokojona.

– Cukierczek jest właśnie kimś takim. – Odgarnęła za uszy kilka niesfornych

kosmyków włosów. – To z nim się spotykasz, jeżeli chcesz coś załatwić.

– Zaraz, więc twój wuj jest... – szukałam w pamięci odpowiedniego słowa i w końcu natrafiłam na zapamiętane z jednego z ulubionych starych filmów Avy i Rushila – gangsterem?

– Nie jest gangsterem, tylko *shateigashira*.

Chaila. Najpierw kot, potem porwanie, a teraz zorganizowana przestępczość? „Nie możesz tak łatwo każdemu ufać, Mi”. Ava ostrzegła mnie, kiedy opowiedziałam jej o Kiran i grze w butelkę. „Musisz być ostrożna. Najpierw poznaj daną osobę”. Odepchnęłam od siebie jej głos. Co ona mogła o tym wiedzieć? Znałam Vishwę lepiej niż niemal kogokolwiek innego, a jednak tamtego wieczoru przed klubem wbiła mi nóż w plecy. Zresztą, Cassia i ja byliśmy już teraz głęboko pod stacją Ceres, a w ładowni ukradzionego przez nas statku leżał związany pilot Instytutu Głębinowych Sondowań. Już dawno minął czas na wątpliwości czy wycofanie się.

Na dnie szybu powitała nas ciemność. Wyszliśmy z windy do czegoś przypominającego jedną z mumbajskich rur kanalizacyjnych o przekroju mniej więcej dwóch metrów. Owalne betonowe ściany były pomalowane farbą fosforyzującą, a na dnie zebrała się breja błota i stopionego lodu, tworząc ciemną linię biegnącą wzdłuż jarzącego się podłoża. W mroku przed nami coś świergotało i skrobało.

– Halo! – zawołała Cassia w ciemną pustkę. Odpowiedziało jej tylko drżące echo. – To ja, Cassia, córka Kaldera.

Cisza. Cassia oblizwała usta i spróbowała jeszcze raz:

– Cukiereczku, musimy się z tobą spotkać.

Jedno uderzenie serca. Drugie. I wtedy z cieni za zakrętem tunelu wyłoniły się dwie ludzkie sylwetki. Miały na sobie łachmany i pomalowane na czarno kamizelki kuloodporne, a u ich boków wisiały paralizatory o dziwnym kształcie. Nie, nie paralizatory, lecz rewolwery. Prawdziwe rewolwery.

„Otocza nas skała – usiłowałam uspokoić siebie. – Nie ma żadnego ryzyka dekompresji”. Ale spowodowanie dekompresji to nie jedyny sposób, w jaki pocisk z broni palnej może zabić.

Cassia bez słowa wystąpiła naprzód i wyciągnęła ręce przed siebie, żeby ci strażnicy mogli ją przeszukać. Postąpiłam za jej przykładem, starając się nie patrzeć na ich rewolwery ani nie wdychać kwaśnego odoru potu. Za nimi szczur smyrgnął przez breję, znieruchomiał i wpatrzył się w nas. Jedno z jego oczu pałało jaskrawą elektryczną czerwienią.

Strażnicy poprowadzili nas w głąb rozjarzonych tuneli kanalizacyjnych, obok wykutej w skale śluzy i dalej przez ledwie oświetlony korytarz, w którym wzdłuż ścian stały brzęczące wielkie zamrażarki oraz skrzynie. Zza tych skrzyń i z wnętrz nisz wykutych w skale przyglądało się nam jeszcze więcej szczurów. Nigdy nie bałam się tych gryzoni – to pająki budzą we mnie przerażenie – jednak zadrżałam. Było ich zbyt wiele, zbyt wiele czerwonych oczu błyskawicznie pojawiała się w polu widzenia i znikało.

W końcu dotarliśmy do metalowych drzwi przesuwanych na rolkach. Jeden ze strażników walnął w nie pięścią.

Jego komunikator ożył i syknął:

– Co jest?

– Goście do Cukiereczka – wyjaśnił strażnik i zaskoczyło mnie wysokie, kobiece, niemal słodkie brzmienie jego głosu.

Przez kilka sekund panowała cisza, a potem odpowiedziano:

– On nikogo nie oczekuje.

Cassia chwyciła tę strażniczkę za przegub i nachyliła się do komunikatora.

– Powiedzcie mu, że to Cassia Kaldero.

Strażniczka szarpnięciem uwolniła rękę i sięgnęła po rewolwer, lecz zanim zdążyła rzucić Cassię na ziemię, drzwi zaskrzypiały, a ciemność przeciął wąski snop światła, gdy zaczęły się z hurgotem otwierać.

Zamrugałam i uniosłam rękę, by osłonić oczy. Z sufitu długiej sali przed nami zwisały rzędy lamp rtęciowych, które oblewały ściany czerwonym blaskiem, upodabniając wnętrze do gardzieli wieloryba. Ścianę z tyłu zapełniały setki monitorów jarzących się nikłą zielenią. Mała grupka mężczyzn i kobiet stała przy stole, spoglądając na zestaw smoliście czarnych egzemplarzy ręcznej broni palnej rozłożonych na blacie. Gdy weszliśmy, zeszywnieli w napięciu, z rękami zawieszonymi nad bronią.

Od stołu odstał masywny mężczyzna o ziemistej cerze, ze szczecina krótko ostrzyżonych, rozjaśnionych włosów. Czarno-zielone tatuaże pełżyły w górę jego karku i otaczały podstawę czaszki. Jego koszula musiała być kiedyś biała, ale lata kontaktu z potem i pyłem zmatowiły ją do odcienia wodnistej szarości. Oczy miał czarne, bystre, wąsko osadzone po obu stronach krzywego nosa, który wyglądał, jakby złamano go więcej niż raz.

– Ach. – Uśmiechnął się, odsłaniając garnitur zębów w ciemnobrązowym kolorze pancerza żuków, i wyciągnął rękę. – Cassia. Najmłodsza z rodziny Kaldero. Jak się masz, moja droga?

Mankiety jego koszuli podciągnęły się, ukazując kolejne tatuaże na grzbietach dłoni.

– Witaj, wujku – powiedziała Cassia i pozwoliła, by objął ją w powitalnym uścisku.

Reszta grupy wokół stołu odprężyła się i powróciła do uważnego oglądania rozłożonego przed nimi arsenału broni.

– Dawno cię nie widziałem. – Cukierczek cofnął się i zmierzył Cassię od stóp do głowy spojrzeniem zdecydowanie nieprzystającym wujkowi. – Zbyt dawno.

Dziewczyna zeszywniała, ale nie przestała się uśmiechać.

– Istotnie – przyznała.

Cukierczek przeniósł leniwe spojrzenie na mnie.

– A to kto? – spytał. Zmarszczył brwi i pogroził Cassii palcem, po czym wolnym krokiem ruszył do skupiska sof z białej skóry pod ścianą monitorów. – Myślałem, że twój ojciec lepiej cię wychował i nauczył, by nie przyprowadzać niezapowiedzianych gości.

– Miyole jest w porządku. – Cassia rzuciła mi ukradkowe spojrzenie, gdy szliśmy powoli za Cukierczkiem. – A mój ojciec jest ranny, inaczej sam by się tu zjawił.

Coś przemknęło przez twarz Cukiereczka – być może niepokój albo zaskoczenie – ale równie szybko zniknęło i mężczyzna znów przybrał łagodną minę i przymknął oczy. Opadł na jedną z sof i rozłożył ręce na jej oparciu.

– A więc wpadłeś w jakiś kłopot, mała urwisko?

Z daleka meble wyglądały na nieskazitelnie czyste, nawet dziwnie luksusowe na tle podłogi z gołego betonu, ale z bliska widać było na poplamionej skórze setki rozdarć i pęknięć. Obrazy na monitorach drgały i kołysały się gwałtownie – jeden ukazywał tamten fosforyzujący tunel widziany z poziomu gruntu, inny z wysokości zamrażalnika, a na kilku widać było tylko błyszczące upiornie zwierzęce oczy. „Szczury”, uświadomiłam sobie.

Cassia stanęła wyprostowana przed wujkiem.

– Dopadli nas jacyś bandyci. Rozwalili nasz statek, porwali Nethanela...

Cukiereczek uważnie obejrzał swoje paznokcie.

– To smutna historia.

– Nie, jeśli się go odbije – rzekła Cassia.

Cukiereczek gwałtownie poderwał głowę i spojrzał ostro na dziewczynę; jego swobodne zachowanie zniknęło bez śladu.

– I oczekujesz, że ja to załatwię? Ze względu na dawne czasy?

– Nie ty – odparła. – Pomożesz mi to załatwić. Czy dwadzieścia lat wspólnych transakcji nie jest warte jednej przysługi?

Cukiereczek potarł podbródek.

– O co prosisz?

– Pożycz mi jakiś statek. Kryję, cokolwiek, żebym mogła ruszyć za nimi w pościg.

Mężczyzna uniósł brew.

– A więc wiesz, gdzie oni są?

Cassia i ja wymieniliśmy spojrzenia. Znałyśmy ich sygnał identyfikacyjny, ale w żadnym razie nie wiedziałyśmy, dokąd polecieli.

Cukiereczek westchnął.

– Jaki to był statek?

Wyjęłam mandarynę i odszukałam sygnaturę statku tych *Dakaitów*.

– Nazywa się Proioxis – powiedziałam i podałam mu urządzenie.

Cukiereczek mnie zignorował. Nadal spoglądał tylko na Cassię.

– Mała urwisko, to statek Sönerów.

Drgnęła, ale tylko nieznacznie.

– Wiesz, co to oznacza? – spytał.

Skinęła głową.

Poczułam, jak moją klatkę piersiową przenika zimno. Nie wiedziałam, kim są Sönerowie, ale jeżeli budzili respekt w Cukiereczku, wcale nie pragnęłam się dowiedzieć. W Mumbaju mamy niemało groźnych mężczyzn i kobiet, między innymi ciotkę Rajni. Lecz Cukiereczek to całkiem odmienny typ.

Próbowałam pochwycić spojrzenie Cassii, ale nie patrzyła na mnie. Dłonie okropnie mnie swędziały.

Cukiereczek rozparł się na sofie.

– Twój ojciec zabiłby mnie, gdyby się dowiedział, że pozwoliłem jego najmłodszemu dziecku ścigać samotnie Sönerów Neitibu.

– Nie jestem sama. – Cassia wreszcie spojrzała na mnie. – Jest ze mną Miyole.

Mężczyzna rzucił na mnie okiem.

– Wybacz, ale nie całkiem mnie to przekonuje.

- Ruszymy za nimi tak czy inaczej. Mamy prom, możemy go doposażyć...
- Prom? – spytał Cukierczek i wyprostował się.
- Tak – ciągnęła pośpiesznie Cassia. – Ale z twoją pomocą byłoby o wiele szybciej. Cukierczek w milczeniu potarł brodę.
- Proszę, wujku – rzekła Cassia. – Wiem, że ty też ich nienawidzisz. Na twarzy mężczyzny błysnął uśmiech.
- Wróg mojego wroga jest moim przyjacielem. Czy nie tak, mała urwisko? Ale wiesz, że nie zajmuję się działalnością dobroczynną. Prosisz o wiele – nawet jeśli wziąć pod uwagę dobro twojego ojca.
- Wiem.
- Więc co w zamian zrobisz dla mnie? – zapytał i przechylił głowę na bok, ukazując wytatuowaną z boku szyi trupią czaszkę z długimi zębami.
- Wszystko – odrzekła bez wahania Cassia. Cukierczek uśmiechnął się szerzej.
- Dobra odpowiedź.

Razem z Cukiereczkiem i jego ochroniarzami zagłębiliśmy się w system tuneli wykutych w jądrze asteroidy. Gdzieś nad nami przez skałę przeniknęło odległe dudnienie.

– Sönerowie? – syknęłam do Cassii. – Co to takiego?

– Grupa separatystów. „Synowie Tubylców” – mruknęła. – Władają częścią księżycy Enceladus.

Zmarszczyłam brwi.

– Wcale nie. Władają tam rząd satelity.

Wiedziałam, o czym mówię. Na księżycu Enceladus wyhodowano elementy konstrukcyjne Ranganathana i wszystkich bliźniaczych statków.

– Już ci mówiłam – rzekła Cassia znużonym głosem. – Oficjalnie tak, jednak w rzeczywistości... – urwała, gdy odwrócił się do nas Cukiereczek.

– A więc jesteśmy na miejscu – oznajmił, rozpościerając szeroko ręce.

Za nim tunel wychodził na ciśnieniowy hangar o ścianach z nagiej skały. Znajdowała się w nim kolekcja statków w różnym stanie. Niektóre miały kadłuby pokiereszowane i osmalone ogniem, inne stały na podnośnikach, a z ich odsłoniętych wnętrzności zwisały rury systemu chłodzenia i przewody elektryczne. Cukiereczek poprowadził nas do masywnego statku, dwa razy większego od naszego promu i dwadzieścia razy starszego, ale w zasadzie nieuszkodzonego. Jego przedni iluminator pokrywała gruba warstwa brudu przypominającego szlam.

– Napęd hybrydowy. Ładownia o powierzchni dwudziestu metrów kwadratowych i część mieszkalna mogąca pomieścić dziesięć osób – powiedział Cukiereczek. – Jadalnia i kambuz są w jednym pomieszczeniu, ale bardzo obszernym.

Cassia przyjrzała się statkowi.

– Jak się nazywa?

– Mendicant – odpowiedział Cukiereczek.

Kiwnęła głową.

– Nada się dla nas.

– Dobrze – rzekł mężczyzna i dał znak brodą jednemu z ochroniarzy, który zawrócił w kierunku, z którego przyszliśmy, i po chwili zniknął nam z oczu. – W takim razie go załadujemy.

Uruchomił rampę załadowniczą doku i machnięciem ręki przywołał grupę mężczyzn toczących po podłodze hangaru dwustulitrowe beczki. Część „wszystkiego” obiecanego przez Cassię.

Odciągnęłam ją na bok.

– Nada się dla nas? Zwariowałaś?

Wzruszyła ramionami.

– Cukiereczek mówi, że to solidny statek.

– Skąd mamy wiedzieć, czy w ogóle jest na chodzie? – spytałam i zerknęłam na naszego dobroczyńcę.

– Jeżeli on mówi, że ten statek lata, to znaczy, że lata – rzekła. – Nie załadowałyby swoich towarów na uszkodzoną jednostkę.

– Och, bardzo się cieszę, że tak się troszczy o swoje towary – rzuciłam, przewracając oczami.

– Wiesz, co mam na myśli.

– Nie podoba mi się to. – Potrząsnęłam głową i przyjrzałam się beczkom. – Czy w ogóle spytałaś go, co każe nam przewieźć? I właściwie dokąd?

„Dowiecie się w swoim czasie”, powiedział nam wcześniej, lecz to wcale nie rozwiało moich wątpliwości.

– Czy to ważne? – Cassia skrzyżowała ramiona na piersi. – Zapomniałaś, co niedawno mówiłaś o tym, że powinnyśmy ufać sobie nawzajem?

Przesunęłam dłonią po moim warkoczu.

– To nie to, że ci nie ufam, tylko nie porywa mnie robienie interesów z szefami gangów.

– On nie jest szefem gangu, lecz...

– *Shateigashira*. – Uświadomiłam sobie, że mówię przypuszczalnie na tyle głośno, by Cukiereczek mógł mnie usłyszeć, i zniżyłam głos do szeptu. – Tak, wiem. Sądziłam, że okaże się trochę bardziej pomocny, skoro rzekomo jest twoim wujkiem i tak dalej.

– Gdyby nie był moim wujkiem, kazałyby zastrzelić nas na miejscu.

– Moje panie.

Wzdrygnęłam się, przestraszona.

– Pozostała do omówienia jeszcze tylko jedna kwestia, zanim dobijemy targu – powiedział Cukiereczek z uprzejmym uśmiechem.

Cassia pobladła.

– Tak?

– Potrzebuję jakiejś gwarancji, że po prostu nie odfruniecie tym moim małym ptaszkiem. – Uczynił dłońmi gest naśladujący trzepotanie skrzydeł. – Porozmawiajmy o zabezpieczeniu.

– No cóż... jest ten prom – powiedziała, rzucając mi ukradkowe spojrzenie pełne poczucia winy.

Zacisnęłam usta w wąską linię. To, że się zgodziłam, nie oznaczało, że byłam tym zachwycona.

– Ach, tak – rzekł Cukiereczek.

– Jednostka Instytutu Głębinowych Sondowań – mówiła dalej. – Całkiem nowa, ma za sobą tylko krótki lot tutaj.

Zaciekawiony Cukiereczek uniósł brew.

– Instytutu Głębinowych Sondowań? – powtórzył i popatrzył na mnie, jakby dopiero teraz mnie zauważył, jakby w końcu odkrył wzór wyjaśniający powód mojego istnienia.

Nachyliłam się blisko do Cassii.

– Nie mogę uwierzyć, że chcesz prehandlować nowiutki prom IGS za takie główniane *tatti* – wymamrotałam pod nosem. – Z pewnością mógłby dać nam jakiś lepszy statek.

– To nie handel, tylko zabezpieczenie – odszepnęła, rzucając nerwowe spojrzenie na Cukiereczka.

– To szantaż.

– Mam to gdzieś – odparła. – Weźmiemy ten statek.

– Moja droga – przerwał nam Cukierczek i sięgnął po moją rękę. – Powiedziałaś, że jak się nazywasz?

Nerwowo przełknęłam ślinę. *Vaat*. Powinnam była trzymać buzię na kłódkę i nie narzekać.

– Miyole Guiteau.

– Miyole. – Obrócił to słowo w ustach i uśmiechnął się kwaśno. – Pozwól, że wyjaśnię ci sytuację. Ukradłaś prom IGS i przyprowadziłaś go na mój teren.

Otworzyłam usta, żeby zaprotestować, ale uciszył mnie machnięciem ręki.

– Nie zadawaj sobie trudu, by zaprzeczać. Nie przyszłabyś do mnie, gdybyś nie wpadła w jakiś kłopot. – Zgniół moją dłoń w mocnym uścisku. – A teraz sprowadziłaś ten kłopot na mnie.

– Nie zamierzałyśmy... – wtrąciła Cassia ze skruszoną miną.

– Oczywiście, że nie zamierzałyście. – Mężczyzna jeszcze mocniej ścisnął moją dłoń. – Ale kradziony prom IGS jest dla mnie bezużyteczny, wszystko jedno, nowy czy nie. Gdybym go sprzedał, to tylko na części, więc ciesz się, że w ogóle jestem skłonny brać go pod uwagę jako zabezpieczenie. Zatem podziękuj mi za moją szczerą pomoc i zapomnij o sprawie.

Nadal się uśmiechał, niemal miażdżąc mi palce.

– Dziękuję – powiedziałam schrypniętym głosem.

– Ależ nie ma o czym mówić – odrzekł. Rozluźnił uścisk i pogładził mnie po ręce, zanim ją puścił. Odwrócił się do Cassii i uniósł jej dłoń do ust. – Moja droga, ubijanie interesu z twoją rodziną to przyjemność, jak zawsze.

Powiedziawszy to, oddalił się w kierunku mężczyzn ładujących beczki do naszej nowej krypy.

Drgnęłam, gdy Cassia położyła dłoń na moim ramieniu.

– Musimy przekazać mu prom – powiedziała miękko.

W jej głosie brzmiała nuta przeprosin, lecz udałam, że tego nie usłyszałam.

– Racja – powiedziałam i wmaszerowałam do tunelu.

Jeśli będę szła wystarczająco szybko, nikt nie zauważy, że drzę. Nie wiedziałyśmy, co przewozimy ani do kogo, a naszym jedynym alternatywnym wyjściem było zrezygnowanie z całego planu. Dotychczas w mojej głowie wszystko to wyglądało całkiem inaczej. Miało sens. Było wykalkulowanym ryzykiem. Teraz jednak ilość zmiennych mnożyła się w sposób, jakiego nigdy nie przewidywałam, a nie mogłam, jak w laboratorium, cofnąć się i ponownie przeprowadzić eksperyment. To się działo naprawdę. To było moje życie, które w szybkim tempie stawało się podręcznikowym przykładem teorii chaosu.

Cassia podążyła za mną, a kilka metrów za nami włókł się jeden z zamaskowanych strażników. Obecnie Cukierczek miał Cassię i mnie w garści, nie było więc już potrzeby ścisłego pilnowania nas.

Cassia mnie dogoniła.

– Nie miałam innego wyboru – powiedziała. Teraz gdy układ został już zawarty, mówiła tonem łagodnym, perswadującym. – Tylko w ten sposób możemy odnaleźć Nethanela.

Ruszyłam dwa razy szybszym krokiem. Może i miała rację, ale nie musiało mi się to

podobać.

W milczeniu minęłyśmy drzwi prowadzące do kryjówki Cukiereczka i przeszłyśmy korytarzem zastawionym zamrażarkami. Śledziły nas czerwone oczy szczurów. Żadna z nas się nie odezwała, dopóki nie znalazłyśmy się znowu w windzie.

– Miyole – powiedziała wtedy Cassia proszącym tonem.

Westchnęłam.

– Rozumiem, w porządku? Stało się.

Wiedziałam od początku, że Cassia uczyni wszystko, by odszukać brata. Nie doceniłam tylko rozmiarów tego „wszystkiego”.

Wjechałyśmy windą z powrotem do głównego hangaru. Prom był nietknięty, z wyjątkiem osłony drzwi, na której ktoś wydrapał słowo *busu*. Jednak już w momencie, gdy rozsunała się kłapa wjazdu, wiedziałam, że stało się coś złego. Wszystkie światła paliły się jaskrawo. Uniosłam rękę i posłałam Cassii zaniepokojone spojrzenie. „Ostrożnie”. Panujące w doku zgiełk i gwar cichły, gdy skradałyśmy się w górę rampy załadowniczej. Ujrzałyśmy nosze na kółkach. Puste.

Kątem oka dostrzegłam jakiś ruch i odwróciłam się akurat w porę, by zobaczyć, że Rubio zamachnął się z całej siły butlą z tlenem, mierząc w tył głowy Cassii.

– Nie! – krzyknęłam.

Cassia wzdrygnęła się i uchyliła, jednak nie na tyle szybko, by uniknąć uderzenia. Butla z okropnym głuchym łupnięciem trafiła ją w bok czoła. Dziewczyna osunęła się bezwładnie na skraj rampy, oczy uciekły jej w głąb czaszki, a przy lewej brwi pojawiła się głęboka rana.

Rubio spojrzał w dół na Cassię. Leżała nieruchomo. Oddech uwiązał mi w gardle, a krew zakrzepła w żyłach. Rubio zatoczył się do tyłu, upuścił poplamioną krwią butlę z tlenem i popatrzył na mnie. To nie mogło dziać się naprawdę. Lada moment Cassia uniesie rękę do głowy i wstanie. Ale nie zrobiła tego. Jedyne co się poruszało, to krew zalewająca jej czoło i włosy. Pusty wzrok miała wbity w sufit. Czy umarła? Niemożliwe. Nie mogła w jednej chwili żyć, a w następnej zginąć na moich oczach. To się nie mogło zdarzyć.

Rubio rzucił się do ucieczki. Moje serce znów ruszyło, a czas wznowił bieg.

– Nie! – krzyknęłam jeszcze raz.

Przeskoczyłam przez Cassię i pognałam za nim w dół rampy, w rojący się tłum. Rubio zerknął za siebie i rzucił się w gęsty potok ludzi, przepychając się pod prąd. Skoczyłam za nim, klucząc i torując sobie drogę łokciami. „Ona nie mogła zginąć. Nie mogła”.

W naszym kierunku zmierzał z hurgotem wózek z bryłami lodu, odcinając mu drogę. Rubio zatrzymał się gwałtownie, rozejrzał się na boki i skręcił w lewo. Przebiłam się na ukos przez tłum i popędziłam za nim, ale biegł szybciej, nie obciążony grubym kombinezonem ciśnieniowym. Zaraz mi ucieknie. „Cała ta krew...”.

– Stój! – zawołałam. Przepchnęłam się do przodu i wskazałam na jego plecy. – Niech ktoś go zatrzyma!

Stojąca najbliżej kobieta popatrzyła na mnie przelotnie i zaraz odwróciła wzrok, lecz poza tym dok nadal tętnił swoim zwykłym chaotycznym rytmem. Warkot

klimatyzatorów i zgiełk głosów zagłuszyły mój okrzyk. Jeżeli on ucieknie, zawiadomi IGS. Zamkną mnie za współudział, a jeśli Cassia nie żyje – „nie może, nie może, ale było tyle krwi, a jej oczy...” – nikt nigdy nie odnajdzie Nethanela.

„Myśl, Miyole”.

Spojrzałam w górę. Nade mną na rurze systemu wentylacyjnego siedział jeden z tamtych uliczników i obgryzał coś, chyba kość kurczęcia.

– Hej! – zawołałam do niego. – Ty!

Otarł tłuszcz z twarzy.

– Czego?

– Pomóż mi go zatrzymać – poprosiłam, wskazując na Rubia.

Oczy mu się zwęziły.

– Co będę z tego miał?

Myślałam gorączkowo. Czego mógł chcieć ten dzieciak? Z czego mogliśmy zrezygnować?

– Jedzenie – powiedziałam. – Mamy jedzenie.

– Jak dużo? – spytał.

– Nigdy się nie dowiesz, jeśli go nie zatrzymasz, prawda? – warknęłam.

– No dobra, dobra – rzucił.

Wetknął kość do kieszeni, zerwał się na nogi i pomknął po rurach.

Pobiegłam za nim po podłodze hangaru najszybciej, jak zdołałam, torując sobie łokciami drogę w tłumie. Nade mną chłopak skręcił gwałtownie w lewo na rurę krzyżującą się z tą pierwszą, a potem zeskoczył z jej krawędzi. W tłumie rozległy się zaskoczone okrzyki, gdy wylądował na podłodze. Przyśpieszyłam. Chłopak przywarł do nogi Rubia jak leniwiec do pnia i ugryzł go w piszczel.

Rubio krzyknął i upadł, usiłując strząsnąć z siebie napastnika. Ale było już za późno. Skoczyłam na niego, wyduszając mu powietrze z płuc, i przygwoździłam go do wilgotnego, brudnego podłoża. „Krew, jej oczy...” Ulicznik odczołgał się od tej bójki.

Zamierzyłam się pięścią w twarz Rubia. Nigdy dotąd nikogo nie uderzyłam. Nie musiałam. Teraz moje kłykcie trafiły w jego kość policzkową i rękę przeszył mi palący ból, lecz nie przejmowałam się tym. „Tyle krwi, jej czaszka i oczy. Leżała tam krwawiąc, z pustym wzrokiem”. W tyle mojej głowy głos Sorai ostrzegał mnie, że przemoc nigdy do niczego nie prowadzi, a gdzieś głębiej narastało we mnie mdlące, rozedrgane uczucie, jakiego doznaję, gdy jestem bliska przypomnienia sobie czegoś zepchniętego na dno pamięci. Odsunęłam od siebie to wszystko i znowu zamachnęłam się pięścią, mgliście świadoma tłumy gromadzącego się wokół nas.

Rubio zablokował mój cios. Kopnął mnie kolanem w bok i zrzucił z siebie. W moich żebrach zapłonął ból. Rozorałam Rubiowi paznokciami policzek i szyję.

– *Putamadre!* – zaklął i przycisnął dłonie do twarzy. Szybkim kopniakiem trafiłam go w jądra. Krzyknął i zgiął się w pół.

Podniosłam się i znowu go kopnęłam, tym razem w brzuch. „Krew, jej oczy. Nie mogła umrzeć, ale być może jednak nie żyje”. Wprawdzie moje ręce nie były tak silne jak Rubia, ale lata wędrówek i przejazdów konnych w Mumbaju sprawiły, że mięśnie łydek miałam mocne jak stal.

– Ona nie żyje! – krzyknęłam.

Twarz miałam moką od łez, a ręce i nogi trzęsły mi się z zimnej furii. Zapomniałam o Sorai. Zapomniałam o cywilizacji i wszystkich jej wartościach. Byłam sama na pogranicznej placówce, z chłopakiem, który zamordował jedyną osobę w promieniu tysiąca lat świetlnych, jaka mnie chciała, potrzebowała.

– Zabiłeś ją!

– Daj mu wycisk, dziewczyno! – zawołał ktoś w tłumie i poparły go okrzyki innych wokół mnie.

Znieruchomiałam, oddychając ciężko, i uniosłam głowę. Ruch w hangarze stanął i otoczył nas krąg ludzi, a ulicznik przysiadł na rurze nade mną. Na ich twarzach malowała się zwierzęca złośliwa satysfakcja. Odgarnęłam z oczu pasma włosów, które wymknęły się z mojego warkocza. Leżący na podłodze przy moich nogach Rubio jęknął.

Co ja robię? Cofnęłam się i rozwarłam pięści; cała krew odpłynęła mi z klatki piersiowej. Moje serce waliło w mostek jak w bęben. Rubio już się nie bronił. Czy naprawdę zamierzałam zatłuc go na śmierć na oczach wiwatującego tłumu? Chwyciłam go za ramię i dźwignęłam na nogi.

– Chodź – mruknęłam.

Być może od cywilizacji dzieliły mnie miliony kilometrów, ale coś z niej nadal we mnie zostało.

W tłumie rozległ się jęk zawodu. Gęsta gromada ludzi wokół nas zaczęła się rozpraszać.

Wykręciłam Rubiowi rękę za plecy i poprowadziłam go do promu. Potrzebowałam czasu, by pomyśleć, bez adrenaliny zakłócającej mój trzeźwy osąd. Potrzebowałam czasu, by rozstrzygnąć, co zrobić z Rubiem. Chwilowo jednak będzie musiał stawić czoło temu, co uczynił. Będzie musiał spojrzeć na Cassię, a jeśli miał w sobie choćby odrobinę przyzwoitości, ogarnie go poczucie winy.

Nikt nie zwracał na nas uwagi, a tym bardziej nie próbował nas zatrzymać, gdy pchałam Rubia z powrotem tam, skąd przyszlismy.

– Jak mogłeś to zrobić? – wycodziłam przez zęby. – Przecież mógłbyś się wymknąć, uciec. Dlaczego zamiast tego... – urwałam, słowa uwięzły mi w gardle.

Nie powinnam była nigdy złościć się na Cassię, odmawiać jej czegokolwiek, gdy starała się odnaleźć brata. „Jej oczy, krew...”

– Nie miałem czasu. Zresztą, ona zrobiła mi to samo – rzekł Rubio i dotknął bolącego miejsca na potylicy. – Nie zamierzałem tak mocno jej zranić.

– Zabiłeś ją. – Poczułam ucisk w piersi. Wypowiedzenie tych słów przeszło mnie bólem. – Ona nie żyje.

– Nie wiesz tego – odparł.

Zbliżyłam się do niego; znowu wezbrał we mnie gniew.

– Zmiażdżyłeś jej głowę.

– Ej, panienko! – usłyszałam. Poczułam, że ktoś szarpie mnie za rękaw, i spojrzałam w dół. Tamten ulicznik patrzył na mnie gniewnie. – Powiedziałaś, że macie jedzenie.

Westchnęłam, ogarnęło mnie nagle znużenie.

– Mamy. Na statku.

Ulicznik przyjrzał się podejrzliwie włazowi promu.

– Nie wejdę tam. Tam jest krew i powiedziałaś, że to morderca.

Rubio zbladł.

– Zaczekaj tutaj – rzekłam do chłopca.

Złapałam Rubia za ramię i popchnęłam go w górę rampy. Nie opierał się, ale gdy dotarliśmy do szczytu pochylni, gdzie widniały kałuże krwi Cassii, zatrzymał się gwałtownie.

– Co? – rzuciłam. – Boisz się spojrzeć na to, co zrobiłeś?

Ruszyłam, żeby go ominąć, i wtedy zobaczyłam to samo co on.

Na noszach siedziała oszołomiona Cassia z zakrwawioną twarzą. Żywa.

– Cassia! – zawołałam i podbiegłam do niej.

Pragnęłam objąć ją i przytulić do siebie. Pragnęłam jej dotknąć i upewnić się, że to nie złudzenie. Pragnęłam ją pocałować. Pocałować z ulgą, lękiem i łzami radości, ponieważ żyła. Ale była ranna, a poza tym nie wiedziałam, czy chciałaby tego, więc zatrzymałam się na odległość wyciągniętej ręki.

– Nic mi nie jest – oświadczyła.

Skinęła głową, a potem spostrzegła Rubia stojącego z rozdziawionymi ustami przy włazie. Twarz pod okiem zaczęła mu już puchnąć i pojawił się tam siniak, a ślady po moich paznokciach wyglądały teraz raczej jak wyżłobione dłutem.

– Nie da się powiedzieć tego samego o tobie – rzekła do niego.

Rubio wpatrywał się w nią takim wzrokiem, jakby ujrzał ducha.

– Nie zabiłem cię – powiedział głosem nabrzmiałym ulgą.

Dotknęła otwartej rany na głowie. Gdy cofnęła rękę, palce miała we krwi.

– Następnym razem będziesz musiał bardziej się postarać.

Skrzywiła się i rzuciła mu gniewne spojrzenie.

Rubio nagle zachichotał. Popatrzyłam na niego przerażona. Mogłabym dać mu w twarz, tylko że coś w jego śmiechu budziło we mnie lęk.

– Umyjmy cię – zwróciłam się do Cassii. – Rubio...

Przerwał mi wybuch jego histerycznego śmiechu.

– Rubio – powtórzyłam bardziej stanowczo. Nie miałam czasu się nim zajmować. Wskazałam jedną z toreb Cassii. – Zajrzyj tam i znajdź jakiś prowiant dla tego chłopca.

Podszedł do torby, wciąż śmiejąc się tak mocno, że łzy ciekły mu po twarzy. Przestałam zwracać na niego uwagę i wyjęłam z naszego pojemnika z przyborami medycznymi szmatkę nasączoną środkiem dezynfekcyjnym.

– Nie obawiasz się, że on ucieknie? – wymamrotała Cassia, gdy ocierałam jej krew z czoła, uważając, by nie urazić rany.

Krwawienie się zmniejszyło, ale jeszcze nie ustało. Cassia miała szczęście. Obie miałyśmy szczęście.

Zerknęłam na Rubia, który nadal śmiejąc się do siebie, schodził chwiejnie po trapie.

– W tym momencie nie obchodzi mnie to – odrzekłam. – Ciekawe jak by przetrwał na stacji Ceres.

Znowu przysunęłam szmatkę do jej czoła, ale Cassia złapała mnie za nadgarstek.

– Dziękuję ci – powiedziała.

Spuściłam głowę, odwróciłam wzrok, twarz oblał mi gorący rumieniec.

Cassia delikatnie musnęła dłońią mój policzek. Ujęła mnie pod brodę i uniosła mi głowę, tak że patrzyłyśmy sobie w oczy. Jej miały barwę niebieskawozieloną, niczym

Pacyfik w słoneczny dzień, z rzęsami złocistymi jak jej włosy. Twarz Cassii była blada od utraty krwi, przez co jej piegi wydawały się ciemniejsze.

– Dziękuję ci – powtórzyła.

Oparłam swoje czoło o jej i zamknęłam oczy. Wsunęła palce pod to, co zostało z mojego warkocza, i powiodła kciukiem po moim uchu. Objęłam ją mocno. Po twarzy spływały mi na szyję gorące łzy. Mogłam ją dziś stracić. Krew pulsowała mi w żyłach i wiedziałam, że już nie ma odwrotu.

Pomagierzy Cukiereczka ustawili metalowe beczki w ładowni krypy po cztery wszerek i po piętnaście wzdłuż. Na próbę przechyliłam jedną, opierając ją na krawędzi. Była cięższa, niż gdyby zawierała po prostu jakąś ciecz, a jednak usłyszałam wewnątrz chłupot. Puściłam beczkę, która z mocnym łupnięciem opadła z powrotem na swoją podstawę.

– Co to takiego, do diabła? – spytał Rubio.

Zatrzymał się za mną z naręczem ocieplanych kombinezonów i kurtek. Twarz miał podpuchniętą i fioletową od siniaków. Poruszał się sztywno, oszczędzając żebra po prawej stronie ciała.

Wsparłam dłonie na biodrach i wypuściłam powietrze z płuc. Pokręciłam głową.

– Nie powiedzieli nam. Co tam dźwigasz? – spytałam, wskazując na trzymane przez niego rzeczy.

– Prezent od tamtego mężczyzny z tatuażami.

– Cukiereczka – powiedziałam i skrzywiłam się.

– Właśnie – potwierdził Rubio. – Mówi, że w ubiorach IGS będziemy rzucać się w oczy jak szczur na podwieczorku.

Przytaknęłam. Cukiereczek miał rację co do ubrań, ale wyczuwałam, że nie jest typem rozdającym bezinteresownie prezenty. W ten sposób jeszcze bardziej stawaliśmy się jego dłużnikami.

Odwrociłam się znowu do beczek i spróbowałam wyjąć szpunt najbliższej z nich. Tkwił jednak zbyt mocno i skończyło się na tym, że tylko przechyliłam beczkę, a potem ją puściłam. Opadła z powrotem na podłogę, niemal miażdżąc mi palce stóp.

– Pomóc ci? – spytał Rubio.

Z niedowierzaniem spojrzałam na niego przez ramię.

– Oferujesz mi pomoc?

Wzruszył ramionami i upuścił stertę ocieplanych ubrań, a potem wspiął się na wierzch beczki i zaczął wciskać go swoim ciężarem, podczas gdy ja usiłowałam podważyć szpunt. Czubki palców zbieleły mi od nacisku, ale poczułam, że szpunt wysuwa się milimetr po milimetrze. Nagle wyskoczył z wilgotnym cmoknięciem, wskutek czego zatoczyłam się do tyłu. W ładowni rozszedł się ostry chemiczny odór.

– *Chaila* – zakląłam.

Roztarłam palce, by odzyskać w nich czucie, i podciągnęłam w górę podkoszulek, zakrywając sobie nos i usta.

Rubio zeskoczył z beczki. Oboje nachyliliśmy się i zajrzeliśmy do niej.

– Co tam jest? – spytałam przez materiał podkoszulka.

Rubio wsadził rękę do środka. Spróbowałam chwycić go za nią i powstrzymać.

– Nie rób tego! – krzyknęłam.

Ale było już za późno. Wydobył garść jakiegoś płynnego, półprzejrzystego, żółtego paskudztwa i powąchał je.

– Kreatyna – orzekł. Wlał ciecz z powrotem do beczki. Spłynęła gładko z jego dłoni. – Płyn przeciw zamarzaniu.

– Widziałeś to już kiedyś? – spytałam i wykrzywiłam się.

Kiwnął głową.

– Ty prawdopodobnie też, tylko o tym nie wiedziałaś. – Popatrzył na stertę odzieży termicznej. – Używa się go we wszystkim. W budynkach, skafandrach ciśnieniowych, statkach, we wszystkim, co jest wystawione na niskie temperatury. Ten płyn śmierdzi jak kocie szczyny, ale pozwala zachować ciepło.

Zmarszczyłam brwi.

– Skąd tak dużo o nim wiesz?

W Mumbaju jest zbyt gorąco, by płyn przeciw zamarzaniu znalazł jakiegokolwiek zastosowanie, ale ja przez całe życie kręciłam się przy statkach, a mimo to nigdy o nim nie słyszałam.

– Od ojca. – Rubio wzruszył ramionami i zajął się wpychaniem z powrotem szpuntu.

– Był brygadzystą w fabryce Grupy Apex, w której produkowano ten płyn. Na Ziemi.

Przyjrzałam mu się uważnie. Nigdy dotąd nie myślałam o Rubiu jako o kimś, kto ma ojca i matkę. Chyba sądziłam, że już całkowicie ukształtowany wyskoczył z nicości tylko po to, żeby mnie irytować.

– Apex – powtórzyłam. – Czy to nie jedno z tych wielkich koncernów-państw?

Rubio przytaknął. Wciąż nie odrywał wzroku od beczki, chociaż już ją zamknął.

– Jak się stamtąd wyrwałeś? – spytałam.

Słyszałam już wcześniej o koncernach-państwach. Niemal każdy, kto się w takim urodził, pracował tam do końca życia.

Rubio dopiero teraz na mnie spojrzał.

– Była nadwyżka osób z mojego rocznika. Moja mama знаła w zarządzie pewną kobietę, a ona przekonała pozostałych, że Apex powinien mieć swojego przedstawiciela w misjach IGS.

Przez chwilę milczeliśmy oboje.

– Więc przypuszczam, że się wkurzą, kiedy nie wrócisz, co? – rzekłam wreszcie.

– Kto wie? – Rubio z nieprzeniknioną miną odwrócił wzrok. – Jestem pewien, że IGS znajdzie jakiś sposób zrekompensowania im tego.

Ogarnęło mnie współczucie dla niego. Coś w sposobie, w jaki wypowiedział słowo „zrekompensowanie”, utwierdziło mnie w przekonaniu, że właśnie dokładnie to miał na myśli. Jak gdyby był towarem – wartościowym, jednak mającym określoną cenę.

– Zaraz... więc zawartość tych beczek jest legalna? – spytałam. O co tu chodziło? – Dlaczego zatem przewozimy je w takiej tajemnicy? Dlaczego Cukierczek nie podpisał po prostu umowy na transport z jakimś licencjonowanym kapitanem frachtowca?

Chyba że problem nie tyle w tym, co przewozimy, lecz raczej w tym, do kogo. To by wyjaśniało, dlaczego Cukierczek nie podał nam jeszcze współrzędnych docelowego portu. Gdyby zatrzymano nas po drodze, nie moglibyśmy ich zdradzić.

Rubio uniósł ręce w geście kapitulacji.

– To twój statek. Ja jestem tutaj tylko zakładnikiem.

Przytaknęłam. Ale tak naprawdę to nie był mój statek. Należał do Cukierczka, a jedyna osoba znająca tego mężczyznę na tyle, by móc się domyślić, co on zamierza, leżała w koi, dochodząc do siebie po urazie głowy.

Ruszyłam w kierunku trapu wyjściowego z ładowni towarowej.

– Hej! – zawołał za mną Rubio. – Nie chcesz swojego nowego ubioru? – zapytał,

unosząc jedną z ocieplanych kurtek.

– Wezmę ją później – odkrzyknęłam przez ramię.

Chwilowo miałam kilka spraw do omówienia z Cassią. Na przykład, komu na Enceladusie potrzebna jest szmuglowana kreatyna? I czego jeszcze zażąda od nas Cukiereczek, zanim w końcu pozwoli nam odlecieć?

Ładownia towarowa znajdowała się na przeciwnym końcu statku niż kabina sypialna, więc musiałam przejść przez nędzny salonik umeblowany poplamionymi sofami prującymi się w szwach. Gdy szłam korytarzem, pod moimi nogami zabręczała kłapa prowadząca do maszynowni. Byłam tak pogrążona w myślach, że nie zauważyłam uzbrojonej strażniczki stojącej przed drzwiami kajuty sypialnej, dopóki niemal na nią wpadłam. W tyle mojej głowy rozbłysły ostrzegawcze flary. Coś było nie w porządku.

– Nie możesz wejść – rzekła strażniczka, mierząc do mnie z karabinu.

Bardzo nie w porządku.

– Diabła tam, nie mogę – rzuciłam, po czym odepchnęłam lufę karabinu, chwyciłam gałkę drzwi i odsunęłam je.

Cassia póżełała na najszerszej koi, oparta plecami o poduszki; włosy miała związane z tyłu w warkocz. Osmotyczny opatrunek na jej głowie wydzieliał powoli środek przeciwbólowy, a jednocześnie goił ranę na czole. Obok Cassii siedział Cukiereczek. Jedną ręką obejmował dziewczynę, unieruchamiając na łóżku, a drugą trzymał ją za nadgarstek. Cassia siedziała wyprostowana jak słup, z napiętymi wszystkimi mięśniami ciała. Gdy weszłam, pochwyliła moje spojrzenie.

– ...wiem, że to byłoby lepsze dla wszystkich – mówił Cukiereczek i pogładził kciukiem wierzch jej dłoni. – Chcę tylko uczynić życie twoje i twojej rodziny nieco lżejszym.

Najeżyłam się. Cokolwiek ten mężczyzna proponował Cassii, wyraźnie jej to nie odpowiadało. Gardło zdławiała mi obrzydliwa mieszanina gniewu i strachu. Odchrząknęłam.

Cukiereczek odwrócił się do mnie, wciąż trzymając rękę Cassii.

– Ach, dziewczyna z misji rządowej – rzekł i uśmiechnął się. – Wejdz, moja droga. Cassia i ja właśnie omawialiśmy pewien interes.

Zacisnęłam zęby. Cukiereczek nadal przerażał mnie bardziej niż ktokolwiek inny, kogo znałam, i nie chciałam, żeby zobaczył, jak drzę. Skupiłam spojrzenie na jego ręce.

Zerknął w dół, a potem zdezorientowany popatrzył kolejno na Cassię i na mnie. Nagle odrzucił głowę do tyłu i wybuchnął śmiechem.

– Ach, rozumiem! – Mrugnął do mnie z uśmiechem, który jednak nie objął jego oczu. – Nie podoba ci się, że wkraczam na twoje terytorium, tak, moja droga?

– Cassia nie jest żadnym terytorium. – Zacisnęłam pięści, wbijając paznokcie w dłonie. „Reakcja stresowa u istot ludzkich zwiększa wydzielanie kortyzolu w organizmie i tłumi funkcje odpornościowe”.

– Zatem nie będziesz miała nic przeciwko temu, że skradnę jej drobny pocałunek. – Spojrzał na Cassię. – A ty, mała urwisko?

Objął ją mocniej, a ja przypomniałam sobie, jak miażdżył mi palce w uścisku, kiedy zapytał mnie, jak się nazywam.

Cassia pobladła.

– Ja... nie – wyjąkała cicho.

Kiedy znów na mnie spojrzała, miała oczy otwarte zbyt szeroko, a jej klatka piersiowa szybko wznosiła się i opadała.

Cukiereczek uniósł jedną z wytatuowanych rąk i delikatnie musnął kostkami palców policzek Cassii, a potem chwycił ją za kark.

– Au! – jęknęła.

Skrzywiła się i usiłowała uwolnić, lecz on tylko ścisnął jeszcze mocniej. Zbliżył usta do jej ust.

– Przestań! – krzyknęłam.

Mężczyzna znieruchomiał. Potem odwrócił głowę ku mnie i skrzywił wargi w uśmiechu.

Drżałam na całym ciele.

– Puść ją.

– Widzisz? – Wskazał na mnie, wciąż z tym samym okrutnym uśmiechem. – Terytorium.

Nic nie odpowiedziałam. Cukiereczek wstał i wygładził koszulę. Znowu się roześmiał, lecz tym razem zabrzmiała w tym gniewna nuta.

– Życzę wam szczęścia, dziewczyny. Postarajcie się nie dać zabić. A ty, mała urwisko... – Uśmiechnął się do Cassii. – Jeśli zmienisz zdanie, wiesz, gdzie mnie znaleźć.

Nieśpiesznie wyszedł z kabiny, zamykając za sobą drzwi.

Na twarzy Cassii odbiła się ulga. Przysunęła do piersi dłoń, którą przed chwilą trzymał Cukiereczek, i zacisnęła ją w pięść.

Podeszłam szybko do jej łóżka.

– Nic ci nie jest?

Wyglądała, jakby miała się rozplakać, ale wzięła drżący oddech i opanowała się.

– Chce zrobić ze mnie swoją utrzymankę, kiedy już odnajdziemy Nethanela. Powiedział, że jeśli zostanę z nim na Ceres, pozwoli mojej rodzinie zatrzymać sobie ten statek.

– Jeśli z nim zostaniesz? – powtórzyłam. – Jako jego kochanka?

Mój głos załamał się na tym ostatnim słowie. Nie wiedziałam, czy Cassia zdaje sobie sprawę, co do niej czuję, ale byłam zbyt wstrząśnięta, żeby zdołać dobrze to ukryć.

Cassia przytaknęła, a potem zamknęła oczy i oparła głowę o ścianę.

– Może powinnam była się zgodzić. Potrzebujemy statku.

Sapnęłam zirytowana.

– Nie sądzisz, że jesteś warta więcej niż jakaś nędzna krypa? – warknęłam

Cassia się skrzywiła.

– Nie wrzeszcz na mnie, dobrze? Tylko głośno myślę.

– Przepraszam. – Skubnęłam zmechacony wełniany koc okrywający jej nogi. – Chodzi mi po prostu o to, że... ty chyba też tego nie chcesz, co?

Zaśmiała się, nie z goryczą, tylko ze znużeniem.

– Nie chciałam niczego z tego, co się stało. Ale oto, gdzie teraz jestem.

– Co, zrobiłabyś to? – spytałam i rzuciłam jej spojrzenie mówiące, że uważam, iż

zwariowała.

Wzruszyła ramionami.

– Sama nie wiem. Gdyby to oznaczało, że moja rodzina mogłaby dalej prowadzić handel...

– To głupie – rzekłam. – Mówisz, jakbyś była towarem na wymianę.

– Nie jestem towarem na wymianę. – Potrząsnęła głową. – Jestem królową.

– Co?

– Królową. Jak w szachach – wyjaśniła. – Czy gra się w nie tam, skąd pochodzisz?

– Chyba tak – odrzekłam i pokiwałam głową.

Kilka uniwersyteckich koleżanek Sorai zwykle przychodzić do naszego domu na partie szachów, ale ja tylko się przyglądałam.

– Królowa może poruszać się najdalej i najszybciej, w każdym kierunku, w jakim zechce. – Cassia nakreśliła palcem na kocu ukośną linię. – Ale jeżeli do wygranej potrzebne jest poświęcenie jej, to się ją poświęca.

– Nigdy tego nie rozumiałam – oświadczyłam. – Dlaczego nie można zakończyć gry, mając królową zamiast króla?

– Takie po prostu są reguły, Miyole – odrzekła z westchnieniem Cassia.

Szturchnęłam ją w nogę.

– Wiesz, o czym mówię.

– Tak – powiedziała. – Ale jaki to ma sens, jeśli jest się samotną?

Odwrociłam wzrok. Ta rozmowa zmierzała zdecydowanie za daleko.

– No cóż, jeżeli przyjmiesz jego propozycję, będę musiała dać ci w prezencie ślubnym tonę odświeżających oddech miętówek dla niego.

Cassia skrzywiła się w uśmiechu i trzepnęła mnie poduszką.

– Przestań – rzekła.

– Mówię poważnie. Widziałaś jego zęby? Mogłybyśmy zeskrobać z nich kilka próbek i użyć ich jako broni biologicznej.

– Zamknij się – rzuciła, lecz nie przestała się uśmiechać. – Jeszcze cię usłyszysz.

– Nie, jeśli się stąd wyniesiemy – powiedziałam.

Cassia zmarszczyła czoło.

– Jesteś pewna, że zdołasz sama pilotować ten statek?

– Myślałam, że Rubio mógłby mi pomóc – odparłam, starając się zachować bez troski ton głosu, i przyjrzałam się jodełkowemu wzorowi koca.

– Rubio? – Cassia popatrzyła na mnie przenikliwie. – Czyż on nie chce zostać tutaj, żeby go uratowano?

– Nie jest zbyt zachwycony tutejszą gościnnością – powiedziałam.

Przypomniałam sobie ulicznika skaczącego mu na plecy i uśmiechnęłam się do siebie. Teraz kiedy okazało się, że Cassia nie umarła, tamten incydent wydał mi się nawet dość zabawny.

– No cóż, to nie moja wina, jeśli ktoś go zabije – rzekła Cassia; skrzyżowała ramiona na piersi i przygarbiła się.

– Myślę, że jeżeli wy dwoje przestaniecie walić się nawzajem po głowach, będzie bezpieczny – powiedziałam z uśmiechem.

Cassia znowu uderzyła mnie poduszką.

– Odpoczywaj – rzekłam do niej. – Jestem pewna, że Rubio teraz zdrowo się mnie boi.

– Tak, jesteś przerażająca – zgodziła się Cassia.

Dopiero później, gdy byłam już w kokpicie i sprawdzałam systemy statku, uświadomiłam sobie, że nie zapytałam jej, kto potrzebowałby tak wielkiej ilości kreatyny.

Cassia przespała start, więc w kokpicie byliśmy tylko Rubio i ja, kiedy śluza powietrzna hangaru Cukiereczka otworzyła się z łoskotem, ukazując setki porzuconych szybów górniczych karłowatej planety. Ponad poszarpaną skalną powierzchnią globu widniał na niebie krąg gwiazd.

– Powodzenia, panno Guiteau – głos Cukiereczka zatrzeszczał w głośniku uszkodzonego systemu łączności Mendicanta. – Powiedz Cassii, że moja propozycja jest nadal aktualna. I pamiętaj, przyprowadź z powrotem mój statek albo nie wracaj w ogóle.

– Gadaj zdrów – mruknęłam do siebie.

Jeśli dotrzemy aż tak daleko i odnajdziemy Nethanela, Cukierczek może sobie zatrzymać nasz prom. Cassia już nigdy więcej nie postawi nogi na jego terenie, jeżeli będę miała cokolwiek do powiedzenia w tej kwestii.

System łączności nie był jedyną tandetną rzeczą na tym statku, którym obdarował nas Cukierczek. Mendicant włókł się jak wąż w lecie, a jego kadłuba nie tworzyła samoregenerująca się masa perłowa, tylko nachodzące na siebie płytki z kompozytu. Gdyby któraś z nich pękła, musielibyśmy włożyć skafandry ciśnieniowe, wyleźć na zewnątrz i dokonać naprawy. Układ odzyskiwania wody był zardzewiały, a w systemie wentylacji załęgła się pleśń – nie wspominając już o dziurach w wewnętrznych ścianach. Połowa tych dziur wyglądała, jakby ekipy remontowe porzuciły nieukończoną pracę, a druga połowa była niewątpliwie dziełem szczurów i rdzy. Tibbeta te gryzonie niezmiernie fascynowały. Zdążył nam już nawet przynieść zewłok jednego z nich, wyposażony przez Cukierczka w szpiegującą kamerę zamiast oka.

Wlecieliśmy powoli w czarną pustkę. Skierowałam statek na trasę, którą Cukierczek nam zalecił, z dala od pól asteroid i unoszących się w próżni śmieci, i po raz tysięczny pożałowałam, że nie jestem w promie Ranganathana czy nawet w maleńkim ślupie Avy.

– Na pewno nie chcesz, żebym to ja poprowadził statek? – spytał Rubio, rzucając na mnie spojrzenie z fotela drugiego pilota.

– Nie – odparłam.

Ostentacyjnie sprawdziłam odczyty na ekranach, żeby nie musieć patrzeć na niego. Wprawdzie Rubio przestał rozwalać nam głowy, jednak to nie oznaczało, że powierzę mu sterowanie statkiem. Tyle już dokonałyśmy, więc nie chciałam obudzić się pewnego dnia i skonstatować, że lecimy z powrotem do Ranganathana.

– Wiesz, że znam się na pilotowaniu, prawda? – powiedział. – To mój zawód.

– Poprowadzę tylko, dopóki nie minimy pól kosmicznych śmieci. – Spojrzałam na niego. – Potem możemy włączyć autopilota.

Rubio nagle wytrzeszczył oczy i utkwiał wzrok w przednim iluminatorze.

– Memsahib...

– Co? – burknęłam i popatrzyłam tam gdzie on.

Poszarpany odłam skalny wielkości wagonu kolei magnetycznej leciał ku nam po spirali; jego powierzchnia, złożona z warstw lodu i minerałów, lśniła w słabym świetle odległego Słońca.

– Vaat – zakląłam i całym ciężarem pchnęłam drążki sterowe.

Statek skręcił ospale, unikając o zaledwie milimetry zderzenia z asteroidą.

Trzeba przyznać Rubiowi, że trzymał język za zębami, gdy kierowałam nasz statek z powrotem na trajektorię zarekomendowaną przez Cukiereczka.

Odchrząknęłam i powiedziałam:

– W porządku.

Spojrzał na mnie, unosząc brwi.

Skubnęłam strzęp sztucznej skóry, który oderwał się od rękojeści drążka sterowego.

– Może jednak ty powinieneś poprowadzić – mruknęłam.

– Jesteś pewna? – spytał, przybierając swoją najpoważniejszą minę. – Bo jeśli potrzebujesz następnej okazji, żeby spróbować nas zabić...

Walnęłam go pięścią w ramię i wstałam, ustępując mu miejsce w fotelu pilota.

– Nie przeginaj – powiedziałam.

Roześmiał się i potarł miejsce, gdzie go uderzyłam.

– Dobrze przynajmniej, że tym razem nie masz ze sobą bandy parszywych dzieciaków, żeby na mnie napadły.

– To był tylko jeden dzieciak – przypomniałam mu.

– Tak, ale wykorzystał element zaskoczenia. – Rubio opadł na fotel pilota, poruszył palcami i ujął drążki sterowe. – Poza tym był na wpół zdziczały. Tak więc w gruncie rzeczy mógł uchodzić za całą bandę.

Prychnęłam.

– Wmawiaj sobie, co chcesz.

Musiałam niechętnie przyznać, że Rubio dobrze pilotował. Właściwie lepiej niż dobrze. Nasz toporny statek omijał skalne odłamki i śmieci z gracją i swobodą stada słońi lawirujących po zatłoczonych ulicach śródmieścia Mumbaiu.

– Gdzie się nauczyłeś pilotażu? – spytałam.

– W fabryce Apex – odpowiedział i łagodnie skierował statek nad chmurę ostrych kamyków, której nie zauważyłam, dopóki nie znaleźliśmy się niemal tuż przed nią. – Szkoliłem się na pilota opylającego uprawy rolne.

– Dobrze ci idzie – przyznałam niechętnie.

– Wiem – odrzekł z uśmiechem.

– Oczywiście nie we wszystkim. – Pochyliłam się do przodu i udałam, że sprawdzam poziom nasycenia tlenem atmosfery we wnętrzu statku. Już niemal minęliśmy pole śmieci. – Chodzi mi o to, że widziałam kupę ludzi z załóg lotniczych, którzy też pilotowaliby lepiej od asystentki naukowej.

– Wiesz, memsahib, jeśli naprawdę zamierzasz popełnić samobójstwo, mogę polecić ci kilka skuteczniejszych sposobów...

Znowu uderzyłam go pięścią w ramię i sprawdziłam odczyty telemetrii.

– Droga czysta – oznajmiłam. – Możemy już przełączyć sterowanie na automatyczne.

Rubio wpuścił mnie znowu na fotel pilota i zaprogramowałam trajektorię lotu otrzymaną od Cukiereczka, a potem uruchomiłam autopilota. Wstałam i wymierzyłam palec w Rubia.

– Nie majstruj przy kierunku lotu. Zaraz wrócę.

– Dokąd idziesz? – zapytał.

– Sprawdzić opatrunki Cassii.

Rubio spoważniał.

– Powiedz jej, że ją przepraszam, dobrze? Nie zamierzałem...

– Ona wie – odparłam i ruszyłam w dół schodków, ale Rubio zawołał za mną:

– Hej, memsahib.

Odwróciłam się do niego.

– Rozumiem to, co robisz – powiedział.

Popatrzyłam na niego, unosząc brew. „Naprawdę?”

– Mówię serio – zapewnił. – Wiesz co? Nie znam nikogo, kto zrobiłby coś takiego dla mnie.

– Co, pobił pilota IGS?

Rubio drgnął. Natychmiast pożałowałam swoich słów. Tym razem powiedział coś szczerze.

– Zrezygnował z czegoś, w czym jest najlepszy, żeby komuś pomóc – wyjaśnił. – Z czegoś, co najwięcej dla niego znaczy.

Przez głowę przemknął mi obraz Milah sygnalizującej drobnymi paluszkami językiem migowym do Cassii, która odpowiadała jej spokojnie w taki sam sposób.

– To nie IGS znaczy dla mnie najwięcej – odparłam.

– Wiesz, co mam na myśli – rzekł Rubio, zbywając machnięciem ręki te moje słowa.

– Gdybym został uziemiony i nie mógł już więcej latać, nie wiedziałabym, co innego robić. Prawdopodobnie wciągnąłbym Hwang i próbował popełnić samobójstwo.

Odwróciłam się od niego.

– Nie mów tak – powiedziałam.

Wiedziałam, że moja kariera w Instytucie Głębinowych Sondowań jest skończona, ale w gruncie rzeczy nie pozwalałam sobie na rozmyślanie o tym, co to właściwie oznacza. Żyłam kolejnymi minutami i godzinami. Nie istniała dla mnie przyszłość, a tylko przeszłość i teraźniejszość, popełnione błędy i szanse, by je naprawić.

– Memsahib...

– Powiedziałam nie! – krzyknęłam.

Nie chciałam o tym rozmawiać. Ani z Rubiem, ani z nikim innym. Nawet ze sobą.

Cassię zastałam pogrążoną znowu we śnie; koce skrzyły się wokół jej nóg, a do policzków przylgnęły pasma włosów. Przez chwilę stałam w progu i przyglądałam się, jak oddycha głęboko i miarowo. Tibbet zwinął się w kłębek w nogach łóżka. Bardzo nie chciałam jej budzić. Pragnęłam usiąść przy niej. Pragnęłam ją objąć, jakbym mogła w ten sposób uleczyć wszystkie jej rany – zewnętrzne i wewnętrzne. Pragnęłam nacylić się i przycisnąć usta do jej ust, jak w tych bajkach dla dzieci...

Znieruchomiałam. Nie zamierzałam całować kogoś, kto jest nieprzytomny. Poza tym Cassia potrzebowała mnie teraz jako pielęgniarki, a nie... kogo? Przyjaciółki?

Obsesyjnej marzycielki? Spłonęłam rumieńcem. Po raz pierwszy od startu Ranganathana pożałowałam, że nie jestem znowu w Mumbaju i że moje życie nie układa się prościej. Nie chciałam, żeby Cassia była ranna i krwawiła, żeby musiała przeczesywać Głęboką Próżnię w poszukiwaniu brata. Chciałam móc spędzić popołudnie, wylegając się na wale przeciwpowodziowym i kupując napoje od ulicznych handlarzy rozlokowanych w jego cieniu. Chciałam usłyszeć, jak Cassia się śmieje, zobaczyć, jak znowu wali we mnie poduszką. Chciałam poznać ją inną niż walczącą z przerażeniem o życie brata.

Uklęłam przy łóżku. „Może kiedyś”. Ale czy jeszcze będzie jakieś kiedyś? Czy gdzieś po drodze Cassia nie odda życia dla Nethanela?

Uchyliła powieki.

– Cześć – powiedziała.

– Cześć. – Spróbowałam się uśmiechnąć. – Czy dasz radę usiąść?

Uniosła się i skrzywiła.

– Głowa? – spytałam.

– Tak – odrzekła. – Znowu mnie boli. I wszystko wokoło wiruje.

– Zaczekaj – powiedziałam. Odwinęłam jej stary bandaż i wyjęłam z podręcznej apteczki nowy. – Wiesz, gdzie jesteś?

Westchnęła.

– Wciąż ci powtarzam, że nie doznałam uszkodzenia mózgu.

– Być może nie, ale jednak masz ranę głowy. – Skończyłam zakładać jej nowy osmotyczny opatrunek. – Przekonaj mnie, że nic ci nie jest.

Cassia zamknęła oczy.

– Nazywam się Cassia Kaldero. Jestem na pokładzie Mendicanta i mój umysł ma się doskonale.

– Świetnie. – Usiadłam wygodniej. – A jak głowa?

Cassia znowu opadła na poduszki i spojrzała w sufit.

– Chyba też – odpowiedziała. Poruszyła lekko głowę na boki. – Och, tak.

– To dobrze. – Uśmiechnęłam się i dodałam: – Może teraz nie będziesz już taka stuknięta.

Udała, że piorunuje mnie wzrokiem.

– Nie jestem stuknięta. Zostałam zraniona w głowę. – Popatrzyła na mnie i przez moment przez jej twarz przemknął wyraz autentycznego niepokoju. – Miyole...

– Tak?

– Czy zdążę w porę wydobrzczyć? – W jej szeroko otwartych oczach zamigotał lęk. – Jeśli nie...

– Wydobrzejesz – przerwałam jej.

Ścisłe biorąc, nie było to kłamstwo. Rany takie jak ta Cassii goją się od kilku dni do kilku miesięcy. Dotrzemy do Enceladusa za trzy tygodnie. Może to wystarczająca ilość czasu, żeby doszła do siebie, ale nawet jeśli nie, nie musiała tego wiedzieć – w każdym razie nie w tym momencie.

– Musisz wypocząć, to wszystko – powiedziałam.

Wstałam i podniosłam apteczkę.

– Miyole – rzekła Cassia.

Zatrzymałam się.

– Zostań ze mną – poprosiła. – Tylko na chwilę.

Moje mięśnie stężały, ale serce zabiło szybciej. W głębi mnie wszystko wibrowało zmysłowo.

– Na pewno tego chcesz?

Cassia zaczęła kiwać głową, ale skrzywiła się i przestała.

Ostrożnie usiadłam obok niej na koi, uważając, żeby jej nie potrącić.

– Nie tam – powiedziała i wyciągnęła rękę. – Zimno mi. Połóż się przy mnie pod kocem.

Serce mi zatrzepotało.

– Tak?

– Tak – potwierdziła.

Wgramoliłam się do łóżka, położyłam się przy niej na boku i podparłam się łokciem. Ponad nikłą wonią medykamentów z apteczki i stęchliwą prześcieradeł poczułam zapach Cassii. Był zarazem łagodny i ostry, jak zapach chleba i słabego octu.

Obróciła się i przysunęła bliżej.

– Lepiej, kiedy tu jesteś. To mnie rozprasza.

Roześmiałam się.

– Rozprasza?

– W dobry sposób – wyjaśniła. – Pozwala mi myśleć o czymś innym.

Przesunęła głowę na poduszce i jej włosy musnęły moją dłoń, miękkie i chłodne jak jedwabne sari. Przebiegł przeze mnie prąd, jakby zostały odsłonięte wszystkie zakończenia moich nerwów. Wiedziałam, że nie powinnam odczuwać czegoś takiego, kiedy Cassia jest chora. Nie powinnam tego odczuwać, skoro straciła brata. Ale jej oddech owiewał moją skórę, jej rzęsy były złote na tle piegowatego policzka i uważała, że odciągają jej myśli od zmartwień.

– Nie śpisz? – spytałam.

– Mmm... – Powieki Cassii zatrzepotały i otworzyła oczy. – Chciałabym nie spać, ale to lekarstwo...

– Porozmawiaj ze mną – powiedziałam. – Naucz mnie kilku z tych znaków migowych, które znacie ty i Milah.

– Dobrze. – Obróciła się z powrotem na bok. – Powinnyśmy zacząć od alfabetu. – Zacisnęła dłoń w pięść ze sterczącym kciukiem. – To jest A.

Ogarnęło mnie oszałamiające uczucie déjà vu i nagle znalazłam się znowu na Gyre, tylko że to ja pokazywałam Avie, jak się pisze litery alfabetu. W moim wspomnieniu leżał pomiędzy nami tablet z jarzącym się ekranem, ale czy to mogła być prawda? Na Gyre byliśmy ubogie. Jak mogłybyśmy pozwolić sobie na tablet, skoro w dzień targowy musiałyśmy grzebać w pojemnikach z używaną odzieżą, żeby znaleźć dla siebie parę odpowiednich butów?

Cassia pacnęła mnie leniwie dłonią.

– Skup się.

Otrząsnęłam się ze wspomnień, powróciłam do terażniejszości i zdałam sobie sprawę, że drżą mi kolana.

– Przepraszam – powiedziałam. – Kontynuuj.

Właśnie dlatego nie powinnam próbować sobie przypominać. Przynajmniej leżałam i nie musiałam zwiijać się w kłębek.

– Dobrze się czujesz? – spytała zaniepokojona Cassia.

Zmusiłam się do uśmiechu.

– Nic mi nie jest.

To nie ja straciłam brata i doznałam urazu głowy.

– Na pewno?

Zamknęłam oczy. Czy rzeczywiście? Moje cierpienia były tak odległe w czasie. Miałam w życiu tyle szczęścia, tyle dobrych chwil. Nie powinnam wciąż rozpamiętywać swojej tragedii. Nie powinna mnie nadal tak bardzo ranić.

– Myślałam o mojej manman – wyznałam.

– Och. – Cassia powiodła palcem po linii moich włosów. Miała rozszerzone źrenice i pomyślałam, że lekarstwo mogło sprawić, że zachowywała się trochę swobodniej i łagodniej niż zazwyczaj. – Czy jesteś do niej podobna?

– Chyba tak – odrzekłam i przypomniałam sobie dziwne uczucie niezakotwiczenia, jakiego doświadczyłam przeglądając się w lustrze przed udaniem się na tamtą oficerską kolację. – Czasami wydaje mi się, że pamiętam wszystko dotyczące jej, a potem nagle wypływa jakiś szczegół i zaskakuje mnie. Wiesz, o czym mówię?

– Tak. – Opuściła głowę na poduszkę. – Nethanel mówił podobnie o Ume po jej śmierci.

Wbiła nieobecny wzrok w przestrzeń. Wyciągnęłam rękę i dotknęłam jej ramienia przez koc, ale wtedy twarz Cassii się wykrzywiła. Dziewczyna rozplakała się cicho, spod jej rzes popłynęły wielkie łzy, ciało drżało od wysiłku powstrzymania głośnego szlochu.

– Och, nie – powiedziałam. – Nie zamierzałam...

Uciszyła mnie machnięciem ręki i wzięła głęboki, drżący wdech.

Przełknęłam z wysiłkiem.

– Naucz mnie jeszcze innych znaków – poprosiłam. – Naucz mnie jakiegoś słowa.

– Tak. – Otarła łzy. – Dobrze.

– Jak się sygnalizuje „przepraszam”? – zapytałam.

Roześmiała się i znowu otarła oczy, a potem ułożyła dłoń w znak A i zatoczyła nią krąg wokół serca.

– W taki sposób.

Wykonałam ten sam gest.

– A „nie płacz”?

Pokręciła głową.

– Mam lepszy.

– Tak?

Przysunęłam się bliżej. Leżałyśmy pod kocem, stykając się kolanami.

Dotknęła palcem skroni, a potem opuściła dłoń i splotła ją z drugą.

– Co to oznacza? – spytałam.

– Zaufanie – powiedziała.

Cztery dni po starcie Cassia nadal przesypiała pół dnia. I wtedy Rubio po raz pierwszy napomknął o ptakach. Tkwiłszy oboje w niskim, ciasnym tunelu pod ładownią i beczkami z kreatyną, usiłując wynaleźć jakiś sposób uszkodzenia naszej radiolatarni, tak abyśmy nie wysyłali sygnału informującego o naszej pozycji do Ranganathana czy do sieci statków *Dakaitów* czających się poza księżycami, towarzyszami Enceladusa.

– Słyszałaś to? – Rubio znieruchomiał z wtyczką w dłoni w rękawicy i spojrzał w górę. – Brzmiało jak krzyk gęsi.

Połowa elementów grzewczych Mendicanta się przepaliła, więc oboje mieliśmy na sobie ocieplane kurtki zapięte pod szyję. Nasze oddechy tworzyły obłoczki mroźnej pary w ostrym świetle latarki przymocowanej magnetycznie do sufitu.

– Gęsi? – powtórzyłam i też podniosłam wzrok ku stropowi tunelu.

– No wiesz. – Zatrzepotał dłońmi. – Gęsi.

Przewróciłam oczami.

– Wiem, co to są gęsi.

– Ale nie usłyszałaś ich? – spytał z takim napięciem w głosie, że zaczęłam podejrzewać, że nie żartuje.

– Nie – odrzekłam ostrożnie. Znowu popatrzyłam w górę. Staraliśmy się zachowywać jak najciszej, żeby nie zbudzić Cassii. – Niczego nie słyszę.

Rubio rzucił mi ostre spojrzenie, jakby sądził, że kłamię.

– Może to Tibbet – podsunęłam. Ten kot wydawał czasem niezwykle dźwięki, zwłaszcza kiedy złapał którąś z, jak się zdawało niezliczonego, stada myszy zamieszkujących statek. – Albo jakiś stary tłok pneumatyczny czy coś w tym rodzaju.

Rubio trochę się odprężył.

– Być może. – Odwrócił się z powrotem do panelu dostępu do systemu łączności i skupił się na wetknięciu wtyczki w gniazdko. Trafiła z cichym szcęknięciem. – Udało się – oznajmił.

W tym momencie wysiadła grawitacja.

Żołądek podjechał mi do gardła, przez skórę przebiegło niesamowite mrowienie jeżące mi wszystkie włoski na ciele. Nad nami beczki z kreatyną obijały się o siebie z dziwnymi metalicznymi odgłosami. Wyrwana ze snu Cassia krzyknęła, a Tibbet miauknął rozpaczliwie.

Z cichym łupnięciem uderzyłam plecami o sufit tunelu.

– *Vaat* – zakląłam.

– *Mierda* – dorzucił Rubio.

Wypełziliśmy z szybu i w stanie nieważkości wpłynęliśmy w górę do głównej kabiny statku. Cassia rozczochrana, z wytrzeszczonymi oczami, wisiała w powietrzu poza koją, szczelnie owijając się ocieplaną kurtką.

– Co się stało? – spytała; usta miała bezkrwiste i sine z zimna.

– Nie wiem – odparłam. – Byliśmy w szybie, majstrując przy radiolatarni, kiedy padła grawitacja.

– Padła na dobre? – zapytała Cassia i zadrżała.

Kilka godzin czy nawet dni zerowej grawitacji nie wyrządzi nam krzywdy, ale jeżeli

to potrwa dłużej, nasze mięśnie zaczną zanikać. Do czasu gdy dotrzemy do Enceladusa, będziemy zbyt słabi, by choćby tylko móc poruszać się w ciężeniu tego księżyca, a co dopiero podjąć jakąkolwiek akcję ratunkową.

– Jest tylko jeden sposób, by się tego dowiedzieć – rzekł Rubio i machnął w powietrzu narzędziem uniwersalnym.

Poszybowałam wzdłuż ściany do Cassii.

– Powinnaś wrócić do łóżka. Naprawa nie zajmie nam wiele czasu.

A przynajmniej miałam taką nadzieję.

Cassia otuliła się szczelniej kurtką i zmarszczyła brwi.

– Mam już dość spania i bycia bezużyteczną.

Rubio miał spuszczoną głowę. Usiłował podważyć płytę dostępu do sterowników grawitacji i udawał, że nas nie słyszy.

– Nie jesteś bezużyteczna. – Objęłam Cassię. – Zostałaś ranna. To nie twoja wina, że...

Wyrwała mi się.

– Przystań mnie rozpieszczać. Nie jestem twoim dzieckiem.

– Oczywiście, że nie. Dlaczego w ogóle...

– Aha! – przerwał nam Rubio.

Znieruchomiliśmy i spojrzaliśmy na niego. Uśmiechnął się skromnie i uniósł w górę dwie połówki izolowanego przewodu.

– To tylko poluzowane połączenie.

Zamrugalam, przez chwilę zdezorientowana.

– Och. Czy da się naprawić?

– Jasne – odrzekł i zetknął obie końcówki przewodu.

Natychmiast powróciła grawitacja. Cassia i ja spadliśmy na podłogę, a z ładowni dobiegła seria ogłuszających łomotów. Beczki z kreatyną. Gdzieś w głębi korytarza wrzasnął Tibbet.

– Rubio, co się dzieje, do cholery? – spytałam, wstając z trudem, gdy już ucichł hałas zderzających się beczek.

– Czy mógłbyś się łaskawie zdecydować? – mruknęła naburmuszonym tonem Cassia.

– Przepraszam, przepraszam. – Rubio popatrzył na nią zaniepokojony, jakby mogła sobie coś złamać, i odgonił nas machnięciem ręki. – Wy dwie idźcie... porozmawiać czy co tam chcecie. Sam potrafię to naprawić.

Cassia i ja wymieniliśmy spojrzenia. Pomimo jego niedawnej gadaniny o gęsiach, zdałam sobie sprawę, że od minionych kilku dni coraz bardziej mu ufam. Może nie był wymarzoną towarzyszką podróży, jednak był świetnym pilotem i wprawnym mechanikiem. Ale z drugiej strony, to nie mnie próbował zabić.

Popatrzyłam na Cassię.

– Ty decyduj.

Westchnęła.

– No dobrze – rzekła, po czym odwróciła się na pięcie i zniknęła w głębi korytarza prowadzącego do kajuty sypialnej.

– Dziękuję – wymówiłam bezgłośnie do Rubia i pośpieszyłam za nią.

Zostałam z Cassią w kajucie stojącą plecami do drzwi. Dłońmi w rękawiczkach

usiłowała niezdarnie związać luźne włosy w warkocz. Po trzeciej próbie warknęła z irytacją, ściągnęła zębami rękawiczki i cisnęła je na łóżko.

– Pozwól, że ja to zrobię – powiedziałam.

Usiadła na koi. Ulokowałam się za nią, odwinęłam bandaż i odgarnęłam palcami jej kręcone włosy. Obejrzałam mały placek gołej skóry, który wcześniej musiałam wystrzyć, żeby opatrzyć jej ranę głowy.

– Jak to wygląda? – rzuciła przez ramię.

– Lepiej – odpowiedziałam. Skóra w tym miejscu nadal była różowa i zaogniona, ale bez śladu infekcji. – A jak ty to odczuwasz?

Cassia się skrzywiła.

– Rana chyba... się goi – odrzekła, jednak w jej głosie pobrzmiwał niepokój. – Ale nadal mam te bóle głowy.

– Miną – zapewniłam ją, rozczesując jej splątane włosy.

Do kabiny wmaszerował sztywno Tibbet z uszami położonymi płasko na łbie i wskoczył na koję obok Cassii. Dziewczyna pieszczotliwie poskrobała mu ucho kciukiem i palcem wskazującym.

– Porozmawiaj ze mną – powiedziałam. Musiałam znowu rozproszyć jej ponure myśli. – Opowiedz mi o czymś miłym. Na przykład o tym, co zamierzasz zrobić, kiedy uwolnimy Nethanela.

– Nie wiem. – Spuściła głowę i potarła dłońmi twarz. – Nie chcę o tym myśleć.

Zamilkłyśmy obie, ale w powietrzu wisiały niewypowiedziane słowa: „A jeśli go nie uwolnimy? Jeśli jest już za późno?”.

– A więc o jakimś wspomnieniu. – Wygładziłam włosy Cassii z tyłu, za uszami, i zaczęłam je splatać we francuski warkocz z boku głowy, tak aby zakryły wystrzyżone miejsce. – Opowiedz mi o czymś miłym, co zapamiętałaś.

Odetchnęła, żeby się uspokoić.

– Dobrze. – Jej spojrzenie padło na Tibbeta, który skręcił się w wyraźnie niewygodnej pozycji i z furią czyścił sobie tylne łapy. – Chcesz usłyszeć, skąd go mamy?

– Pewnie – rzekłam, nie przestając zaplatać jej włosów.

Na twarzy Cassii pojawił się cień uśmiechu.

– Nethanel i ja ukradliśmy go.

Znieruchomiałam.

– Ukradliście?

Rzuciłam okiem na Tibbeta, który ziewnął, rozwierając paszczę pełną zębów ostrych jak igły. Po ulicach Mumbaju wałęsało się tyle bezpańskich kotów, że czasami zapominałam, jak cenne może być takie zwierzę w Głębokiej Próżni.

Cassia skinęła głową.

– Nasz stary pręgowany kot zmarł, kiedy miałam chyba osiem lat, a Nethanel jedenaście. Tata nie chciał nikomu dać tego poznać, ale widzieliśmy, że bardzo to przeżył. Kochał tego kota. Tak więc pewnego dnia Nethanel i ja wyszliśmy na spacer i przy stacyjce kolejowej zobaczyliśmy starą kobietę z miotem kociaków w klatce dla ptaków, rozumiesz?

Przytaknęłam, dalej splatając jej warkocz.

– I Nethanel wymyślił taki plan, że ja zacznę płakać i udam, że się zgubiłam, a on zakradnie się od tyłu i wyjmie z klatki jednego kociaka. – Cassia uśmiechnęła się w przestrzeń. – Tylko że kiedy zaczęłam płakać, ta stara kobieta nie zwróciła na mnie uwagi. Musiałam więc płakać coraz głośniej, aż wreszcie wyszła z za swojego straganu, żeby mnie odpędzić, bo odstraszałam jej klientów.

– Cholerna *kuttiya* – mruknęłam.

Cassia wzruszyła ramionami i posłała mi przez ramię przebiegły uśmiech.

– No cóż, przecież rzeczywiście próbowaliśmy ją okraść.

– Więc co się potem stało? – spytałam.

Związałam jej warkocz w węzeł i usiadłam na łóżku.

– No właśnie. Chciała mnie odepchnąć, a ja ją ugryzłam.

– *Ugryzłaś* ją? – prychnęłam z niedowierzaniem.

Cassia skinęła głową i odwróciła się twarzą do mnie.

– Aha. Prosto w łydkę. Gonila za mną aż do stacji i wrzeszczała, a ja byłam pewna, że skończę w jednej z tych duszonych potrawek, które stale przyrządza się nie wiadomo z czego na peryferiach miasta.

– Nie! – Wykrzywiłam się. – Obrzydliwość.

– Tak – powiedziała i uniosła brwi w szelmowskim uśmiechu.

To była Cassia, jaką chciałam widzieć, odgrzebana spod pokładów jej żalu. Taką Cassię miałam ochotę wziąć za rękę i pokolysać tą ręką pomiędzy nami. Nakreśliłam palcem na narzucie łóżka małe kółko.

– Więc uciekłaś?

Pokiwała głową.

– No, jak widzisz, nie stałam się zupą, prawda?

Roześmiałam się.

– Istotnie, nie. Chyba już raczej potrawką.

Spojrzała na mnie.

– Teraz moja kolej.

Zasłoniłam dłońmi włosy.

– Nie, nie trzeba.

– Daj spokój. – Szturchnęła mnie w żebra. – Ty mnie uczesałaś. Poza tym znam wszystkie style fryzur. Zawsze układałam włosy matce i Milah.

– Moje są ohydne – powiedziałam.

Nie myślałam włosów od opuszczenia Ranganathana i nie zabrałam ze sobą żadnych oliwek i kremów, których zazwyczaj używałam, żeby doprowadzać je do jakiegoś takiego porządku.

Cassia zmarszczyła brwi.

– Wcale nie.

Prychnęłam i przewróciłam oczami.

– Mówię serio – zapewniła mnie. – Uwielbiam twoje włosy. Są takie ładne, kiedy wymykają ci się z warkocza, tak jak teraz.

Wyciągnęła rękę i dotknęła pasma spływającego z boku mojej szyi.

Wstrzymałam oddech. Nasze spojrzenia się spotkały i obie znieruchomiałyśmy – Cassia ledwie dotykająca mojej skóry czubkami palców, ja z lekko rozchyłonymi ustami

– jakby przepłynął przez nas elektryczny prąd.

Przełknęłam z wysiłkiem ślinę.

– Dobrze.

Siedząc na łóżku, odwróciłam się plecami do niej. W tej pozycji stałam się jeszcze bardziej świadoma obecności Cassii. Szelestu jej ubrania, tego jak delikatnie wyciągnęła wstążkę z moich włosów, jej lekkiego dotyku z tyłu mojej głowy, gdy palcami rozczesywała mi loki. Rozplatając mój warkocz, nuciła jakąś melodię, której nie rozpoznawałam, coś ładnego w tonacji molowej, i z jakiegoś powodu wzbudziło to we mnie ulotne wspomnienie matki – czeszącej mnie i związującej mi włosy w dwa sprężyste warkoczyki.

Znowu rzuciłam okiem na Tibbeta, który zwinął się w kłębek w nogach łóżka i nakrył ogonem nos, chroniąc się przed zimmem. Zrozumiałam nagle, dlaczego Cassia zabrała kota ze sobą, dlaczego nie chciała zostawić go samego w doku.

– Więc... on był tego wart? – powiedziałam.

Usłyszałam uśmiech w głosie Cassii, gdy odpowiedziała:

– Szkoda, że nie widziałas naszego ojca. Usiłował udawać rozgniewanego, ale jeszcze zanim wystartowaliśmy, mieszał odżywcze mleko i wypróbował rozmaite imiona dla kociaka.

– Kto go nazwał? – spytałam.

– Właściwie ja. – Cassia się roześmiała. – Nethanel chciał dać mu imię Fangmelion, ale ojciec...

Urwała nagle i odsunęła ręce od moich włosów. Odwróciłam się w porę, by zobaczyć, jak z jej twarzy znika wesołość. Do Cassii powróciła okropna terażniejszość – jej ojciec był na wpół ślepy, a brata uprowadzono.

– Przepraszam – wymamrotałam.

Powinam była wiedzieć, że każde wspomnienie zaprowadzi ją z powrotem do obecnej sytuacji; że ceną za wspomnienia jest pamiętanie.

– W porządku – powiedziała. Potrząsnęła głową i zmusiła się do uśmiechu, ale twarz miała ziemistą, a do jej spojrzenia ponownie wkradło się cierpienie. Popatrzyła na poduszkę. – Może powinam znowu się położyć.

– Oczywiście – przytaknęłam. Podniosłam się, żeby wyjść. To moja wina, że myśli Cassii powróciły do jej brata. – Pójdę sprawdzić...

– Nie. – Chwyciła mnie za ramię. – Zostań. Porozmawiaj ze mną. Nie chcę być teraz sama.

Usiadłam.

– O czym chcesz porozmawiać?

– O czymkolwiek. – Powoli położyła głowę na poduszce, otuliła się szczelnie kurtką i zamknęła oczy. – Opowiedz mi o sobie. Czy masz braci albo siostry?

Przyciągnęłam kolana do piersi.

– Przybraną siostrę Awę. Ale jest sporo starsza ode mnie.

Cassia otworzyła oczy.

– Zostałaś adoptowana?

Zmarszczyłam brwi.

– Czy to takie dziwne?

– Nie, oczywiście, że nie – odparła. – Chodzi mi o to, że wiem, iż straciłaś matkę, ale myślałam, że może wychowywali cię ciotka albo wuj, czy ktoś taki. Czy znałaś w ogóle swoją rodzinę?

Poruszyłam się z zakłopotaniem na łóżku.

– Niewiele pamiętam. Miałam osiem lat, kiedy matka umarła, a nie było przy nas żadnej jej rodziny. I chyba nigdy nie znałam ojca.

– Naprawdę? – Cassia przechyliła głowę na bok i popatrzyła na mnie. – Osiem lat to nie tak mało. Musisz coś pamiętać.

– No, ale nie pamiętam – warknęłam.

Cassia się wzdrygnęła.

– Przepraszam – wymamrotałam i spuściłam wzrok. – Nie zamierzałam...

– Wiem – powiedziała. – Obie jesteście zmęczone. I zmarznięte.

Skinęłam głową, spoglądając na pustą koję po drugiej stronie kajuty.

– Połóż się znowu przy mnie – poprosiła Cassia i wyciągnęła do mnie rękę. – Ogrzej mnie.

Bez słowa wlałam do jej koi w ubraniach i kurtce i owinęłam nas kocami niczym ciepłym kokonem. Cassia położyła rękę na moim biodrze, przysunęła się bliżej i wtuliła głowę w mój obojczyk.

Powiodłam dłonią po rękawie jej pikowanej kurtki.

– Chyba niezbyt dobrze mi to idzie – powiedziałam.

– Co?

– Rozpraszanie twoich smutnych myśli.

– Przeciwnie, doskonale – odrzekła.

Jej rzęsy zatrzepotały przy mojej szyi, gdy zamknęła oczy. Przebiegł mnie elektryczny prąd, rozpraszając resztki mojej irytacji.

– Przepraszam, że się wściekłam – wyszeptałam w jej włosy.

Pachniały nią – jej skórą i nikłą wonią olejku.

– To nieważne. – Objęła mnie mocniej w talii i zadrżała. – Przepraszam, że zmusiłam cię do mówienia o rodzinie.

– To nieważne – powtórzyłam po niej jak echo.

Zastanawiałam się, czy ja też mam swój zapach i czy on koi Cassię tak samo, jak jej zapach koi mnie.

Uniosła głowę i nasze usta niemal się musnęły. Wsunęła dłoń pod skraj mojej kurtki i powiodła palcami przez biodro do dołu moich pleców. Oblała mnie fala żaru. To nie było zwykłe dotknięcie przyjaciółki. Zadrżałam i wyprężyłam palce stóp.

– Jak mogłabym się na ciebie złościć, skoro tak wspaniale mnie ogrzewasz – wyszeptała.

Odnalazła pod kocami moją dłoń i uniosła do ust. Poczułam ich ciepło, gdy całowała czubki moich palców.

– Och – westchnęłam cicho i zamknęłam oczy.

Powiodła wargami po mojej dłoni. Zesztywniałam, gdy dotarła do blizny, ale Cassia się nie zatrzymała. Przycisnęła do niej usta, a potem na dłużej do wrażliwej skóry nadgarstka. Odgarnęłam do tyłu jej włosy, oddychając szybko, i wtuliłam się w nią. Przysunęła usta do moich i przez moment spoglądałyśmy sobie w oczy.

– Tak? – wyszeptałam.

– Tak.

Wszystko we mnie stopniało. To w niczym nie przypominało tamtej gry w butelkę. Całowanie Cassii było jak leżenie wieczorem na wciąż jeszcze ciepłym piasku plaży. Było nieśpieszne, słodkie i rozkoszne.

Cassia odszukała zamek błyskawiczny mojej kurtki i ściągnęła mi ją z ramion. Wyszarpnęłam jedną rękę z rękawa, nie zważając na pojawiającą się na niej gęsią skórę, i sięgnęłam z kolei do kurtki Cassii.

W tym momencie coś lekkiego wylądowało mi na nodze i przeszło delikatnie po moim ciele, mrużąc cicho.

– Co...? – rzuciłam i uniosłam głowę.

Tibbet wystawił łeb ponad skraj koców i wpatrzył się w nas sowimi, żółtozielonymi oczami; w jego gardle wibrował niski pomruk.

Cassia i ja popatrzyłyśmy na siebie i wybuchnęłyśmy śmiechem.

– Tibbet – jęknęła i udała, że piorunuje go wzrokiem. – Przeszkadzasz.

Spojrzał na nią, zamrugał leniwie i wskoczył na jej poduszkę. Przez kilka chwil ugniatał ją łapami, mrużąc jak generator napędzany olejem kukurydzianym, a potem przeskoczył nad czubkiem głowy Cassii i zaczął się znowu myć.

Cassia westchnęła.

– Jest gorszy od mojej matki.

– Mam go zdjąć? – spytałam.

Tamta chwila minęła, ale byłam pewna, że możemy do niej powrócić, jeżeli zostaniemy same.

– Nie. Zresztą i tak powinnam odpocząć – odparła. Rzuciła gniewne spojrzenie na Tibbeta, a potem wyciągnęła rękę, podrapała go za uszami i rzekła do niego: – Świetnie grzejesz, ale masz koszarne wyczucie czasu. Wiesz o tym?

Kot zareagował dwakroć głośniejszym mrużeniem.

Usiadłam na łóżku i niechętnie odrzuciłam z nóg koce. Zimno wydawało się jeszcze dokuczliwsze teraz, gdy byłam tak rozgrzana.

– Powinnam sprawdzić, co u Rubia. Poradzisz sobie tutaj?

Cassia skinęła głową.

– Tibbet dotrzyma mi towarzystwa.

Zapięłam zamek błyskawiczny kurtki i pogroziłam palcem kotu.

– Nie zachowałeś się taktownie, mój panie. Absolutnie nie.

Znalazłam Rubia w ładowni ustawiającego beczki. Wiedziałam, że powinnam mu pomóc albo przynajmniej podziękować. Ostatecznie przecież nie zawinił awarii sztucznej grawitacji. Ale niedawna rozmowa o moich rodzicach pozostawiła we mnie wrażenie, że pomiędzy mną a resztą rodzaju ludzkiego rozwarła się przepaść. Przebywanie w towarzystwie Rubia tylko jeszcze bardziej mi o tym przypominało.

Wsunęłam rękę do kieszeni i namacałam mandarynę, gładką i chłodną jak rzeczny kamień. Mogłabym posłuchać głosu matki. Na tę myśl poczułam mrowienie w dłoniach. Jeśli zechcę przypomnieć sobie więcej, jeśli sięgnę głębiej... co wtedy? Cassia miała rację. Widziałam to w twarzy matki wyglądającej do mnie z lustra i w tym, jak zapachy pobudzały moją pamięć. Kocham Sorayę i Awę, ale chciałabym się dowiedzieć, co

w sobie odziedziczyłam, a co zaczerpnęłam od przyjaciół i nauczycieli. Czy moja matka była równie porywcza jak ja? Czy nuciła do siebie przy pracy? Czy mam dłonie podobne do jej dłoni? Kości? Czy miałyśmy swoje własne żarciki i historyjki? I czy, jeśli zaczął szukać, zdołam je ponownie ożywić?

Wspięłam się do kokpitu Mendicanta, zwinęłam w kłębek w fotelu pilota i otworzyłam mandarynę. Odszukałam wiadomość przysłaną przez Avę i przez całą minutę wpatrywałam się w pulsujący punkt na ekranie, którego powinnam dotknąć, by włączyć odtwarzanie. Kiedy byłam mała, Ava często próbowała porozmawiać ze mną o znanych jej fragmentach mojej przeszłości. „Czy pamiętasz pannę Miko i jej kałamarnicę? A twój latawiec, ten czerwony? Ty i Kai często go puszczaście”. A potem: „Usłyszałam w wiadomościach, że ludzie wracają na Gyre. Może mogłybyśmy polecieć tam i je odwiedzić. Nie chcesz zobaczyć miejsca, skąd pochodzisz?”.

Wtedy nie chciałam poznać swojej przeszłości. Nie chciałam jej sobie przypomnieć. Pragnęłam nowego początku, pełnego jaskrawych miękkich strojów, jakie nosiła Soraya. Chciałam nauczyć się arytmetyki i trygonometrii, zapełnić nimi puste miejsca w moim umyśle i wyprzeć wspomnienia. Pragnęłam komfortu, jaki daje ład, porządek.

Ale teraz? Mój kciuk zawisł nad ekranem. Żałowałam, że nie ma przy mnie Avy. Żałowałam, że nie mogę do niej zadzwonić i poprosić, żeby opowiedziała mi wszystko, co pamięta z mojego dzieciństwa. Tak byłoby bezpieczniej, łatwiej niż konieczność przypominania sobie na własną rękę. Ava mogłaby mnie powstrzymać, gdybym zanurzyła się zbyt głęboko we wspomnienia i zaczęłyby ściągać mnie w dół. Mogłaby zabawić mnie śmiesznymi historyjkami o swoich klientach albo o eksperymentach Rushila z marynowaniem ogórków. Ale Avy nie było tutaj. Znajdowała się miliony kilometrów stąd w słonecznym Mumbaju.

Wcisnęłam kciukiem odtwarzanie i na ekranie pojawiła się łagodnie uśmiechnięta twarz Avy. „Cześć, Miyole...”

Słuchałam, starając się oddychać miarowo, dopóki pośród zakłóceń nie zabrzmiał głos mojej matki:

„Trajektoria pięć, potwierdzona...”.

Gardło mi się ścisnęło. „Spokojnie – powiedziałam sobie. – To nie jest prawdziwa ona. To tylko fale dźwiękowe”. Jednak gdzieś w środku zaczęłam drzeć, jakby całą moją istotą wstrząsała jakaś geologiczna siła. Nadchodziła fala, wzbudzając nieruchomy ocean. Wbiłam paznokcie w dłonie i czekałam.

Nagle matka zaśpiewała – cicho, do siebie. Przeszył mnie dreszcz rozpoznania.

„Dodo ti ti-tit manman

Si li pa dodo

Krab la va manjé.

Papa li pa la

L’ale la rivyè...”

Kołysanka ucichła, niemal zagłuszona szumem zakłóceń, a potem powróciła. Jeszcze przed kilkoma chwilami nie potrafiłabym zaśpiewać tych słów, ale teraz coś we mnie przypomniało je sobie. Wiedziałam, kiedy głos matki się wzniesie i kiedy zatrzyma się dłużej na jednej nucie. Do oczu napłynęły mi palące łzy, a ja ich nie ocierałam. Na powierzchnię wyłonił się kolejny fragment wspomnień. Moja matka – moja manman –

szczypiąca mnie zartobliwie w palce stóp, kiedy doszła do części piosenki mówiącej o krabie. „Idź spać, *ma chère*, albo Pan Krab cię dopadnie”.

I nagle niczym wstrząs wtórny, powrócił do mnie zapach matki. Owionął mnie, gdy usiłowałam wyodrębnić jej głos z szumu zakłóceń – słony zapach morza i tłusty zapach oleju z hydrauliki jej stateczku zmieszane z łagodną, słodką wonią przypraw kuchennych i olejku, którego używała do włosów. Uchwyciłam się tego zapachu najmocniej, jak potrafiłam, chociaż równie dobrze mogłabym się złapać drutu kolczastego. To było dla mnie zbyt wiele. Zbyt wiele. Poczułam ucisk w płucach. Zatrzymałam odtwarzanie nagrania.

Pochyliłam się do przodu, osłabła i pomimo zimna zroszona potem.

– Dobrze się czujesz, memsahib?

Poderwałam głowę. Na najwyższym szczeblu drabinki stał niepewnie Rubio i przyglądał mi się jak zranionemu ptakowi.

– Świetnie – odrzekłam. Otarłam z twarzy pot i wytarłam dłonie o kurtkę. Zmierzyłam Rubia takim samym baczny spojrzeniem. – Od jak dawna tam stoisz?

Wzruszył ramionami, co miało oznaczać: wystarczająco długo.

– Czego słuchałaś? Wiadomości z jakiegoś innego statku?

Zerknął na ekran systemu łączności, ciemny i cichy pośród aktywnych pozostałych.

Spojrzałam na niego ostro.

– O co ci chodzi?

Popatrzył na mnie spokojnie i spytał bez śladu kpiny w głosie:

– Czy to była twoja matka?

– Co takiego?

– Twoja matka – powtórzył. Omiótł wzrokiem kokpit, szukając czegoś, na czym mógłby zatrzymać spojrzenie zamiast na mnie. – Pomyślałem... śpiewała kołysankę, więc...

Popatrzyliśmy na siebie. Sekundy wlekły się wolno jak lodowce.

Rubio odchrząknął i zniżył głos:

– No więc, czy to ona?

Otworzyłam usta, żeby coś odburknąć, ale w tym momencie opuściła mnie cała wojowniczość. Tym razem Rubio zachowywał się szczerze.

– Tak, to jest ona – odpowiedziałam. Wyjrzałam przez iluminator w ciemność usianą gwiazdami. – A raczej była.

– Nie żyje? – zapytał Rubio.

Skinęłam głową.

– Przykro mi – powiedział.

Zszedł z ostatniego szczebla drabinki i wśliznął się na fotel drugiego pilota.

Wzruszyłam ramionami.

– Słabo ją pamiętam.

– Byłaś mała, kiedy umarła, tak?

– Miałam osiem lat.

– Czy chorowała? – spytał.

Przecząco pokręciłam głową.

– Pamiętasz ten gwałtowny sztorm, który uderzył przed laty w Gyre na Pacyfiku?

Rubio przytaknął.

– Był potworny.

Ja także kiwnęłam głową.

– Tam właśnie mieszkaliśmy.

Rubio wytrzeszczył oczy.

– Przeżyłaś ten sztorm?

– Tak – powiedziałam. – Ale moja matka nie.

– *Vaya* – rzekł. – Przykro mi, memsahib. Nie miałem pojęcia...

Westchnęłam.

– No więc teraz, kiedy już wiesz, czy mógłbyś skończyć z tymi bzdurnymi *bhankas* o memsahib?

– Naprawdę tego nie lubisz? – spytał; wydawał się szczerze zaskoczony.

Uniosłam brwi.

– No... naprawdę. Czyż nie mówiłam ci tego tysiące razy?

– Tak, ale... – Rubio zmarszczył brwi. – Sądziłem, że my po prostu... no wiesz...

Wyczekująco przechyliłam głowę na bok.

– Żartujemy – dokończył.

Spojrzałam na niego. Nawet gdybym żyła pięćset lat, nie sądzę, bym kiedykolwiek zrozumiała postępowanie chłopców. To niepojęte stworzenia.

Nagle powagę na twarzy Rubia zastąpiło zdziwienie.

– Zaczekaj, powiedziałaś, że miałaś osiem lat, kiedy w Gyre uderzył sztorm.

– Zgadza się – potwierdziłam ostrożnie. „O co mu chodzi?”

– Ale to było... Urwał i zastanowił się. – Przed ośmioma laty. Czyli miałybyś teraz szesnaście.

Poczułam suchość w ustach. „Jesteś głupia, głupia”. Na pokładzie Ranganathana trzymałam się z dala od innych ludzi właśnie dlatego, żeby uniknąć tego rodzaju wpadki.

Widocznie Rubio zauważył moją minę, gdyż szeroko otworzył oczy i powiedział:

– Więc w rzeczywistości masz szesnaście lat, tak? – Odepchnął do tyłu fotel. – *Chingame*.

– To właściwie bez znaczenia – rzekłam szybko. – Wypełniałam dobrze swoje obowiązki, prawda? Miałam wszystkie niezbędne kwalifikacje z wyjątkiem wieku.

– Nie, nie o to chodzi. – Rubio potrząsnął głową. – Tylko po prostu... to wiele wyjaśnia – powiedział i spojrzał na mnie.

Uniosłam brwi.

– Co masz na myśli?

– No cóż, stale jesteś taka drażliwa. Irytuje cię każdy żart. I cała ta zwariowana sprawa z porwaniem mnie i kradzieżą statku...

Urwał. Wyglądał, jakby się zorientował, że właśnie wkroczył na pole minowe.

Teraz uniosłam jedną brew.

– Uważasz, że pomaganie Cassii to wariactwo?

– Nie, to wymaga odwagi. – Rubio pochylił się do przodu i splótł dłonie. – Przypuszczam, że kilka lat temu postąpiłbym tak samo, ale teraz już na pewno nie.

Przechyliłam głowę na bok.

– Dlaczego?

– Bo... – Westchnął i wzniósł wzrok do sufitu. – Kiedy zaczynasz dostrzegać wszędzie wokół tyle zła i wiesz, że nie możesz go naprawić, zaczynasz myśleć, że nie zdołasz naprawić niczego.

Potrząsnęłam głową.

– Chyba nie rozumiem.

Rubio miał na twarzy smutny uśmiech, jakiego nigdy dotąd u niego nie widziałam. Niezgrabnie położył dłoń na moim ramieniu.

– To zapewne dobrze.

Rzuciłam mu krzywy uśmiech.

– Nie roztkliwiaj się tak nade mną. Masz być moją nemezis, pamiętasz?

– Racja. – Wyprostował się. – Wracamy więc do naszych regularnie zaplanowanych żartów.

Przewróciłam oczami.

– Czy to oznacza, że znowu będziesz taki irytujący?

Ale Rubio nie odpowiedział. Wzrok miał utkwiony w punkt nad moim lewym ramieniem.

Odwrociłam się. Niczego tam nie było. A przynajmniej niczego oprócz przestarzałej pianowej gaśnicy z zardzewiałą dyszą.

– Rubio? – powiedziałam ostrożnie, a gdy nadal się nie odezwał, pstryknęłam palcami przed jego nosem. – Hej!

Zamrugał, wyrwany z transu.

– Co? Tak?

Zmarszczyłam czoło.

– Wszystko w porządku?

– Tak. Nie, wszystko wprost świetnie. – Kiwnął głową, może odrobinę zbyt żywo. – Pomyślałem tylko, że... Nieważne. To nic takiego.

– Jesteś pewien? – spytałam, marszcząc brwi.

– Aha. Nie masz się czymś martwić. Przez chwilę zatopiłem się w myślach. – Wstał i wyprostował się. – Lepiej pójdę dokończyć umocowywanie tych baryłek z kreatyną. Nie chcę drugi raz przez to przechodzić, gdybyśmy znowu stracili grawitację.

– Sądziłam, że już je ustawiłeś.

Rubio zatrzymał się w drzwiach.

– Tak, ale trudno przewidzieć, co może się stać z tą żalną stertą.

Następnej nocy obudził mnie jakiś łomot. Gwałtownie usiadłam wyprostowana na łóżku obok Cassii.

Dziewczyna jęknęła i zakryła oczy dłońmi.

– Miyole? – wymamrotała.

Przez pół nocy nie spała; wymiotowała do chemicznej toalety na drugim końcu korytarza. To nie wróżyło dobrze jej urazowi głowy.

– Jestem tutaj – powiedziałam. Ścisnęłam jej łokieć i omiotłam wzrokiem pokój. Tibbet zamrugał do mnie sennie z nóg łóżka. Koja Rubia była pusta. – Nie martw się. Zobaczę, co się dzieje.

W mojej głowie też pulsował ból, gdy włożyłam buty i wymknęłam się cicho na słabo oświetlony, wąski korytarz. Minęłam salonik i weszłam po schodkach do kokpitu. Rubio stał w drzwiach, rozczochrany, z dzikim wzrokiem. Wszystkie panele dostępu były otwarte, odsłaniały płytki obwodów drukowanych i zestawy mikroskopijnych procesorów. Z panelu przed Rubiem zwisały luźne przewody.

– Rubio, co, do cholery...

– One są w ścianach, Miyole – rzekł, spoglądając wprost na mnie. – Są w ścianach.

– Co jest w ścianach?

– Ptaki – powiedział tak, jakby to było oczywiste, i wyrwał garść kabli światłowodowych. – Ten kot jest całkiem do niczego.

Vaat.

– Rubio – powiedziałam i ostrożnie zrobiłam krok w jego kierunku.

– Musimy ustalić, jak się tu dostały – wymamrotała, szarpiąc drugą wiązkę kabli. – One zbudują gniazda. Zbudują gniazda i zrujnują całą naszą ciężką pracę.

– Rubio – powtórzyłam. Co się stało z tym wczorajszym rozsądnym, troskliwym młodzieńcem? Zbliżyłam się wolno i wyciągnęłam rękę. – Porozmawiajmy o tym.

– Nie ma czasu! – wykrzyknął porywczo z dzikim wzrokiem. – Musimy pozatykać te dziury.

Potrzebowałam całej siły woli, żeby się nie wzdrygnąć, ale udało mi się opanować.

– W porządku – rzekłam spokojnie. – Rozumiem. Ale nie musisz budzić krzykiem Cassii, prawda?

– Cassii? – Przez moment wpatrywał się w pustkę, zdezorientowany, a potem znów spojrzał na mnie. – Nie, nie muszę. Jej głowa... Cassia potrzebuje odpoczynku.

– Właśnie – powiedziałam i łagodnie ujęłam go za łokieć. – Zejdźmy do saloniku i obejrzymy schematy statku. Jestem pewna, że zdołamy odkryć, w jaki sposób ptaki dostały się do środka, a potem razem temu zaradzimy.

„A ja zorientuję się, co, do cholery, się z tobą dzieje”.

– Racja. – Przeczesał palcami włosy, wyraźnie spokojniejszy. – Tworzymy dobry zespół. Pomożesz mi się ich pozbyć.

Niemal się roześmiałam – ale Cassia już była chora, brakowało jeszcze tego, żebym teraz nie mogła liczyć także na Rubia. Zaprowadziłam go do saloniku, posadziłam na jednej z sof, otworzyłam ekran w blacie niskiego, owalnego stolika przed nim i odszukałam schematy statku.

- Zaczynj je przegłądać – powiedziałam. – Zaraz wróće.
- Dokąd idziesz? – spytał, nagle podejrziwy.
- Sprawdzić co z Cassią – odparłam. – Zaczynj beze mnie.

Przez chwilę przyglądał mi się bacznie, jakby myślał, że mogę go zdradzić przed ptakami.

– To zajmie tylko chwilę. – Zmusiłam się do uśmiechu. – A potem wspólnie zajmujemy się tym twoim ptasim problemem.

- Naszym ptasim problemem – poprawił mnie.
- Racja – zgodziłam się.

Usatysfakcjonowany Rubio kiwnął głową i pochylił się nad ekranem.

Wybiegłam z saloniku i poszłam szybko na górę do kajuty sypialnej. Uklękałam przy mojej koi i zaczęłam szperać w apteczce.

- Miyole? – Cassia, potargana, usiadła w łóżku. – Co się dzieje?
- Nic – odszepnęłam. – Śpij dalej.

Opadła znowu na poduszki. Znalazłam to, czego potrzebowałam, i ukryłam w dłoni. Podniosłam się i wróciłam do saloniku. „Odpowiednią dozę wyznacza iloczyn wagi ciała wyrażonej w kilogramach i zalecanej dawki na kilogram”.

Weszłam i zastałam Rubia wpatzonego w drzwi.

- Czy z nią wszystko w porządku? – spytał.

Skinęłam głową.

- Czuje się dobrze. Śpi. – Usiadłam na sofie obok niego. – A więc, co mamy?

Rubio pochylił się nad schematem statku.

- Potencjalne miejsca dostępu są tutaj i tutaj.

Stuknął palcem w wylot systemu cyrkulacji powietrza, a potem przesunął go do czegoś, co jak przypuszczałam, było układem przetwarzania odpadków.

- Jak myślisz, w jaki sposób dostały się do środka? – spytałam.

Przysunęłam się bliżej i przyjrzałam się Rubiowi, by wybrać najlepsze miejsce do wbicia igły. „Szyja”, zdecydowałam. Było tam kilka wyraźnych żył, a poza tym reszta jego ciała zakrywały kombinezon termiczny i parka.

Popatrzył na mnie tak, jakbym zapytała, jaka jest pogoda w próżni na zewnątrz.

- Nie sądzę, by się tu dostały – powiedział. – Przypuszczalnie zagnieździły się w krypie, gdy stała w doku, a teraz my im przeszkadzamy.

Zmarszczyłam brwi. To było o wiele rozsądniejsze wytłumaczenie, niż się spodziewałam.

- Jesteś pewien, że to nie szczury słyszysz?

Na pokładzie niewątpliwie były szczury. Przed kilkoma dniami obudziłam się w nocy i zobaczyłam, że Tibbet, mrucząc z dumą, kładzie na kocu na mojej piersi kolejnego martwego gryzonia.

- Tak – odrzekł z irytacją Rubio. – Czy kiedykolwiek słyszałaś, żeby szczur tak śpiewał?

Przekrzywił głowę, nasłuchując, i wskazał w górę.

Znieruchomiałam i wstrzymałam oddech, usiłując usłyszeć to co on. Gdzieś we wnętrzu statku coś bulgotało, lecz poza tym panowała cisza zakłócana tylko nikłym szumem instalacji.

– W porządku – powiedziałam. – Pora na lekarstwo.

Jednym szybkim ruchem wbiłam mu w szyję maleńką strzykawkę ukrytą w dłoni i nacisnęłam dozownik.

– Co... – Rubio wytrzeszczył oczy i zamachał rękami, próbując mnie odepchnąć.

„Raz, dwa, trzy”, policzyłam w myśli, a potem Rubio zwiotczał i odchylił się bezwładnie do tyłu na oparcie sofy. W jego szeroko otwartych oczach nadal widniały zaskoczenie i uraza.

– Przykro mi – powiedziałam szczerze. – Ale masz urojenia.

Rubio osunął się jeszcze głębiej na sofie. Powieki mu opadły.

– Odpocznij sobie – rzekłam.

Poklepałam go po nodze i wstałam. Ułożyłam Rubia wygodnie na sofie. Potem znalazłam kilka poduszek i podłożyłam mu pod głowę, uważając, żeby miał ją zwróconą w bok, tak by nie wciągnął w płuca własnych wymiocin, gdyby środek uspokajający wywołał u niego mdłości. Na koniec przyniosłam z kajuty sypialnej naręczce ciepłych koców i przykryłam go nimi. Palce miał już lodowato zimne wskutek spadku ciśnienia krwi. Otuliłam go szczelnie kocami.

– Słyszysz je – wymamrotał żałośnie niemal szeptem.

Wyprostowałam się. Teraz już nie powinien zmarznąć.

– Wiem – rzekłam najłagodniej, jak potrafiłam. – Prześpij się trochę. Kiedy się obudzisz, już ich nie będzie.

Odczekałam, aż jego puls zwolnił, a powieki przestały drżeć. Głęboko we wnętrzu Mendicanta coś łupnęło i nagle uderzyła mnie panująca na nim cisza. Ten statek zbudowano, by pomieścić co najmniej kilkanaście osób, a nie załogę złożoną z zaledwie trojga.

Chaila. Pochyliłam się do przodu i przygryzłam wargę. W głowie pulsował mi ból z każdym uderzeniem serca. Potrzebowałam jakiegoś planu działania. Poradzę sobie od biedy z samodzielnym pilotowaniem statku, ale kiedy mam spać, jeżeli jestem jedyną osobą zdolną pełnić wachtę? A skoro ta łajba wymaga nieustannych napraw, jak zapobiegnę temu, by stała się lodowatą, pozbawioną powietrza metalową skorupą z naszymi martwymi ciałami wewnątrz, unoszącą się w Głębokiej Próżni?

Ciszę przerwał jakiś pytający świergot za moimi plecami. Odwróciłam się na pięcie i ujrzałam Tibbeta. Stał w drzwiach i przyglądał mi się z powagą wielkimi oczami.

– Teraz zostaliśmy tylko ty i ja – powiedziałam. – Może znasz się choć trochę na zimnym spawaniu?

Tibbet pochylił się i zaczął wydawać zdławione dźwięki oznaczające, jak już wiedziałam, że zaraz zwymiotuje.

– Fuj – rzekłam do niego.

Nie przypuszczam, by którykolwiek z kotów w stoczni Avy i Rushila rzygał tak często jak Tibbet. Z tym stworzeniem było coś zdecydowanie nie w porządku.

Skończył wymiotować i powęszył w powietrzu. Wystawił głowę za drzwi i pognał z powrotem na korytarz; niewątpliwie wytropił szczura. Przynajmniej już wkrótce te szkodniki przestaną przegryzać nam przewody i ściany. To znaczy, o ile zdołam wystarczająco długo utrzymać tę krypę w jednym kawałku.

Podniosłam się i przecesałam dłonią włosy. Nie zadałam sobie trudu, by znowu

spleść je w warkocz. Poza tym było mi cieplej, kiedy zasłaniały szyję, a ściąganie ich ciasno jeszcze wzmagало dręczące mnie bóle głowy. Potarłam skronie. Wszystko po kolei. Musiałam najpierw naprawić wyrządzone przez Rubia szkody w okablowaniu kokpitu. Spojrzałam na niego. Jeżeli właściwie odmierzyłam dawkę, nie powinien się ocknąć przed upływem co najmniej ośmiu godzin.

„*Vaat*”, zakląłam znowu w duchu i ruszyłam w stronę kokpitu.

Oparłam głowę o ścianę kokpitu i jęknęłam. Chociaż na szczęście wyrwane przez Rubia przewody były oznaczone kolorami, i tak zajęło mi wieczność ustalenie, które do siebie pasują. Potarłam dłonią oczy i sprawdziłam czas na mojej mandarynie. Minęło dokładnie trzy i pół godziny. Trzy i pół godziny, a byłam dopiero w połowie roboty.

Przymocowałam lampę jarzeniową na magnesie do ściany wnęki dostępu i odciąłam dopływ elektryczności do kokpitu. Tego nam jeszcze brakowało, żebym została śmiertelnie porażona prądem. Diagnostyczne monitory, które przetrwały atak Rubia, zgasty jeden po drugim i jednocześnie ucichł ich delikatny elektroniczny szum. W tym samym momencie światła na suficie zamigotały i ściemniały. Lampa jarzeniowa nie tyle oświetlała wnętrze kokpitu, co raczej tylko rzucała w nim głębokie cienie.

Odgarnęłam włosy z oczu, pochyliłam się w głąb wnęki i zabrałam się do żmudnego ponownego łączenia przewodów. W kabinie zapadła cisza tak głęboka, że niemal czułam jej ciężar. W uszach mi dzwoniło – był to wysoki, ledwie słyszalny jęklivy dźwięk. Kilkakrotnie otworzyłam i zamknęłam usta, usiłując się go pozbyć, aż ustał tak, że mogłam znowu myśleć.

Przygryzłam wargę i skręciłam razem dwie końcówki przewodów. Co do cholery mogło się stać Rubiowi? Zaburzenia spowodowane niedoborem snu? Ale żadne z nas nie sypiało dobrze, a tylko on słyszał ptaki. Nie była to też psychoza wywołana odosobnieniem. Zanim weszliśmy na pokład Ranganathana, musieliśmy wszyscy wziąć udział w seminarium dotyczącym wczesnych sygnałów ostrzegawczych i symptomów takiej psychozy. Rubio nie miał napadów niekontrolowanej furii czy paranoi, ani nie przejawiał żadnych innych antyspołecznych zachowań. No, może czasami bywał odrobinę paranoiczny. Ale nie samookaleczał się ani nie zalegał w swojej koi, odmawiając jej opuszczenia. To się nie trzymało kupy. Po prostu miał... urojenia. Potrafiłam złożyć złamaną kość i zabandażować ranę, ale mózg to bardziej skomplikowana sprawa. Jeżeli nie uleczy go kilka godzin snu po podaniu środka uspokajającego, niewiele więcej zdołam pomóc.

Potrząsnęłam ręką, by pozbyć się skurczu, i sięgnęłam po rolkę taśmy izolacyjnej. Nagle dzwonięcie w uszach nasiliło się nieznośnie. Zasłoniłam je dłońmi i zgięłam się w pół; w moim ciele pulsowała adrenalina. „Walcz albo uciekaj”. Tylko że nie było dokąd uciec ani z kim walczyć. Ten dźwięk istniał tylko w mojej głowie. W tym momencie wysoki, równy ton przeszedł w melodyjny chaos cyfrowych zakłóceń.

– ...p.....e nam... promieniu.....gień...

Jakaś transmisja? Rzuciłam okiem na panele kontrolne. To niemożliwe. Z odcięciem dopływem prądu do kokpitu i niesprawnymi wszystkimi przyrządami telemetrycznymi nie mogliśmy odbierać żadnych komunikatów. Spojrzałam na konsolę systemu łączności. Pozostawała ciemna i martwa jak wszystkie inne nasze urządzenia.

Sygnal powrócił, tym razem silniejszy.

– Powtarzam.....kie statki ...promieniu, proszę pomóżcie na...

„Wezwanie pomocy”. Podbiegłam do systemu łączności i przycisnęłam ucho do głośnika, chociaż zdrowy rozsądek mówił mi, że w ten sposób niczego nie usłyszę.

– ...główne funkcje niesprawne. Ogień pochłania nasze rezerwy tlenu. Proszę... – mówił błagalnie kobiecy głos. – Jeśli ktokolwiek nas słyszy...

Ogień. Moje dłonie pokrył lepki pot. Niewiele jest rzeczy gorszych niż pożar na pokładzie statku znajdującego się tak daleko w Głębokiej Próżni, zwłaszcza jeśli ogień dotarł do rezerw tlenu. Załogę czeka śmierć – szybka, jeśli nie zdołają ugasić płomieni; powolna, jeżeli uda się im zdusić ogień.

Skoczyłam i przerzuciłam dźwignię dopływu prądu do kokpitu. Nieważne, że niemal żadne z naszych systemów nie są podłączone. Mamy tlen, a to więcej niż ma tamten statek.

Popędziłam z powrotem do konsoli systemu łączności i przełączyłam na nadawanie.

– Wzywam niezidentyfikowany statek. Tu Mendicant – trajektoria 248, D245M. Odpowiadam na wezwanie pomocy. Podajcie swoją pozycję.

Głośnik umieszczony nad konsolą łączności pozostał głuchy, przekazywał tylko szum zakłóceń.

Ponownie wdusiłam przycisk nadawania.

– Wzywam niezidentyfikowany statek. Tu...

– Miyole? – Kobiecy głos łamał się i rozplýwał. – *Ma chère*, jesteśmy tu całkiem sami. Musisz mnie uratować.

Skóra mi zlodowaciała. „Moja matka”. Ta myśl uderzyła mnie jak słuł lodowatej wody. „To głos mojej matki”. Moje ręce osunęły się z nadajnika. To niemożliwe.

– Manman? – wyszeptalam.

– Ratuj mnie – błagała. – *Ma chère*, nie zostawiaj mnie samej.

– Manman, jak...

Urwałam. Ona nie żyje. Wiedziałam, że nie żyje, ale mówiła do mnie. Musi istnieć jakieś wyjaśnienie. Ktoś musiał gdzieś popełnić błąd. Może Ava i Soraya się myliły. Może moje sny o niej dryfującej do bezpiecznego miejsca jednak mówiły prawdę. Może ona przez cały czas czekała tutaj na mnie.

– Gdzie jesteś? – spytałam; starałam się zapanować nad głosem, ale łamał mi się, pełen tęsknoty i samotności.

– *Ma chère, ma chère* – błagała moja matka.

I wtedy to zobaczyłam. W przednim iluminatorze pojawił się statek spadający boleśnie powolną śmiertelną spiralą. Pod jego pancierzem jarzyły się płomienie, wytryskiwały z burt w miejscach, gdzie strumienie tlenu uciekały przez szczeliny w kadłubie.

Przestałam oddychać.

– Wybacz mi, *ma chère* – usłyszałam.

Statek skręcił gwałtownie, jakby ktoś desperacko pchnął dźwignie gazu.

Mój umysł pracował zbyt ospale. „To taki sam typ jak stary statek Cassii” – pomyślałam tępo. Stałam jak sparaliżowana, patrząc, jak płonący statek przecina nasz tor lotu i skręca prosto na Mendicanta. Jedno uderzenie serca, drugie...

System ostrzegawczy naszego statku ożył, błyskając czerwonymi lampkami i wrywając mnie z otępienia serią wysokich, nagłych dźwięków. Rzuciłam się do sterów i pchnęłam Mendicanta do lotu nurkowego. Ale to nie wystarczyło. Mieliśmy zbyt dużą prędkość i bezwładność, a do zderzenia pozostały zaledwie sekundy. Tamten statek wypełnił nasze iluminatory, wirując w niekontrolowany sposób.

– Manman! – krzyknęłam i wyciągnęłam ręce przed siebie, by odeprzeć uderzenie. W głośniku zawyło sprzężenie, a ja mocno zacisnęłam powieki.

Obudziłam się w wielkim łóżku, tym które dzieliłam z moją manman. W górze pod sufitem wisiało stadko ptaków, jakie wykonałam dla niej ze skrawków metalu. Kołysane poranną bryzą obijały się o siebie z cichym brzękiem. Zrobiłam je chyba na jej urodziny. Tak, na jej urodziny, chociaż to nie były prawdziwe urodziny. Powiedziała mi, że nikt na Gyre nie obchodzi urodzin, ale znalazłam datę moich w dzienniku, który prowadziła – 14 kwietnia – i chciałam, żeby ona też miała swoje.

Przez otwarte okno wpływało słone powietrze i dźwięki muzyki z radia na baterię naszej sąsiadki. Szczekały psy, koguty piałły kolejno ze szczytów dachów, a z oddali dochodziły odgłosy walenia młotkami w drewno i cynową blachę. Nie musiałam patrzeć, aby wiedzieć, że to Gyre.

– Miyole! – zawołała melodyjnym głosem moja matka.

Usłyszałam skwierczenie tłuszczu, poczułam zapach smażonych ryb i wstałam z łóżka.

Weszłam cicho do saloniku. Matka stała przy naszej przenośnej kuchence gazowej; na patelni z kutego żelaza rumieniły się na oleju ryby i ocukrzony banany.

– Jesteś w domu! – powiedziałam.

Podniosła na mnie wzrok i uśmiechnęła się; niemal udało się jej ukryć wyraz znużenia w oczach.

– Wreszcie wstałaś, leniuchu. Myślałam, że prześpisz cały ranek.

Wgramoliłam się na stołek naprzeciw niej.

– A ja myślałam, że masz dzisiaj lot.

– Odbyłam go wcześniej. Pomyślałam, że mogłybyśmy spędzić dzień razem.

Z radości serce podskoczyło mi w piersi.

– Naprawdę?

– Łi, *ma chère*. – Roześmiała się. – Naprawdę. A teraz się ubierz. Szkoda dnia.

Spojrzałam w dół. Miałam na sobie mój kombinezon ciśnieniowy. Jego pikowany materiał nieprzepuszczający powietrza był o wiele za ciepły na spędzenie dnia na dworze pod słońcem Pacyfiku. Popędziłam do naszej sypialni, podniosłam wieko starego ciężkiego kufra podróżnego i wyjęłam moją najlepszą sukienkę – ciemnoniebieską, z wzorem z białych diamencików wokół dekoltu. Może pójdziemy na targ rybny albo jednym z tanich promów popłyniemy wokół południowego Gyre; nasza sąsiadka pani Acosta powiedziała, że podobno mają tam targ kwiatowy. Ale gdy zamykałam wieko kufra, światło wpadające przez okno się zmieniło. Pokój zalał różowy blask schyłku dnia, a na skrzydłach moich ptaków zalśniły ostatnie ciemnopomarańczowe promienie zachodzącego słońca.

– Miyole? – dobiegł mnie zaniepokojony głos matki.

– Tutaj jestem, manman – odkrzyknęłam.

Stała w drzwiach, ubrana w swój strój lotniczy – grube buty, spodnie z czerwonym paskiem i zniszczoną skórzaną kurtkę.

– Muszę już wyjść, *ma chère*. Jest późno.

Wyjrzałam przez okno na słońce wtapiające się w swoje odbicie w wodzie, a potem znów popatrzyłam na nią.

– Ale przecież powiedziałaś, że mogłybyśmy spędzić dzień razem.

– Wiem. – Poglaskała mnie po włosach. – Mamy za mało czasu. Twoje jedzenie wystygło.

– Nie chcę, żebyś wychodziła.

Oczy mnie zapiekły. Coś wilgotnego spłynęło po mojej ręce, a kiedy spojrzałam, zobaczyłam, że moje blizny znowu się otworzyły i dłonie mam czerwone od własnej krwi.

– Nie martw się. – Matka uśmiechnęła się smutno i popatrzyła ponad moim ramieniem. – Ava się tobą zaopiekuje.

Spojrzałam tam gdzie ona i zobaczyłam Avę śpiącą na łóżku moim i matki. Twarz i ręce miała ziemście blade i nie słyszałam jej oddechu.

– Ona nie czuje się dobrze. Manman, myślę, że nie powinnaś...

Odwróciłam się z powrotem i zorientowałam się, że matki już nie ma. Mówiłam do pustego pokoju.

Na zewnątrz słońce zaszło, a fale uderzały o brzeg i załamywały się. Morze śmierdziało wymiocinami. Zbiegłam pędem po schodkach przywartych do bocznej ściany naszego domu na ponton, na którym stał.

– Manman! – krzyknęłam.

Niebo zasnuły widmowe, szarozielone chmury i deszcz sieknął mnie w twarz.

– Miyole! – usłyszałam moje imię, niemal zagłuszone przez wycie wiatru.

Uniosłam głowę i spojrzałam w kierunku, z którego dobiegło to wołanie. Na kładce pontonowego domu naszej sąsiadki wdowy stał drobny czarnowłosy chłopiec. Mój przyjaciel Kai. Wskazywał poza łańcuch wyremontowanych łodzi i pływających domów, na olbrzymi stary islandzki statek badawczy, górujący nad wszystkimi masztami i szczytami dachów. Na górnym pokładzie tłoczyli się ludzie; patrzyli przez szyby okien na nadciągający sztorm.

– Nie.

Cofnęłam się. Ten widok był zbyt znajomy. Już go kiedyś oglądałam. Wiedziałam, co stanie się z tymi ludźmi, a potem z Kaiem i manman.

Na moich oczach spod burty statku wybrzuszyła się powierzchnia oceanu, a po chwili w tym miejscu wyrósł wysoki wał wody sięgający aż do wieżyczek antenowych. Ta olbrzymia fala uderzyła w statek, przechylając go na bok. Powietrze wypełniło wycie wiatru i ryk oceanu, ale ja nadal słyszałam krzyki pasażerów. Spieniona fala wzniosła się jeszcze wyżej. Przez chwilę miałam nadzieję, że dziób statku przebije się przez szczyt ściany wody, ale zawisł o sekundę za długo, walcząc z grawitacją, i fala wyrzuciła statek.

Nie poruszyłam się, ale w jakiś sposób znalazłam się na kładce wdowy i mocno trzymałam Kaia za rękę, a spieniony ocean szalał wokół statku wywróconego do góry dnem. Chciałam powiedzieć chłopcu, jak bardzo mi przykro, bo chociaż nie wspomniał o tym, wiedziałam, że na pokładzie tego statku była cała jego rodzina – ojciec, matka, wszyscy bracia i siostry. Ale to było zbyt straszne nawet na żal, więc tylko mocniej ścisnęłam rękę Kaia.

I wtedy pojawił się nad nami słup mojej matki, walczący z wichrem, by utrzymać się w górze.

– Miyole! Kai! – zawołała manman z kołyszącej się awaryjnej drabinki zwisającej z wjazdu słup. Wyciągnęła rękę. – Wchodźcie tutaj.

Ja pierwsza znalazłam się na drabince. Manman pomogła mi wspiąć się do połowy jej wysokości i wróciła po Kaia. Ale był niższy ode mnie, a porywy wiatru skręcały drabinę niczym pasek cynfolii, więc zeskoczyła na kładkę, by mu pomóc.

Zatrzymałam się w pobliżu szczytu drabinki i spojrzałam w dół na nich. Manman podniosła Kaia na tyle wysoko, że zdołał postawić nogi na najniższym szczeblu. Poślizgnął się na mokrym metalu i zmarł przerażony, kurczowo czepiając się plecionych metalowych linek.

– Wszystko w porządku, *ma chère*! – dobiegł mnie na wietrze głos matki.

Kai znowu zaczął się wspinać, powoli i niepewnie, jakby nie spędzał całych dni na przeskakowaniu zwinnie jak kot z takielunków na maszty i szczyty dachów.

Matka chwyciła dolny koniec drabinki i spojrzała w górę na mnie. Wokół jej nóg wirowały i kłębiły się fale zalewające dom naszej sąsiadki. Nigdy dotąd nie widziałam, żeby moja matka się bała. Zawsze była nieustraszona, odważniejsza od innych i gotowa do walki. Ale teraz gdy stała na miotanej przez fale kładce domu wdowy, na jej twarzy widniało prawdziwe przerażenie.

Sztorm ucichł na krótką złowróżbną chwilę, a potem nagle morze wyrwało platformę spod nóg mojej matki. Kolano manman uwięzło w barierce, gdy dom wdowy się walił, i kołysała się na wietrze jak marionetka. Na tle siniego nieba wyrósł ciemniejszy cień. Wpatrzyłam się z lękiem i zgrozą w toczący się ku nam czarny wodny wał. Sięgnął ponad szczyty dachów, łamiąc maszty i roztrzaskując kładki, i runął w dół na nasz mały słup i drabinę ratunkową. Przez moment ta olbrzymia fala znieruchomiała, doskonała i lśniąca czernią, jakby morze zmieniło się w nefryt, potem na jej grzbiecie pojawiły się zmarszczki białej piany. Załamała się i runęła na nas swoją potężną masą.

– Miyole, wchodź wyżej! – zawołała manman głosem, jakim zwykła ostrzegać mnie przed płomieniami ognia czy rekinami w morzu.

Jej krzyk przeniknął do rdzenia mojego mózgu i usłuchałam.

Wspinałam się szybko, chwytając się kolejnych śliskich szczebli. Drabinka zadygotała, gdy słup walczył z wichrem, by wznieść się wyżej. Dwa szczeble od szczytu drabinki noga mi się omsknęła. Przed oczami zamigotały mi czerwone błyski – spadałam – ale potem moja ręka odnalazła stalową linę boku drabinki i zatrzymałam się z gwałtownym szarpnięciem, kołysząc się wysoko nad wzburzonym szarym morzem.

Błyskawica oświetliła czarną ścianę wody i przez moment widziałam wszystko jak gdyby odlane w bryle lodu – niesione falą kawałki drewna i szczątki dziobu jakiejś łódki wiosłowej oraz daleko w dole matkę i Kaia. Zbyt daleko w dole. I wtedy usłyszałam szum wody. Spojrzałam w górę, gdy fala zaczęła się załamywać.

Jedno uderzenie serca.

Wgramoliłam się z powrotem na drabinę i wspinałam się. Dłonie wcale mnie nie bolały, a deszcz zmywał krew, zanim miałam szansę zastanowić się, skąd płynie.

Drugie uderzenie.

Nade mną wisiała otwarta kłapa wjazdu. Szum wody przeszedł w ryk. „W górę! – wrzeszczało moje ciało. – Wchodź!”.

Trzecie.

Dotarłam do włazu i zaczęłam wciskać się w górę do ciemnej ładowni. Ale rycząca fala uderzyła mnie w plecy i nagle znalazłam się pod wodą, turlając się i obracając w mroku. Rąbnęłam barkiem o ścianę. Moje oczy i gardło płonęły. „Toneę”. A potem prąd wody popłynął w przeciwnym kierunku, wstecz, porywając mnie ze sobą. Wyciągnęłam rękę, teraz już całkiem instynktownie, i chwyciłam coś – jedną z taśm, którymi matka przywiązywała większe paczki. Uczepiłam się jej z całej siły, jakiej użyczyło mi przerażenie, póki prawie cała woda nie wylała się z ładowni z powrotem do morza.

Podłoga pode mną się wyrównała. Wykrztusiłam porcję słonej wody i zaczerpnęłam wilgotny, drżący oddech. Wszędzie wokół mnie w płytkiej wodzie pokrywającej podłogę ładowni wały się porzrzucone paczki, które manman miała dostarczyć w trakcie swojego ostatniego lotu. Silniki słupu zawyły basowo i nagle ładownię zalał czysty blask słońca.

Wzlecieliśmy ponad burzę.

Puściłam taśmę i podczołgałam się do skraju włazu. Wierzchołki chmur na tle błękitnego nieba przypominały obrazy raju, które kiedyś pokazała mi manman, a wir huraganu pod nami wyglądał jak olbrzymi wiatrak. I zobaczyłam postrzępione końce metalowych linek urwanej drabinki awaryjnej smagane pędem rzadkiego powietrza stratosfery.

Szum zakłóceń elektrycznych...

„Monsunowy deszcz uderzający o dach szkoły. Kanał przy doku Avy i Rushila wystąpił z brzegów. Woda tryska łukiem z pękniętego zaworu jednej z miejskich rur. Biegniemy z tupotem nóg przez słony deszcz, wrzeszcząc...”.

Otworzyłam oczy. Nie było żadnego deszczu, żadnej powodzi. Leżałam na podłodze kokpitu Mendicanta; pomieszczenie wypełniał niski, biały szum otwartego kanału łączności. Obejrzałam swoje dłonie. Ani śladu krwi. W iluminatorze przede mną widniała tylko czysta, głęboka czerń usiana gwiazdami. Powróciły do mnie oderwane fragmenty ostatnich momentów przed utratą przytomności – wezwanie pomocy, głos mojej matki, płonący, wirujący statek...

W głowie mi dudniło. Podniosłam się i przyjrzałam ekranom kontrolnym. Telemetria nie pokazywała niczego poruszającego się na zewnątrz, nawet rozproszonego pyłu z pola śmieci. Lampki systemu ostrzegania pozostawały ciemne, jakby odcięto im dopływ prądu. Co u licha? Kiedy poprzednio na nie patrzyłam, błyskały, ostrzegając przed rychłym zderzeniem. Widziałam to na własne oczy.

Odsunęłam się od paneli kontrolnych i potknęłam się o splątaną gęstwę kabli, których naprawę przerwało mi wezwanie pomocy. Grzebałam w tym kłębie, póki nie znalazłam przewodów systemu ostrzegania, grubych, z jasnozieloną izolacją w zielone prążki. Ujęłam obydwie końce i wpatrzyłam się w nie z niedowierzaniem. A więc w ogóle tego jeszcze nie naprawiłam. System ostrzegawczy nie działał, ponieważ nie zdążyłam ponownie połączyć obydwu części przerwanego przewodu.

„To niemożliwe”. Pośpieszyłam z powrotem do monitorów kokpitu. Drżącymi palcami pokręcałam gałkami systemu łączności i wybrałam ponowne odtwarzanie.

„Szok – przypomniałam sobie tępo. – Jesteś w szoku, to wszystko”.

– Wzywam niezidentyfikowany statek. Tu Mendicant... – usłyszałam swój zdecydowany, rzeczowy głos.

Słuchałam, jak pytam ich o współrzędne, milknę, a potem pytam ponownie i urywam w pół zdania.

W miejscu, gdzie powinien zabrzmieć głos mojej matki, w nagraniu nastąpiła upiorna cisza.

Nachyliłam się bliżej. Gdzie on jest? Gdzie jest matka?

– Manman? – szepnął do mnie mój ściszony, wylężniony głos z nagrania.

Nadal żadnej odpowiedzi.

– Manman, jak... Gdzie jesteś?

Długa pauza. Nagranie odtworzyło mój ciężki, przyspieszony oddech. „Ona dozna hiperwentylacji”, pomyślałam, zapominając na moment, że chodzi o mnie. A potem rozległ się mój krzyk, pełen autentycznego przerażenia. Znowu przebiegł mnie dreszcz, a skórę oblał pot; zacisnęłam dłonie w pięści, by powstrzymać ich drżenie.

Wyłączyłam nagranie i oparłam się łokciami o pulpit, z twarzą ukrytą w dłoniach. Żadnej odpowiedzi od tamtego statku, żadnych ostrzegawczych sygnałów alarmowych, tylko mój głos mówiący w pustkę.

Popadam w obłęd. To jedyne możliwe wyjaśnienie. Rubio ma swoje ptaki, a ja mam głos mojej matki.

Wyjrzałam przez iluminator w bezkresną, pustą przestrzeń. Znajdowaliśmy się nadal dwanaście dni drogi od Enceladusa, lecieliśmy z niesprawnym systemem telemetrii i diabli wiedzą jakimi jeszcze innymi uszkodzeniami, które tylko czekały, by się ujawnić, a ostatni czynny członek załogi niewątpliwie oszalał.

Z trudem, powoli weszliśmy na orbitę wokół najbliższej stacji, jaką zdołałam znaleźć w naszej bazie danych, pogranicznej placówki 247.281.5M. Nikt nie odpowiedział na moją prośbę o podanie trajektorii podejścia, więc poprowadziłam statek na ślepo, używając tylko odczytów telemetrii, dopóki na tle gwiazd nie pojawił się zarys stacji. Z wysuniętymi ramionami służącymi do dokowania wirowała w ciemności jak wiatrak – jej ciemnoszary pancerz był w mroku niemal niewidoczny.

Na krańcach stacji nie paliły się żadne światła sygnałowe. Albo trafiliśmy akurat na przerwę w zasilaniu, albo stacja była opuszczona. Moje rojenia o znalezieniu lekarza czy operatora mogącego dokonać tomografii komputerowej mózgu rozwiały się i szczyły. Być może na zewnątrz kadłuba naszego statku nie napotkam nawet powietrza ani grawitacji.

Wrota komory dokowania wyczuły nasze zbliżenie i rozsunęły się. „Dobry znak”, pomyślałam, póki sobie nie uświadomiłam, że to oznacza, iż zasilanie stacji działa – czyli ktoś celowo wyłączył światła sygnałowe albo przynajmniej nie zadał sobie trudu naprawienia ich, kiedy się przepaliły.

„Powinniśmy zawrócić. Znaleźć inną placówkę, zamieszkaną”.

Ale jaką miałam gwarancję, że następna stacja również nie okaże się porzucona? Albo co gorsza, pełna takich samych przemytników jak ci, którzy uprowadzili Nethanela.

– *Ma chère*, nie skończyłaś jeść swojego ryżu. – Głos mojej matki dobiegł z drugiego końca statku.

Zanim zdołałam się powstrzymać, szybko odwróciłam głowę w tamtym kierunku.

„To nie jest realne. Jej tu nie ma” – przypomniałam sama sobie.

Ale rzecz w tym, że kiedyś było realne. Nie potrafiłam już filtrować moich wspomnień. Napływały do mnie ukradkiem, pogmatwane, chaotyczne. Czasami moje dłonie krwawiły, ale gdy sięgałam po bandaż, rany znów się zasklepiały. Głos mojej matki wyrывał mnie w nocy ze snu – albo na moje pole widzenia, gdy leżałam na plecach i kończyłam jakąś naprawę, nakładały się obrazy z Gyre: biała farba łuszcząca się z żelaznej poręczy; zapach smażonych ryb; kury skrobiące na dachu; przeskakuję z Kaiem szczeliny pomiędzy pontonami; podaję mu linkę jaskrawoczerwonego latawca; wyławiam spośród wyblakłych, unoszących się na wodzie odpadków równiny Gyre sznur plastikowych pereł i wkładam go sobie na szyję. Co stało się z tym naszymi naszyjnikami? Albo z czerwonym latawcem? Czy osiadły na dnie oceanu razem z kośćmi mojej matki?

Ten naszyjnik stał się kośćmi manman, a potem nią. Siedziała ze mną nad olbrzymią starą papierową księgą pełną map, rozłożoną na naszym kuchennym stole. Stronice były pogniecione, pomarszczone ze starości i zniszczone przez wodę.

Manman wygładziła je dłońmi i puknęła palcem w wysepkę pośród obszaru zblakłego błękitu.

– To była nasza ojczyzna, *ma chère*. Zanim podniosła się woda.

– Ale my nie pochodzimy stamtąd. – Zmarszczyłam nos od woni tej starej książki. – Jesteśmy ludźmi z Gyre.

– Tak – zgodziła się matka. – Ale jesteśmy też Haitankami. Każdy na Gyre jest też kimś jeszcze. Wszyscy przybyliśmy tu z rozmaitych miejsc. Rozumiesz?

Pokręciłam głową i moje włosy splecione w mysie ogonki trzepnęły mnie w policzki. Lubiłam, jak się tak majtały, więc dalej kręciłam głową, póki matka nie położyła dłoni na moim ramieniu.

– Odpowiedz, Miyole. Rozumiesz?

Wykrzywiłam się.

– Ale Haiti już nie ma. Nie możemy pochodzić z miejsca, którego nie ma.

– Ten ład zniknął – powiedziała matka. – Ale wszystko inne przywiozliśmy ze sobą. Dopóki ty, ja i pozostali ludzie Gyre pamiętają Haiti, ono nadal istnieje. Podobnie jak wszystkie inne lądy, z których pochodzą nasi sąsiedzi. Dopóki my żyjemy, te miejsca też istnieją.

Moje łomoczące serce wypełniło poczucie winy. „Pozwoliłam sobie zapomnieć. Nie, zmusiłam się, żeby zapomnieć”. Nie tylko Haiti, lecz także Gyre. Wszyscy inni zginęli podczas tamtego sztormu, a ja zmusiłam się, żeby zapomnieć. Wiedziałam, co powiedziałyby Ava i Soraya – że musiałam zapomnieć, aby zachować zdrowe zmysły i móc dalej funkcjonować. Ale to nie rozproszyło zimnego, mdlącego skurczu w moim żołądku ani przenikającego mnie uczucia wstydu. Czy Gyre przestało istnieć, kiedy o nim zapomniałam?

Ściany stacji wypełniły cały przedni iluminator, ciemne i ciche; klapy jej zewnętrznych śluz powietrznych zwisały otwarte jak rozdziawione gęby. Zdołałam wprowadzić statek na tor magnetycznego dokowania i pozwoliłam, by stacja

przyciągnęła nas gładko. Wsłuchałam się w odgłos zamykających się za nami wrót śluzy, przebrałam się w skafander ciśnieniowy i zanim zbiegłam do włazu, zajrzałam jeszcze do Cassii i Rubia. Oboje spali mocno po lekach. Tibbet leżał zwinięty w kłębek przy nogach swojej pani; albo jej strzegł, albo ogrzewał się ciepłem jej ciała. Z nim nigdy nie wiadomo. Odkąd Cassia przestała opuszczać łóżko, zachowywał się jeszcze dziwniej. Kiedy nie spał, łaził z rozszerzonymi źrenicami po statku, wpadając na rozmaite przedmioty, i wydawał tęskne miauknięcia. Ilekroć mnie zobaczył, uciekał, chociaż to ja codziennie wkładałam do jego miski miękkie, zmielone paluszki proteinowe.

– Zaopiekuj się nimi obojgiem, dobrze? – szepnęłam.

Na szczęście nie było tutaj doktor Osmani i nie mogła widzieć, że przemawiam do kota. Jeżeli wkrótce nie uzyskam pomocy, Tibbet stanie się członkiem załogi posiadającym najlepsze kwalifikacje do pilotowania tego statku. Pozostawienie Cassii i Rubia samych, gdy byli pod wpływem środków usypiających, kłóciło się ze wszystkim, czego nauczyłam się podczas szkolenia medycznego, ale nie miałam wielkiego wyboru. Cassia przestawała wymiotować tylko wtedy, kiedy spała, a Rubio ryłby w ścianach, gdybym zostawiła go przytomnego.

Na dole przy włazie wszystkie wskaźniki informujące o składzie atmosfery na zewnątrz świeciły zielono. Po drugiej stronie klapy było powietrze – albo przynajmniej tak uważały przyrządy Mendicanta. Trzymałam kciuki za to, żeby się nie okazało, iż zewnętrzne czujniki statku również zaczęły działać wadliwie. Jeszcze raz sprawdziłam szczelność hełmu skafandra, a potem odblokowałam zamek klapy.

Otworzyła się na ciemny hangar, oświetlony tylko blaskiem padającym z wnętrza naszego statku. Czujniki mojego skafandra informowały, że atmosfera nadaje się do oddychania. Punkt dla przyrządów Mendicanta. Odsunęłam wizjer hełmu.

– Halo! – zawołałam, gdy zesłam na podłogę hangaru i uniosłam nad głowę latarkę ledową.

W tej pustej przestrzeni powróciło do mnie echo moich kroków. To miejsce niewątpliwie było kiedyś funkcjonującym dokiem. Świadczyły o tym dobitnie rysy na podłodze i ślady po spawaniu wokół podnośników remontowych. Teraz jednak nasz statek był jedynym w tym pomieszczeniu o nagich ścianach, ogołoconym z typowych rur harmonijkowych i automatycznych wysięgników, jakich pełno w większości hangarów dla pojazdów kosmicznych. W cieniach na drugim końcu hangaru coś smyrgnęło.

– Halo? – zawołałam jeszcze raz.

Powietrze przenikała intensywna woń pleśni. Zmusiłam się, by ruszyć przed siebie, oddalić się od statku. W połowie hangaru z mroku wyłonił się ciemny wylot korytarza. Zatrzymałam się gwałtownie, serce waliło mi w piersi.

„Zachowaj spokój – upomniałam siebie i opanowałam panikę. – Nawet jeśli nikogo tu nie ma, nadal możesz znaleźć coś przydatnego. Zapasy czy nawet komorę symulacyjną oświetloną sztucznym słońcem”.

„Chyba że jednak ktoś tu jest...”, pomyślałam i ciśnienie nieco mi podskoczyło. Zadrzałam. Nie po raz pierwszy zatęskniłam za rozległym parkiem rekreacyjnym Ranganathana i jego lampami ultrafioletowymi. Gdybym teraz tam była, zanurzyłabym

w pomarańczowo-złotej świetlnej kąpieli z witamin i elektrolitów.

Zagłębiłam się w korytarz. Trzymałam w górze latarkę i wlokłam się tuż przy ścianie. Tupot moich kroków wnikał w głąb korytarza i powracał echem. Korytarz przede mną się rozgałęział. Poświeciłam latarką w obydwie odnogi. Po prawej zobaczyłam drzwi z rygłem obrotowym, a po lewej dalej ciemność.

Wybrałam drzwi. Zacięty rygiel początkowo stawiał opór, ale w końcu ustąpił. Pchnęłam drzwi ramieniem i otworzyłam. Na metalowych półkach stały rzędy plastikowych gaśnic proszkowych, a także pojemników z maskami tlenowymi i zakurzonych butelek z wodą. Wyciągnęłam ze sterty jedną maskę i zdmuchnęłam kurz z ustnika. Zaświeciły się lampki jej wskaźników – cztery zielono, jedna pomarańczowo. Włożyłam ją i wzięłam wdech. Natychmiast powietrze nabrało świeższego smaku, jak łyk chłodnej filtrowanej wody.

Znalazłam jeszcze dwie maski, które wydawały się nadal sprawne, i przypięłam wszystkie trzy do paska, a potem wypchałam kieszenie mojej parki butelkami wody. Etykiety wskazywały, że jest przeterminowana o co najmniej pięć lat, ale postanowiłam zaryzykować. Wszystko było lepsze od tego, co wychodziło z systemu odzyskiwania płynów na Mendicancie.

Wróciłam do rozwidlenia i ruszyłam w głąb drugiej odnogi korytarza. Tak naprawdę, to potrzebowałam schematu stacji. Skoro jej solarne panele najwyraźniej nadal czerpały dość energii słonecznej, by zapewnić funkcjonowanie systemów filtracji powietrza i sztucznej grawitacji, to dlaczego nie miałyby działać również oświetlenie?

Minęłam szereg wind w pomieszczeniu, które musiało być centrum stacji, i znalazłam szyb dostępu ze spiralnymi schodami wijącymi się w ciemności w górę i w dół niczym pojedynczy łańcuch DNA. Zerknęłam za siebie na windy, a potem zeszałam w tę ciasną czeluść.

„To tylko ciemność. Nic ci się nie stanie – powiedziałam sobie. – Bądź rozsądna. To lepsze niż ryzyko uwięzienia w szybie windy, jeśli prąd wysiadzie na dobre”.

Lecz to nie powstrzymało dygotu moich kolan, gdy powłócząc nogami zeszałam na podest.

– Przestań – mruknęłam i klepnęłam się w nogi, żeby przywrócić w nich czucie.

Mocniej ujęłam latarkę i znowu wyrzałam poza barierkę. Jeżeli ta stacja została zaprojektowana choć trochę podobnie do Ranganathana, to sterownia i system podtrzymywania życia powinny się znajdować w samym jej środku, chronione przed bezpośrednim atakiem lub przypadkowym zderzeniem. To oznaczało konieczność zejścia niżej.

Schodziłam kolejno po stopniach, jedną ręką trzymając się mocno poręczy, a w drugiej ściskając latarkę. Schody wiodły spiralą wciąż w dół, przedzielane podestami prowadzącymi do innych kondygnacji. Po pewnym czasie zauważyłam, że ściana oddala się ode mnie. Albo znowu halucynowałam, albo klatka schodowa się rozszerzała. Poświeciłam latarką na nitowaną metalową ścianę i wyciągnęłam rękę. Zrobiłam dwa kroki i moje palce natrafiły na zimną powierzchnię.

„Zdecydowanie się rozszerza – pomyślałam, lecz po chwili uderzyło mnie inne wrażenie. – I wilgotnieje”.

Cofnęłam rękę. Na rękawicy miałam bladoczerwoną plamę, a w ustach poczułam

cierpki, metaliczny posmak. „Krew?”. Gwałtownie omiotłam wokoło promieniem latarki, na w pół przekonana, że stanę twarzą w twarz z jakimś szponiastym potworem z opowiadań grozy, jakie pożyczają sobie nawzajem dziewczyny w Akademii Revati. Ale byłam sama. Uniosłam latarkę nad głowę i zmusiłam się, by spojrzeć jeszcze raz. To nie krew, tylko rdza.

Roześmiałam się nerwowo. Dźwięk poszybował w górę szybu i spadł z powrotem na mnie deszczem echa. Błyskawicznie napłynęło do mnie wspomnienie – Kai i ja wspinający się na górne pokłady starego oceanicznego statku badawczego. Weszłam wtedy na przerdzewiałe miejsce i moja noga przebiła podłogę na wylot, co sprawiło, że na pokład poniżej spadła ulewa czerwonych płatków utlenionego metalu. Manman musiała polecieć aż do zachodniego Gyre, żeby kupić dla mnie szczepionkę przeciwteżcową.

Skierowałam promień latarki ledowej w górę ciemnego szybu dostępu. Gdzieś tam w mroku zabrzmiało złowróżbne metaliczne skrzyknięcie.

– *Chaila* – szepnęłam.

Czy te schody skrzypiały tak przez cały czas? Kto wie, od jak dawna tę stację przeżera rdza? Jeden silny wstrząs i cały ciąg schodów może się zawalić.

„Zabieraj się stąd” – pomyślałam. Ale zaszłam już tak daleko. Stacja tej wielkości musiała mieć przychodnię medyczną, a to oznaczało zapas lekarstw. Nie mogłam wrócić z pustymi rękami. Nie teraz.

Schody kończyły się na dole kondygnacją zamkniętą zbrojonymi drzwiami z rygłem obrotowym. Wetknęłam latarkę za pasek i wytarłam wilgotne rękawice o nogawki kombinezonu. Kłapa otworzyła się z przenikliwym zgrzytem. Wetknęłam głowę do środka i promieniem latarki omiotłam ściany. Ujrzałam przed sobą szeroki korytarz z szeregami przypór nośnych po obu stronach, którego dalsza część ginęła w ciemności. W mroku dostrzegłam zwisającą z sufitu tablicę z napisem: OPIEKA ZDROWOTNA. Tak więc przynajmniej zmierzałam we właściwym kierunku.

Wemknęłam się do korytarza i pozwoliłam, by drzwi zamknęły się za mną. Moje buty natychmiast zaczęły się ślizgać na czymś drobnym i sproszkowanym. Poświeciłam w dół na betonową podłogę. Pokrywała ją gruba, nierówna warstwa białego proszku podobnego do talku, a moje zatoki i gardło wypełniła ostra żrąca chemiczna woń. Może to proszek z gaśnic, takich jak te na gorze? Ale jak to się stało, że zasypał całą podłogę?

Zrobiłam kolejny krok i zatrzymałam się. Kilka metrów przed sobą zobaczyłam odcisnięte na podłodze ślady. Trudno mnie nazwać tropicielką z dziczy, ale nawet ja zorientowałam się, że to ślady ludzkich stóp. Widywałam takie same na piasku plaż w Malabar Hill. Przebiegł mnie zimny dreszcz.

Przełknęłam z wysiłkiem przez ściśnięte gardło i zawołałam:

– Halo?

Nikt nie odpowiedział. Tylko gdzieś głęboko w mroku coś zaszurało po podłodze. Owionął mnie zapach zgnilizny zmieszany z ostrą wonią chemikaliów.

„Zapasy leków”. Zmusiłam się, by ruszyć dalej, wysoko trzymając latarkę. W mojej krwi pulsowała adrenalina i słyszałam swój ciężki, przyspieszony oddech. Nigdy dotąd nie miałam ataku paniki, ale czytałam o tym i teraz byłam pewna, że jestem go bliska. Podłoga niemal niezauważalnie obniżała się pod skosem. Poświeciłam latarką na

betonowe ściany. Pokrywała je wilgoć; ściekała po ich nierównej, porowatej powierzchni i wsiąkała w warstwę proszku na podłodze, tworząc mokre, lepkie plamy.

Coś zachrząściło pod moim butem. Zatrzymałam się i uniosłam nogę. W lepkim proszku leżał zmiażdżony drobny, żółtawy szkielecik z nadal przywarty do kości kępkami szarego futra. Mogły to być szczątki szczura, ale w tym stadium trudno rozstrzygnąć. To przynajmniej wyjaśniało zapach zgnilizny.

Szłam dalej. Odór rozkładu się nasilił, dominując nad wonią chemikaliów. Przy ścianach pojawiły się sterty śmieci – opakowań po batonach proteinowych, odłamków szkła i innych odpadków. Były coraz wyższe i szersze, aż wreszcie pozostała mi tylko wąska ścieżka pośrodku korytarza.

„Autoliza zapoczątkowuje proces rozkładu, którego tempo zależy od stopnia koncentracji enzymów w danym ośrodku”.

Zrobiłam krok nad opakowaniem z folii aluminiowej powalonym czymś wyglądającym na kał, uniosłam głowę i spojrzałam przed siebie. Na końcu korytarza jarzyła się pomarańczowa poświata, na tyle jasno, że mogłam dostrzec zarysy gór śmieci. Zgasiałam latarkę. Odliczyłam trzydzieści sekund, czekając aż moje siatkówki przystosują się do półmroku, a potem ruszyłam ostrożnie przed siebie, uważając, by omijać zaścielające podłogę butelki i kartonowe tuby.

Korytarz kończył się podestem, poniżej którego znajdowało się duże owalne pomieszczenie oświetlone awaryjną lampą ustawioną na podłodze. Prowadziły do niego zaśmiecone schody. Pomieszczenie było zagracone baryłkami wody, wybebeszonymi urządzeniami elektronicznymi i stertą łóżek polowych, otaczających kilka terminali komputerowych. Od nagich ścian odbił się echem jakiś cichy plusk.

– Halo? – zawołałam znowu, głos niemal odmówił mi posłuszeństwa.

Pluskanie urwało się, a potem powróciło. Ktokolwiek – czy cokolwiek – był tam w dole, musiał wiedzieć o mojej obecności. Rozważyłam przelotnie zawrót i wycofanie się tamtym zaśmieconym korytarzem, ale powstrzymała mnie przed tym myśl o kimś, kto mógłby podążyć za mną w ciemności.

– *Vaat* – szepnęłam i postawiłam stopę na pierwszym stopniu schodów.

Zaskrzypiały pod moim ciężarem i ten ogłuszający, jękliwy dźwięk napiął mi nerwy. Wzdrygnęłam się i szybko zbiegłam na dół, wyobrażając sobie, jak te schody załamują się pod mną.

Konstrukcja przestała dygotać i w pomieszczeniu zapadła upiorna cisza.

Jednak po chwili znowu rozległo się pluskanie.

– Halo? – krzyknęłam i okrążyłam baryłki z wodą. – Proszę... potrzebujemy lekarza. Albo oddziału medycznego czy...

Urwałam i odwróciłam się.

W cieniu schodów kucąca jakaś postać, przywierając do ściany, z rozłożonymi rękami. W jej długich, splątanych czarnych włosach tkwiły kawałki sznurków, metalu, strzępki futra. Patrzyłam sparaliżowana, jak otworzyła usta tuż przy betonowej ścianie i obrzmiałym językiem zlizwała strużkę wody.

Cofnęłam się i uderzyłam plecami o barierkę.

Istota pod schodami uniosła głowę. Odgarnęła włosy z oczu, otarła usta grzbietem bladej dłoni i utkwiała spojrzenie we mnie.

– Jesteś młodsza, niż myślałam – odezwała się chrapliwym, gardłowym głosem.

„Młodsza?”. Mocno zacisnęłam powieki. Może to kolejna halucynacja. Otworzyłam oczy. Istota nadal tam stała, pytająco przechylając głowę na bok.

– Kim... – Z wysiłkiem przełknęłam ślinę i spróbowałam zapanować nad drzeniem głosu. – Kim jesteś?

– Dawniej sądziłam, że jestem Kaede-san – odpowiedziała istota głosem zamyślonym, niemal smutnym. – Ale teraz wiem lepiej.

Przez chwilę milczeliśmy. Co można powiedzieć po czymś takim?

– Słyszeliśmy, że nadchodzisz.– Wy? – wydusiłam przez wyschłe gardło.

Istota machnęła rękami, jakby wskazywała na chmurę komarów.

– Tak, my.

Postanowiłam nie drążyć dalej tej kwestii.

– Potrzebujesz pomocy – powiedziała.

Przyczłapała bliżej, w światło lampy. Workowate ubranie ukrywało jej kształt, ale zaczynałam przypuszczać, że może być kobietą.

– Ja... potrzebuję lekarstw – powiedziałam, chociaż miałam wrażenie, jakby moje słowa wydobywały się z cudzych ust. – Albo dostępu do oddziału medycznego. Moi przyjaciele są chorzy.

Kobieta się uśmiechnęła, odsłaniając zęby poplamione czerwienią.

– Możemy pomóc.

Z jakiegoś powodu ta deklaracja nie całkiem mnie uspokoiła. Wycofałam się za baryłki z wodą, kolejny metr dalej od niej.

– Wiesz, gdzie jest oddział medyczny?

Potrząsnęła głową.

– Tamto miejsce nie jest dobre, już nie. Ale możemy pomóc.

Ogarnęło mnie przygnębienie.

– Jak?

Kobieta podniosła się z kucek i otrzepała brudne ubranie.

– Jesteśmy *isha*. Jesteśmy lekarzem.

Poszłam za nią z powrotem przez zaśmiecony korytarz. Mogłabym uciec, ale ta Kaede-san albo *isha*, czy kimkolwiek była, najwyraźniej znała stację lepiej ode mnie, co oznaczało, że mogła zaprowadzić mnie do oddziału medycznego, jeśli zdam się na nią. Jedną ręką przytrzymała na głowie prowizoryczną latarkę czołówkę, a trzymanym w drugiej plastikowym kijkiem uderzała w sterty śmieci.

– One lubią kąsać – wyjaśniła. – Szczury.

Wzdrygnęłam się i podziękowałam losowi, że mam na nogach buty skafandra ciśnieniowego.

– Jak mam cię nazywać? – spytałam.

– Możesz nas nazywać lekarzem. – Kobieta wydała chrapliwy, świszczący dźwięk, który jak przypuszczałam, był śmiechem. – Niezniszczalnym Klejnotem Niebios, Panią Feniksa, Najwyższą Kapłanką Całunów...

– Nie sędę, bym chciała nazywać cię którymkolwiek z tych imion – przerwałam jej. Obejrzała się na mnie z marsową miną.

– Świetnie. Więc nazywaj nas Isha.

Dotarliśmy do windy towarowej, której poprzednio nie zauważyłam. Ze szczeliny między dwiema połówkami zasuwanych drzwi sterczał metalowy pręt. Isha napała na niego całym ciężarem i drzwi się rozsunęły, ukazując kabinę z grubą warstwą wilgotnych odpadków na podłodze i pochłapanymi ścianami. Oświetlała ją mdłym niebieskim blaskiem pojedyncza awaryjna jarzeniówka.

– To coś nadal działa? – spytałam z niedowierzaniem.

Isha pokiwała głową.

– Wszystko działa. – Spojrzała na mnie i pokiwała palcem. – Wszystko działa, chyba że nie chcemy, żeby działało.

„Wspaniale”. Zanotowałam sobie w duchu, żeby już więcej jej nie wkurzać.

Uśmiechnęła się i wyciągnęła rękę, zapraszając mnie do kabiny.

– Ty pierwsza – powiedziała.

Winda szarpnęła i ruszyła z przenikliwym zgrzytem. Wcisnęłam się w kąt, żeby nie upaść, ale Isha nawet nie drgnęła.

– Co tu się stało? – spytałam i uniosłam nogę, żeby przyjrzeć się czemuś lepkiemu, co przyłgnęło do podeszwy mojego buta.

– Nieposkromiona pycha – rzekła Isha. – Gnuśność.

Zmarszczyłam brwi.

– Chodzi mi o to, czy wszyscy odlecieli i zostawili cię tutaj, czy może...

– Nie wszyscy – odparła. Winda wjeżdżała coraz szybciej, blask jej wskaźników migotał na twarzy kobiety. – Chciałabyś zobaczyć ciała?

Serce mi zamarło.

– Co?

– Ciała – powtórzyła rzeczowym tonem. – Tych, którzy pozostali.

Żołądek ścisnął mi lodowaty skurcz.

– Ja... nie wiem – wyjąkałam. Czy ona ich zabiła? Czy właśnie to chce mi pokazać? I czy jeśli odpowiem niewłaściwie, mnie także uśmierci? Przełknęłam nerwowo. – Czy... czy chcesz mi je pokazać?

– Och, oni by tego chcieli. – Isha sięgnęła ręką do przełączników windy. – Są tacy samotni. Nikt ich nie opłakuje oprócz nas.

– A co z moimi przyjaciółmi? – spytałam.

Kobieta przekrzywiła głowę na bok.

– Czy oni też chcą tu zostać?

– Nie – odparłam szybko. Jeżeli rzucę się do ucieczki, czy ona pogoni za mną? – Nie, oczekują nas na Enceladusie. My... zatrzymaliśmy się tu tylko dlatego, że moi przyjaciele są chorzy. Kiedy zdobędziemy trochę lekarstw, przestaniemy zawracać ci głowę.

Wzruszyła ramionami.

– Jak uważacie. – Winda zwolniła i zatrzymała się gwałtownie. – Jesteśmy na miejscu.

Podążyłam za Ishą w głąb kolejnego słabo oświetlonego korytarza. Na jego końcu

płonął kwadrat światła, oślepiająco jaskrawy przy całym tym mroku. Gdy się zbliżyliśmy, dostrzegłam niewyraźne przez zaparowaną szybę zarysy nagich drzew.

– Czy to wasz park? – spytałam.

Niewątpliwie, tyle że większość dużych statków i stacji ma na pokładzie rośliny tropikalne lub wiecznie zielone, a nie drzewa tracące okresowo liście. Jak ten park ma podtrzymać na duchu, skoro brak w nim zieleni?

Isha znieruchomiła z ręką na zamku drzwi i skinęła głową.

– Ale musisz zachowywać się bardzo cicho. – Zniżyła głos do szeptu. – Oni śpią.

– Kto? – spytałam, ale już pociągnęła dźwignię i odsunęła drzwi, które zniknęły w ścianie.

Zalało nas słoneczne światło. Jego dotyk przyprawił mnie o gęsią skórę; przez chwilę zapomniałam o wszystkim i po prostu rozkoszowałam się ciepłem. Zamknęłam oczy przed srebrzystym blaskiem. Tabletki witaminy D, które regularnie podawałam nam wszystkim w trakcie lotu, doskonale zapobiegają chorobom, ale nie można ich porównać ze światłem słońca, nawet tym sztucznym. Mniejsza o tę szaloną kobietę, która przyprowadziła mnie tutaj, i o to, że nie byłam stuprocentowo pewna, czy mnie nie zamorduje. Po raz pierwszy od tygodni czułam, że naprawdę żyję.

– Opiekujemy się nimi, kiedy możemy – szepnęła Isha tuż przy moim uchu.

Uchyliłam nieco powieki. Rozpościerał się przed nami całkiem duży ogród, okolony z rzadka nagimi drzewami. Pośród uschłej trawy widniały brązowe splechcie, które musiały być dawniej grządkami kwiatów. Spostrzegłam na ziemi coś, czego początkowo nie rozpoznałam. Może to kłody albo fundamenty zwałonego muru? Wszłam do ogrodu.

– Co...? – zaczęłam, lecz w tym momencie mój umysł zaskoczył. „Ciała”. Kształty ułożone tak porządnie na trawie były martwymi ciałami.

Isha minęła mnie i okrążyła grupę ciał leżących promieniście wokół drzewa niczym szprychy koła wozu. Każde miało głowę opartą o korzenie, a nogi wymierzone w niebo. Ktoś ułożył im ręce tak, że spoczywały splecione na klatkach piersiowych. Jedynym zapachem tutaj była subtelna mineralna woń wody i ziemi. Te zwłoki leżały tu już tak długo, że środowisko wchłonęło odór rozkładu.

– Co tu się stało? Czy ty to zrobiłaś?

– Tak, tak – wymamrotała Isha. Pochyliła się nad jednym z trupów o długich jasnych włosach i zdjęła opadły liść z resztek koszuli. – Oni byli chorzy. Przynieśliśmy ich tutaj, żeby wypoczęli.

– Zabiłaś ich? – wydusiłam przez ściśnięte gardło.

Isha gwałtownie uniosła głowę i spojrzała na mnie ostro.

– Nie. Oni nie są martwi. Odpoczywają. – Ponownie spuściła wzrok na zwłoki jasnowłosej kobiety i uśmiechnęła się. – Dobrze się nimi opiekujemy. Wkrótce znów będą zdrowi. Wkrótce się obudzą.

Cofnęłam się.

– Muszę już iść. Moi przyjaciele mnie potrzebują.

– Tak. – Isha popatrzyła w dal na odległą ścianę przesłoniętą drzewami, pogrążona głęboko w myślach, a potem znów skupiła uwagę na mnie. – Tak, twoi przyjaciele. Musimy się nimi zająć.

Uniosłam rękę.

– Nie sądzę, abyś miała... To znaczy, nie wiem, czy w ogóle potrzebują lekarza. Myślę, że sama potrafię się nimi zaopiekować.

Wzrok Ishy spochmurniał.

– Uważasz, że nie jesteśmy dobrym lekarzem, bo pozwoliliśmy, żeby oni zachorowali. – Ogarnęła gestem ręki widok za sobą. – Uczyniliśmy wszystko co w naszej mocy, żeby ta choroba się nie rozprzestrzeniła. Nadejścia niektórych chorób nie da się dostrzec, póki nie jest już za późno, by im zapobiec. Można tylko prowadzić kurację i modlić się. A my byliśmy wtedy tylko Kaede-san.

– Nie. – Przełknęłam z wysiłkiem i otworzyłam oczy zbyt szeroko, co według Avy robię zawsze, gdy kłamię. Może ta kobieta nie zamordowała tych ludzi, ale cokolwiek uczyniła, niewątpliwie doprowadziło ją do skrajnego szaleństwa. – Po prostu... jesteś zbyt zajęta tutaj, mając tylu pacjentów. Z pewnością sama sobie poradzę.

– Nonsens – przerwała mi Isha. – A choroby twoich przyjaciół są poważniejsze, prawda?

– Tak – przyznałam nieopatrznie.

Kobieta kiwnęła głową.

– Więc pójdziemy do nich. Ona złożyła przysięgę. Geneva. Kaede przysięgła.

– Dobrze – powiedziałam.

Nie chciałam się z nią spierać. Była kiedyś lekarką. Może w zakamarkach jej pamięci pozostało dość wiedzy medycznej, żeby zdołała pomóc. A poza tym znała drogę powrotną do doku lepiej ode mnie. Gdyby naprawdę zechciała, mogłaby sama odnaleźć Mendicanta, a mnie zostawić błądzącą po mrocznych korytarzach stacji.

Otworzyłam drzwi kajuty sypialnej i zajrzałam do ciemnego wnętrza.

– Cass?

– Miyole? – dobiegł mnie jej głos schrypnięty od długiego nieużywania.

Odstąpiłam na bok, żeby wpuścić Iszę.

– Sprowadziłam pomoc.

Cassia wytrzeszczyła oczy.

– Co... co to takiego?

– Jesteśmy Isha. – Stara kobieta podeszła do koi; powalane ziemią, obszarpane brzegi jej płaszczka wlekły się za nią. Usiadła przy Cassii. – A ty jesteś ta chora.

Cassia spojrzała na mnie półprzytomnie z przerażeniem.

– Wszystko w porządku – powiedziałam, starając się, by w moim głosie zabrzmiała pewność. – Ona jest lekarką.

– Jest czarownicą – wyszeptała Cassia, gdy Isha delikatnie nacisnęła węzły limfatyczne pod jej szczęką.

– Tak – zgodziła się Isha, ujmując bezwładną rękę dziewczyny. – To też.

Przytknęła dwa brudne palce do zagłębienia po wewnętrznej stronie łokcia Cassii i zbadała jej puls.

Przygryzłam usta.

– Ona doznała wstrząśnienia mózgu – wyjaśniłam. – Początkowo jej stan się poprawiał, ale teraz... – urwałam, gdy powieki Cassii zatrzepotały i opadły.

Isha przyjrzała się uważnie jej opatrunkowi.

– Hm – mruknęła.

Podeszłam z drugiej strony łóżka. Może powinnam zaprowadzić Iszę najpierw do Rubia. Trudno określić, które z nich jest w gorszym stanie. Spojrzałam na nią przez ramię.

– Jak myślisz...

Urwałam, bo kątem oka dostrzegłam błysk, gdy żółte światło sączące się z korytarza załśniło na czymś. Odwróciłam się błyskawicznie.

– Co...

Isha trzymała w ręku nóż – wąski, paskudny, z rodzaju tych, jakich używa się do filetowania kurczaków. Jednym szybkim ruchem rozcięła miękkie ciało po wewnętrznej stronie ramienia Cassii, po czym pochyliła się i zlizwała krople krwi, które pojawiły się w ranie. Cassia jęknęła z bólu.

– *Kat le!* – wykrzyknęłam i rzuciłam się przez łóżko. – Odsuń się od niej, ty przekłeta *jholar!*

Kobieta poderwała się i cofnęła w kąt pokoju, szybko jak jaszczurka wspinająca się po rynnie. Wymierzyła nóż we mnie.

– Trzymaj się z daleka. Poprosiłaś nas. Poprosiłaś nas o to.

Zatrzymałam się tuż przed ostrzem noża.

– Nigdy cię nie prosiłam, żebyś ją cięła.

Rzuciłam okiem za siebie. Krew wyciekała na łóżko. Podbiegłam do Cassii, wyszarpnęłam jedno z prześcieradeł i obwiązałam jej ramię. „Bezpośredni ucisk. Uniesienie wyżej”, wyrecytowała ta część mnie, która przypomniała sobie szkolenie medyczne, podczas gdy reszta mnie wyrzaskiwała w duchu wiązanek plugawych przekleństw. Mocno przycisnęłam prześcieradło do rany Cassii i uniosłam jej rękę nad głowę.

Nie powinnam była w ogóle przyprowadzić tej wariatki do naszego statku, nawet wariatki utrzymującej, że jest lekarką. Poprawka: *zwłaszcza* wariatki utrzymującej, że jest lekarką.

– My pomogliśmy – rzekła Isha urażonym tonem.

– Do diabła z twoją cholerną pomocą! – krzyknęłam i wybuchnęłam płaczem.

Trzy tygodnie temu moim największym zmartwieniem była opryskliwa doktor Osmani, a teraz utknęłam we wraku stacji kosmicznej z dwójgiem niesprawnych członków załogi, wymachującą nożem znachorką i bezużytecznym kotem, a w dodatku coraz bardziej traciłam kontakt z rzeczywistością. Nie uda się nam. Nie chodzi już nawet o uratowanie Nethanela; my sami tu zginiemy.

Isha położyła brudną dłoń na moim ramieniu.

– Przyczyną nie jest jej głowa.

Strząsnęłam jej rękę.

– Nie dotykaj mnie.

– Posłuchaj, dziewczyno. – Isha uklękła przy łóżku i zaczęła odwijać bandaże Cassii. – Przyczyną nie jest jej głowa.

– Nie dotykaj jej – rzuciłam z furją.

– My możemy pomóc, rozumiesz? – Isha uśmiechnęła się do mnie niepewnie. – Ta

choroba, ona nie jest w jej głowie, tylko w jej krwi.

– Co masz na myśli? – spytałam i mocniej ucisnęłam ramię Cassii.

Isha uniosła głowę i wzięła głęboki wdech.

– To jest w powietrzu. Trucizna w powietrzu, trucizna w jej krwi. – Nachyliła się ku mnie. – Może w twojej krwi też.

– W mojej krwi? – powtórzyłam jak echo i przecząco potrząsnęłam głową. Wszystkie objawy u Cassii wskazywały na wstrząśnienie mózgu. – To bez sensu. Ja nie jestem chora.

– Na pewno? – Isha przeszła mnie spojrzeniem i przypomniałam sobie nieustanne bóle głowy, głos mojej matki i jej widmowy statek spadający na nas.

– Tak – odparłam zbyt szybko. – To znaczy, nie tak jak ona.

Isha przesunęła kciukiem po ostrzu noża.

– Jeżeli pozwolisz nam posmakować...

– Nie. Już nikogo więcej tym nie tkniesz.

Spojrzenie Ishy spochmurniało.

– Musisz nam pozwolić pomóc. Musisz pozwolić nam posmakować krew.

– *Chup kar, kr ra vyakti* – odwarknęłam.

– Chcesz, żeby ona umarła? – Kobieta wskazała głową ziemiście bladą twarz Cassii. – Możemy znaleźć tę truciznę. Możemy sprawić, że dziewczyna poczuje się lepiej.

Przeniosłam spojrzenie z Cassii na zachorękę i jej nóż. Nie było żadnego dobrego wyboru.

– Czy musisz użyć tego? – spytałam, spoglądając znacząco na nóż.

Isha zmarszczyła brwi.

– Nie – odpowiedziała, lecz w jej głosie zabrzmiało rozczarowanie.

– Dobrze – rzekłam. – Podaj mi tamten bandaż.

Wyjęłam igłę ze swojego ramienia i uniosłam strzykawkę do światła.

– Tyle wystarczy?

– Być może – odparła Isha.

Popatrzyłam na nią gniewnie i spuściłam rękaw. Nie mogłam uwierzyć, że biorę w tym udział.

– Prawdopodobnie tak – przyznała i skinęła głową.

– Doskonale. – Wstrzyknęłam krew do wąskiej fiolki, którą następnie jej podałam. – Do dna!

Isha łyknęła z fiolki, którą trzymała, odginając mały palec, jak na wytwornym podwieczorku. Cmoknęła i kiwnęła głową.

– Trucizna.

Mój żołądek ścisnął skurcz.

– Jakiego rodzaju? – spytałam.

Nie miałam pewności, czy w słowach tej kobiety jest choćby cząstka prawdy, czy może tylko utwierdzałam ją w jej urojeniach.

Isha zamknęła oczy i obróciła nadgarstkiem nad głową niczym wiatrowskazem.

– Z powietrza. Karboksyhemoglobina.

Przetrzaśnięłam zasoby pamięci. Wiedziałam, że już słyszałam to słowo, ale gdzie? Po

chwili przypomniałam sobie i wytrzeszczyłam oczy.

– Zatrucie tlenkiem węgla? To masz na myśli?

Isha gniewnie pokiwała głową i wymierzyła we mnie palec.

– Właśnie. Właśnie.

Przycisnęłam dłoń do czoła. Oczywiście. Bóle głowy Cassii; halucynacje Rubia. Wszystko to nabrało teraz sensu. W trakcie szkolenia medycznego przerabialiśmy kwestię zatrucia tlenkiem węgla, ale tylko pobieżnie. Niegdyś pionierzy wypraw kosmicznych stale zapadali na tę chorobę, kiedy psuły się systemy cyrkulacji powietrza albo dochodziło do przebicia osłon zbiorników wtórnych paliw. Obecnie jednak już prawie nie słyszy się o jej przypadkach, zwłaszcza odkąd budowniczowie statków kosmicznych całkowicie zrezygnowali ze stosowania biopaliw. Ale Mendicant był na tyle stary, że miał napęd hybrydowy.

– Tak – potwierdziła Isha. – Tlenek węgla. Czasami zapominamy słów.

Popatrzyłam na Rubia śpiącego na sofie; twarz miał zapadniętą i zwiotczałą wskutek działania środków uspokajających.

– Więc czy on też cierpi z powodu tego zatrucia?

Isha uniosła pustą fiolkę po krwi.

– Możemy się dowiedzieć.

Wykrzywiłam się.

– Nie sądzę. – Ruszyłam do drzwi, ale zreflektowałam się i rzekłam do Ishy, wymierzając w nią palec: – Zostań tutaj. Nie dotykaj go.

Powieki Cassii zadrgały. Otworzyła oczy i usiłowała skupić spojrzenie na mnie.

– Cześć – rzuciłam.

Spróbowała odpowiedzieć i pogmerała przy masce tlenowej zakrywającej jej usta. Złapałam ją za rękę, zanim zdołała ją ściągnąć.

– Wszystko w porządku – powiedziałam. Uspokajająco ścisnęłam jej dłoń. – Musisz w niej zostać. Byłaś chora.

Skrzywiła się i uniosła zranioną rękę ponad zbiorniczkiem tlenu i maską, żeby móc ją obejrzeć. Kiedy wcześniej opatrywałam Cassię, zabrakło nam plastrów zasklepiających rany, więc musiałam założyć staroświeckie szwy i owinęłam jej przedramię czystą szmatką pociętą na paski. Rana się zagoi, ale pozostanie paskudna blizna. Cassia popatrzyła na mnie pytająco. „Co się stało?”.

– To długa historia – powiedziałam i gniewnie zmarszczyłam brwi na myśl o Ishy.

Ta kobieta mogła teraz knuć na naszym statku, co tylko zechce, zwłaszcza że Rubio wciąż był zbyt słaby, by ją powstrzymać. Miałam tylko nadzieję, że nie nadziała go jeszcze na swój nóż.

Podciągnęłam do góry swoją maskę i wstałam, żeby wyjść, ale Cassia mocniej ścisnęła mi rękę.

– Zaraz wrócę – rzekłam. – Muszę zobaczyć, co z Rubiem.

Znalazłam Ishę w saloniku. Stała twarzą do ściany i czymś czerwonym mazała na jej puste powierzchni kontur okręgu. Dopiero po chwili zorientowałam się czym. „Krwia”.

– Co ty wyprawiasz? – rzuciłam.

Podeszłam do niej szybko i sięgnęłam po miseczkę z gęstą czerwoną cieczą, którą

trzymała w ręce.

Isha cofnęła się, sycząc gniewnie, i poplamionymi na czerwono palcami przycisnęła miseczkę do piersi. Tibbet, który obserwował nas spod jednej z podartych kanap, położył uszy płasko na łbie. Wcześniej próbowałam jemu też włożyć maskę tlenową, ale mnie podrapał.

– Przepraszam – powiedziałam, unosząc ręce. – Przepraszam.

Isha przyjrzała mi się podejrzliwie. Jej maska wisiała luźno wokół szyi.

– Już kończymy kurację – rzekła. Zanurzyła w miseczce obydwie palce wskazujące i zanim przytknęła je do ściany, rzuciła mi ostrzegawcze spojrzenie. – Środki zapobiegawcze – wyjaśniła.

– Jasne – przytaknęłam, jakby nie była kompletnie obłąkana. – A tak z czystej ciekawości: skąd to wzięłaś? – spytałam wskazując krew w miseczce.

– To nasza. – Isha uśmiechnęła się i namalowała palcami następny odcinek okręgu. – Jest najlepsza.

Zerknęłam na Rubia, który siedział na sofie podparty poduszkami i szczelnie owinięty kocami termicznymi. Mrugnął do mnie półprzymkniętymi oczami i wziął głęboki wdech ze swojego zbiorniczka z tlenem. Przynajmniej nie wyglądał, jakby się wykrwawił na rzecz artystycznego projektu Ishy.

Kobieta dokończyła kreślenie wielkiego okręgu i dodała w jego centrum mniejszy.

– Co takiego rysujesz? – spytałam i podeszłam bliżej, by przyjrzeć się jej dziełu.

– Ten statek jest chory. – Isha kolejnym mażnięciem dodała linię biegnącą od środkowego koła ku obrzeżu większego. Potrząsnęła głową. – Leci bez Kręgu.

– Kręgu? – powtórzyłam. Przez głowę przemknął mi obraz okręgu pod sadzą na ścianie wypalonego kutra Wędrowców. – Kręgu Niebios?

Isha przytaknęła.

– Ta stacja nie ma żadnego kręgu i widziałaś, co się z nią stało. Ale naprawiliśmy to, nieprawdaż? Teraz wszystko się polepszyło. – Pogroziła mi palcem. – Sądziłyśmy, że Wędrowcy będą wiedzieć lepiej.

– My Wędrowcami? – Roześmiałam się, lecz zaraz ugryzłam się w język.

Im więcej ludzi będzie uważać nas po prostu za Wędrowców, tym lepiej. Nawet obłąkana pustelniczka z dysocjacyjnym zaburzeniem tożsamości.

Isha zmarszczyła brwi i spojrzała na mnie z zadumą.

– Może nie ty i ten chłopak – rzekła wreszcie. – Ale tamta dziewczyna na pewno. Powinnaś jej usłuchać.

Pokręciłam głową.

– Myślę, że ona przestała już wierzyć w twój krąg.

– Wierzyć w krąg – prychnęła Isha tak drwiąco, jakbym zaproponowała dojenie psów, po czym dorysowała następny promień.

– Ty nie wierzysz? – spytałam i podniosłam wzrok na powstający na ścianie olbrzymi czerwony wzór.

– Uważasz, że magia istnieje? – Isha znieruchomiała z dłonią w miseczce z krwią i spojrzała na mnie, unosząc brew.

– Nie – odpowiedziałam ostrożnie.

Jak należy się zachować, kiedy samozwańcza czarownica pyta cię, czy wierzysz

w magię?

– My też nie. – Isha popatrzyła na swoje dzieło. – Krąg daje nam siłę tutaj. – Dotknęła czoła. – I tutaj – dodała, dotykając serca.

– Więc to coś w rodzaju psychologicznego triku? – powiedziałam. – Jeżeli myślisz, że jesteś bezpieczna, pilotujesz, jakbyś była bezpieczna?

– To nie jest trik – zaprzeczyła. – To balsam.

– Balsam? – powtórzyłam, marszcząc nos.

Isha chrząknęła z irytacją.

– Z jak wielu przyczyn można tutaj umrzeć? Śmiertelne promieniowanie, dekompresja, hipotermia, uduszenie, pożar.

Wzruszyłam ramionami. Każdy ubiegający się o przyjęcie do Instytutu Głębinowych Sondowań potrafiłby nawet przez sen wyrecytować tę listę zagrożeń.

– Do czego zmierzasz? – spytałam.

– Czy ktokolwiek zaryzykowałby opuszczenie swojego żalosnego bezpiecznego świata, gdyby nie miał jakiejś nadziei, której mógłby się uchwycić?

– Mój świat nie jest żaloszny – odparowałam.

Trudno też byłoby nazwać go bezpiecznym, lecz to nie wydawało się w tym momencie najlepszym argumentem.

Isha popatrzyła na mnie z wyrazem twarzy, którego nie umiałam w pełni rozszyfrować – może ze współczuciem. To do niej nie pasowało.

– Czyli jesteś szczęściarą, tak?

Nie odpowiedziałam. Znowu ogarnęło mnie to zimne, mdlące poczucie winy. Wiedziałam, że mam szczęście. Od dnia tamtego huraganu mogłam wiele razy zginąć. Otrzymałam wykształcenie, o jakim nie mogłabym nawet marzyć, gdybym pozostała do końca życia na Gyre. Ale gdy teraz przypominałam sobie moją matkę i dom, które utraciłam, pojmowałam, że to szczęście drogo mnie kosztowało.

– Nie – rzekła Cassia. – Absolutnie nie.

Przycisnęła do piersi Tibbeta i pogładziła jego futro.

– To tylko drobiazg – powiedziała Isha. – Uczciwa zapłata za uratowanie życia trzem osobom.

– Cass... – zaczęłam.

– Nie – przerwała mi i zmierzyła gniewnym spojrzeniem mnie, a potem Ishę. – Możesz zażądać wszystkiego innego, czego zechcesz, ale nie zabierzesz mojego kota.

Isha prychnęła.

– Czego moglibyśmy chcieć z tej zdezelowanej łajby? Koców? Butów? To nie wystarczy. Chcemy tego kota.

– Cass. – Nachyliłam się ku niej. – On może być tu bezpieczniejszy. Kto wie, co zastaniemy tam, dokąd lecimy.

Cassia mocniej przytuliła Tibbeta. Wyśliznął się z jej objęć, zeskoczył na podłogę z cichym stukotem i zmierzył nas wszystkich obrażonym wzrokiem. Nie byłam pewna, czy on też miał halucynacje, ale jego źrenice nie były już tak rozszerzone, a odkąd załatałam osłonę zbiornika paliwa, zwymiotował tylko raz.

– No i widzisz, co zrobiłaś – rzucił żartobliwie Rubio. – Może powinnaś była zapytać

go o zdanie.

– A ty może powinieneś się zamknąć i nałożyć z powrotem maskę tlenową – warknęła Cassia.

Znalazłam pęknięcie w osłonie zbiornika wtórnego paliwa, przez które wyciekało i zatrzuwało nasze zasoby tlenu, ale naprawa nie była rzeczą łatwą. Nadal nosiliśmy ze sobą butle z tlenem oraz maski, które zdejmowaliśmy tylko podczas rozmowy.

– Potrzebujemy jakiegoś towarzystwa. – Isha oblizwała wargi. – Zwłaszcza stworzenia, które łowi szczury.

– Powiedziałam *nie!* – krzyknęła Cassia i wybuchnęła płaczem.

Odrzuciła koce okrywające jej nogi, porwała na ręce Tibbeta i wybiegła z pokoju.

Rubio i ja przez chwilę spoglądaliśmy na siebie, zbyt zszokowani, by się poruszyć.

– Lepiej pójdź za nią – powiedział wreszcie.

Westchnęłam i skinęłam głową. Rozumiałam, że Cassia kocha tego nędznego kota, ale dlaczego nie widzi, że takie rozwiązanie jest najlepsze dla wszystkich? Na co może się nam przydać Tibbet przy ratowaniu jej brata?

Znalazłam oboje w kokpicie. Cassia siedziała w fotelu drugiego pilota i karmiła Tibbeta odrobiną pasty fasolowej, którą zlizywał z jej palców. Kiedy weszłam, uniosła głowę i spojrzała na mnie zaczerwienionymi oczami.

– Cześć – rzekłam łagodnie.

– Cześć – rzuciła i grzbietem dłoni otarła oczy.

– Przepraszam – powiedziałam. – Nie przyszło mi do głowy nic lepszego niż przyprowadzenie jej tutaj.

– Wiem. – Cassia machinalnie podrapała się w obandażowaną rękę. – Tylko że... – urwała i do oczu napłynęły jej łzy.

– Och, Cass – westchnęłam.

Chociaż była tak nierozsądna, nie mogłam znieść widoku jej smutnej.

– On jest jedyną rodziną, jaka mi pozostała – powiedziała. – Wiem, że to głupie, że to tylko kot, ale...

Skrzywiłam się, słysząc z jej ust moje własne myśli.

– Dotąd nigdy się z nimi nie rozstawałam – mówiła dalej. – Nie wiedziałam, że tak to odczuję. Nie wiedziałam, że właśnie ta rozłąka będzie tak trudna.

Nie miałam pojęcia, co powiedzieć, więc zamiast tego objęłam ją. Przez całe życie zachowywałam dystans wobec wszystkich ludzi. Oczywiście kocham Sorayę i Awę, ale staram się nie nawiązywać zbyt mocnych więzi. Każdy kiedyś odejdzie. Każdy umrze. Więc czyż nie lepiej odejść pierwsza? Czyż nie łatwiej skryć się w równaniach i pracach semestralnych albo wyprawić do najdalszego zakątka Głębokiej Próżni, kiedy czujesz, że te więzi zaczynają cię przykuwać? Po co czekać, aż zdarzy się nieuniknione rozstanie?

– To nie jest głupie. – Uklękałam przy niej. Chciałam jej powiedzieć, że to piękne i żałuję, że nie potrafię odczuwać tego tak samo, bo coś jest ze mną nie w porządku. Ale te słowa uwięzły mi w gardle, więc tylko powtórzyłam: – To wcale nie jest głupie.

– Wiem, że dla niego byłoby lepiej, gdyby tu został – powiedziała. – Nawet jeśli nigdy po niego nie wrócimy. Masz rację.

– Nie... – zaczęłam, lecz przerwał mi sygnał alarmu.

Dobiegał ze stacji, długimi głośnymi falami, a potem zabrzmiał głos, uprzejmy i kulturalny, jak głos Advani-ji:

– Uwaga, zbliża się statek. Proszę opróżnić dok do lądowania. Uwaga, zbliża się statek...

– Co to takiego? – rzuciłam i wyprostowałam się.

Cassia gwałtownie włączyła ekran naszej telemetrii i połączyła się z zewnętrznymi kamerami stacji. Na monitorze pojawił się kanciasty szary statek lecący pełnym ciągiem silników, z bateriami dział sterzącymi ze wszystkich powierzchni, upodabniającymi go do wyjątkowo paskudnego owocu durianu.

– *Chaila* – zakląłam, bo rozpoznałam ten statek.

Spojrzałam na Cassię. Twarz jej stężała i pobladła i wiedziałam dlaczego. Cassia też widziała już kiedyś ten statek – tamtej nocy, gdy straciła brata i kuter, gdy wyciągnęliśmy ją z płonącego wraku. *Dakaici* zjawili się tutaj i tym razem nie było nikogo, kto mógłby nas uratować.

Na suficie nad nami zatupotały buty. Wstrzymaliśmy oddechy, stłoczeni wszyscy w szybie wentylacyjnym – Cassia, Rubio, Isha, ja i Tibbet. Mocno zacisnęłam powieki i wsłuchałam się uważnie. Czy pośród napastników był ten *Dakait*, który uciekł na korytarzu towarowym Ranganathana, pozostawiając mnie kulącą się ze strachu?

– ...musieli być tu jeszcze niedawno – usłyszałam kobiecy głos. Strop ugiął się lekko, gdy przechodziła nad nami. – Ani śladu kurzu, a pomocnicze zasilanie nadal działa. Z pewnością spostrzegli, że się zbliżamy.

– Nie uciekli daleko – odpowiedział jakiś mężczyzna. Ale nie tamten. – Nie ma innej drogi wyjścia ze stacji oprócz tej.

– *Förbannat!* – zabrzmiał okrzyk gdzieś z głębi statku. Ten mężczyzna był młodszy, a w jego piskliwym głosie dźwięczało niepohamowane podniecenie. To też nie tamten. – Nigdy w to nie uwierzycie.

– Znalazłeś coś? – głos starszego mężczyzny ścichł wraz z oddalającymi się krokami jego i podążającej za nim kobiety.

Zmarszczyłam brwi i spojrzałam na sufit. Co takiego cennego mogło znajdować się na pokładzie Mendicanta? I nagle pojęłam. „*Chaila*” – zaklęłam w duchu i wymieniłam spojrzenie z Rubiem. „Kreatyna Cukiereczka”.

Kobieta nad nami gwizdnęła cicho, przeciągle.

– Muszę przyznać, że dobrze się spisałeś, Warume. Nie przypuszczałam, że wyniuchasz tu cokolwiek wartościowego.

– To perła w małży – rzekł z dumą.

– W ostrydze – poprawił go starszy mężczyzna. – Perły są w ostrygach.

– Ostrygi to luksus – dobiegła nas odpowiedź młodszego. – Ta tutaj łajba to zwykła małża.

– Czy wy dwaj *manuke* przestaniecie gadać o owocach morza? – warknęła kobieta. – Im szybciej znajdziemy tych, którzy przylecieli tutaj tą krypą, tym wcześniej będziemy mogli opuścić tę gównianą stację.

Na te ostatnie słowa Isha gwałtownie poderwała głowę i syknęła gniewnie.

– Ciii... – rzekł Rubio i zatkał jej usta dłonią, a ona go ugryzła.

Zdusił okrzyk bólu, ale nie cofnął ręki, chociaż Isha nadal wbijała zęby w jego dłoń, po której ściekała cienka strużka krwi. Zamarliśmy wszyscy, aż nazbyt świadomi tego, że każdy, nawet najcichszy odgłos może nas zdradzić.

– Słyszeliście to? – zapytał młodszy *Dakait*.

– Prawdopodobnie to tylko gaz w rurach. Te stare statki hybrydowe są hałaśliwe – odrzekł starszy mężczyzna.

Wypuściłam wstrzymywany oddech. I w tym momencie Tibbet zaczął warczeć. Z jego gardła wydobył się niski, niepokojący, zwierzęcy dźwięk, który postawił mi włoski na karku. Popatrzyłam na kota przycupniętego na ramieniu Cassii. Czarne źrenice miał groźnie rozszerzone, sierść na grzbiecie zjeżoną, a uszy ściągnięte płasko na łbie.

Rzuciłam Cassii zaniepokojone spojrzenie.

– W porządku, mały. Ciii – szepnęła, gładząc Tibbeta po karku, ale jego warczenie

tylko się nasiliło.

– Tam – powiedziała kobieta dokładnie nad nami.

Zazgrzytała otwierana kłapa tunelu wentylacyjnego. *Dakaici* spojrzeli na nas. Wszyscy troje trzymali w rękach karabiny; młodszy mężczyzna miał minę równie osłupiałą jak nasze. Tibbet skoczył niczym na sprężynie i wylądował na twarzy starszego. Mężczyzna upadł do tyłu, a jego broń wypaliła z ogłuszającym hukiem, wybijając w podłodze paskudną dziurę.

Kobieta strzeliła do Tibbeta, lecz chybiła, a potem upadła, gdy Isha rzuciła się na nią z dzikim wrzaskiem. Karabin wyleciał jej z ręki, wirując, i rąbnął w podłogę szybu za mną. Najmłodszy *Dakait* zatoczył się krok do tyłu; wyglądał zupełnie jak mały chłopiec, pomimo siatki tatuaży pokrywającej lewą część jego twarzy.

Rubio natarł na niego, a ja przypomniałam sobie nagle, że jest żołnierzem. Młody tylko spojrzął na niego i rzucił się do otwartych drzwi prowadzących do doku. Rubio popędził za nim.

Starszy *Dakait* oderwał Tibbeta od swojej twarzy i cisnął go przez pokój. Ciało kota z głuchym łupnięciem walnęło w ścianę.

Cassia wrzasnęła i wskoczyła na mężczyznę. Klnąc, orała paznokciami jego i tak już krwawiącą twarz. Kątem oka dostrzegłam, że Tibbet zerwał się na łapy, otrząsnął się po uderzeniu i czmychnął. *Dakait* zrzucił z siebie Cassię i sięgnął po broń, chociaż krew zalewała mu prawe oko.

Rzuciłam się do karabinu kobiety i podniosłam go dokładnie w momencie, gdy najstarszy *Dakait* skierował swój na Cassię.

– Nie – powiedziałam.

Mężczyzna zamarł z lufą karabinu wymierzoną w Cassię, która, dysząc ciężko, leżała podparta na łokciu. Na jej policzkach płonęły rumieńce furii, oczy błyszczały.

Dakait zachichotał.

– Zamierzasz użyć tej broni przeciwko mnie, tak, *lillflicka*?

– Nie, jeśli ją puścisz – odparłam; usiłowałam mówić groźnym tonem, ale głos załamał mi się na ostatnim słowie.

Mężczyzna rozluźnił ramiona jak rozprostowujący się wąż. Wprowadził nabój do komory i odwrócił się powoli, z uśmiechem igrającym na ustach.

– Nie, nie użyjesz jej. Wiesz dlaczego? – Popatrzył przelotnie na Ishę i *Dakaitkę*, nadal walczące ze sobą na podłodze. Nie czekając na moją odpowiedź, rzekł: – Jesteś zbyt cywilizowana. Nie zostało w tobie wystarczająco wiele dzikości. – Skinął głową przez ramię, wskazując na Cassię. – Ale w tamtej nadal jest ogień. Wielu mężczyzn zapłaciłoby dobrą cenę za taką dziewczynę.

Uniosłam karabin.

– *Chup kar, jaan var fattu.*

Uśmiechnął się szerzej.

– Wykształcona panienska. Być może się myliłem. Może sprzedam was obie. A może zatrzymam cię dla siebie.

Sięgnął po moją broń.

Przed moimi oczami przesunął się jakby film – obrazy z pamięci, na które nakładała się terazniejszość. *Matka kuca przy mnie, zaciska moje małe dłonie na kolbie pistoletu,*

kieruje moimi ruchami, gdy odciągam kurek... i Dakait sięga do mnie z okrutnym uśmiechem na ustach... Jestem w ciemnym pokoju, przycupnięta za starym kufrem, w którym matka trzyma nasze ubrania. Jakiś mężczyzna krzywdzi moją manman... dłoń tego Dakaita ściska moją... szamoczę się z kurkiem – jestem tak niezdarna, a ten rewolwer przeznaczono dla dłoni o wiele większych niż moje – i w tym szamotaniu zapominam, co mówiła manman: żeby nie dotykać spustu, o ile nie zamierzam strzelić; i kiedy w końcu cofam kurek, powietrze rozrywa błysk i huk eksplozji w mojej ręce, a jego siła niemal wyrzuca mi broń z dłoni... a moje palce poruszają się w uścisku Dakaita.

Ten huk przebił się do mnie z przeszłości, z tamtego ciemnego pokoju, w którym mężczyzna ranił moją manman, i rozbrzmiał echem w korytarzach Mendicanta. Dakait osunął się na podłogę. Dłonią wyglądającą jak krwawa miazga przyciskał goleń, ale ja widziałam tylko tamtego mężczyznę sprzed wielu lat.

Leży przy nogach łóżka mojej manman, oddychając chrapliwie, z twarzą wykrzywioną grymasem bólu, a na jego brzuchu rozszerza się ciemna plama. Manman gwałtownie zapala światło i oczy mężczyzny błyskają dziko. Jego skóra ma jaśniejszy odcień brązu niż moja i matki, ale te oczy są w takim samym ciemnobursztynowym kolorze, jaki widziałam w moich oczach, kiedy przeglądałam się w lusterku manman.

Matka podchodzi do mnie, utykając – całą nogę ma wilgotną i czerwoną od krwi – i wyjmuję mi z rąk rewolwer.

– Dobrze się spisałaś, ma chère.

Całuje mnie delikatnie w czubek głowy, a potem odciąga kurek i wprowadza do komory następny nabój.

– A teraz nie patrz – mówi.

Przytula do boku moją twarz i odwraca się do mężczyzny.

– Ty suko – zawył Dakait, wijąc się z bólu.

Zamrugalam i wzdrygnęłam się, gdy ktoś dotknął mojej dłoni z palcem na spuście. Obok mnie stanęła Cassia z karabinem starszego Dakaita. Za nami Isha w końcu wykręciła kobiecie ręce do tyłu i przystawiła jej nóż do gardła.

– Nie chciałam tego – powiedziałam półszepem; było tyle krwi.

Cassia popatrzyła na mnie jak na wariatkę.

– Cieszę się, że to zrobiłaś.

Podeszła do Dakaita i kopnęła go.

– Hej ty, psia mordko! – rzuciła, gdy jęknął. – Pamiętasz mnie?

Popatrzył na nią oczami zamglonymi bólem, w których nie zamigotał żaden błysk rozpoznania. Przecząco potrząsnął głową.

Cassia zacisnęła usta w wąską linię.

– Przed trzema tygodniami zaatakowałeś poza Ceres statek Wędrowców. Pamiętasz?

Zamknął oczy, tuląc do piersi zmasakrowaną rękę i nadal wijąc się z bólu.

– Fitta – wymamrotał. – Bezduśne suki.

Cassia znowu kopnęła go w nogę.

– Pamiętasz? – powtórzyła.

Jęknął cicho.

– Statek Wędrowców... Tak, statek Wędrowców.

– Mój brat. – Do oczu Cassii napłynęły łzy, ale zamrugowała z furją, by się ich pozbyć. –

Nethanel Kaldero. Uprowadziliście go z tamtego statku. Gdzie on teraz jest?

Dakait w milczeniu pokręcił głową.

– Odpowiedz – zażądała, mierząc do niego z karabinu.

– Skąd miałbym wiedzieć? – odparł *Dakait*, bryzgając z ust śliną. Oczy miał wytrzeszczone z szoku i zaczynał dygotać. – Myślisz, że obchodzi mnie jakiś *koitsu*?

– Cassia – odezwałam się.

Ten człowiek straci przytomność, jeśli nadal będzie tak krwawił.

– Wiesz o kim mówię – rzekła do niego.

– *Shinjimae, fitta*.

– Spójrz na mnie! – wrzasnęła. – Wiesz, gdzie on jest. Wygląda tak jak ja.

Starszy mężczyzna parsknął niemal histerycznym śmiechem.

– Być może.

Cassia znowu uniosła broń.

– Ty skurwy...

Złapałam ją za rękę.

– Pozwól mi spróbować – szepnęłam.

Przez moment patrzyłyśmy sobie w oczy. Zmarszczyłam czoło. „Zaufaj mi”.

Cassia sapnęła i cofnęła się.

– Dobrze.

Przykucnęłam przy *Dakaicie*.

– Posłuchaj. Wykrwawiasz się. Czujesz to, prawda? Czujesz, jak całe twoje ciało lodowacieje?

Przez jego gniewną twarz przemknął cień lęku.

– Jestem sanitariuszką – powiedziałam. – Mogę ci pomóc, zatamować krwawienie. Musisz tylko odpowiedzieć na jej pytania. – Wskazałam głową Cassię.

– Nie rób tego, Kol! – wykrzyknęła *Dakaitka*. – Nie słuchaj tej *yariman*.

– Ucisz się – syknęła Isha i mocniej przycisnęła nóż do gardła kobiety.

– Zastrzelisz mnie tak czy owak – powiedział Kol, przenosząc spojrzenie ze mnie na Cassię. – Po co to przeciągać?

– Może cię zastrzele. – Cassia zmierzyła go zimnym wzrokiem. – Ale jak powiedziałaś, ta tutaj moja dziewczyna jest bardziej cywilizowana. Być może nie pozwoli mi tego zrobić.

– Właśnie – potwierdziłam. Przełknęłam z wysiłkiem ślinę. – Więc powiedz nam to, czego ona chce się dowiedzieć. Gdzie jej brat?

Mężczyzna spoglądał to na mnie, to na Cassię. Nerwowo zwilżył językiem wargi.

– Wygląda podobnie do ciebie, tak? – zwrócił się do niej. – Ma kręcone włosy? Piegowatą twarz? Nosi kilt?

Cassia kiwnęła głową.

Zamknął oczy.

– Był w pakiecie, który sprzedaliśmy na Enceladusie.

Dakaitka jęknęła z rezygnacją.

– Pakiecie? – powtórzyłam, marszcząc brwi.

Kol przytaknął.

– Pięćset kilo soli, dwieście kilo tauryny, pięć kobiet, dwóch mężczyzn i pięć beczek

kreatyny.

– Komu go sprzedaliście? – spytała Cassia głosem lodowatym jak powietrze wokół nas.

Dakait wzruszył ramionami.

– Temu, kto zaoferował najwyższą cenę.

Cassia zacisnęła szczęki.

– Nazwisko, *rövhaal*!

Parsknął nerwowo krótkim, warkliwym śmiechem.

– To tak nie działa, *lillflicka*. To była licytacja w ciemno. Przeprowadziliśmy ją z orbity.

Cassia ostentacyjnie odwróciła się do mnie.

– Chyba nie będziemy już potrzebować twojej pomocy, Miyole.

– *Herregud*. Zaczekaj – wtrącił *Dakait*. Wzrok zaczynał mu się szklić. – Mogę wam powiedzieć, w którym porcie go zostawiliśmy. Mogę wam to powiedzieć.

– Cassia – szepnęłam, spoglądając na rosnącą kałużę krwi.

Dakait zamrugał. Tracił przytomność.

„Ale nawet nie potrzebujemy, żeby nam to powiedział”, uświadomiłam sobie. Znajdziemy współrzędne portu w dzienniku pokładowym jego statku.

– Cass...

Podążyła za moim wzrokiem i popatrzyła na krew.

– Jeszcze nie – odparła.

– Ny Karlskrona – powiedział *Dakait*. Przeniósł gniewne spojrzenie z twarzy Cassii na swoją rękę i z niedowierzaniem potrząsnął głową. – *Fitta*.

– Ny Karlskrona – powtórzyła Cassia ze słodkim uśmiechem. – Dziękuję ci.

I pociągnęła za spust.

Dakaitka wydała wściekły okrzyk, który zakończył się wilgotnym bulgotem. Odwróciłam się w porę, by zobaczyć, jak Isha podrzyna nożem gardło szamocącej się kobiecie. Oczy *Dakaitki* pociemniały, odbiła się w nich mieszanina przerażenia, furii i dezorientacji. Chwilę później zmętniały, a Isha puściła ją i pozwoliła, by upadła na podłogę.

Zamrugałam z niedowierzaniem i przeniosłam spojrzenie z Ishy na Cassię.

– Co ty zrobiłaś? – zabrzmiał mi w uszach mój głos. Mogłam zrozumieć postępek Ishy, to niewątpliwa wariatka, ale Cassia? – Co ty zrobiłaś? – powtórzyłam.

Cassia przykucnęła przy trupie *Dakaita*. Nie patrząc na mnie, odpowiedziała:

– To co musiałam. Dla Nethanela.

– *Carajo*.

Odwróciłam się i zobaczyłam Rubia trzymającego za kołnierz najmłodszego *Dakaita*. Chłopak na widok trupów wybałuszył oczy, a potem zgiął się w pół i zwymiotował. Rubio puścił go, cofnął się i oparł plecami o gródź.

Głośny szcęk wprowadzenia kolejnego naboju do komory sprawił, że obróciłam się szybko. Cassia stała, spoglądając na mnie.

– Co mielibyśmy z nim zrobić? – rzuciła.

Przeniknął mnie mdlący dreszcz.

– Co masz na myśli?

– Nie mamy wielu opcji – odparła i spojrzała na trzymany w rękach karabin.

– Nie. – Poczulałam suchość w ustach. – Nie. Cassia, spójrz na niego. Jest w naszym wieku.

Zmierzyła chłopca zimnym wzrokiem.

– I co z tego?

– Ja... my... – zająknęłam się.

Czego się spodziewałam? Że przekażemy tych *Dakaitów* Instytutowi Głębinowych Sondowań albo władzom satelity? Dotychczas nie sięgałam myślą poza każdą kolejną pojawiającą się kryzysową sytuację – kradzież promu, dobicie targu z Cukiereczkiem, utrzymanie Cassii przy życiu, pilotowanie krypy, uratowanie nas wszystkich przed śmiercią.

– Nikt nam tutaj nie pomoże, Miyole – rzekła Cassia. – Jesteśmy tu jedynym wymiarem sprawiedliwości.

– To nie jest sprawiedliwość – zaoponowałam. Rzuciłam spojrzenie na chłopca. „Warume”, przypomniałam sobie. Tak zwróciła się do niego tamta kobieta. – To zemsta.

Cassia zmarszczyła brwi.

– Dzielisz włos na czworo.

– Ile jeszcze krwi chcesz mieć na rękach? – Stałam pomiędzy nią a chłopcem. – Możliwe, że Nethanel nadal żyje. Zabijając bandę *Dakaitów*, w niczym mu nie pomożesz.

Machnęła lufą karabinu w kierunku chłopca.

– Nie możemy zabrać go ze sobą.

– Więc jedynym innym wyjściem jest zabicie go?

Cassia uniosła rękę.

– Co proponujesz?

Przeniosłam spojrzenie z niej na Rubia, który pozieleniał i zapewne czuł się tak jak ja, a potem na Iszę wycierającą ostrze noża o skraj spódnicy. Przyszedł mi do głowy zdecydowanie kiepski pomysł.

– Może... – urwałam i usiłowałam przełknąć ślinę. – Isha, potrzebujesz towarzystwa, tak?

– Towarzystwa. – Powtórzyła to słowo, jakby było dla niej obce. – Tak. Kota. Dobry towarzysz.

– A gdybyś mogła mieć za towarzysza kogoś lepszego niż kota?

Isha przekrzywiła głowę na bok i słuchała.

– Gdybyś miała kogoś, z kim mogłabyś porozmawiać? – Zerknęłam na Cassię. – Kogoś, kto potrafiłby ci odpowiedzieć?

Cassia i Isha popatrzyły na młodego *Dakaita*. Odpowiedział im spojrzeniem; twarz miał błyszczącą od potu.

– Co ty na to? – spytałam Iszę. Serce mi waliło. Nie wiedziałam czy to sprawiedliwe, ale lepsze od morderstwa. – Czy nie wolałabyś mieć jego niż Tibbeta?

Wiedźma obwąchała chłopca.

– Czy on łapie szczury?

– Jasne – włączył się Rubio. – Świetnie umie łapać szczury. Wszystkie jakie zechcesz. Rzuciłam mu ostrzegawcze spojrzenie. „Nie przesadz”.

– Co o tym myślisz, Cass? – spytałam.

Gdybym tylko miała czas, żeby pokazać jej „pacjentów” Ishy i brudne labirynty korytarzy w czeluściach stacji. Zrozumiałaby wtedy, że mój plan wcale nie jest tak miłosierny, jak się wydaje.

– Chwileczkę – jęknął chłopiec. – Czy ja nie mam tu nic do powiedzenia?

– Jasne – rzekła Cassia i posłała mu zimny uśmiech. – Czemu nie? Posłuchajmy twojego planu.

Przełknął nerwowo.

– Wypuść mnie. Nie porwałem twojego brata ani nikogo. Ja tylko przepiłowałem klapę wjazdu.

Cassia się roześmiała.

– Wymyśl coś lepszego.

Chłopiec popatrzył na Iszę, a potem na ciała swoich towarzyszy.

– W takim razie zróbcie ze mną to samo co z nimi. – Zadarł głowę, ale pomimo swojej brawury drżał. – Nie zostanę tutaj z tą wstrętną starą wiedźmą – oświadczył i splunął Ishy pod nogi.

Cassii rozbłysły oczy, ale coś w ich wyrazie mnie zaniepokoiło. Kiedyś odwiedziłam Awę i Rushila i ich sąsiad musiał uśmiercić wściekłego psa. Cassia miała teraz taki sam szklisty, pusty wzrok co tamten człowiek. To nie była dziewczyna, którą znałam, lecz ktoś obcy.

– Doskonale – powiedziała. Uśmiechnęła się do siebie, a potem do Ishy. – Jest twój.

Dałam nura do wnętrza statku *Dakaitów*. Pod moimi butami zachręściły opakowania po batonach odżywczych i foliowe torebki. Posuwałam się powoli wąskimi korytarzami, starając się nie dotykać ścian. Wszędzie cuchnęło szczykami i alkoholem. Nawet kąt na Mendicancie, który Tibbet wybrał, żeby się w nim załatwiać, nie śmierdział tak paskudnie.

Dotarłam do kokpitu i zmrużyłam oczy przed ostrym białoniebieskim światłem padającym spoza ściennych paneli. Na pulpitych kontrolnych też walały się opakowania i butelki, a nad konsolą łączności wirował maleńki hologram przedstawiający nagą kobietę. Urocze. Zdjęłam z jednego z foteli ciśniętą tam kamizelkę kuloodporną i usiadłam. Tutaj znajdowały się informacje. Współrzędne miejsc, które odwiedził ten statek *Dakaitów*. Kody dokowania. Może nawet nazwiska.

Usłyszałam za sobą szelest śmieci i odwróciłam się szybko.

W drzwiach stał Rubio. Wyglądał na równie obrzydzonego jak ja.

– Znalazłaś coś?

– Jeszcze nie. – Wzięłam do ręki rejestr dokowań. Jego ekran był powalany czymś żółtym i lepkiem. – Myślę, że powinniśmy ściągnąć tu brygadę odkażającą.

– Ehe – rzucił Rubio.

Wsadził ręce w kieszenie i wpatrzył się w brązowożółtą plamę na ścianie.

Milczeliśmy oboje. Przeglądałam rejestr, a Rubio kiwał głową i oglądał pomieszczenie. W końcu nie mogłam już dłużej znieść tej ciszy.

– Czy ona przyjdzie? – spytałam.

Rubio zeszytywniał, a potem przecząco pokręcił głową.

– Powiedziała, że nie chce widzieć, gdzie go trzymali.

Odwróciłam się z powrotem do pulpitych.

– Przypuszczam, że tak będzie lepiej.

– Miyole... – zaczął Rubio.

– Nie chcę o tym rozmawiać.

– Jestem wstrząśnięty tak samo jak ty. – Usiadł obok mnie i przeczesał dłonią włosy.

– Nigdy dotąd nie widziałem, jak ktoś... zabija.

Spojrzałam na niego, zaskoczona.

– Nigdy nikogo nie zastrzeliłeś?

Roześmiał się.

– *Vaya*, Mi. Ja tylko pełniłem przez rok służbę w oddziale ochrony. Nauczyli nas oddawać strzały ostrzegawcze. W powietrze.

Nie odezwałam się.

– Chodzi mi o to, że cała ta krew...

„Krew – *Dakaitów*, mojej matki, mężczyzny leżącego na podłodze naszej sypialni, który miał oczy takie same jak moje”.

– Rubio. – Podniosłam głos. – Powiedziała, że nie chcę o tym rozmawiać. Chcę tylko znaleźć to, czego potrzebujemy, a potem wynieść się stąd, jasne?

Nie miałam ochoty dopuścić do siebie myśli kłębiących się z tyłu głowy. „Czy powinnam była kiedykolwiek zaufać Cassii? Co o niej wiem, nawet teraz? Czy popełniłam błąd, biorąc udział w tej misji ratunkowej?”.

– Świetnie. – Uniósł ręce i wstał. – Rozumiem.

Westchnęłam.

– Posłuchaj, przepraszam. Czy możesz wrócić do naprawiania klimatyzatorów i pozwolić mi dokończyć zadanie tutaj? – Machnęłam ręką w kierunku ekranu. – Teraz po prostu nie mogę o tym rozmawiać. To miejsce przyprawia mnie o ciarki.

– Dobrze. – Rubio wzruszył ramionami. – Mówię tylko, że powinniśmy uważnie obserwować Cassię. Nie wiem, co ona robi, kiedy wylądujemy na powierzchni Enceladusa, a chciałbym wyjść z tego żywy.

Podczas gdy Cassia i Rubio spali, zaszyłam się w naszym kokpicie. Usiłowałam się skupić na informacjach pozyskanych z dziennika pokładowego statku *Dakaitów*, ale daremnie. Wciąż widziałam krew albo wyraz twarzy Cassii. Nie potrafiłam też wypchnąć tamtego innego wspomnienia – mężczyzny o moich oczach, manman odbierającej mi rewolwer – z powrotem w głębiny pamięci, gdzie powinno było pozostać. Ilekroć spoglądałam na Cassię, wszystkie te obrazy ożywały przed moimi oczami. Odkąd opuściliśmy stację Ishy, sypiałam pod stertą płaszczy na jednej z sof w saloniku albo skulona na boku w fotelu pilota. To znaczy, o ile w ogóle udawało mi się zasnąć.

Potarłam oczy i spróbowałam się skoncentrować. Ci *Dakaici* odwiedzili na Enceladusie mnóstwo portów.

Dok Ropyyaku, subport Wschodniego Bloku, Ny Kyoto: 36.637864, 155.522461

Stacja diagnostyczna Aoki, subport Shio, Ny Kyoto: 36.637865, 155.522460

Rangnvaldsson Keramik, Ny Karlskrona, prowincja Kyushu: 36.375480, 127.441406

Hurtownia kreatyny, Wrzeczono Kazań, port szelfu Zaius: -76.052861, -89.472656

Norling Buki-ko, Jämtland län, Ny Skaderna: -74.00182, -63.942321

A-1 Such ru, Wrzeczono Hivoi Glaciär, Ny Skaderna: -70.81924, -64.11021

Ranganathan również miał zawinąć między innymi do jednego z portów na Enceladusie – mówiono coś o tym, że załoga otrzyma pozwolenie wyjścia na ląd, jeżeli nasz lot będzie przebiegał bez opóźnienia – ale pamiętałam tylko podstawowe dane dotyczące tego księżyca. Powinnam była uważniej zapoznać się z materiałami na temat portów, zawartymi w pakiecie informacyjnym, który dostałam przed startem. Teraz powiodłam palcem po tych nazwach i z bazy danych Mendicanta wydobylam informacje o Ny Kyoto.

Ny Kyoto założone przez japońskich i szwedzkich uchodźców uciekających przed wzbierającymi przyptykami było pierwszą kolonią powstałą na Enceladusie. Badania wykazały obecność w podziemnych oceanach tego księżyca wielu komponentów przydatnych do bioinżynierijnej budowy statków kosmicznych...

Wyłączyłam ekran i jęknęłam. Najwyraźniej od co najmniej pięćdziesięciu lat nikt nie uaktualnił bazy danych Mendicanta. Na Enceladusie już od kilku dekad hodowano elementy statków. Szkielety konstrukcyjne Ranganathana i bliźniaczych okrętów powstały właśnie w oceanicznych fabrykach tego księżyca.

Przewinęłam dane z powrotem do harmonogramu zawinięć do portów i przycisnęłam czubki palców do skroni, jakby to mogło pomóc mi w pobudzeniu pamięci. Ny Kyoto to jedno z największych tutejszych skupisk ludzkich. A ta miejscowość o szwedzkiej nazwie – jeśli współrzędne są poprawne, znajduje się

niedaleko tego miasta. Zatem pozostałe leżą w pobliżu południowego bieguna. Coś poruszyło się na dnie mojej pamięci. Czy przy biegunie południowym nie występuje jakieś niebezpieczne zjawisko? Może prądy odpływowe? Musiał istnieć jakiś powód tego, że nie zbudowano tam żadnych większych miast.

„Co wy tam robiliście? Gdzie go zostawiliście?”, zastanawiałam się. Nie znałam języka szwedzkiego, a mój japoński był okropny, ale niektóre z tych miejsc z listy wyglądały na jakieś firmy – „hurtownia kreatyny, stacja diagnostyczna Aoki”. A słowo „buki-ko” ma jakiś związek z bronią, jednak nie potrafiłam sobie przypomnieć jaki.

Odchyliłam się w fotelu i mocno potarłam dłońmi oczy. Zdobyliśmy współrzędne, ale mogły oznaczać cokolwiek. I była jeszcze ta dostawa towaru Cukiereczka. Miałam nadzieję, że wskutek zmiany kursu do stacji Ishy nie przegapiliśmy wiadomości od wuja Cassii z informacją o lokalizacji miejsca, do którego powinniśmy dostarczyć beczki z kreatyną. Nie pozostało nam do zrobienia nic, oprócz czekania, aż dotrzemy do Enceladusa i przekonamy się na własne oczy, jak wygląda sytuacja.

Zgasiałam sufitowe lampy w kokpicie i spróbowałam zasnąć, jednak mój umysł nadal pracował. Dawniej, kiedy Vishva i ja nauczyliśmy się w Akademii Revati, często grałyśmy w „Gdybym miała wehikuł czasu”.

„Gdybym miała taki wehikuł, cofnęłabym się w czasie i powiedziała ówczesnej sobie, żebym nie poszła do szkoły w dniu, w którym Sanjita odczytała całej klasie moją notkę o Roshanie”.

„Cofnęłabym się w czasie i powiedziała inżynierom, w jaki sposób dojdzie do pęknięcia wału przeciwpowodziowego”.

„Powiedziałabym mamie, żeby nie dawała drugiej szansy mojemu ojczymowi”.

„Ostrzegłabym moją matkę przed huraganem”.

Gdybym teraz miała taki wehikuł, jak daleko cofnęłabym się w czasie i co zrobiłabym inaczej? Do momentu, gdy powiedziałam Cassii, że zawiozę ją promem? Do straconej przeze mnie okazji zatrzymania tamtego *Dakaita*? Do chwili, gdy poprosiłam Rushila, żeby poprawił moje dane? Albo może jeszcze dalej wstecz, żeby uratować matkę – zanim oceany pochłonęły wyspy Ziemi, tak abyśmy mogły przetrwać każdy sztorm na stałym lądzie i miały miejsce, które mogłabym nazwać moim domem. Pochyliłam się do przodu i z bazy danych Mendicanta wydobyłam notkę o Haiti. Wprawdzie informacje w bazie danych były żałośnie przestarzałe, jednak wyspa Haiti została zatopiona setki lat przed zbudowaniem tego statku i na ile mogłam się zorientować, artykuł o niej był mniej więcej prawdziwy. Albo przynajmniej pokrywał się z tym, co zapamiętałam z lekcji historii powszechnej.

W 1804 roku byli niewolnicy z Haiti pod wodzą Toussainta L'Ouverture wygrali długoletnią walkę o wyzwolenie się spod panowania Francuzów.

Wówczas w szkole ta historia wydawała mi się zawsze bardzo odległa. Moje podręczniki nie mówiły o niczym, co miałoby związek ze mną. Teraz jednak, gdy czytałam tę notkę, łączyła się ze słowami mojej matki, niczym dwa strumienie wijące się i splatające ze sobą. „W wieku niewolnictwa byliśmy pierwszymi, którzy zrzucili swoje łańcuchy. Bądź z tego dumna, *ma chère*. Twój lud ujrzał szansę zdobycia wolności i wykorzystał ją, nie zważając na to, co sądziła o tym reszta świata”.

Czytałam dalej. Słowa budziły w mnie wspomnienia, a te ożywiały kolejne

wspomnienia, aż wreszcie zapadłam w niespokojny sen.

Jestem w sypialni mojej manman. Bawię się lalką. Ma czarny warkocz, niemal tak długi jak całe jej ciało. Lubię trzymać ją za koniec tego warkocza i niezmordowanie wirować wraz z nią.

Słyszę kroki w górę zewnętrznych schodów, zbyt ciężkie i powolne, aby to mogła być matka. Strach wpija się w moje serce jak pająk. Zgrzyta otwierany zamek frontowych drzwi i kroki rozbrzmiewają teraz w domu. Daję nura pod łóżko. Zbyt późno oglądam się za siebie. Moja lalka leży całkiem sama na środku podłogi sypialni. Pełzną do niej, żeby ją schować, ale kroki skręcają w moim kierunku. W ostatniej chwili cofam rękę pod łóżko.

W progu stają dwa popękane szpiczaste buty. Chcę zamknąć oczy, ale wiem, że jeśli je potem otworzę, zobaczę go schylającego się i zaglądnącego pod łóżko.

– Miyole! – krzyczy, mocno akcentując ostatnią sylabę mojego imienia.

Nie poruszam się. Osłabłam i drzę.

On sięga w dół i chwytą lalkę. Tłumię lekkie westchnienie – „och”. Dokąd on ją zabiera? Co zamierza z nią zrobić?

Jego kroki zawracają do kuchni. Przysłuchuję się, jak zdejmuję jakieś rzeczy z półki, przyrządza jedzenie, rozmawia z kimś przez swój telefon satelitarny. W końcu zasypiam pod materacem.

Budzi mnie dobiegający z góry ryk silników słup manman. Pająk strachu puszcza moje serce. Mama wróciła do domu. Wypełzam spod łóżka i zerkam zza rogu do salonu. On siedzi w swoim wielkim żółtym fotelu i obcina sobie paznokcie. Nigdzie nie widzę mojej lalki. Wymykam się na korytarz, gdzie on nie może mnie dostrzec, i czekam na manman, a gdy staje w drzwiach, obejmuję ją oburącz za nogę.

– Witaj, ma chère – mówi matka. – Tęskniłaś za mną?

Jego głos wcina się między nas:

– Gdzie byłaś?

Oglądam się przez ramię. On patrzy prosto na mnie, ale to manman mu odpowiada:

– Poleciałam tą nową trasą handlową do Mirny. Mówiłam ci o niej w zeszłym tygodniu, pamiętasz?

Zamieram i obserwuję go. Może wstanie z fotela i rzuci się na nią. Może zacznie wrzeszczeć i kłać. Może coś połamie albo zabierze nam coś, czego potrzebujemy. Może powie, że musimy obie siedzieć w domu razem z nim.

Ale mamy szczęście. On tylko chrząka, a potem znowu zajmuje się swoim telefonem satelitarnym.

Jemy kolację. On nadal nie wspomina ani słowem o mojej lalce. Chcę go zapytać, czy mogę dostać ją z powrotem, ale wtedy musiałabym się przyznać, że widziałam, jak ją zabierał. Musiałabym się przyznać, że ukrywałam się przed nim, a to zawsze wprawia go w największy gniew.

Po kolacji myję zęby i ściskam na dobranoc manman, która zmywa w kuchni naczynia. Próbuję wymknąć się do łóżka, tak żeby on nie zauważył, ale tym razem nie dopisuje mi szczęście.

– Miyole – mówi i przyzywa mnie ruchem zakrzywionego palca do swojego fotela.

Staję przy fotelu na tyle daleko, że się nie dotykamy, ale nie aż tak daleko, żeby mógł powiedzieć, że staram się go unikać.

– Czy nie zapomniałaś o czymś? – pyta, unosząc brew.

Obejmuję go szybko, mechanicznie.

– Dobranoc, papo.

– Dobranoc – mówi.

Odwracam się, żeby wyjść.

– Miyole.

Zatrzymuję się i odwracam z powrotem do niego. Jestem za mała, aby znać słowo „zgroza”, jednak właśnie to uczucie mnie teraz przenika.

– Znalazłem tę twoją lalkę – rzuca. – Na podłodze.

– Jaką lalkę? – pytam, chociaż doskonale wiem, o czym mówi.

To nie jest dobre kłamstwo. Nie mam wielu zabawek. Zaczynam już drzeć.

On wytrzeszcza oczy.

– Jaką lalkę? – powtarza. – Jaką lalkę?

Manman odwraca się do nas; z jej rąk jeszcze skapuje woda z mydlinami.

– Żanzak, proszę.

Oczy mu błyskają.

– Nie wtrącaj się. Ta dziewczyna to kłamczucha. I jak myślisz, po kim to ma?

Cofam się o krok.

– Nigdzie nie pójdziesz – mówi, wskazując na mnie palcem, i wyciąga lalkę zza pleców.

Dotąd siedział, mając ją wetkniętą między poduszki fotela. – Nie doceniasz tego, co ci dajemy. Chciałaś zanieść ją na brzeg i wrzucić do wody.

– Nie! – krzyczę. Łzy napływają mi do oczu. – Papo, proszę. Przepraszam...

– Pe dan w la! – On zrywa się z fotela i staje groźnie nade mną. – Przestań beczeć!

– Żanzak – mówi manman spokojnie i wchodzi pomiędzy nas.

On szybko unosi rękę i uderza ją w twarz, a potem dalej ją bije.

Biegnę do komórki obok łazienki i zamykam się w niej. To moja wina. Gdybym go nie rozwścieczyła, nie uderzyłby jej. Gdybym nie upuściła lalki. Gdybym wcześniej powiedziała „przepraszam”. Powinnam pójść i powiedzieć mu, żeby przestał, żeby uderzył mnie zamiast niej. Ale żałosna, tchórzliwa część mnie jest silniejsza. Prawdę mówiąc, cieszę się, że to nie mnie bije.

Budzę się w fotelu pilota i trę zaspane oczy. Przed nami w ciemności jarzy się olbrzymia gazowa planeta, wokół której krąży Enceladus – jasnopomarańczowa plama, dopiero teraz widoczna gołym okiem. Za trzy dni my też znajdziemy się na jej orbicie. Za trzy dni wylądujemy na lodowej skorupie tego jej księżyca.

Zeszłam do magazynu po jedną z kamizelek kuloodpornych, które Rubio „pożyczył” ze statku *Dakaitów*. Jeżeli ludzie na Enceladusie, do których skierował nas Cukiereczek, są choć trochę podobni do niego, chciałam być możliwie jak najlepiej chroniona. Wzięłam kamizelkę – czarną, nabijaną ćwiekami, cienką, lecz mocną, doskonale rozpraszającą energię wystrzelonych pocisków. Widywałam wielu żołnierzy i ratowników w takich ubiorach, ale nigdy dotąd nie musiałam sama go nosić. Kamizelka była gładka i elastyczna jak skóra węża. Zatrzymałam się, zważyłam ją w rękę, a potem zabrałam jeszcze dwie i udałam się na poszukiwanie Rubia.

Przystanęłam gwałtownie w drzwiach saloniku. Cassia siedziała na sofie plecami do

mnie. Głaskała Tibbeta i przyglądała się wzorowi, który Isha narysowała na przeciwległej ścianie. Przez pół sekundy rozważałam, czy nie zawrócić i nie zamknąć się w kokpicie, ale nie mogłam wiecznie jej unikać. Opanowałam się, minęłam ją i cisnęłam kamizelkę na stół. Skrzyżowałam ramiona na piersi i wbiłam wzrok w kamizelkę; nie poruszałam się, ale też nie patrzyłam na Cassię.

Poczułam na sobie jej spojrzenie. Odchrząknęła.

– Wiem, uważasz, że postąpiłam źle.

Odwróciłam się do niej.

– Zabiłaś go. – W gardle utkwiła mi twarda gula. – Zabiłaś go, chociaż wcześniej powiedziałaś mu, że go oszczędzimy.

– Isha też tak zrobiła – przypomniała Cassia.

– Naprawdę chcesz porównywać się z Ishą?

Cassia mocno objęła Tibbeta.

– Miyole, oni handlowali ludźmi. Handlowali ludźmi! Słyszałaś, co on powiedział – co by z nami zrobił.

Potrząsnęłam głową – nie dlatego, że nie wierzyłam Cassii, ale żeby pozbyć się obrazów kłębiących się w moim umyśle. Co mogło nas spotkać? To samo co spotkało innych, gdybyśmy mieli trochę mniej szczęścia.

– Głęboka Próżnia bez nich jest lepszym miejscem – mówiła dalej Cassia. Pochyliła się do przodu i Tibbet zeskoczył z jej kolan. – Wiesz, że mam rację.

Popatrzyłam na kamizelkę kuloodporną.

– Owszem – przyznałam. – Ale nie chcę podejmować takich decyzji.

W Mumbaju nawet mordercy mają prawo do procesu sądowego, a na Ranganathanie umieszcza się przestępców w ośrodku poprawczym. Jedna osoba nie może wymierzać wyroków śmierci.

– Na szczęście nie musiałaś – rzekła Cassia ostrzejszym tonem.

Byłoby łatwiej w to uwierzyć, przyjemniej byłoby myśleć, że nie miałam w tej sprawie żadnego wyboru. Ale w każdej chwili mogłam podejść do tego *Dakaita* i zatamować jego krwotok.

Znowu powróciło tamto dawne wspomnienie – odrzut rewolweru w moich rękach, szok, smutek w oczach manman, a potem to, jak stała nad tym mężczyzną. Ogłuszający huk broni w naszej maleńkiej sypialni. Spojrzałam na Cassię. Spod bandaża wymykały się jej włosy, a pod oczami miała ciemne sińce. Czy zabicie tych *Dakaitów* naprawdę tak się różniło od tego, co zrobiła moja matka? Działała tylko w obronie własnej. I Cassia miała rację: w Głębokiej Próżni jest lepiej bez takich ludzi. Dlaczego więc wydawało się to czymś odmiennym?

Zrobiłam krok w kierunku Cassii. Nie wiedziałam, co zamierzam. Przemówić do niej? Objąć ją? Odepchnąć?

W drzwiach pojawił się zdyszany Rubio.

– Telemetria wariuje – oznajmił. – Coś jest na zewnątrz.

Wszyscy troje tłoczyliśmy się w kokpicie, pochyleni nad ekranami. Przed nami unosił się w ciemnej próżni niewielki biały kształt, zbyt idealnie owalny, by mógł być odłamkiem skały. Wyłączyłam główny napęd i uruchomiłam dziobowe silniki sterujące, by spowolnić nasze zbliżanie się.

– Czy któraś z was się domyśla, co to, do cholery, jest? – zapytał Rubio.

– To skrzynka kontaktowa – powiedziała Cassia niemal szeptem. – Ze współrzędnymi miejsca naszej dostawy.

Ściągnęłam brwi i wcisnęłam guzik systemu łączności.

– Ona tam po prostu wisi. Dlaczego nie nadaje?

– Niektóre sprawy są zbyt... delikatne, by komunikować je w taki sposób. – Cassia wskazała głową ekran. – My stykaliśmy się już wcześniej z takimi skrzynkami, w trakcie naszych lotów dla Cukiereczka.

– Jesteś pewna? – spytałam i nachyliłam się niżej nad monitorem.

Cassia skinęła głową.

– Kiedy Cukiereczek potwierdzi, że towar jest już w drodze, nabywca zazwyczaj wystrzeliwiuje taką anonimową skrzynkę kontaktową. – Wyprostowała się. – Ściągnijmy ją i przekonajmy się, jaką zawiera wiadomość.

Rubio się zaniepokoił.

– Zaraz, jak to? Mamy ją tu ściągnąć?

Cassia zmierzyła go ostrym spojrzeniem.

– Jak inaczej dowiemy się, dokąd mamy lecieć?

– To fatalny pomysł – upierał się. – Nawet jeśli jest przeznaczona dla nas – czego przecież nie możemy być pewni – skąd wiesz, czy to nie bomba pulsacyjna albo coś podobnego?

Cassia się wykrzywiła.

– Dlaczego nabywca towaru od Cukiereczka miałby podrzucać nam bombę?

– A skąd masz pewność, że to coś pochodzi od kontrahenta Cukiereczka?

Cassia uniosła rękę.

– Kto inny znałby dokładną trajektorię naszego lotu?

Rubio przeczesał włosy palcami.

– Posłuchaj, spośród nas tylko ja mam doświadczenie w kwestiach bezpieczeństwa i...

– Ale tylko ja mam doświadczenie w szmuglowaniu – przerwała mu. – I mówię, że ściągniemy tę skrzynkę.

– W porządku. – Rubio wzruszył ramionami. – Więc idź to zrobić.

– Chętnie – oświadczyła.

– Zaczekaj – wtrąciłam się. – Cass, twoja głowa.

– Nic mi nie jest. – Cassia ponad moim ramieniem rzuciła gniewne spojrzenie na Rubia. – Nie boję się, jak niektórzy inni tutaj.

– Nadal dopiero dochodzisz do siebie po wstrząśnieniu mózgu i zatruciu tlenkiem węgla. W żadnym razie nie powinnaś wychodzić na zewnątrz statku.

– Poradzę sobie – rzekła z uporem.

– Nie – powiedziałam i usłyszałam w swoim głosie stanowczy, opanowany ton mojej manman. – Nie możesz. – Spojrzałam na Rubia. – Ale ja tak.

Gdy pierwszy raz odbywałam symulację spaceru w przestrzeni kosmicznej, zwymiotowałam tuż po opuszczeniu komory antygravitacyjnej. Podobnie było za drugim razem – i za trzecim. Na szczęście dla mnie Instytut Głębinowych Sondowań nie oczekiwał, że jego pracownicy naukowci będą specami od zerowej grawitacji, więc musiałam odbyć tylko te trzy spacery. A zwymiotowanie na *zewnątrz* komory symulacyjnej uważano jednak za sukces.

Stałam w ciasnej śluzie Mendicanta i czekałam, aż ciśnienie powietrza spadnie do zera, tak aby statek nie wystrzelił mnie jak pocisku, gdy tylko Cassia i Rubio zdalnie otworzą zewnętrzne drzwi. Zatrzymaliśmy się w odległości kilkudziesięciu metrów od kulistej skrzynki kontaktowej. Sięgnęłam za plecy i jeszcze raz sprawdziłam linę przymocowaną do mojego skafandra ciśnieniowego. „Nie ulegnę hiperwentylacji. Robiłam to już wcześniej”. No, mniej więcej.

– Na pewno chcesz to zrobić? – zapytał Rubio przez kanał łączności.

– Tak – odpowiedziałam. „Nie”, pomyślałam.

– Bo mógłbym spróbować wcisnąć się w twój skafander. Moglibyśmy go zmodyfikować...

Przewróciłam oczami, chociaż Rubio mnie nie widział.

– Proszę cię. Jesteś o pół głowy wyższy ode mnie.

Lampki wskaźników atmosfery umieszczone wokół wizjera mojego hełmu zmieniły kolor z niebieskiego na pomarańczowy, a potem czerwony. W jednej z szafek magazynowych Mendicanta znaleźliśmy pięć ciężkich skafandrów ciśnieniowych, ale coś wygryzło w ich zewnętrznych powłokach izolacyjnych dziury tak duże, że mogłam przetknąć przez nie palec. Mój skafander był jedynym nadającym się do użytku.

– Dość – usłyszałam w słuchawce głos Cassii. – Miyole, jesteś gotowa?

Na zewnątrz niewielkiego iluminatora znajdowała się Głęboka Próżnia gęsto usiana gwiazdami, które wyglądały jak cukier rozsypany na czarnym obrusie. Widok był wspaniały, majestatyczny. Ale wolałabym oglądać go spoza kilkunastu warstw samoregenerującej się masy perłowej i osłon chroniących przed promieniowaniem kosmicznym.

Odetchnęłam głęboko, żeby się opanować.

– Jestem gotowa – odpowiedziałam.

Drzwi śluzy obróciły się i otworzyły. Wyszłam w czarną pustkę.

Wyobraźcie sobie, że skaczecie ze szczytu najwyższego wieżowca w Mumbaju. Wyobraźcie sobie, że dryfujecie samotnie w niezmiernym czarnym morzu. Wyobraźcie sobie, że zostaliście pogrzebani żywcem w hermetycznej, nieprzepuszczającej światła trumnie. A teraz połączcie to wszystko razem i dodajcie jeszcze porcję zawrotów głowy.

Przebyłam drogę wzdłuż burty Mendicanta, trzymając rękę na jego kadłubie, i dotarłam do najdalej wysuniętego wysięgnika statku. Kulista skrzynka kontaktowa wisiała jakiś dwadzieścia metrów przede mną niczym maleńki błady księżyc. Wparłam stopy w kadłub, gotowa odepchnąć się nogami, poszybować w kierunku kuli i chwycić

ją. Skoczyło mi ciśnienie, krew pulsowała mocno pod obojczykiem. Spojrzałam w dół na nieskończone kilometry próżni pode mną. Jeśli moja lina pęknie, jeśli odleczę za daleko...

Napłynęło do mnie wspomnienie.

Jestem małą dziewczynką. Idę po dnie, aż po szyję w wodzie, na wargach mam smugę soli.

Chłopiec – Kai, mój przyjaciel Kai – ochlapuje mnie.

– Nie złapiesz mnie, ciamajdo!

Warczę i szczerzę zęby – to moje najlepsze naśladownictwo rekina.

– Huuu. Pożrę cię!

A potem płynę, młóćę rękami wodę, ścigając go. W oceanie jestem szybka i potężna, jak delfiny, które widzimy czasami o zachodzie słońca. Doganiam Kaia i zrównuję się z nim. Płyniemy daleko od portu, dalej niż kiedykolwiek przedtem, a potem tak daleko, jak starsi od nas chłopcy i dziewczyny. Przyspieszam gwałtownie i wyprzedzam Kaia. Ten pęd niesie mnie dalej, upajająca euforia wlewa siłę w moje ręce. Jestem do tego stworzona, mogłabym płynąć tak wiecznie.

– Miyole! – rozlega się daleko za mną krzyk Kaia.

Zwalniam i obracam się w wodzie, by spojrzeć wstecz. Jego głowa jest maleńkim czarnym punktem podskakującym na falach. Za Kaiem kołyszą się łagodnie port i pontony zachodniego Gyre, ciągnące się w obie strony jak okiem sięgnąć. Stąd moja rodzinna okolica wygląda jak kolekcja zabawek – stateczków i domków tak małych, że mogłabym zmieścić je w dłoni. Nigdy jeszcze nie wypłynęłam tak daleko.

– Miyole! – głos Kaia ledwie do mnie dociera. – Wracaj!

Przenoszę spojrzenie z niego na otwarte morze za moimi plecami. Na horyzoncie perkocze masywna łódź, oddalona ode mnie o tyle, ile dzieli mnie od portu. Nagle wycieka ze mnie adrenalina. Nie jestem już potężna ani stworzona dla morza. Jestem drobną istotą, którą ze zmęczenia bolą ręce, i znajduję się zbyt daleko od zakotwiczonych statków Gyre i jej solidnych kładek. Błękit pode mną jest zbyt błękitny, głębia zbyt głęboka, i jestem sama.

– Mi? Miyole?

Zamrugałam, wyrwana z tych wspomnień.

– Mi? – Głos Cassii znowu dociera przez słuchawkę do mojego ucha. – Słyszysz mnie? Dobrze się czujesz?

Dopiero po chwili zorientowałam się, że chrapliwe, urywane dźwięki rozbrzmiewające wewnątrz hełmu to mój oddech.

Wzięłam się w garść.

– Nic mi nie jest – powiedziałam. – Nic mi nie jest. Po prostu wyszłam z wprawy.

Teraz rozległ się głos Rubia:

– Musisz oddychać powoli, żeby nie zużyć zbyt szybko całego zapasu tlenu.

– W porządku – rzuciłam; wiedziałam to i bez niego, ale zanadto brakło mi tchu, żeby mogła się z nim spierać.

Zamknęłam oczy i skoncentrowałam się na czysto fizycznych aspektach tego, co miałam zrobić. Odepchnąć się od burty statku, ale nie za mocno. „Przyspieszenie równa się ilorazowi siły i masy”. Chwycić tę kulę. „Zmiana pędu równa się iloczynowi masy i prędkości”. Zaczekać, aż Cassia i Rubio wciągarką przyholują mnie na linie z powrotem do statku. „Czas równa się ilorazowi odległości i tempa”.

Opanowałam się, otworzyłam oczy i skoczyłam.

Kula zbliżyła się szybko i uderzyła mnie w pierś tak mocno, że ledwie pamiętałam, by objąć ją rękami. Impet zderzenia sprawił mnie w ruch wirowy i zorientowałam się, że jestem zwrócona twarzą do Mendicanta, a lina wlecze się za mną luźno niczym upiorna pępowina. Nasz statek o klinowym kształcie zdawał się wpatrywać we mnie pustymi oczami iluminatorów. Zaczęło mi się kręcić w głowie, ale zapanowałam nad tym, mocno zaciskając powieki.

– Mam ją! – oznajmiłam.

Starałam się nadal nie otwierać oczu, gdy Cassia i Rubio wciągali mnie z powrotem, jednak z każdą chwilą niewiedza stawała się gorsza od wiedzy i w końcu musiałam zerknąć spod przymrużonych powiek. Mendicant urósł przede mną – brudnobiały kształt na tle ciemności, przypominający naturalną muszlę małża. A potem wylądowałam w śluzie powietrznej, poczułam pod nogami solidną grawitację statku, i drzwi zamknęły się za mną szczelnie.

W wewnętrznym oknie śluzy pojawiła się twarz Rubia.

– Nic ci nie jest? – wymówił bezgłośnie samymi wargami.

Dałam mu znak uniesionym kciukiem i osunęłam się na podłogę przy ścianie, przyciskając do piersi kulistą skrzynkę kontaktową, podczas gdy ciśnienie powietrza stopniowo powracało do normy. Lampki wokół mojego wizjera zblakły z czerwieni do żółci, a potem błękitu – co oznaczało, że na zewnątrz atmosfera i ciśnienie są bezpieczne – więc zdjęłam hełm.

Cassia wbiegła do śluzy i odebrała mi kulistą skrzynkę, a Rubio wyciągnął rękę, żeby pomóc mi wstać. Zignorowałam ten gest, przeniosłam spojrzenie z Rubia na Cassię i podźwignęłam się na nogi. Byłam pewna, że ja również zapomniałabym o niej, gdyby chodziło o uratowanie kogoś z mojej rodziny, i też najpierw wyrwałabym jej z rąk tę kulę.

Podążyliśmy za Cassią do saloniku. Uklękła na podłodze i umieściła kulę przed sobą. Rubio cofnął się pod ścianę, jak najdalej od tego urządzenia. Cassia spojrzała na niego i wymownie przewróciła oczami, a potem dotknęła palcem sensora na szczycie kuli. Górna połówka odchyliła się, odsłaniając znajdującą się wewnątrz małą metalową rurkę.

Cassia wyjęła ją. Rurka z łatwością mieściła się w jej dłoni.

Nachyliłam się.

– Wygląda jak... szminka do ust?

Cassia podniosła rurkę do światła i przyjrzała się cienkiej jak włos szczelinie wokół jej obwodu. Popatrzyła na Rubia, unosząc brew.

– Wciąż myślisz, że to bomba?

Rubio utkwiał wzrok w swoich stopach i wzruszył ramionami.

Cassia odkręciła rurkę, która otworzyła się z krótkim sykiem ulatniającego się powietrza i na dłoń dziewczyny upadła masywna wtyczka.

Wzięłam gwałtowny wdech. Widziałam już kiedyś taką – a właściwie całą ich skrzynkę – w domu Avy i Rushila.

– Co to jest?

– Coś dla mojej przyjaciółki Soli. Pamiętasz, opowiadałam ci o niej?

– Ale dlaczego potrzebuje aż tylu?
– Rozdaje je jako prezenty. Dziewczynom z załóg, jaką ja kiedyś byłam. Po to, żeby mogły trafić tutaj, jeśli zechcą.
– W porządku... – Rubio popatrzył na wtyczkę spod przymrużonych powiek. – To służy do...?
Cassia uniosła ją do światła.
– Myślę, że to rodzaj wtyku igłowego.
Rubio odkleił się od ściany i pochylił nad nami.
– Do czego?
Cassia pokręciła głową.
– Nie wiem. Nie sądziłam, że ktokolwiek nadal ich używa. Nie jestem nawet pewna, czy na statku mamy przejściówkę do niego.
Odchrząknęłam.
– To lokalizator kierunkowy.
– Lokalizator? – spytał Rubio.
– Tak. Podłącza się go do systemu nawigacyjnego statku. – Sięgnęłam po wtyk. – Zawiera zaprogramowany zestaw współrzędnych. Moja siostra Ava ukrywała je w wachlarzach.
Cassia i Rubio popatrzyli na mnie ze zdumieniem.
– To długa historia. – Znowu odchrząknęłam. – Powinniśmy podłączyć go i zobaczyć, dokąd nas skieruje.
Ruszyliśmy do kokpitu.
– A co, jeśli nie będzie pasował? – zapytała Cassia.
– To stary statek. Prawdopodobnie ma gniazdo wtykowe – odpowiedziałam.
Usiadłam w fotelu kapitańskim i przyjrzałam się panelom kontrolnym. Jest. Gniazdo z otworem o grubości igły strzykawki do zastrzyków podskórnych. Teraz wszystko nabrało sensu. Nowsze statki, pozbawione takiego gniazda, nie byłyby w stanie odczytać współrzędnych. Ten przyrząd zostawiono specjalnie dla nas.
– Widzicie? – powiedziałam i wcisnęłam wtyk do gniazda; wszedł z cichym kliknięciem.
W głośnikach systemu łączności Mendicanta eksplodował przenikliwy ryk, a potem rozbrzmiał jazgotliwy cyfrowy szum. Zasłoniłam dłońmi uszy. Cassia odskoczyła do tyłu, a Rubio walnął ręką w przełączniki i uciszył ten hałas.
– Vaya – rzekł. Potarł uszy. – Co to było?
– Nowe współrzędne – powiedziałam. Wskazałam na odczyt ekranu nawigacji: -84.0219, -23.9082, a-18. – To musi być miejsce, do którego mamy dostarczyć towar.

Spodziewałam się, że widok tej olbrzymiej gazowej planety zaprze mi dech w piersi, ale kiedy w końcu zobaczyłam ją z bliska, nie poczułam niczego szczególnego. Miała tak idealnie geometryczny kształt, niczym dziecięcy rysunek, że wydawała się nierzeczywista. Nawet jej cienie były zbyt wyraźne i ostre. Kiedy przelatywaliśmy w pobliżu zakładów produkujących azot na powierzchni Tytana, bliźniaczego księżycy Enceladusa, zapaliły się lampki kontrolne telemetrii statku, a potem zaczęły szaleńczo migać, gdy podążyliśmy zgodnie z otrzymanymi współrzędnymi do naszego celu

podróży. Kryształy lodu z zewnętrznego pierścienia planety uderzały z sykiem o tarcze ochronne Mendicanta. A potem ujrzelśmy Enceladusa – upiorne lodowe zwierciadło odbijające światło planety i jej innych pobliskich księżyców.

Kiedy byłam mała, Ava i Rushil zabrali mnie do dzielnicy Salt na Diwali, święto światła. Rushil kupił mi tam kostkę cukru. Była wielkości piłki do krykieta i tak twarda, że nie mogłam jej ugryźć. Enceladus wyglądał dokładnie tak samo. Jakbym mogła włożyć go sobie do ust i trzymać na języku, aż rozpuszczą go enzymy w mojej ślinie.

Weszliśmy na orbitę wraz z innymi statkami oczekującymi na zezwolenie na lądowanie. Z ponad granicy atmosfery księżyca widać było skaży urozmaicające jego monotonna doskonałość – krater, kaniony, granie oraz otwory odwiertów prowadzących do oceanu pod lodową skorupą.

– Co to takiego? – spytał Rubio, wskazując oślepiająco biały pióropusz wznoszący się z południowego bieguna księżyca.

– Gejzer biegunowy – powiedziałam podekscytowanym głosem i nachyliłam się ku przedniemu iluminatorowi. Właśnie tego nie zapamiętałam. – Enceladus jest globem kriowulkanicznym. Porusza się po tak nieregularnej mimośrodowej orbicie, że występuje na nim zjawisko ogrzewania pływowego, ale ma tak zimną atmosferę, że w zetknięciu z nią wytryskująca z wulkanu ciecz zamarza.

Rubio uniósł brwi.

– Ee... a po naszymu?

– To lodowy wulkan – wyjaśniła mu Cassia.

Rubio wytrzeszczył oczy.

– Proszę, powiedzcie mi, że będziemy trzymać się od niego z daleka.

Cassia się roześmiała.

– Tylko szaleńcy przelatują w pobliżu wulkanów.

– Tak właściwie... – odezwałam się i rzuciłam okiem na współrzędne, które ściągnęliśmy z dziennika pokładowego statku *Dakaitów*.

– Chyba żartujesz – jęknął Rubio.

– To jedno z miejsc, w których oni lądowali – wyjaśniłam pośpiesznie. – Ale zrobimy to tylko, jeśli nie znajdziemy niczego w Ny Karlskronie. Powinniśmy najpierw sprawdzić tam.

– I jeszcze dostawa towaru Cukiereczka – wtrąciła Cassia. – Chcę, żebyśmy załatwili tę sprawę i mogli potem swobodnie poszukać Nethanela.

Rubio popatrzył na mnie.

– Czyli gdzie mamy teraz lecieć?

– Pytasz o te współrzędne ze skrzynki kontaktowej? – Włączyłam ekran nawigacyjny.

– Wygląda na to, że do Ny Kyoto.

Rubio stęknął.

– Zapowiada się niezła impreza.

Nadlecieliśmy nad Ny Kyoto. Na powierzchni nic się nie poruszało, z wyjątkiem śnieżnego puchu miotanego porywami wiatru pomiędzy wrzecionowatymi wieżami oznaczającymi punkt zakotwiczenia każdego budynku pod lodem. Z góry miasto wyglądało jak las olbrzymich srebrzystoszarych błyszczących igieł. Wylądowaliśmy w subporcie Onsen, na lądowisku oznaczonym liczbą 134. Przez chwilę patrzyliśmy

przez iluminatory na śnieżną zamieć. Potem gdzieś na zewnątrz rozległ się wysoki, przenikliwy pisk i nasz statek zaczął się zapadać.

– *Caray!* – krzyknął Rubio i uchwycił się pulpitu sterowniczego.

Mendicant znieruchomiał gwałtownie metr niżej.

– Przepraszam – powiedziała Cassia. – Powinam była was ostrzec. Czasami pomiędzy platformami lądowniczymi a powierzchnią lodu tworzą się kieszenie powietrzne. Wtedy trochę trzęsie.

Pod nami coś zadudniło i platforma lądownicza zaczęła się opuszczać ze stłumionym warkotem. Wokół nas wyrosły ściany lodowej rozpadliny, aż wreszcie niebo i tumany oślepiająco białego śniegu były już tylko odległym jaskrawym kręgiem w górze. Warkot zmienił ton. Za przednim iluminatorem zaczęła się powoli podnosić ciemna woda.

Coś poruszyło się głęboko na dnie mojego umysłu. Cała ta woda spadająca z góry, zalewająca nas... Właśnie tak kończyły się zawsze moje koszmary. Wielki Wał Przeciwpowodziowy otaczający Mumbaj pękał i znowu uderzał huragan. Byłam uwięziona wewnątrz jakiegoś budynku – czasami w swoim domu, kiedy indziej w Akademii Revati albo w gmachu uniwersytetu – a za oknami podnosiła się woda, zamykając mnie w morskiej głębinie... Cofnęłam się od iluminatora, oddychając ciężko.

– Mi? – Cassia popatrzyła na mnie z niepokojem. – Co ci się stało?

Potrząsnęłam głową. Serce waliło mi tak mocno, że bałam się, że je zwymiotuję.

Mocno zacisnęłam powieki. Ja nie tonę. To nie huragan. Jestem na Enceladusie, a oni tutaj mieszkają właśnie pod powierzchnią oceanu. Ten ocean chroni ich przed zimnem, utrzymuje przy życiu. „Przeciętna temperatura wody, wynosząca w pobliżu pokrywy lodowej minus 6 stopni Celsjusza, wzrasta na większych głębokościach i w pobliżu biegunów”, wyrecytowałam w myśli.

Rubio gwizdnął cicho.

– *Vaya* – rzucił.

Otworzyłam oczy. Woda jarzyła się blaskiem. Otaczały nas budowle, jakich nigdy jeszcze nie widziałam, olbrzymie kolumny światła, szersze od największych wieżowców Mumbaju. Być może szersze od całych miejskich dzielnic. Sięgały w dół od swoich punktów zakotwiczeń w powłoce wiecznego lodu aż do mrocznych głębi kilka kilometrów poniżej. Były ich dziesiątki. Setki. Całe odwrócone miasto.

Gapiałam się z podziwem.

– Co to jest?

– *Ny Kyoto* – odrzekła Cassia.

Przemykały obok nas inne statki, mniejsze, lepiej przystosowane do poruszania się pod wodą. Gdy nasza platforma lądownicza zbliżyła się do jednego z olbrzymich budynków, dostrzegłam jego segmenty, niczym komórki pędu bambusa. Ten widok obudził we mnie zmysł naukowca.

– Z czego są wykonane te budowle? – zapytałam.

– Wrzeczona – poprawiła mnie Cassia. – Nie wiem. Z czegoś elastycznego. Muszą móc nieco się poruszać, gdy prąd wodny zmienia kierunek.

W ścianie najbliższego wrzeczona otworzyły się wrota, zalewając głębię oceanu jeszcze jaskrawszym światłem. Platforma lądownicza umieściła nas wewnątrz. Za nami rozległ się stłumiony huk i dok został opróżniony z wody. Przez chwilę panowała

kompletna cisza.

Potem zatrzeszczał głośnik naszego systemu łączności.

– Macie tam strasznie powolny *skepp* – zachrypiął męski głos. – Spóźniliście się.

Popatrzyłam na Cassię, unosząc brwi. To są nasi nabywcy? Ten mężczyzna mówił z akcentem bardzo podobnym do *Dakaitów*, takim samym gardłowym tonem jak oni. Musiałam przypomnieć samej sobie, iż to znaczy tylko tyle, że on też jest mieszkańcem Enceladusa. Wiedzieliśmy o tym. To nie powinno nas dziwić. Nie powinno uruchomić sygnałów alarmowych w mojej głowie, a jednak to zrobiło.

Cassia włączyła nadajnik.

– Przylecieliśmy, tak?

– Hm – chrząknął mężczyzna. – A ładunek?

– Wszystko przygotowane dla was – odpowiedziała.

Szybko omiotłam wzrokiem pusty dok. „Coś jest nie w porządku. Dlaczego nikogo tu nie ma?”

Cassia zerknęła na mnie z ukosa. Na jej czole między brwiami pojawiła się drobna zmarszczka.

– Może pokażcie się, żebyśmy mogli przekazać wam towar – rzekła.

Zapadła długa cisza. W końcu mężczyzna powiedział:

– Wiecie, że nie nadajecie waszego sygnału identyfikacyjnego. Byłoby uprzejmie, gdybyście uprzedzili, że się zbliżacie, zanim podeszliście do lądowania. A tak wszyscy tu pomyśleli, że coś nie gra. Zrobili się trochę nerwowi.

Cassia spojrzała na mnie i uniosła brwi.

Chaila. W całym tym zamieszaniu zapomniałam o tłumiku sygnału, który zamontowałam z Rubiem. Niewątpliwie oddziaływał też na naszą łączność dalekiego zasięgu.

– Przepraszam – wymówiłam bezgłośnie, samymi ustami.

– My... mieliśmy kilka problemów technicznych – powiedziała Cassia. – Ale już jesteśmy tutaj. Nic się nie stało.

Na drugim końcu linii ktoś zamamrotał niewyraźnie. Przez chwilę panowała cisza, a potem szcęknięcie zamka drzwi po przeciwnej stronie doku i zaczęły się odsuwać. Hangar wypełniły postacie w spłowiałych brązowych i szarych jednoczęściowych kombinezonach i gumowych butach do kolan, z przewieszonymi przez plecy karabinami.

– W takim razie – powiedział mężczyzna przez głośnik systemu łączności – witamy na Enceladusie.

Kłapa włazu naszego statku otworzyła się i ujrzeliśmy niewielką armię ludzi z bronią w rękach. No dobrze, może nie armię, ale z pewnością regiment. Albo korpus. Rubio prawdopodobnie znał właściwy termin, ale pora nie wydawała się odpowiednia na wszczęcie dysputy semantycznej. Nie mierzyli dokładnie do nas, ale też nie trzymali broni w kaburach. Powietrze przesyciła słońca i żelazista woń.

Zeszliśmy na podłogę doku. Mieliśmy na sobie kamizelki kuloodporne zabrane ze statku *Dakaitów*, ale osłaniały nas tylko od barków do bioder. Cassia rzuciła gniewne spojrzenie na pierwszą osobę, którą mineliśmy – wysokiego, chudego mężczyznę w kombinezonie i wełnianej czapce, uzbrojonego w zniszczony karabin tak ciężki, że musiał go trzymać oburącz.

„Nie zastrzelą nas”. Usiłowałam skupić uwagę na poplamionych żółtych ścianach za tym komitetem powitalnym. Pokrywały je wyblakłe napisy w kanji i chyba po szwedzku. „To nie są *Dakaici*. To ludzie interesu, partnerzy biznesowi Cukiereczka. Wystarczy kilka słów i cała ta sytuacja się wyjaśni...”

Moje rozmyślenia przerwał odgłos odkasliwania flegmy, dobiegający z głębi hangaru. Tłum się rozstał i na czoło wyszedł przysadzisty mężczyzna w płaszczu sięgającym do ziemi. Skronie i czubek krótko przystrzyżonej, szczeciniastej brody miał siwe.

– To Herr Tsukino – powiedziała Cassia tak cicho, że tylko ja mogłam ją usłyszeć.

– *Välkomna!* – Rozpoznałam ten zgrzytliwy, gardłowy głos z naszego systemu łączności. – Od dawna nie gościliśmy u siebie współników naszego przyjaciela Cukiereczka.

– Witam, Tsukino-sama. – Cassia wystąpiła naprzód z rozpostartymi rękami. – Nie pamięta mnie pan?

Herr Tsukino przyjrzał się jej.

– A powinienem?

– Moja rodzina przewoziła dla pana towary. To było przed kilkoma laty, ale...

Przerwał jej, unosząc rękę.

– *Mat*. Nie jestem tak stary ani stetryczały, żebym miał wysłuchiwać twoich zmyślonych historyjek. Obchodzi mnie tylko to, co macie w ładowni.

Cassia skrzyżowała ramiona na piersi.

– Odstawia pan ten numer wobec wszystkich dostawców, czy tylko tych od Cukiereczka?

– Robiliśmy wiele interesów z Cukiereczkiem. – Herr Tsukino wyciągnął z kieszeni jakiś gałgan i wydmuchał w niego nos. – Właśnie dlatego zostaniecie tutaj, póki się nie upewnimy, że przywieźliście to, co nam obiecano.

Uśmiechnął się i wsadził zasmarkaną szmatę z powrotem do kieszeni.

Rubio ruszył do przodu, unosząc rękę.

– Proszę posłuchać...

Mężczyzna w wełnianej czapce uniósł karabin i wycelował w jego głowę.

– *Rör dig inte* – rzucił.

– Zaczekaj! – Jakaś dziewczyna z prostymi czarnymi włosami ściągniętymi do tyłu

w koński ogon przepchnęła się przez tłum i odsunęła lufę karabinu mężczyzny. Miała na sobie ciemnografitowy kombinezon i wystrzępiony rozpinany niebieski sweter. – Co ty wyprawiasz, *toroi*?

Odwróciła się do tego starszego mężczyzny w długim płaszczu.

– Jijji, to Cassia Kaldero. Córnka Ezara. Nie poznajesz jej?

Cassia szeroko otworzyła oczy.

– Freja?

Zbiegła po rampie, nie zważając na wycelowane karabiny, i rzuciła się tamtej dziewczynie w ramiona.

Przez jeden pełen napięcia moment byłam przekonana, że zginiemy. Ale potem starszy mężczyzna roześmiał się i to z jakiegoś powodu rozproszyło ciężką atmosferę strachu.

– Kaldero – powiedział, wciąż się śmiejąc, i machnął ręką. Wszyscy opuścili broń. – *Wari wari*. Nie rozpoznałem cię w tym ubiorze komandosa, łobuzico. Sądziłem, że twój ojciec już dostał nauczkę, jeśli chodzi o wożenie towarów dla Cukiereczka.

Ale Cassia nie odpowiedziała. Ona i Freja obejmowały się mocno, nie zwracając uwagi na wszystkich innych wokół nich.

– Co cię tu sprowadziło? Myślałam, że twoja rodzina wyruszyła w kolejny roczny rejs. – Freja cofnęła się i trzymała Cassię na odległość wyciągniętych ramion. Rzuciła spojrzenie na Rubia i na mnie, nadal stojących u szczytu rampy, i skrzywiła pociągłą twarz w grymasie niepokoju. – To nie jest twój statek. Gdzie są twoi matka i ojciec? Gdzie twoi bracia? I mała Milah?

– Oni... my... – Cassia się zająknęła. Przełknęła i spróbowała jeszcze raz: – Lecieliśmy w pobliżu pasa asteroidów i... – urwała.

– *Dakaici* – włączyłam się. Jak Cukierczek ich nazwał? – Ci... Sönerowie Neitibu? Zaatakowali statek.

Cassia się opanowała.

– Straciliśmy kuter. Wszyscy przeżyli, ale oni porwali Nethanela.

Przez tłum przebiegło gwałtowne westchnienie.

– Sönerowie? – spytał Herr Tsukino. Twarz mu zzieleniała. – Jesteś pewna, mała łobuzico?

Cassia przytaknęła.

Freja popatrzyła na mnie z kwaśną miną.

– Więc kim jesteście wy dwoje? Członkami załogi Cukiereczka?

– Oni są z Instytutu Głębinyowych Sondowań. – Cassia energicznie otarła oczy i wskazała kolejno na nas ruchem głowy. – To Miyole, a to Rubio.

– Rządowi smarkacze? – Freja spojrzała na nas ze zdumieniem. – *Iiya*. Jakim cudem się z nimi spiknęłaś?

– Freja. – Starszy mężczyzna zmarszczył brwi. – Licz się ze słowami. To nasi goście.

Dziewczyna westchnęła ciężko.

– Przepraszam, Jijji.

Znowu to słowo „Jijji”. Poszperałam w pamięci, próbując przypomnieć sobie tę odrobinę języka japońskiego, której nauczyłam się w Akademii Revati. To chyba znaczy „dziadek”, chociaż oni tutaj wymawiali japońskie słowa zupełnie inaczej niż nasz

instruktor.

– *Ungdom-sa* – uciął starszy mężczyzna. – Możemy porozmawiać później, ale chwilowo musimy wyładować towar. Freja, może poczęstuj naszych gości herbatą. I czymś do jedzenia. – Popatrzył kolejno na każde z naszej trójki. – Musicie się wzmocnić, jeśli rzeczywiście zamierzacie stawić czoło Sönerom.

Freja zaprowadziła nas do szerokich schodów z ciemnego metalu, wiodących spiralą w dół do wnętrza wrzeciona. Wewnętrzzną ścianę pokrywały graffiti i przyklejone kawałki tektury, a druga strona schodów nie była niczym odgradzona i można z nich było dostrzec dno wrzeciona kilkaset pięter niżej. Przerzucone nad tą przepaścią kładki i rusztowania łączyły platformy pełne rzeźbiście oświetlonych witryn sklepowych. Powietrze było wilgotne. Unosząca się nad wszystkim lekka mgiełka sprawiała, że poręcze były śliskie, a jarzące się szyldy i oświetlone okna miały rozmyte kontury. Minęła nas gromadka starych kobiet pod parasolkami, rozmawiających w języku, który brzmiał niezupełnie jak japoński. Popatrzyłam za nimi zdezorientowana.

– O co chodzi, rządowa smarkulo? W twoich szkołach nie nauczono cię ani słowa w nihongsku? – spytała mnie Freja z pogardliwym uśmieszkiem.

– Nie – odparłam i wzdrygnęłam się, gdy kropla wody spadła mi na czoło.

Freja roześmiała się i chwyciła Cassię za ramię.

– No nie, Cass, poważnie, skąd wzięłaś tych dwoje?

– W mojej szkole nauczono mnie przynajmniej jak nie być taką cholerną *kuttiya* – mruknięłam pod nosem.

Idący obok mnie Rubio prychnął.

Minęliśmy parasol i kiosk z daniami z suszonych morskich wodorostów przylegający do zewnętrznej strony schodów, a potem drugi, kilka podestów niżej, w którym sprzedawano wszystko, od gogli po herbatę w proszku i żywe ryby w akwariach.

– Tędy – rzekła Freja, wskazując kierunek gestem ręki.

Poprowadziła nas przez wąski mostek, a potem w górę po trzech schodkach do jaskrawo oświetlonego wąskiego sklepu. Buchnął w nas zapach gorącego bulionu i oleju do smażenia, wypierając unoszącą się w powietrzu nikłą woń wilgotnego metalu i stęchlizny. Zaburczało mi w brzuchu. Postanowiłam chwilowo zapomnieć o mojej antypatii do Freji.

Wcisnęliśmy się do ciasnego boksu i zabraliśmy się do jedzenia zupy rybnej oraz pikantnie przyprawionych klusek. Pośród gwaru rozmów przy innych stolikach i nieustannego mlaskania mężczyzny w głębi sali wciągającego do ust makaron ledwie słyszeliśmy się nawzajem.

W końcu Rubio odsunął swoją miskę.

– Porozmawiamy o naszej sytuacji? – spytał.

Cassia wzruszyła ramionami i spuściła wzrok na swoją herbatę.

– A więc dobrze. Oto co ja myślę. – Rubio pochylił się do przodu, żebyśmy mogły go usłyszeć w zgiełku panującym w restauracji. – Nie możemy z nimi walczyć. Tam na stacji mieliśmy szczęście. Nie możemy zakładać, że nadal będzie nam sprzyjać.

Cassia milczała. Lampa wisząca nad naszym stolikiem uwydatniała głębokie cienie pod jej oczami. W głębi sali kucharz zaśmiał się i zawołał coś do dziewczyny za

kontuarem. Brzęczały ceramiczne kubki i łyżeczki.

Odchrząknęłam.

– A więc... co? Mamy spróbować ich przekupić? Nakłonić, żeby odsprzedali nam Nethanela?

Wypiłam łyk herbaty zamówionej przez Freję i skrzywiłam się. Miała smak gotowanego słonego błota, ale moje pytanie pozostawiło mi w ustach jeszcze gorszy posmak.

– Co mielibyśmy dać im w zamian? – spytał Rubio.

Skrzywiłam się.

– Nasz statek?

– Ale to oznacza, że utknęlibyśmy tutaj – powiedział.

Freja uniosła brew.

– Są gorsze miejsca.

Zignorowałam ją.

– No, więc utknijemy tu na trochę, ale przynajmniej Nethanel będzie wolny. Cukiereczek ma w zastaw prom IGS, więc nie będzie nas ścigał. Możemy pracować, aż zarobimy na drogę powrotną do...

– Nie – rzuciła ostro Cassia.

Odwróciliśmy się wszyscy do niej.

– Nie będziemy grać czysto – powiedziała. Nachyliła się nad stołem. – Jeżeli im zapłacimy, to tylko zachęci ich do porwania znowu kogoś innego. Musimy sprawić, że pożałują tego, co nam zrobili. To oni muszą zapłacić za swój podły czyn.

– Cass – rzekłam łagodnie. – Czego pragniesz: zemsty czy uwolnienia brata?

Popatrzyła na mnie gniewnie.

– Jednego i drugiego.

Ogarnął mnie płomień irytacji.

– A jeśli możesz osiągnąć tylko jedną z tych rzeczy?

Gwałtownie odchyliła się do tyłu; w jej oczach zalśniły łzy.

– *Shinjame*, Miyole – rzuciła.

Odezwała się Freja, siedząca na krześle bokiem i opierająca się plecami o ścianę:

– Wiecie, macie rację.

– Kto? – spytałam.

– Obydwie. – Spojrzała na Cassię. – Rzeczywiście nie można dobijać z nimi targu, bo zrobią to ponownie. Ale rządowa smarkula mówi słusznie. Jeżeli chcesz odzyskać brata, musisz postępować ostrożnie. Najpierw Nethanel, potem zemsta.

Cassia zgarbiła się i ściągnęła brwi. Nie patrzyła na nikogo z nas. Wyjęłam mandarynę i otworzyłam listę współrzędnych ze statku *Dakaitów*.

– Czy słyszałaś o tym trzecim miejscu? – zapytałam Freję i podałam jej mandarynę. – *Dakait* powiedział, że sprzedali go w Ny Karlskronie.

– Rangnvaldsson Keramik – przeczytała. – Tak słyszałam o nim.

Zajrzałam jej przez ramię.

– Co to jest?

Wzruszyła ramionami.

– Firma Rangnvaldsson zajmuje się modernizowaniem statków i sprzedają części.

Czasami z nimi handlujemy. Prawdę mówiąc... – Freja się rozpromieniła. – Dam głowę, że mój dziadek zamierza sprzedać im część tej kreatyny, którą nam przywieźliście.

Cassia w końcu podniosła na nas wzrok. Ona, Rubio i ja wymieniliśmy spojrzenia.

– Jak myślisz, pozwoliliby, żebyśmy z nim pojechali? – spytała.

Freja znów wzruszyła ramionami.

– Mogę go zapytać.

– Dziękuję ci. I podziękuj mu w naszym imieniu.

– Jeszcze się nie zgodził – odrzekła Freja, ale uśmiechnęła się do Cassii i wysliznęła się z boksu. – Wy zostańcie tutaj, dopijcie herbatę. Zobaczę, co się da zrobić.

Spoglądaliśmy za Freją. Jej koński ogon się kołysał, a gumowe buty skrzypiały na podłodze, gdy energicznym krokiem wychodziła z restauracji.

Rubio odchrząknął i spytał, wskazując na nią:

– A tak w ogóle, to skąd ją znasz?

Odwrociłam się do Cassii. Też się nad tym zastanawiałam.

– Moja rodzina handlowała tutaj. Zanim... – Cassia potrząsnęła głową, jakby chciała się pozbyć złego wspomnienia. – To dziadek Freji poznał mojego ojca z Cukiereczkiem.

– Wygląda na to, że teraz nie są z nim w szczególnie przyjaznych stosunkach – mruknął Rubio.

Cassia zignorowała tę uwagę. Kąciki jej ust uniosły się w uśmiechu.

– Pewnego razu Freja i ja zjechałyśmy windą pneumatyczną na taras obserwacyjny dna morskiego i natknęłyśmy się na jej dziadka całującego się z jakąś kobietą. Dali nam kilka przepustek do kasyn w doku Ornata, żebyśmy ich nie zdradziły.

– Czy ty... to znaczy, czy wy dwie... – urwałam.

Nie chciałam wydać się zazdrosna, ale w ostatnie słowo wkradła się cierpka nuta. Na twarzy Cassii pojawił się grymas.

– Chodzi mi o to, że wydajecie się sobie tak bliskie – mówiłam dalej pośpiesznie. – Zastanawiałam się po prostu...

– Nie – rzuciła krótko. – Jesteśmy tylko przyjaciółkami.

Zapadła ciężka, krępująca cisza.

– No, więc dobrze. – Rubio klepnął się w kolana i wstał. – Nie wiem jak wy, ale ja od trzech tygodni kiepsko sypiam. Wróć na statek i trochę się przekimam.

Wyszedł w ślad za Freją, zostawiając Cassię i mnie same.

Przez kilka chwil siedziałyśmy w milczeniu, nie patrząc na siebie.

– Ja też już pójdę – wymamrotałam ze spuszczoną głową. – Powinnam wykorzystać okazję i uaktualnić bazę danych Mendicanta.

– Doskonale – rzekła Cassia; wciąż nie spojrzała na mnie.

Westchnęłam.

– Cass, ja...

– Przestań.

– Przepraszam – powiedziałam. – Głupio się zachowałam, pytając o to.

Popatrzyła w moją stronę.

– Owszem.

– *Chaila*, Cass. Próbuję cię przeprosić.

Parsknęła krótkim śmiechem.

– Naprawdę twoim największym zmartwieniem jest teraz to czy Freja i ja...

– Nie!

Łzy napłynęły jej do oczu.

– Freja jest w porządku – rzekła cicho. – Wam, rządowym smarkaczom, wszystko w życiu przychodzi tak łatwo, że po prostu tego nie rozumiecie.

– Czego nie rozumiemy? – spytała zirytowana. – Cass, zrezygnowałam ze wszystkiego, żeby przylecieć tutaj z tobą.

Gdy to mówiłam, ogarnął mnie jeszcze większy gniew. To prawda. Koniec z Instytutem Głębinowych Sondowań. Koniec z badaniami naukowymi. Czekają mnie puste, jałowe życie, a osoba dla której porzuciłam to wszystko, wrzeszczy na mnie w dziwnym barze z kluskami na złodowaciałym księżycu.

– Och, jesteś taka szlachetna, prawda? – Cassia potrząsnęła głową. W jej zaczerwienionych od łez oczach widniała gorycz. – Ty, ty, ty. Zawsze myślisz tylko o sobie.

Odchyliłam się do tyłu, urażona.

– Co takiego?

Cassia pokręciła głową.

– Nie powinnam była w ogóle cię w to wciągać. Nie powinnam była nigdy cię pocałować.

Krew napłynęła mi do twarzy.

– To nie miało żadnego związku z tym, że chciałam ci pomóc.

– Jasne – rzuciła ironicznie.

Wzniosła wzrok do sufitu, a po jej policzkach popłynęły cienkie strumyczki łez.

Pochyliłam się do przodu, żeby odpowiedzieć, ale powstrzymało mnie szuranie butów.

Freja stanęła kilka kroków od stolika i wodziła spojrzeniem pomiędzy mną i Cassią.

– Zjawiłam się nie w porę?

– Nie – odparła Cassia.

Pociągnęła nosem i zacisnęła zęby.

– Na pewno? – spytała Freja, przeszywając mnie gniewnym spojrzeniem.

Popatrzyłam na nią szeroko otwartymi oczami. „Ona oskarża mnie?”. To nie ja rozpoczęłam tę kłótnię.

– Oczywiście – odrzekła Cassia. Uniosła głowę i uśmiechnęła się do Freji. – Co powiedział Herr Tsukino?

Freja przestała mierzyć mnie śmiercionośnym wzrokiem i spojrzała na Cassię.

– Zgodził się. Możecie popłynąć z nami do Ny Karlskrony, pod warunkiem że nie przeszkodzicie w zawarciu transakcji. Zobaczymy, czy uda się nam odnaleźć twojego brata.

Wody wokół Ny Kyoto były ciemne i mętne od osadów, ale rozjaśnione światłami wrzecion. Przyglądałam się przez tylny iluminator zanurzalnego statku Herr Tsukina, jak ocean zamyka się nad miastem niczym liczne warstwy chust. Oddaliliśmy się i blask przygasł. Odwróciłam wzrok. W ciemności masy wody wydawały się cięższe, bardziej przytłaczające.

Zamknęłam oczy i oparłam się plecami o gródź. „Ciśnienie oddziałujące na obiekt zanurzony w cieczy jest równe iloczynowi gęstości tej cieczy, przyspieszenia grawitacyjnego i wysokości słupa cieczy nad...”

Rubio szturchnął mnie łokciem.

– Co tak mamrociesz?

Otworzyłam oczy.

– Nic.

Zaczerwieniłam się. Czyżbym mówiła to na głos?

Rzucił mi spojrzenie mówiące, że z pewnością dostaję świra, ale zanim zdołał cokolwiek powiedzieć, za iluminatorem przemknął jakiś olbrzymi cień.

– Co to było? – krzyknęłam.

Freja spojrzała.

– Prawdopodobnie ryba-brona. Nie bój się, one nie atakują niczego świecącego.

Zerknęłam nerwowo na iluminator.

– Jesteś pewna?

Jeden z kompanów Freji zarżał, a pozostali wymienili uśmiechy.

– Chyba wiem o moim księżycu więcej niż ty, rządowa smarkulo – rzekła Freja z uśmiezkiem wyższości.

Zanim mogłam zareagować, do kabiny zajrzał jej dziadek.

– W porządku, *besättning*, płyniemy. – Powiódł wzrokiem po nas dwanaściorgu w przedziale pasażerskim – Freji, Cassii, Rubiu, mnie i ośmiu swoich ludziach, którzy dołączyli do nas w doku – a potem wytarł nos w szmatkę i wepchnął ją do tylnej kieszeni. – Za kilka godzin znajdziemy się u wrót wrzeciona Rangnvaldsson. Zależy mi na szybkiej, sprawnej transakcji. Żadnego bratania się z ich załogą, ale też żadnych awantur. Migiem pomożemy im w rozładunku i wrócimy z pełnymi kieszeniami.

Jego ludzie poruszyli się w fotelach i mruknęli potakująco.

– Wy troje. – Herr Tsukino spojrzał na Cassię, Rubia i mnie. – Chcę zamienić z wami słowo tam z przodu – powiedział, wskazując głową kokpit.

Poszliśmy za nim do pogrążonej w półmroku przedniej części zanurzalnego statku. Sufit był tam tak niski, że Rubio musiał się pochylić.

Herr Tsukino z cichym stęknieniem opadł na fotel pilota. Lampki pulpitu sterowniczego rzucały blask na jego twarz, nadając jej bladą odcień. Za iluminatorem widać było tylko gęstą ciemność; od czasu do czasu w świetle padającym z wnętrza statku pojawiały się jakieś odpadki.

Stary człowiek odchrząknął i zwrócił się do Cassii:

– Pozwalam ci towarzyszyć nam ze względu na dobre stosunki handlowe, jakie łączyły mnie przez lata z rodziną Kaldero. – Przeniósł spojrzenie na mnie i Rubia. – Ale

wy dwoje mnie nie znacie, więc powinienem was ostrzec. Jeżeli zrujnujecie moją transakcję, wysadzę was na lód – powiedział i wskazał palcem w górę, w kierunku powierzchni.

Rubio i ja wymieniliśmy spojrzenia. Temperatura na powierzchni Enceladusa wynosiła kilkaset stopni poniżej zera. Znalezienie się na lodowej skorupie, nawet w skafandrze, oznaczało śmierć w ciągu kilku godzin. Mimo woli parsknęłam cichym nerwowym śmiechem.

– Ja nie żartuję, dziewczyno. – Herr Tsukino zmarszczył brwi. – Nie gdy chodzi o mój zarobek. Rozumiesz?

– Tak. – Skinęłam głową. – Przepraszam. Oczywiście, rozumiem.

Herr Tsukino wskazał głową drzwi.

– A więc idźcie. Wypocznijcie. Dotrzemy do Rangnvaldsson dopiero za sześć godzin.

Szurając nogami, wyszliśmy z kokpitu i ruszyliśmy z powrotem do kabiny pasażerskiej.

– Cassia! – zawołał za nią Herr Tsukino.

Wróciła za nim do słabo oświetlonego kokpitu. Zatrzymałam się w wąskim korytarzu i nasłuchiwałam.

– Co do twojego brata... przykro mi – powiedział łagodnym tonem. – To nie powinno się przydarzyć nikomu, zwłaszcza po tym, jak jego żona...

– Dziękuję – przerwała mu ostro Cassia. – Jestem wdzięczna za wszystko, co pan dla nas zrobił.

– Czy pomyślałaś... – Herr Tsukino umilkł na chwilę. – Wiem, że nie chcesz tego słuchać, ale Enceladus to duży księżyc i nawet jeśli firma Rangnvaldsson rzeczywiście kupiła twojego brata, może go tam już nie być. Może byłoby lepiej, gdyby ktoś bliski zaopiekował się tą jego małą córeczką. Być może on właśnie tego by chciał.

– On chciałby znowu ją ujrzeć.

– Nawet za cenę życia swojej siostry? – spytał cicho stary człowiek.

Zapadła cisza. Czułam mrowienie w karku i swędziały mnie dłonie.

– Jeszcze raz dziękuję, Herr Tsukino – powiedziała w końcu Cassia niemal łamiącym się głosem.

Gdy wyszła z kokpitu, odwróciłam się do niej.

– Cass...

Ale przepchnęła się obok mnie i odeszła szybko, ignorując to, że zaczekałam na nią.

Powietrze w doku firmy Rangnvaldsson przenikała woń świeżo ściętych kwiatów i palczatki cytrynowej. Wszystko lśniło oślepiającą śnieżną bielą. Nawet operatorzy ciężkich maszyn byli ubrani na biało. Zniszczone brązowe kombinezony i zabłocone buty ludzi Tsukina wyglądały w tym nieskazitelnie czystym otoczeniu jak brudne plamy.

Do dziadka Freji podeszła z szeroko rozłożonymi rękami kobieta o jasnych włosach, w świeżo wyprasowanym błękitnym kimonie z wzorem w borówki. Tuż za nią podążała grupka strażników w pastelowych mundurach.

– Witaj, Tsukino-san. Dawno się nie widzieliśmy. Zbyt dawno.

– Witaj, Fru Rangnvaldsson. – Herr Tsukino lekko skłonił głowę. – Jak to powiadają?

„Rozłaka czyni serce czulszym”.

– A kieszenie lżejszymi. – Fru Rangnvaldsson podała mu rękę. – Tsukino-san, zachowujesz się zawsze tak oficjalnie. Proszę, mów mi Nanami.

A więc to ta kobieta mogła być teraz właścicielką Nethanela. Rzuciłam spojrzenie na Cassię. Wyglądała, jakby chciała powalić Fru Rangnvaldsson na ziemię i powybijać jej wszystkie idealnie wybielone zęby.

Herr Tsukino burknął coś, co mogło oznaczać wyrażenie zgody, i zdawkowo ucałował grzbiet jej dłoni.

– Z pustką w kieszeniach potrafimy sobie poradzić. Mamy wyładować kreatynę tutaj czy chcecie, żebyśmy przetransportowali ją do waszego magazynu?

Fru Rangnvaldsson uśmiechnęła się, lecz ten uśmiech nie objął jej oczu.

– Ależ proszę, daj spokój. Twoja załoga z pewnością jest głodna. Przygotowaliśmy dla was kolację. *Dozo*, chodźcie zjeść. Ładunkiem możemy zająć się później.

– *Domo tack gozaimasu* – odpowiedział Herr Tsukino. – Jak moglibyśmy odrzucić taką szczerą propozycję?

– Oczywiście będziesz chciał zostawić tu na straży paru swoich ludzi – rzekła Fru Rangnvaldsson i wskazała głową w kierunku statku zanurzalnego. – Przyniesiemy im smaczne co nieco.

– Bardzo to uprzejme z waszej strony. – Herr Tsukino skłonił się sztywno i spojrzał na dwóch mężczyzn ze swojej załogi. – Shun, Alvar, trzymacie wartę. Reszta idzie ze mną.

– Tędy – powiedziała Fru Rangnvaldsson i skinęła na nas, przy czym wydeły się rękawy jej kimona.

Ruszyliśmy za nią w głąb korytarza. Trzymałam się tuż za Freją i Herr Tsukino, a Cassia, Rubio i pozostali szli za nami. Ściany lśniły jak macica perłowa, a z wysokiego sufitu zwisały świecące jaskrawo lampy.

– Nie potrafię wyrazić, jak bardzo się cieszę, że wznawiamy handel z tobą, Tsukino-san – rzuciła Fru Rangnvaldsson przez ramię, nie zatrzymując się. – Od dawna nie miałeś tak interesującego towaru.

Stary mężczyzna lekko poczerwieniał.

– Hm – mruknął.

Freja przyśpieszyła kroku i zrównała się ze swoim dziadkiem.

– Shun i Alvar? – syknęła pod nosem. – Nie powinieneś nas rozdzielać, Jijji.

Herr Tsukino nieznacznie zwolnił, zostając trochę bardziej z tyłu za Fru Rangnvaldsson, i rzekł cicho:

– Spokojnie, Freja-chan. Jeżeli sprawy pójdą źle, wrócisz na statek, rozumiesz?

– Tak, Jijji – szepnęła, a potem obejrzała się na mnie i zmarszczyła brwi.

Utkwiłam wzrok w podłodze i starałam się uprzejmie udawać, że nie słucham.

– Zabierzesz też ze sobą tę łobuzicę i jej przyjaciół – rzekł Herr Tsukino. – Nikt nie powie, że pozwoliłem, by Rangnvaldsson czy ktokolwiek inny skrzywdził moich gości.

Freja sztywno kiwnęła głową.

Korytarz doprowadził nas do olbrzymiej sali jadalnej ze sklepieniem sufitem wznoszącym się około dwudziestu metrów nad nami. Stał w niej długi stół przykryty śnieżnobiałym płóciennym obrusem, a przy nim rząd szklanych krzeseł. Paliło się tu

jeszcze więcej wiszących lamp, a na ścianach znajdowały się szeregi świetlnych paneli, tak że sala była rzęsiście oświetlona.

– Wybacz tę oficjalną pompę. – Rangnvaldsson położyła dłoń na piersi i zaczęła, aż jeden ze strażników wysunie dla niej krzesło u szczytu stołu. – Byliśmy tak podekscytowani tym, że znowu nawiązałeś z nami kontakt, Tsukino-san. Być może przesadziliśmy z ceremonialnością?

Herr Tsukino odchrząknął flegmę z gardła.

– Ależ skądże. Wszyscy lubimy smaczne ryby, nieprawdaż? – powiedział i rzucił nam ostrzegawcze spojrzenie.

– Oczywiście – rzekła Freja odrobinę za głośno, a reszta skinęła głowami.

Zajęliśmy swoje miejsca. Młoda kobieta w jasnoniebieskim kimonie *yukata* obeszła stół, nalewając nam do szklanek jakiś płyn o kwaśnym zapachu i barwie chudego mleka. Owalne płyty pośrodku stołu rozsunały się i w ich miejsce pojawiły się srebrne półmiski pełne rzepy polanej masłem i olbrzymich białych krążków kalmarów. Z półmisek unosił się ostry zapach octu.

– Proszę, częstujcie się – rzekła do nas z uśmiechem Fru Rangnvaldsson.

Zsunęłam na talerz plasterek krążka kalmara. Siedzący po mojej prawej stronie Rubio ugryzł kęs swojego i zakrztusił się. Cassia i Freja spiorunowały go wzrokiem.

– On musi być nowy w waszej załodze – zauważyła z uśmiechem Fru Rangnvaldsson.
– Przybysze z innych planet często mówią mi, że trojeść ma smak, do którego trzeba przywyknąć.

– Tak – potwierdził Herr Tsukino. Czoło zrosił mu pot, chociaż powietrze w jadalni było chłodne. – Szkolę kilku nowych praktykantów.

– Zasmakujesz w tej potrawie, młody człowieku. – Fru Rangnvaldsson ostentacyjnie skinęła głową w kierunku Rubia. – Twój organizm potrzebuje białka.

Nachyliłam się blisko do Cassii i przyjrzałam się temu czemuś na talerzu, co mylnie wzięłam za kalmara.

– Co to jest trojeść?

– To bulwa rosnąca na dnie morza – odpowiedziała szeptem. – Zbiera się je w okresie letnich prądów i konserwuje na resztę roku.

– Bulwa?

– Nie bądź taką snobką. – Cassia ugryzła kawałek swojej trojeści i skrzywiła się. – Świeża jest o wiele lepsza.

– Fru Rangnvaldsson, co słyhać u twojej córki? – zagadnął Herr Tsukino. – Nadal spotyka się z tym handlarzem luksusowych towarów z Ny Kyoto?

Kobieta uśmiechnęła się ze wzrokiem utkwionym w swojej szklance z napojem.

– Są zaręczeni.

– Moje gratulacje – rzekł Herr Tsukino.

Zapadła niezręczna cisza, w której słyhać było tylko brzęk widelców. Freja szturchnęła dziadka. Wymieniłam spojrzenie z Cassią i przygryzłam usta. Czy on robi to, co uzgodniliśmy?

Herr Tsukino popatrzył gniewnie na wnuczkę, ale potem odwrócił się do naszej gospodyni i powiedział:

– Tak się zastanawiam, Fru Rangnvaldsson... brakuje nam siły roboczej. – Rzucił

znaczące spojrzenie na służącą stojącą za nią w czujnej postawie. – Pomyśleliśmy, że być może znasz kogoś, kto mógłby nam pomóc pozyskać kilku dodatkowych ludzi.

Fru Rangnvaldsson ostrożnie odłożyła widelec, splótła palce i popatrzyła na starego mężczyznę.

– Chodzi ci o zaangażowanie kolejnych praktykantów?

Herr Tsukino spochmurniał. Przeniósł wzrok na Cassię.

– Myślałam o czymś bardziej... stałym.

Brzęk sztućców nagle ucichł.

Fru Rangnvaldsson uniosła brew.

– Zaskakujesz mnie, Tsukino-san. – Pogroziła mu palcem. – Sądziłam, że jesteś przeciwny takim procederom. Jeśli dobrze pamiętam, nazwałeś je *barbaric*, czyż nie?

Herr Tsukino odchrząknął z zakłopotaniem i rzucił na wnuczkę spojrzenie, jakie czasami posyłała mi Soraya. Oznaczało: „Robię to, bo bardzo cię kocham, ale też mam trochę ochotę cię zamordować”.

– Uznaliśmy to za... przykrą konieczność – powiedział.

– No tak, mogę to zrozumieć. – Fru Rangnvaldsson powoli pokiwała głową, jakby po raz pierwszy zastanawiała się nad sytuacją ekonomiczną na Enceladusie. – Poświęcasz czas i pieniądze na wyszkolenie praktykantów, a potem pracują u ciebie przez... ile? Trzy lata? Pięć? To spory problem dla takich drobnych handlarzy jak wy.

– Właśnie... w tym rzecz – wydusił Herr Tsukino.

Jego twarz przybrała niebezpiecznie czerwono-fioletowy kolor. Zmiał w pięści serwetkę.

Fru Rangnvaldsson podniosła widelec i bawiła się nim, przyglądając się staremu człowiekowi. Wbiłam wzrok w talerz i podobnie jak reszta załogi Tsukina starałam się udawać, że nie interesuję się tą rozmową. Wszyscy przesadnie starannie przeżuwali jedzenie, z wyjątkiem Cassii, która wpatrywała się we Fru Rangnvaldsson, niemal drżąc. Odszukałam pod stołem jej rękę. Była zimna i spocona, jakby Cassia miała gorączkę. „Proszę, daj nam choćby jakąś drobną wskazówkę”, błagałam w myślach Fru Rangnvaldsson.

– Przykro mi, Tsukino-san, ale nie mogę ci pomóc. Wynajmujemy tylko praktykantów. – Kobieta nabiła na widelec następny krążek trojeści. – Drobni handlarze mogą działać poza zakresem zainteresowania władz Ziemi, ale my musimy dotrzymywać traktatów. Służba Międzynarodowego Patrolu Orbitalnego, Grupa Obremskiego, IGS...

Gwałtownie poderwałam głowę...

– IGS?

Rubio kopnął mnie pod stołem, a Freja i jej dziadek rzucili mi gniewne spojrzenia. Fru Rangnvaldsson popatrzyła na mnie, jakbym postradała zmysły.

– Sama widzisz, z kim muszę pracować – powiedział do niej Herr Tsukino, wskazując mnie ręką. – Ci praktykanci!

– Naprawdę żałuję, że nie mogę pomóc – rzekła Fru Rangnvaldsson. – Ale nie zajmujemy się handlem żywym towarem.

Cassia wyrwała dłoń z mojej i wściekle wytarła ją serwetką. *Vaat*. Nawet jeśli nasza gospodyni wiedziała, gdzie jest Nethanel, nigdy się do tego nie przyzna.

– W istocie – ciągnęła Fru Rangnvaldsson – przed niespełna trzema tygodniami odprawiłam z kwitkiem grupę dżentelmenów oferujących na sprzedaż właśnie to, o czym mówisz.

Siedząca obok mnie Cassia zeszywniała.

– Naprawdę? – Herr Tsukino pochylił się do przodu i zaatakował widelcem rzepę na swoim talerzu. – Wiesz może, dokąd udali się ci dżentelmeni?

– Gdzieś na południe. – Fru Rangnvaldsson wykonała nieokreślony gest ręką. – Chyba do Ny Skaderny. Ale to zbyt daleko, żeby podróż była warta twojego czasu.

„Ny Skaderna”. To miasto było na liście *Dakaitów*. Zmusiłam się, żeby nie spojrzeć na Cassię czy Rubia, żeby niczym się nie zdradzić. „Ny Skaderna. Ny Skaderna. Zapamiętaj”.

Herr Tsukino rzucił spojrzenie na Cassię i burknął:

– *Hai*. To zbyt daleko.

Fru Rangnvaldsson podniosła swoją szklankę z mlecznobiałym napojem.

– Ale jeśli brakuje wam pieniędzy, mam propozycję, która mogłaby cię zainteresować – powiedziała, po czym upiła łyżeczek i uśmiechnęła się do dziadka Freji.

Herr Tsukino wymienił spojrzenie z wnuczką.

– Jaką? – zapytał.

– No cóż... – Fru Rangnvaldsson odsunęła talerz. – Mamy drobny problem z rybami-bronami, rozumiesz?

– Z rybami-bronami? – powtórzył stary mężczyzna, unosząc brwi.

– Zwłaszcza z jedną. Jest wielka. I bystra. Nie odstrasza ją jej nasze światła.

– I chcesz, żebyśmy... – Herr Tsukino zawiesił głos.

– Obawiam się, że nie mamy innego wyboru i trzeba ją zabić. – Fru Rangnvaldsson spojrzała mu w oczy. – Jesteśmy gotowi zaproponować wam umowę. Tysiąc sto z góry plus dwadzieścia pięć procent udziału w zyskach ze sprzedaży tuszy.

– To nielegalne, prawda? – Herr Tsukino zmarszczył brwi. – Polowanie na ryby-brony.

– Oczywiście mam specjalne zezwolenie – rzekła Fru Rangnvaldsson z cierpkim uśmiechem. – Jak powiedziałam, zawsze działamy uczciwie.

Stary człowiek splótł dłonie i spojrzał na swoją załogę siedzącą przy stole.

– Półtora tysiąca i pięćdziesiąt procent udziału – powiedział.

Fru Rangnvaldsson się uśmiechnęła.

– Oboje wiemy, że to powyżej ceny rynkowej. Co powiesz na tysiąc dwieście i trzydzieści pięć procent? W akcji weźmie udział więcej moich ludzi niż twoich.

Herr Tsukino przez chwilę poruszał szczęką, jakby miażdżył coś w zębach.

– Umowa stoi – rzekł i wyciągnął rękę, a Fru Rangnvaldsson nią potrząsnęła.

Zbyt późno uświadomiłam sobie, że oficjalnie należę do załogi Herr Tsukina. Co oznaczało, że wezmę udział w polowaniu na rybę-bronę.

– Nie sędę, bym potrafiła to zrobić – powiedziałam i popatrzyłam na uzbrojoną deskę, którą miałam popłynąć.

– To nie znaczy, że znajdziesz się tam na zewnątrz bez osłony – rzekła Freja. Wcisnęła przełączniki swojej deski. Wysunęła się przezroczysta aerodynamiczna kopułka, zamykając ją wewnątrz. Dziewczyna znowu przesunęła dłonią po przełącznikach i kopułka się schowała. – Widzisz?

– Nie w tym rzecz. Ja...

– Co, boisz się? – Freja popatrzyła na mnie na poły z niedowierzaniem, a na poły ze złośliwą satysfakcją.

– Daj spokój, przestań – rzekł Rubio. – Miyole jest naukowcem, a nie myśliwym polującym na grubego zwierza. Nie przywykła do czegoś takiego.

Zacisnęłam zęby.

– Wielkie dzięki, Rubio – wycedziłam.

Zamrugnął zdziwiony.

– O co ci chodzi?

– Jeśli nie chcesz pomóc, możesz zostać tutaj – mruknęła Cassia.

Freja uniosła głowę.

– Nie, nie może.

– Nie – potwierdziłam, trzymając się deski. – Nie mogę.

Zasunęłam nad sobą kopułkę i starałam się oddychać głęboko. Nie ulegnę hiperwentylacji. Nie zwymiotuję. Nie rozplacę się.

Opuściliśmy wrzeciono Rangnvaldsson i popłynęliśmy przez doki wypełnione ciepłą wodą. Dłonie cały czas mi się pociły. Wewnętrzne lampy oświetlały szkielety statków rosnące w naturalnej odżywczej kąpieli oceanicznej. Najnowsze były tylko cienkimi jak pajęczka sieć rusztowaniami, na starszych zaczynały się już pojawiać lśniące powłoki dojrzałej masy perłowej. Zostaną sprzedane jako wymienne modułowe przeszczepy. Niektóre z nich prawdopodobnie przeznaczone już nawet dla Instytutu Głębinowych Sondowań.

– Pięćset metrów na zachód, na głębokości dwudziestu sążni – głos Herr Tsukino zatrzeszczał w naszym otwartym kanale łączności. – Silny sygnał bioelektryczny.

Zerknęłam do tyłu. Ludzie Rangnvaldsson znajdowali się na lewej flance, a prawą zajmowali Cassia, Rubio, ja i reszta załogi Tsukino. Wszyscy płynęliśmy na deskach. Dziadek Freji podążał za nami w zanurzalnym statku.

– Utwórzmy sztyk sieci – polecił. – Podpłyniemy cicho, otoczmy tę brzoję ze wszystkich stron i powoli zacieśnimy pierścień. Nikt nie strzela, dopóki ona nas nie dostrzeże.

Przepłynęliśmy nad skupiskiem rurkoczułkowców zalegających dno oceanu. W snopach światła naszych desek ich ciała zabłysły bielą; z czubka każdego sterczała krwawoczerwona wypustka przypominająca obrzmiały język. Wzdrygnęłam się i skupiłam spojrzenie na wodzie przed nami. Łatwiej było mi wyobrazić sobie, że to znajoma ciemność przestrzeni kosmicznej, a nie skute lodem morze.

– Wypływam na czoło – oznajmił Herr Tsukino. – Bądźcie gotowi na mój sygnał

zgasić światła i przejść na obserwację w podczerwieni.

Dno morskie obniżyło się gwałtownie, a ciśnienie powietrza wewnątrz mojej kopułki wzrosło; miałam wrażenie, jakby całe moje ciało ścisnął napompowany mankiet ciśnieniomierza. Na skraju zasięgu naszych reflektorów pojawiły się poszarpane formacje skalne; z ich szczytów tryskały do wody nad nami ciemne opary.

– Co to takiego? – dobiegł mnie szept Rubia. – Dym?

– Czarna woda – odpowiedziała Freja. – Jest pełna minerałów.

– To właśnie dzięki niej wszystko tu na dole może żyć pomimo braku słonecznego światła, prawda? – odezwałam się. – Przy wylotach geotermalnych woda robi się wrząca i ogrzewa morze.

Wiedziałam, że paplam, ale byłam zbyt zdenerwowana, by przestać.

– Szóstka z plusem, rządowa smarkulo – rzuciła Freja, ale usłyszałam w jej głosie nutę zaskoczenia.

– Za dużo gadacie – wtrącił się Herr Tsukino. – Przejdźcie wszyscy na podczerwień.

Pstryknęłam przełączniki tak, jak wcześniej zademonstrowała nam Freja. Świat natychmiast stał się czarnoniebieski, a w miejscach, gdzie przedtem tryskała czarna woda, strzelały w górę rozpalone do białości strumienie. Moi towarzysze na deskach byli teraz szaroczerwoni; mknęli bezgłośnie przez wodę niczym drapieżne kałamarnice Humboldta. A potem za kolejnym pękiem tryskających strumieni zobaczyliśmy tę bronę – grube wijące się cielsko leżące na dnie rozległej otchłani, oświetlone zimnym widmowym błękitem.

– *Chaila* – wyszeptałam.

Brona mogłaby z łatwością połączyć nasz zanurzalny statek, nie mówiąc już o nas czterdzieścioru zbliżających się do niej w wodzie. Leżała pomiędzy szeregami mniejszych tryskających strumieni, grzejąc się w ich ciepłe. Być może spała, ale w podczerwieni nie sposób było dostrzec, czy ma zamknięte oczy. „O ile w ogóle ma oczy”. Wytarłam spocone dłonie o rękawy.

– Rozproszyc się wachlarzem – rzekł cicho Herr Tsukino.

Poprowadziłam moją deskę w górę, na stanowisko. Utworzyliśmy wokół brony rodzaj kopulastej sieci. Bez względu na to, w którą stronę stwor popłynie, któreś z nas znajdzie się na jego drodze i będzie mogło do niego strzelić. Bestia uniosła łeb, być może wyczuwając nieznaczne wibracje w wodzie, i otworzyła paszczę, jakby smakowała morski prąd. Wyłączyłam napęd mojej deski. Może nie znajdowałam się dokładnie na pozycji, której wymagał Herr Tsukino, ale wystarczająco blisko.

– Teraz – rozkazał.

Nasz nieregularny stryczek złożony z czerwonych gwiazd zaczął się zaciskać wokół brony. Pięćdziesiąt metrów. Czterdzieści. Trzydzieści.

Brona znowu uniosła łeb.

Dwadzieścia pięć. Dwadzieścia. Piętnaście.

Bestia skrzyła się w lewo, potem w górę ku nurkom nad sobą. Rozwarła paszczę. Moją klatką piersiową wstrząsnęła potężna fala dźwięku, który raczej poczułam, niż usłyszałam. Odruchowo pchnęłam dźwignię gazu deski.

Brona jednym płynnym ruchem uniosła się z dna oceanu i rzuciła się na jednego z nurków. Kanał łączności buchnął zgiełkiem:

– ...dziesięć stopni...

– Uważaj, Sila...

– Stój!

– Ognia!

Na lewo ode mnie eksplodował jaskrawy błysk i z boku brony trysnęła jakaś żółto-ciepła ciecz. Bestia ryknęła – poczułam w ciele fale tego ryku – i cofnęła się gwałtownie. Kolejny błysk. Kolejny wytrysk gorącej cieczy rozpraszającej się w lodowatej wodzie.

„Krew – uświadomiłam sobie. – To krew”.

Na prawo ode mnie Freja śmignęła do przodu, a za nią Cassia i Rubio.

– Rządowa smarkulo – rozbrzmiał mi w uszach głos Freji. – Dołącz do nas. Zostawiasz dziurę w sieci.

Szarpnęłam dźwignię. Poda mną wiła się brona tryskająca strumieniami krwi. Zwinęła się w lewo, niewiarygodnie szybko jak na tak olbrzymie stworzenie, i rąbnęła o niską skalną grań.

– Uważaj!

– Na dziesiątej!

– W górę!

Szybko, zbyt szybko, jedna z desek zniknęła pod cielskiem brony. W kanale łączności rozległ się przeraźliwy wrzask.

– Cass! – krzyknęłam.

„Proszę, niech to nie będzie ona. Proszę, nie pozwól, żeby to była ona”. Skierowałam moją deskę w dół. To nie mogła być ona. Nie mogła tak zginąć, nie teraz, gdy byliśmy już tak blisko odnalezienia jej brata. Nie sposób było się zorientować, która czerwona plama jest kim, a kanał łączności wypełniał chaos krzyków i wrzasków; wszystkim wstrząsały infradźwiękowe wycia brony.

– Miyole! – głos Rubia dotarł do mnie przez zgiełk. – Ona...

Ale znów zagłuszyły go krzyki i szum zakłóceń.

Sięgnęłam do dźwigni gazu, ale dłoń ześlizgnęła mi się na przełączniki. Wizja w podczerwieni zniknęła i zapłonęły reflektory mojej deski. Ich promień wydobył z mroku przerażającą scenę pode mną. Przy morskim dnie wił się olbrzymi węgorzowaty stwór z pustymi białymi oczami, wzbijając chmury mułu i ciągnąc za sobą smugi krwi. Wzdrygnął się na widok światła, a potem skreślił się gwałtownie i z rykiem rzucił się w moim kierunku.

Skreśliłam deską i pchnęłam dźwignię gazu. Brona mknęła zaledwie kilka metrów za mną. „Zgaś światła, zgaś światła”. Ale jak? Zaczęłam hiperwentylować. Strach oczyścił mi umysł. Brona runęła w dół na mnie, olbrzymia i długa jak pociąg magnetyczny.

– Górny prawy ekran, rządowa smarkulo – usłyszałam stanowczy głos Freji. – Żółty okrąg na obrzeżu. Widzisz?

Na obrzeżu. Zobaczyłam go i nacisnęłam. Światła zgasły i powróciła wizja w podczerwieni. Toń przede mną była teraz płaską, ciemnogrnatową masą usianą tryskającymi białymi strumieniami gorącej wody. Ochronna kopułka deski zawibrowała, gdy brona znowu ryknęła, tym razem jeszcze bliżej. Zerknęłam za siebie. Miała szeroko otwartą paszczę, w głębi której dostrzegłam drugą parę szczęk.

Przeszyło mnie rozpalone ostrze strachu. Maksymalnie zwiększyłam prędkość deski, zastanawiając się gorączkowo. Czy ryki brony mogły być jakąś formą echolokacji? Fale dźwiękowe odbijające się od obiektów umożliwiały bestii zorientowanie się z grubsza w otoczeniu. Częstotliwość i intensywność tych odbitych fal odróżniała mnie od tryskających wrzących strumieni i od wody wokoło. Spojrzałam w dół. Jeśli miałam rację, mogłabym spłaszczyć te powracające do brony fale dźwiękowe, osiadając nisko przy morskim dnie.

Ruszyłam ostro w dół. Brona kłapnęła na mnie paszczą, czubek jej pyska trącił moją deskę. Pomknęłam nisko nad nagim dnem, ale brona wciąż podążała za mną. Zeszłam jeszcze niżej i przepłynęłam tuż nad skałami i dnem, wzbijając kłęby mułu. Ich opór mnie spowolnił, ale brona została z tyłu. Mogłam ją zgubić. Jeżeli utrzymam ten kurs, uda mi się ją zgubić.

– Miyole, co robisz? – zabrzmiał w kanale łączności głos Cassii.

– Cass! – wykrzyknęłam.

A więc nic jej się nie stało! Żyje!

– Sprowadź bronę z powrotem – warknęła. – Odciągasz ją od nas.

– Jest zbyt szybka – odpowiedziałam wysokim, piskliwym głosem. – Zabije mnie.

– Zawróć – rzuciła Cassia. – Nie możemy ci pomóc, gdy się od nas oddalasz.

Ścisnęłam ster dłońmi wilgotnymi od potu. Przyśpieszyłam i opuściłam bezpieczną, maskującą chmurę mułu.

Brona pomknęła za mną. Cassia i pozostali unosili się w wodzie kilkaset metrów ode mnie – odległe ciemnoczerwone kropki.

– Szybciej, Miyole!

To był Rubio.

– Nie uda mi się! – krzyknęłam.

– Zbliżamy się do ciebie – odezwała się Freja. – Tylko płyn dalej.

Brona znowu trąciła paszczą moją deskę. Skręciłam ostro w prawo i zanurkowałam nisko, wzbijając kolejną chmurę piasku. „Różnica czasowa w odbiorze dźwięku przez każde z uszu wskazuje lokalizację...”

Tuż przede mną pojawił się olbrzymi skalny komin, z którego wrzący prąd czarnej wody tryskał do lodowatego oceanu. Chwileczkę... tryskający prąd wodny. Tak.

Wzbiłam się z dna i zapaliłam światła deski.

– Co ty wyprawiasz? – krzyknęła Freja. – Rozwścieczasz ją.

Odciełam kanał łączności. Wiedziałam, że mój pomysł jest nadzwyczaj ryzykowny, i musiałam się maksymalnie skoncentrować, żeby go zrealizować i nie zginąć.

Brona zawyła i skręciła za mną. Poszybowałam w dół, z dziobem deski skierowanym w otwór komina. Zjadłam w życiu mnóstwo węgorzy. Miałam teraz nadzieję, że ten olbrzymi ugotuje się jak wszystkie inne. Kątem oka dostrzegłam, że stwór zmniejsza dystans, ale byłam już przy podstawie komina i nadszedł właściwy moment. Pchnęłam ster, ustawiając deskę niemal pionowo przy boku komina. Nad nami kłębiła się czarna woda, wystarczająco gorąca, by przypalić ciało i ugotować mnie żywcem, gdybym zanadto się zbliżyła. Brona rzuciła się za mną.

W ostatniej chwili szarpnęłam ster w lewo i ominęłam wylot komina. Brona wpadła prosto we wrzący strumień. Jej wrzask przeniknął moje kości i wypełnił mi uszy

niczym woda. Zatrzęsła się kopała deski wokół mnie. Moje światła zamigotały, główny silnik zgasł i deska runęła spiralą, dziobem w dół, ku nierównemu morskemu dnu. Przygotowałam się na nieuchronne zderzenie. Po chwili deska rąbnęła o podłoże, odbiła się, obróciła i wylądowała dnem do góry, oparta krzywo o jakieś skalne zbocze; jej światła błyskały szaleńczo.

Świat przed moimi oczami zawirował kalejdoskopem lampek alarmowych i przelotnymi obrazami bestii wijącej się w migotliwym promieniu światła. Ciemność. Kły brony. Jej wybałuszone, wielkie, ślepe oczy. A potem zarysy desek nade mną obniżających się ku bronie. Roily się wokół tej potwornej bestii. Rzuciła się pod nimi, tryskając krwią, aż wreszcie zadygotała i znieruchomiła.

Usłyszałam swój ciężki oddech. Wyciągnęłam rękę i znowu uruchomiłam kanał łączności.

– Halo? – rzuciłam.

– To ona – usłyszałam pełen ulgi głos Rubia. – Dała radę.

– Powiedz jej, że miała więcej szczęścia niż rozumu – rzekła Freja.

Krew napłynęła mi do twarzy – może dlatego, że wisiałam głową w dół, a może z innego powodu.

– Ja... ee... straciłam napęd – wydusiłam. – Co mam zrobić?

– Zostań tam – poleciła Freja. – Płyniemy po ciebie.

Jeden z członków załogi Rangnvaldsson przymocował moją deskę do boku swojej, a Freja zrobiła to samo z deską kobiety zranionej podczas pierwszego ataku brony. Pozostali wbili grube haki w cielsko stwora i przymocowali liny do rufy zanurzalnego statku Herr Tsukino. Powlekliśmy za sobą martwą bestię z powrotem do głównej siedziby firmy Rangnvaldsson.

W doku powitały nas owacje, a sanitariusze zajęli się ranną.

– Świetna robota – powiedziała Fru Rangnvaldsson do Herr Tsukina, ściskając mu dłoń. – Gratuluję polowania bez ofiar.

– Nie obyło się całkiem bez ofiar – mruknął i popatrzył na ranną kobietę wynoszoną pośpiesznie na noszach.

Fru Rangnvaldsson lekceważąco machnęła ręką.

– To koszt wliczony w rachunek prowadzenia interesu.

Pochwyciłam spojrzenie Freji. Czy Fru Rangnvaldsson mówiłaby tak, gdyby była z nami pod wodą i słyszała krzyki tamtej kobiety?

– Zapraszamy was, żebyście ogrzali się w kąpielach solnych – mówiła dalej Fru Rangnvaldsson. – Nie chcielibyśmy, żeby nasi goście się przeziębili.

Kąpiele przygotowano w salkach rozmieszczonych na wzór plastra miodu. W każdej znajdował się owalny basen, a ich ściany wykuto w bladuróżowej soli krystalicznej. Zanurzyłam się po szyję w parującej kąpeli, zamknęłam oczy i usiłowałam pozbyć się obrazu brony ścigającej mnie w lodowatej ciemności. Ciepła słona woda odprężyła mnie i rozluźniła skurcze mięśni. Zanurzyłam głowę pod powierzchnię i rozmasowałam skórę czaszki. Było to milion razy przyjemniejsze od najlepszego gorącego prysznica, jaki kiedykolwiek brałam w Mumbaju, i milion do kwadratu przyjemniejsze od zimnych kąpeli, jakimi musieliśmy zadowalać się na Mendicancie. Miałam wrażenie, że siedzę w moim własnym skrawku płytkiego, ogrzanego słońcem oceanu.

W końcu wyszłam z tej kąpeli, wytarłam włosy ręcznikiem i otuliłam się jednym z puszystych niebieskich szlafroków wiszących po wewnętrznej stronie drzwi pomieszczenia. Cicho przeszłam zaparowanymi korytarzami; wreszcie, po raz pierwszy od ponad miesiąca, czułam, że jest mi ciepło. Gdybym jeszcze mogła teraz zjeść misę smacznych klusek udon, a potem spać przez tydzień...

Z tych marzeń wyrwał mnie cichy śmiech dobiegający skądś przede mną.

Zabrzmiął dziewczęcy głos:

– Tutaj?

Wyszłam z za żałomu korytarza.

– Cass? – rzuciłam.

W mgiełce pary dostrzegłam dwie postacie w płaszczach kąpielowych. Jedna miała lśniące czarne włosy związane w koński ogon, a wilgotne loki drugiej spływały jej na ramiona. Czas zwolnił bieg. Freja i Cassia. Na dźwięk mojego głosu oderwały się od siebie, ale za późno. Zdążyłam zobaczyć, jak Cassia całowała Freję w usta, a Freja wplatała dłoń w jej włosy.

Cassii zrzęda mina.

– Mi...

Poczułam w piersi lodowaty chłód. Miałam wrażenie, jakbym była tamtą broną, której przebito serce. Nie czekałam, co Cassia ma mi do powiedzenia. Uciekłam.

Wyjęłam moje świeżo wyprane ubranie ze schowka w pobliżu wejścia do strefy solnych kąpielni i pośpiesznie włożyłam je w przebieralni. Gdy schyliłam się, żeby zawiązać buty, wzrok zamglily mi łzy. Nie będę myśleć o tym, co przed chwilą zobaczyłam!

Stałam, oddychając z trudem, jakby pierś przygniatał mi nieznośny ciężar. Czułam się zraniona. Bolało mnie nie tylko serce, lecz całe ciało. Kopnęłam w ścianę z różowej krystalicznej soli. „Vaat”. Ten ruch sprawił, że ciężar wydawał się znośniejszy, więc kopnęłam ponownie, a potem jeszcze raz i jeszcze. Do diabła z Cassią i tamtą *kuttiya*. Otarłam łzy z oczu. Powinnam była się domyślić.

– Panienko? – dobiegł mnie łagodny głos kobiety, która zapukała do drzwi. – Dobrze się panienka czuje?

Znieruchomiałam, uświadomiwszy sobie nagle, że przy każdym kopnięciu wydawałam ciche zwierzęce jęki.

– Nic mi nie jest – odparłam, ale głos mi drżał.

Na chwilę zapadła cisza, a potem usłyszałam:

– Proszę mi wybaczyć, panienko, ale wejdę.

Szybko wygładziłam koszulę; zdałam sobie sprawę, że mam wilgotne, zmierzwione włosy i zapuchnięte oczy.

Młoda kobieta w jasnoniebieskiej *yukacie*, jakie nosiły służące Fru Rangnvaldsson wśliznęła się do środka i zamknęła za sobą drzwi. Już ją wcześniej widziałam. To ona stała w jadalni za krzesłem Fru Rangnvaldsson podczas naszego posiłku. Teraz przyjrzała się moim zaczerwienionym oczom i potarganym włosom.

– Słyszałam, co działo się z tamtą broną – rzekła cicho. – Każdy byłby tym wstrząśnięty, panienko.

– To nie to... – urwałam i odwróciłam wzrok.

– Jeśli chcesz, panienko, mogę przynieść chłodzący okład na oczy.

– Nie, nie trzeba. I nie musisz nazywać mnie panienką – powiedziałam, gdyż zanadto przypominało mi to używany przez Rubia zwrot „memsahib”.

Kobieta przez chwilę milczała.

– Czy mogę cię o coś zapytać, panienko?

Westchnęłam i usiadłam ciężko na wyściełanej ławeczce przebieralni.

– Jasne.

– Przybyłaś z Herr Tsukino, tak?

Skinęłam głową.

– Zgadza się.

Zerknęła przez ramię i zniżyła głos niemal do szeptu.

– On pytał o niewolników.

To słowo uderzyło mnie jak cios. „Niewolnicy”. Nikt dotąd nie ujął tego tak wprost. Poczułam ucisk w żołądku i przełknęłam z wysiłkiem. Podczas gdy ja użalam się nad sobą, inne istoty ludzkie wokół mnie są zniewolone.

– Posłuchaj... – powiedziałam – w rzeczywistości nie chodziło nam o...

– Wiem – przerwała mi łagodnie.

Podniosłam na nią wzrok.

– Wiesz?

Usiadła na ławeczce obok mnie.

– Przed kilkoma miesiącami przywieziono mnie tutaj statkiem transportującym niewolników. Ale najpierw próbowano mnie sprzedać w Ny Kyoto. Herr Tsukino był jednym z niewielu, którzy nie chcieli w ogóle wysłuchać oferty tych, którzy mnie więzili. – Mówiła teraz cichym szeptem. Uśmiechnęła się do siebie. – Nawet splunął na ich dowódcę. Lubię myśleć, że zrobił to dla mnie.

– Ale... sądziłam, że Rangnvaldsson zatrudnia wyłącznie służących na stażu – powiedziałam.

Przyjrzałam się kobiecie. Nie mogła być dużo starsza ode mnie.

Wzruszyła ramionami.

– Tak jest napisane w moich papierach. Że Rangnvaldsson pokryła koszt przetransportowania mnie tutaj, a ja rekompensuję ten wydatek siedmioletnią służbą u niej. Ale po upływie tego okresu ona po prostu znowu sfalszuje dokumenty. Niektórzy służący i robotnicy pracują tu już od dwudziestu, trzydziestu lat.

Pochyliłam się, oparłam łokcie na kolanach i objęłam dłońmi głowę. Fragmenty opowieści tej kobiety układały się w całość. Rangnvaldsson trzyma niewolników. IGS dokonuje u niej zakupów. Być może nawet Ranganathan wyrósł w tych wypełnionych ciepłą wodą dokach, które minęliśmy w drodze na polowanie na brzoź. Wszystkie te ładne ogrody Ranganathana, kambuzy, kabiny mieszkalne, moje osobliwe małe laboratorium, w którym gapiłam się na gwiazdy – zbudowano w oparciu właśnie o to, z czym przed setkami lat przodkowie mojej matki walczyli i oddali życie, by położyć temu kres. To coś powinno stanowić zamknięty mroczny rozdział w historii Ziemi, a nie zostać przeniesione wraz z nami do gwiazd. Poczułam mdłości.

Usiadłam wyprostowana.

– Co mogę zrobić?

– Nic – odrzekła młoda kobieta. – Nie dla mnie. W każdym razie nie teraz.

Ogarnęła mnie rozpacz.

– A więc co?

– Był pewien chłopiec. Młody mężczyzna – powiedziała. – Miał na twarzy takie same kropki jak ta dziewczyna. Jak się je nazywa?

Wskazała nasadę nosa, gdzie piegi Cassii są najgęściejsze.

– Piegi – odrzekłam, czując zawrót głowy.

Przytaknęła.

– Tak, właśnie.

– Czy był głuchy? Nie słyszał?

Zmarszczyła brwi.

– Możliwe. – Szeroko otworzyła oczy, jakby nagle rozwiązała jakieś równanie. – Tak. Nigdy się nie odzywał. Mówili, że jest upośledzony umysłowo, ale zawsze uważnie przyglądał się wszystkiemu. Miał bystre spojrzenie.

Wstałam.

– To jej brat. Czy on... jest tutaj?

Przecząco pokręciła głową.

– Nie. Zabrali go na południe razem z pozostałymi, których Fru Rangnvaldsson nie chciała kupić. Mogę ci podać nazwę tego miejsca.

Dye mon, gen mon, jak mawiała moja matka. Za każdą górą jest następna góra.

– Tak, poproszę – powiedziałam.

Dziewczyna wręczyła mi skrawek papieru.

Hurtownia kreatyny, port szelfu Zaius. Jeden z następnych przystanków tych *Dakaitów*. Podniosłam wzrok znad kartki i ściągnęłam brwi.

– Fru Rangnvaldsson powiedziała, że oni polecili stąd do Ny Skaderny.

Dziewczyna pokręciła głową.

– Nie, odwiedzili Ny Skadernę, zanim zjawili się tutaj. Później udali się właśnie tam – rzekła, wskazując na kartkę. – O Wrzecionie Kazań słyszy się różne złe rzeczy. Miałam szczęście, że sprzedano mnie tutaj.

Pomimo ciepłego, wilgotnego powietrza przebiegł mnie zimny dreszcz.

– Dziękuję ci – powiedziałam. Wsadziłam kartkę za koszulę. – Czy na pewno... chodzi mi o to, czy rzeczywiście nie możemy w żaden sposób ci pomóc?

Dziewczyna zawahała się z niepewną miną.

– Znasz ludzi w IGS, prawda?

– Skąd się...

Wydeła wargi.

– Widziałam wyraz twojej twarzy, kiedy Fru Rangnvaldsson wymieniła tę nazwę.

– No, znam. To znaczy znałam.

– Słyszałam, że oni zabraniają takich rzeczy. Tego co robi Rangnvaldsson i ci handlarze niewolników.

– Owszem, zabraniają. – Przypomniałam sobie komandor Dhar siedzącą u szczytu stołu w jadalni oficerskiej i to, jak nie chciała nawet kiwnąć palcem, by uratować Nethanela. – Ale nie wiem, czy zrobiliby cokolwiek w tej sprawie.

– Ale mogliby – rzekła z uporem dziewczyna. – Są w tym rejonie jedynymi przedstawicielami cywilizowanego świata. Jak mogliby zignorować coś takiego? Gdybyś ich powiadomiła...

Spuściłam wzrok na swoje dłonie. Nawet gdyby IGS chciał cokolwiek zrobić, ja przecież od nich uciekłam.

– Przykro mi – powiedziałam z dojmującym poczuciem winy. – Nie mogę się już z nimi kontaktować.

Dziewczyna milczała. Wyglądała na zawiedzioną i przybitą.

– Więc wróćcie po nas – rzekła wreszcie. – Kiedy już odnajdziecie tego chłopca

i uwolnicie go, wróćcie i nas też uratujcie.

– My... – Przełknęłam z wysiłkiem. Nie chciałam składać obietnicy, której nie zdołam dotrzymać. – Możemy nawet zginąć.

– Ale jeśli nie zginiecie – nalegała. – Obiecuj.

– Dobrze – rzekłam. – Obiecuję ci... – zawiesiłam głos.

– Mam na imię Petya.

– Obiecuję ci, Petyo – powiedziałam.

Przez całą drogę powrotną do Ny Kyoto załoga Herr Tsukina śpiewała szanty. Dostali od Fru Rangnvaldsson zapłatę za kreatynę i zaliczkę za zysk ze sprzedaży tuszy upolowanej brony. Skuliłam się na rufie statku zanurzalnego i udawałam, że śpię, żeby nie zaproponowano mi przyłączenia się do śpiewów.

Gdy zeszliśmy na ląd, Cassia chwyciła mnie za ramię.

– Miyole, ja... – Odwróciła wzrok, a potem znów popatrzyła na mnie. – Możemy porozmawiać?

Rzuciłam znużone spojrzenie na Freję stojącą u szczytu rampy załadowniczej statku.

– Nie teraz, dobrze?

– Chcę po prostu...

– Nie teraz – powtórzyłam.

Do oczu napłynęły mi palące łzy. Zamrugałam, próbując je powstrzymać. Tego jeszcze brakowało, żeby Cassia zobaczyła, jak wybucham płaczem.

Freja zeszła szybko po rampie do nas.

– To nie jej wina – warknęła do mnie.

– *Chup kar, soover chod!* – rzuciłam wściekle.

Nieważne, że nie mogła zrozumieć słów. Wystarczył ton głosu.

– Chodź, Cass – rzekła Freja.

Objęła ramieniem plecy Cassii i odciągnęła ją, piorunując mnie wzrokiem.

Gdy patrzyłam, jak oddalają się pośpiesznie, do dręczącej mnie okropnej samotności dołączyło jeszcze silniejsze poczucie winy. Wszystko co Cassia robiła od momentu, gdy wyciągnęliśmy ją z wraku statku jej rodziny, wynikało z żalu i rozpacz. Może w tym przypadku było tak samo. Ale w takim razie dlaczego się śmiała, gdy całowała Freję?

Rubio klepnął mnie w ramię.

– O co wam poszło? Miłosne utarczki?

Rzuciłam mu gniewne spojrzenie.

– Chwileczkę – rzekł i podniósł ręce w geście poddania się. – Co się stało? Dlaczego masz taką kwaśną minę? Niemal w pojedynkę zabiłaś tamtą bronę. I nikt z nas nie zginął. Powinnaś świętować.

Przygarbiłam się.

– Cassia i Freja...

Rubio uniósł brew.

– Nigdy nie podejrzewałem, że jesteś typem zazdrosnej przyjaciółki.

– Natknęłam się na nie, gdy się całowały.

– Och. – Wydawał się głęboko zakłopotany. – A więc, czy to znaczy... chodzi mi o to, czy zerwałyście ze sobą?

– Chyba tak – odrzekłam ze smutkiem.

– Naprawdę bardzo mi przykro, Miyole. – Objął mnie ramieniem i potrząsnął mną niezgrabnie, co chyba miało być uściskiem. – Uczucia są najgorsze.

– Tak – zgodziłam się. – Najgorsze.

– Zaproponowałbym ci, że pobiję Freję za ciebie, ale obawiam się, że mogłaby dźgnąć mnie nożem.

Parsknęłam krótkim śmiechem.

– Niewątpliwie mogłaby.

Posłał mi spojrzenie, które wyrażało współczucie albo żal. Być może jedno i drugie.

– No cóż – rzekł – jeśli chcesz pójść ze mną i wybić jeszcze kilka dziur w pancerzu Mendicanta...

Odwrociłam wzrok. Byłam zanadto przygnębiona, by kontynuować rozmowę w tym żartobliwym tonie.

– Dzięki.

– A więc dobrze – rzekł Rubio i wsadził ręce w kieszenie.

Przez chwilę staliśmy w krępującym milczeniu.

– Jeśli jest coś, co mógłbym dla ciebie zrobić, wystarczy, że mi powiesz – oświadczył.

– Zazwyczaj upijam moich kumpli, gdy dostają doła, ale nie sądzę... Czy to sposób tylko dla facetów?

– Prawdopodobnie nie. – Ja też nie miałam pojęcia, jak powinnam się zachować. Czy istnieje jakiś zestaw reguł postępowania w przypadku zerwania w trakcie nielegalnej misji ratunkowej? Zamknęłam oczy. – Chyba chcę po prostu побыć trochę sama.

– No tak, jasne – rzekł Rubio.

Klepnął mnie w ramię i zaczął odchodzić.

I wtedy sobie przypomniałam: „Petya. Hurtownia kreatyny”. Otworzyłam oczy.

– Rubio, zaczekaj!

Zatrzymał się i odwrócił. Wcisnęłam mu w dłoń tamtą kartkę.

– Możesz coś zrobić. Wróć do Mendicanta i postaraj się wyznaczyć kurs do tego miejsca.

Siedziałam samotnie z kubkiem herbaty w kuchni Herr Tsukina, gdy znalazła mnie tam Cassia. Zaczynałam już przyzwyczajać się do picia herbaty bez mleka, przyprawy korzennej i cukru. Przynajmniej mnie rozgrzewała.

– Cześć – rzuciła Cassia i wskazała na ławkę naprzeciw mnie. – Mogę usiąść?

Kiwnęłam głową.

Przysiadła na ławce, ale nie odezwała się. Wypiłam łyk herbaty.

– Mi – rzekła wreszcie cicho.

Podniosłam na nią wzrok. Nadal miałam ochotę kopać w ściany, ale jej twarz... to jak przygryzała kącik ust...

– Nie powinnam była nigdy tego zrobić – powiedziała.

Odrobinę złagodniałam.

– Nie zamierzam udawać, że nie jestem na ciebie wściekła...

– Nie, mam na myśli to, że nie powinnam była w ogóle zaczynać czegokolwiek z tobą. Ani z Freją. Z nikim. – Popatrzyła na mnie. – Jestem w rozsypce, Mi. Potrzebowałam czegoś, co oderwie mnie od nieustannego myślenia o Nethanelu. O tym, co oni mu robią.

– I posłużyłaś się mną – rzekłam bezbarwnym tonem.

Przypomniałam sobie jej słowa: „Lepiej, kiedy tu jesteś. To mnie rozprasza”.

– To było coś więcej. – Sięgnęła ku mnie nad stołem. – Potrzebowałam cię.

Cofnęłam ręce i mocno objęłam dłońmi kubek.

– Ale już nie potrzebujesz?

Odwróciła wzrok.

– Nie mogę nadal tak manipulować ludźmi. To nie w porządku.

– Nie manipulowałam mną. – Z irytacją potrząsnęłam głową. – Chciałam sprawić, żeby Milah odzyskała ojca, jeszcze zanim...

„...zakochałam się w tobie”, nie dokończyłam.

Cassia spuściła głowę i wbiła wzrok w stół.

– Powinnaś stąd odlecieć. Powinnaś odszukać swój okręt badawczy. Powiedzieć im, że cię porwałam, szantażowałam czy coś w tym rodzaju. Rubio też.

Zastanowiłam się nad tym. Wrócić do mojego wygodnego życia na pokładzie Ranganathana, gdzie najgorszym, co mogło mnie spotkać, było to, że nie dostanę własnego laboratorium. Sporządzać notatki na temat mutacji owadów zapylających, realizować opracowany starannie program ćwiczeń fizycznych i odżywiania się. Wieść życie według trajektorii, którą wytyczyłam jeszcze jako mała dziewczynka z warkoczykami. Jak mogłabym postąpić tak teraz, kiedy wiedziałam, że tutaj w Głębokiej Próżni ludzie są sprzedawani i kupowani niczym towar? Kiedy ujrzałam związane z tym okrucieństwo. Kiedy zrozumiałam, że IGS współpracuje z tym systemem. Jak mogłabym odwrócić się plecami do Nethanela, Petyi i wszystkich im podobnych?

Pokręciłam głową.

– Nie odejdę.

Cassia popatrzyła na mnie jak na kompletną wariatkę.

– Ja nie żartuję, Cass – powiedziałam.

Przypomniałam sobie, jak moja manman spoglądała w górę na mnie podczas tamtego sztormu. Jak zastrzeliła mężczyznę, który ją zranił, mężczyznę mającego moje oczy. Wiedziałam, jak postąpiłaby na moim miejscu. Wstałam.

– Chodź – rzuciłam.

Cassia uniosła głowę i spojrzała na mnie ze zdziwieniem.

– Dokąd?

– Polecimy do Wrzeciona Kazań – odrzekłam. – Odszukać twojego brata.

Mendicant wzniósł się z powrotem nad powierzchnię Enceladusa. Rubio sterował, ja siedziałam w fotelu drugiego pilota, a Cassia była w saloniku. Tibbeta zostawiliśmy u Freji i jej dziadka. Tam dokąd się udawaliśmy, tylko by nam zawadzał.

Nieskazitelnie gładką powierzchnię księżycy zakłócały jedynie skupiska wież wrzecion, wskazujące lokalizację każdego osiedla pod lodem. Na południe od Ny Kyoto ruch powietrzny zdecydowanie zmaleł, a potem jeszcze bardziej się zmniejszał, w miarę jak zbliżaliśmy się do bieguna południowego, aż wreszcie lecieliśmy już samotnie.

– Wiesz, nie musisz lecieć z nami – zwróciłam się do Rubia. – Nie pisałeś się na to.

– Wiem – odrzekł.

Poprawił się w fotelu pilota i z marsową miną wyjrzał przez przedni iluminator.

– Mógłbyś jeszcze wrócić. Zostać u Herr Tsukina i skontaktować się z Ranganathanem.

Uniósł brew.

– Ja i Tibbet?

Przewróciłam oczami.

– Wiesz, o czym mówię.

Rubio przez chwilę milczał. Sprawdził odczyt wysokościomierza i wskaźnika poziomu paliwa.

– Wiesz, że mam w Apex siostrzyczkę? – rzekł wreszcie.

– Nie – odparłam. – Nie wiedziałam.

– Mam – potwierdził. – A właściwie dwie, ale młodsza ma piętnaście lat. Chce zostać biochemiczką.

– Tak? – rzuciłam.

Spróbowałam sobie wyobrazić siostrę Rubia, jego młodszą wersję, może trochę bardziej nieśmiałą, trochę mniej pewną siebie. Przysłą biochemiczkę. Uśmiechnęłam się.

– Jest moją młodszą siostrzyczką, rozumiesz? – rzekł Rubio. Oderwał wzrok od iluminatora i spojrzał na mnie. – Zrobiłbym wszystko, żeby ją ochronić.

– Tak. – Chyba wiedziałam, co miał na myśli. – Zabawne, że Cass czuje to samo wobec Nethanela, chociaż on jest od niej starszy i...

– Nie – przerwał mi Rubio. – Nie mówię o Nethanelu.

Popatrzyłam na niego, marszcząc brwi. W takim razie o kim?

– Ty też masz siostrę, prawda? – rzekł. – I mamę? Czy może przybraną matkę?

– Avę i Sorayę – powiedziałam.

Spojrzałam na moje dłonie, na blizny.

– Więc czy nie sądzisz, że one chcą cię chronić tak samo, jak Cassia chce chronić Nethanela? – spytał Rubio.

Wydawał się niemal rozgniewany, kurczowo trzymał dźwignie gazu i zaciskał zęby. Nigdy dotąd nie widziałam go takiego.

– Rubio...

– Nie sądzisz, że pragną, abyś wróciła, tak jak Cassia i Milah pragną powrotu Nethanela? – Twarz mu poczerwieniała. – Nie sądzisz, że równie mocno im na tobie zależy?

– Ja... – urwałam. W gruncie rzeczy nigdy nie zastanawiałam się nad tym. – Przypuszczam, że tak. Ale ja nie mam dziecka. W przeciwieństwie do Nethanela nie mam nikogo, komu byłabym tak potrzebna.

– Jesteś tego pewna? – zapytał Rubio.

Wzruszyłam ramionami. Ava i Soraya kochają mnie, ale nie są zdane tylko na mnie. Jedynymi istotami, których los kiedykolwiek zależał ode mnie, były motyle w laboratorium, ale równie dobrze może zajmować się nimi ktoś inny. Nie ma we mnie niczego wyjątkowego, nie jestem niezastąpiona. Zatem czy moje życie nie będzie miało większej wartości, jeśli poświęcę je ratowaniu innych ludzi?

Lecieliśmy dalej w milczeniu. Na horyzoncie pojawił się kriowulkan. Jego szczyt ginął w śnieżnym wirze, a z wierzchołka tryskał lód. Rubio utrzymywał niski pułap lotu, poniżej strefy lodu rozprzestrzeniającego się w górnych warstwach atmosfery, jednak mimo to prądy powietrzne gwałtownie wstrząsały naszym statkiem. Cassia zwlekła się z koi w saloniku i przypięła się pasami w jednym z foteli pasażerskich z tyłu

kokpitu. Wylądowaliśmy w pobliżu samotnej wieży wyznaczającej lokalizację Wrzeciona Kazań, niemal oślepieni tumanami padającego śniegu.

Rubio popatrzył przez iluminator na śnieżną burzę.

– No cóż, przynajmniej będziemy mieli interesującą śmierć.

Pomyślałam, że jest bardziej prawdopodobne, iż zostaniemy zabici pod powierzchnią, niż że zamrozniemy na zewnątrz, ale nie powiedziałam tego na głos. Plan polegał na tym, że udamy wędrownych robotników, którzy szukają jakiejś dorywczej pracy, żeby zarobić na naprawę swojego statku. Zresztą Mendicant rzeczywiście wyglądał na wymagającego generalnego remontu. A jeśli to, co usłyszeliśmy, było prawdą i dopisze nam szczęście, odnajdziemy tam w dole Nethanela.

Odwrociłam się od iluminatora.

– Podoba się wam mój plan?

– Oczywiście, że nie – odrzekł Rubio. – Ale nie mam żadnego lepszego.

– Mogłeś zostać z Tibbetem w Ny Kyoto – mruknęła Cassia.

– Nie – odparł i objął ją ramieniem. – To ja tu jestem specem od ochrony, prawda? Nie mogłem pozwolić, żebyście poleciały same i zostały zabite.

Pochyliłam się nad pulpitem sterowniczym i wyjrzałam przez iluminator. Znajdowaliśmy się pośrodku platformy do lądowania, ale nie poruszyła się, odkąd na niej usiedliśmy.

– Czy nie powinni byli już nas zauważyć? Dlaczego nie sprowadzają nas na dół?

Wymieniliśmy zaniepokojone spojrzenia.

– To niewielka stacja – powiedziała Cassia. Przygryzła usta. – Może przyjmują tylko te statki, których się spodziewają.

– Szkoda, że nie działa nasz nadajnik dalekiego zasięgu. – Rubio z irytacją kopnął w ścianę kokpitu. – Moglibyśmy wysłać sygnał identyfikacyjny.

Cassia skrzywiła się gniewnie.

– To nie moja wina. Nie ja zamontowałam w nim tłumik, i nie ja potem usunęłam antenę kierunkową.

Rubio westchnął.

– Nie obwiniam cię. Mówię tylko, że ten twój Cukiereczek wcisnął nam najgorszy statek, jaki można sobie wyobrazić.

– Mój Cukiereczek...

Z panelu konsoli dobiegła seria nikłych dźwięków.

– Hej, przestańcie – powiedziałam i wskazałam na ekran telemetrii. – Posłuchajcie.

Cassia i Rubio umilkli. Znowu zabrzmiał cichy dźwięk, a na ekranie pojawiło się pulsujące światło.

Zmrużyłam oczy i popatrzyłam przez iluminator na zewnątrz. Zobaczyłam tylko oślepiająco białe tumany śniegu i ledwie widoczną za nimi podstawę wieży.

Ponownie na ekranie zamigotał świetlny punkcik i rozległa się seria pisków, tym razem szybszych, bliższych.

Pochyliłam się nad pulpitem sterowniczym i znów wyjrzałam przez iluminator.

– Co to takiego? – spytała stojąca za mną Cassia.

– Nie wiem – odrzekł Rubio. – Jest żywe, ale niczego poza tym nie potrafię powiedzieć.

Mignięcie światełka... pisk dźwięku... Jeszcze bliżej.

Z bieli zamieci wyłonił się niewielki ciemny kształt zmierzający w naszym kierunku. Wzięłam głębszy wdech.

– Spójrz – powiedziałam, trąc Rubia w ramię.

Kształt się zbliżył. Pośród tumanów śniegu rozpoznałam ludzką sylwetkę.

– Ktoś z wrzeciona? – zapytał Rubio.

– Z pewnością – zgodziłam się. – Ale dlaczego tylko jeden?

– Powinniśmy włożyć kombinezony, wyjść i spotkać się z nim.

– Nie możemy – rzekła Cassia.

– Dlaczego?

– Ponieważ na zewnątrz jest minus 261 stopni – powiedziała. – Potrzebne są pełne skafandry, a nasze mają mnóstwo dziur wygryzionych przez szczury.

– Kronekroza – mruknęłam, przyglądając się drobnej postaci pośród śnieżnej burzy.

Cassia i Rubio odwrócili się równocześnie i popatrzyli na mnie ze zdziwieniem.

Odchrząknęłam.

– Odmrożenie – wyjaśniłam. – Natychmiastowe odmrożenie.

Chociaż w moich wspomnieniach z pierwszych siedmiu lat życia nadal były luki, całkiem dobrze pamiętałam błahe szczegóły.

– Może moglibyśmy jednak użyć tych skafandrów próżniowych – zaproponował Rubio. – Chodzi mi o to, że nie muszą wytrzymać ciśnienia, a tylko ochronić nas przed zimnem, więc dziury nie mają znaczenia.

Przecząco potrząsnęłam głową.

– Skończyłoby się tym, że wyglądałibyśmy jak ten ser... ten z dziurami...

– Szwajcarski? – podsunął Rubio.

– Proszę, czy możecie przestać gadać o serze? – powiedziała Cassia, podnosząc głos, i wskazała iluminator.

Postać zatrzymała się kilkadziesiąt metrów od naszego statku. Uniosła rękę i machnęła nią zamasyście.

– Czekają na nas – rzekła Cassia.

Przeszył mnie zimny dreszcz. Czekają na nas ci *Dakaici*. Są tam wszyscy, pod nami.

– Ktoś musi wyjść – powiedziała Cassia, spoglądając znacząco na mnie.

– Co?

– Ktoś musi się z nimi spotkać.

Przechyliła głowę na bok i popatrzyła na mnie szeroko otwartymi oczami.

– *Vaat* – zakląłam, ponieważ mieliśmy tylko jeden sprawny skafander próżniowy. Mój.

Na zewnątrz, na powierzchni, była tylko cisza i mroczna niebieskość. Wiatr hulał, wzbijając na równinie wirujące kłęby śniegu. Szłam sztywno, gdyż miałam na sobie ciężki skafander ciśnieniowy, na nim kamizelkę kuloodporną, na którą zarzuciłam jeszcze długi płaszcz podszyty sztucznym futrem. Te płaszcze dali nam ludzie Herr Tsukina. Wytarłam pył z wizjera hełmu i brnęłam w kierunku postaci czekającej na mnie pośród śnieżnej zamieci.

Przedstawiciel komitetu powitalnego nosił długi płaszcz z kapturem, podobny do mojego, lustrzane gogle i coś w rodzaju maski tlenowej zasłaniającej mu dolną połowę twarzy. Ten mężczyzna – czy może kobieta? – puknął w bok swojego hełmu, sygnalizując mi, żebym włączyła mój komunikator krótkiego zasięgu.

Uruchomiłam go i uniosłam w górę kciuk.

Usłyszałam w słuchawkach męski głos:

– Odbiornik systemu łączności waszego statku nie działa.

Głos brzmiał chrypliwie, jakby wydobywał się z gardła przeziębionej ropuchy, ale nie byłam pewna, czy to nie z winy nadajnika.

– Wiem. Odkryliśmy... to znaczy, on się przepalił.

Mężczyzna przekrzywił głowę na bok.

– Zgubiliście się?

– To Wrzeczono Kazań, prawda? – powiedziałam ostrożnie. – Szukamy hurtowni kreatyny.

Kiwnął głową.

– Jest tu taka. Czego chcecie?

– Moi przyjaciele i ja... – machnęłam ręką za siebie w stronę Mendicanta – szukamy pracy. Nasz statek wymaga remontu.

– *Sasuga* – prychnął mężczyzna i popatrzył przez tumany śniegu na miejsce naszego lądowania. – Ilu was jest?

– Troje – odpowiedziałam. – Tylko troje.

– Będziemy musieli poczekać na to, co powie nasz dział rekrutacji pracowników. – Wskazał głową na statek i dorzucił: – Powiedz im, żeby wyszli.

– Nie mogą – odparłam. W moim komunikatorze zawyło sprzężenie i podniosłam głos, żeby je przekrzyczeć: – Nie mamy wystarczającej liczby skafandrow ciśnieniowych. Jak powiedziałam, musimy dokonać kilku napraw...

– Więc będą musieli zjechać pod powierzchnię w statku – rzekł.

– To żaden problem – powiedziałam. – Proszę mi tylko pozwolić...

– Dział transportu – przerwał mi. – Sprowadźcie ich na dół.

Spod pokrywy lodowej dobiegło buczenie, początkowo niemal niesłyszalne, ale narastające, aż wreszcie zawibrowało mi w klatce piersiowej. Pośród zawiei rozległ się trzask. Idealny okrąg lodu wokół Mendicanta obniżył się o pół metra, a statek wraz z nim.

– Co wy robicie?! – krzyknęłam. Jeśli to ci ludzie wzięli Nethanela, za nic nie powinniśmy dać się rozdzielić. – Czy nie powinnam zjechać razem z nimi?

– Nie ma potrzeby – odparł wysłannik znudzonym tonem. – Możesz zjechać w dół

wrzeciona ze mną. To o wiele wygodniejsze.

– Ale...

Obejrzałam się za siebie na Mendicanta opuszczającego się powoli na lodowej platformie. *Vaat*.

– Spotkasz się ze swoimi towarzyszami pod powierzchnią. – Mężczyzna przeszedł mozolnie w zawiei kilka kroków, a potem odwrócił się znowu do mnie. – Chodź. Tutaj jest *förkylning*. Chcesz zamarznąć na śmierć?

Zawahałam się przez chwilę, przyglądając się śnieżnej burzy. W gruncie rzeczy nie miałam wyboru. Mendicant zniknął pod powierzchnią. Wokoło w promieniu tysięcy kilometrów były tylko wrzeciona. Mogłam usłyszeć tego mężczyzny albo narazić się na hipotermię i brak tlenu, więc pośpieszyłam za nim przez śnieżną zamieć.

– Możesz już zdjąć hełm – powiedział, kiedy znaleźliśmy się w skrzypiącej windzie wrzeciona. Sam zdjął maskę tlenową, odsłaniając okrągłą zaczerwienioną twarz i potargane rude włosy związane w czub jak u wszystkich *Dakaitów*, jakich spotkałam. Nosił brodę sięgającą do piersi. – Strasznie w tym gorąco.

Nadal mówił głosem zachrypniętej żaby.

Zdjęłam hełm i wetknęłam pod pachę. Moje włosy były prawdopodobnie tak samo potargane jak jego. Spróbowałam przycesać je palcami, ale zrezygnowałam. Dlaczego miałabym się przejmować wywarciem wrażenia na bandzie *jhaant ke pissu*, którzy handlują swoimi bliźnimi?

Rudy mężczyzna gapił się na mnie.

– O co chodzi? – rzuciłam.

Spojrzałam w dół na swój skafander. Do płaszcza i butów przywarł mokry śnieg, ale ubiór tego mężczyzny wyglądał podobnie. Serce ścisnął mi skurcz niepokoju.

– O nic – odparł z szerokim uśmiechem. – Po prostu od dawna nie widzieliśmy tu żadnej *kurai tös*. Chłopcy będą zachwyceni.

Nie wiedziałam, co oznacza zwrot, którym mnie nazwał, ale sposób, w jaki to powiedział, sprawił, że przebiegły mnie zimne ciarki. „Uważaj, Miyole”. Wszędzie indziej odgryzłabym mu się jakąś ripostą. Ale byłam tutaj, sama, więc zacisnęłam zęby i zmilczałam.

– To całkiem niezły skafander jak na kogoś, czyj statek wymaga naprawy – zauważył mężczyzna, unosząc brew.

Rzuciłam mu gniewne spojrzenie.

– Należał do ostatniej osoby, która zadawała mi zbyt wiele pytań – rzuciłam.

Podłapałam tę kwestię, oglądając z Rushilem stare filmy. W moich ustach zabrzmiała jednak zdecydowanie mniej groźnie, niż gdy wypowiadał ją kowboj w staroświeckim westernie.

Mężczyzna się roześmiał.

– W porządku, *lillflicka*. Ale ładnie ci w nim.

– Mam na imię Miyole – powiedziałam.

– Miyole – powtórzył z uśmiechem. – Możesz mówić mi Rött.

Gdy winda wiozła nas w dół, nasilił się zapach stęchlizny. Za otwartą konstrukcją kabiny przemykały zardzewiałe metalowe płyty przyśrubowane do ścian wrzeciona

z masy perłowej. Przez głowę przemknęły mi obrazy z kursu historii medycyny – metalowe bolce i płytki spajające kości. Zimne ciarki przeszły mi przez potylicę aż do karku. Skoncentrowałam się na szczękę i skrzypieniu windy oraz coraz dłuższym szybie nade mną.

Rött oparł się plecami o ścianę kabiny.

– Jakiego rodzaju roboty szukacie?

– Każdej jaka się nadarzy – odpowiedziałam, jak poinstruowała nas Cassia. Jej rodzice mówili tak zawsze, gdy szukali pracy. – Czym się tu zajmujecie?

– Macie jakieś doświadczenie w nurkowaniu? – zapytał.

Przypomniałam sobie polowanie na brzoń.

– Trochę.

– Więc może się nam przydadcie – powiedział. W tym momencie winda zatrzęsała się i zakołysała. – Na jak długo chcecie podpisać kontrakt?

Przełknęłam z wysiłkiem ślinę, usiłując zwalczyć wrażenie, że żołądek podchodzi mi do gardła. Spojrzałam Röttowi w oczy.

– Na tyle, ile będzie trzeba.

Zaśmiał się.

– Czy tam skąd pochodzisz, nie masz kogoś, kto na ciebie czeka?

– A czyż każdy nie ma kogoś takiego? – zripostowałam.

Rött z posępną miną wyrzwał poza kabinę na coś, czego nie mogłam widzieć.

– Zdziwiłabyś się – mruknął. Odwrócił się z powrotem do mnie, już znowu uśmiechnięty. – Powiedziałaś, że skąd jesteś?

Popatrzyłam w górę. Nie mogłam już dostrzec szczytu szybu.

– Czy to ważne? – odparłam.

Wzruszył ramionami.

– Mnie tam wszystko jedno.

Winda zwolniła i zatrzymała się z przenikliwym zgrzytem. Drzwi rozsunały się dokładnie w momencie, gdy ociekający wodą Mendicant wyłonił się ze śluzy powietrznej wbudowanej w podłogę. Ruszyłam ku niemu, ale Rött pociągnął mnie z powrotem.

– Nie tak szybko, *lillflicka*.

– Puść mnie – Próbowałam mu się wyrwać, ale wpił palce w moje ramię w miejscu nie zakrytym kamizelką kuloodporną. – To boli – powiedziałam głosem podszytym lękiem.

Rött się roześmiał.

– Uwierz mi, *tös*, poczujesz, kiedy naprawdę będę chciał sprawić ci ból.

Przełknęłam nerwowo. Dłonie w rękawicach miałam lepkie od potu. Czy oni nas podejrzewają? Jakim cudem, skoro nigdy wcześniej nie widziałam Rötta? Czy zdradził nas mój skafander IGS?

Rött podprowadził mnie w pobliże Mendicanta. Lustrzany przedni iluminator uniemożliwiał zajrzenie do środka, ale wiedziałam, że Rubio i Cassia nas obserwują. Za mną coś szczęknęło i poczułam zimny dotyk na skroni.

Rött puścił moje ramię. Uniósł wolną rękę w stronę Mendicanta i machnął nią przywołująco, a potem mocniej przycisnął lufę rewolweru do mojej głowy. Zamknęłam

oczy. „Nacisk równa się ilorazowi siły i powierzchni. Siła to iloczyn masy i przyspieszenia”.

Właz statku się otworzył. Cassia i Rubio z podniesionymi rękami zeszli po rampie. Zza Mendicanta wyłoniła się grupa mężczyzn z karabinami przewieszonymi przez plecy i otoczyła ich.

– Dzieciaki, nie bądźcie takie nieśmiałe – rzekł z uśmiechem Rött. – Wychodźcie, wychodźcie.

– Co wy robicie? – rzuciłam drżącym głosem. – My tylko szukamy pracy.

– Czyżby? – Rött obszedł mnie i stanął przede mną. – Zdejmij płaszcz.

– Co takiego?

– Zdejmij płaszcz – powtórzył i ponaglił mnie gestem ręki z rewolwerem; już się nie uśmiechał.

Vaat. Szarpnęłam zamek błyskawiczny i wyciągnęłam jedną rękę z rękawa, potem drugą. Płaszcz zsunął się do moich stóp, odsłaniając kamizelkę kuloodporną, którą nosiłam na skafandrze ciśnieniowym.

– Skąd to masz? – zapytał Rött i stuknął lufą rewolweru w powłokę kamizelki osłaniającą mój brzuch.

– Kupiliśmy je – odpowiedziałam. Rzuciłam spojrzenie na Cassię i Rubia. – Od handlarza starzyzną w Ny Kyoto.

– Interesujące. – Rött uniósł brwi. – Włóczęgów, którzy podobno tylko szukają pracy, stać było na kupno trzech kamizelek kuloodpornych, chociaż twierdzą, że nie mają pieniędzy na remont swojej krypy.

Milczałam.

– Przed kilkoma tygodniami straciliśmy statek – mówił dalej Rött. – I trzech dobrych członków załogi noszących kamizelki kuloodporne bardzo podobne do waszych. Nie spotkaliście ich przypadkiem, co?

Zacisnęłam zęby i spiorunowałam go wzrokiem. Nie patrzyłam na Cassię. Nie chciałam zdradzić się z niczym więcej.

Rött skinął na jednego ze swoich ludzi.

– Chodź tu, Juna.

Z grupy wystąpiła barczysta kobieta z włosami związanymi w taki sam czub jak u mężczyzn.

– Zabierz tych troje na dół i zamknij – polecił. – Zobaczymy, czy staną się bardziej rozmowni, gdy spędzą trochę czasu w ciemności.

Juna jednym szybkim ruchem wykręciła mi ręce do tyłu. Zaczęłam się z nią szamotać, usiłując się wyswobodzić.

– Popiełniacie błąd. Jesteśmy z IGS. Nasi towarzysze przylecą po nas.

Rött się roześmiał.

– A jak myślisz, kto jest naszym największym kontrahentem?

– Kłamiesz – powiedziałam.

Być może IGS kupuje od Rangnvaldsson, ale z pewnością nie od tych jawnych handlarzy niewolników.

Rött wzruszył ramionami.

– Jedno wiem na pewno. Wasza krypa to nie żaden statek rządowy. Założyłbym się

o sporą sumkę, że nikt nie wie, że tu przylecieliście.

Ogarnęła mnie rozpacz. Powiedziałam mu za wiele. „Jest nas tylko troje. Nasz statek wymaga remontu. Nie mamy wystarczającej liczby skafandrów ciśnieniowych”. Rött wiedział, że wpadliśmy w pułapkę.

– A teraz – rzekł – omówmy warunki waszego zatrudnienia.

Zatrzasnęły się za nami drzwi opancerzone żelaznymi płytami. Zamrugałam w ciemności i drgnęłam, gdy zimna dłoń Cassii chwyciła moją. Powietrze tutaj było gęste od smrodu kału, uryny i potu. Rött i jego ludzie zabrali mi płaszcz, kamizelkę kuloodporną i hełm; zostawili tylko skafander ciśnieniowy i buty. Przycisnęłam się plecami do ściany.

Skądś z przodu dobiegł odgłos szurania nóg. W nikłej żółtawej poświacie wpadającej przez kilka szczelin na przeciwległej ścianie dostrzegłam zarysy kilku poruszających się postaci. Cofnęłam się do drzwi. Bardziej ich czułam niż słyszałam – gorąco i odór niemytych ciał w dusznym, zatechłym powietrzu.

Znowu szuranie. Kasznięcie. A potem w ciemności odezwał się głos:

– *Bienvenidos al infierno, niños.*

Rubio zeszytywniał.

– *Quien habla?* – Wystąpił naprzód. – Pokażcie się.

– *Ay, que es la voz de mi juventud.* – Coś szorstkiego i tłustego otarło się o grzbiet mojej dłoni i głos przemówił przy moim łokciu: – *La hora viena. Ki ki ri ki! Ki ki ri ki!*

– *Papá.* – Tym razem mówiła kobieta. – Skończ z tym głupim udawaniem koguta. Zostaw ich w spokoju.

– *Déjenles.* – W głosie mężczyzny zabrzmiał smutek. – *Déjenles solo. Solo. Solos. Solitos.*

– Kto tam jest? – Rubio zrobił kolejny krok w głąb pomieszczenia. – *Quienes son?*

– Jesteśmy nikim – odezwał się inny męski głos. Kaszlnął wilgotnie. – I wy też.

Cassia pociągnęła mnie za rękaw skafandra próżniowego.

– Potrzebujemy światła.

– Ja nie... – zaczęłam.

Ponownie szarpnęła mnie za rękaw i wtedy sobie przypomniałam. Mój skafander miał lampki pozycyjne, żeby można mnie było odszukać w próżni kosmicznej, gdyby pękła lina łącząca mnie ze statkiem.

– Zasłońcie oczy! – krzyknęłam w ciemność.

– *Cobren sus ojos* – powtórzył moje polecenie Rubio.

Przy każdym z moich nadgarstków zapłonął pasek ostrego niebieskobiałego światła, wydobywając z mroku tłum około trzydziściorga brudnych ludzi stłoczonych w tym o wiele za małym dla nich pomieszczeniu. Wzdrygnęli się i cofnęli przed blaskiem padającym na gmatwaninę brudnych kończyn i zmierzwionych włosów. Jakiś stary człowiek wstąpił w krąg światła i z trudem powstrzymałam okrzyk. W miejscu gdzie powinien mieć nos, widniały tylko dwa otwory, jak w trupiej czaszce.

– *Bienvenidos* – powiedział. Uściśnął dłoń mnie, Cassii i Rubiowi. – *Bienvenidos.*

– *G-gracias* – wyjąkał Rubio łamiącym się głosem.

Powiodłam spojrzeniem po tłumie. Niektórym brakowało uszu, palców. Niektórzy

mieli na twarzach blizny po oparzeniach i cięciach nożem. Wzdłuż ściany stały metalowe ławki, a podłoga obniżała się w kierunku czegoś w kącie, co wyglądało na otwór ścieku.

Cassia przyjrzała się ich twarzom. Nagle zacisnęła dłoń na moim ramieniu i z jej gardła wyrwał się cichy jęk.

– Nethanel! – zawołała. Pobiegła przed siebie i upadła na kolana przy jednym z mężczyzn. – Nethanel, to ja.

Spojrzał na nią i przez jego twarz przemknął wyraz szoku, a potem rozpoznanie. Otoczył Cassię ramionami i zakołysał nią.

Przez tłum przebiegł szmer. Podeszłam bliżej do Rubia. Wydało mi się, że czuję, jak matka dotyka moich pleców, gładzi mnie po głowie, i nagle zatęskniłam za nią tak mocno, jak jeszcze nigdy dotąd.

W końcu Cassia i jej brat oderwali się od siebie i w ciszy zaczęli pośpiesznie rozmawiać w języku migowym. Rozpoznałam kilka znaków – symbole słów „córka”, „choroba” i „lód”. Potem Cassia wskazała ręką na mnie i Rubia i zrobiła znak „przyjaciel”. Nethanel spojrzał w oczy najpierw mnie, potem Rubiowi, i podziękował skłonieniem głowy.

– To jego siostra? – spytała kobieta, która wcześniej przemówiła do nas z ciemności.

Odwróciłam się do niej. Miała zapadnięte policzki, czarne włosy związała z tyłu kawałkiem sznurka. Jej skóra, niegdyś przypuszczalnie oliwkowa, była teraz ziemista, a pod oczami widniały ciemne kręgi. Była chuda – zbyt chuda – z wyjątkiem dziwnego wybrzuszenia w okolicy bioder. Dopiero po chwili zorientowałam się, że to ciąża.

Nethanel wstał i skinieniem przywołał tę kobietę. Jedną ręką przygarnął ją do siebie, a drugą zasygnalizował do Cassii.

Cassia z półśmiechem odwróciła się do mnie i Rubia.

Spojrzałam na nią.

– Co on powiedział?

– Mój brat dziękuje wam, że pomogliście mi go odszukać. On i Aneley obmyślili plan ucieczki, ale większość ludzi tutaj jest zbyt słaba. – Uśmiechnęła się szerzej. – Pyta, czy możemy pomóc.

Usiedliśmy w kręgu – ci z nas, którzy czuli się na siłach, by ułożyć plan. Pozostali zbili się w grupkę przy ścianie, poza zasięgiem światła mojego skafandra. Była nas dziesiątka: Nethanel, Aneley, Cassia, Rubio, ja i pięcioro innych więźniów. Najmłodszy był chudy chłopiec dwunasto- czy trzynastoletni, który przedstawił się jako Pulga. Najstarsza, kobieta o imieniu Lisbeth, była mniej więcej w wieku Sorai. Siedział też z nami ojciec Aneley, ale tylko kiwał się w przód i w tył, monotonnie powtarzając śpiewnym głosem: „*La hora viene, la hora viene, la hora viene*”.

Cassia na migi relacjonowała rozmowę bratu, a Aneley tłumaczyła ojcu na hiszpański.

– Nethanel zdobył kody dostępu do dyspozytorni. Jeden ze strażników wstukał je w jego obecności, sądząc, że Nethanel nie zrozumie – powiedziała Cassia i uśmiechnęła się porozumiewawczo do brata. – Jutro albo pojutrze przyjdą, żeby zabrać nas na podwodny statek transportowy dokujący tuż przy bramie hangaru. Zawsze eskortuje

nas tylko dwóch strażników – jeden na czele szeregu, drugi z tyłu. Właśnie wtedy rozpoczniemy akcję.

– Ustawcie mnie z przodu – powiedział Rubio z gniewną miną. – Chciałbym porachować się z tymi *putamadres*.

Cassia spojrzała na brata. Kiwnął głową i coś do niej zasygnalizował.

– Dobrze – rzekła do Rubia. – Nethanel pyta, czy możesz pokazać wszystkim kilka podstawowych chwytów obronnych. Sposobów obezwładnienia przeciwnika.

– Mogę. – Rubio skinął głową. – Ale byłoby lepiej, gdybyśmy zdobyli też jakąś broń. Cokolwiek, nóż czy choćby kamień...

Aneley zasygnalizowała do Nethanela. Chwyił nogę jednej z ławek i uniósł ją, a kobieta sięgnęła do otworu w podłodze i wyjęła kilka okrągłych muszli wielkości pięści, z ząbkowanymi brzegami.

Zmrużyłam oczy i przyjrzałam się im.

– Czy to są...

– Muszle mięczaków zwanych czarkami. – Aneley podsunęła mi jedną pod oczy. – Przywierają do burt statków. Zbieramy je, ilekroć wysyłają nas do prac podwodnych.

– Czy macie ich tylko tyle? – spytał Rubio, wskazując głową garść muszli w jej dłoni.

– Chwilowo tak – odrzekła Aneley. – Przemycamy je po kilka. Gdybyśmy przynosili zbyt wiele na raz, strażnicy by zauważyli.

Zerknęła nerwowo na sufit.

Nethanel zasygnalizował do niej płynnym ruchem dłoni.

– Ale możemy zdobyć więcej – dodała. – Gdy następnym razem zabiorą nas na zewnątrz.

Rubio przełknął nerwowo.

– Jeśli to najlepsza broń jaką mamy – powiedział.

Dotąd chyba nigdy nie widziałam go przestraszonego – ani kiedy walczyliśmy z *Dakaitami*, ani gdy polowaliśmy na bronę, ani nawet gdy pojmał nas Rött. Rzucił spojrzenie na mnie.

– Chyba zaczęłam żałować, że nie zabraliśmy tego kota – rzekł.

Nethanel znowu zasygnalizował coś do Cassii. Spuściła głowę, milczała przez chwilę, a potem przytaknęła. Poczułam nerwowy skurcz w żołądku.

– Jest jeszcze jedna sprawa – powiedziała drżącymi ustami. – Nie wszyscy zdołamy uciec. Ktoś musi zostać i zabarykadować się w dyspozytorni, żeby otworzyć dla nas służbę powietrzną. Reszta pobiegnie do podwodnych statków transportowych. Będziemy potrzebowali dwóch, żeby pomieścić wszystkich, co oznacza dwóch pilotów...

– A co z Mendicantem? – przerwałam jej. – W nim zmieściliby się wszyscy. I potrzebowalibyśmy tylko jednego pilota, więc jeśli jedno z nas, które potrafi prowadzić statek, nie...

Urwałam i przełknęłam gulę rosnącą mi w gardle.

Cassia skinęła głową.

– Tak, to byłoby mniej ryzykowne. Ale nadal potrzebujemy kogoś, kto zostanie w dyspozytorni.

– Ja zostanę – oświadczyła Lisbeth.

Podniosła wzrok na nas; na jej twarzy malował się głęboki ból.

W celi zapadła cisza.

– Jesteś pewna? – spytałam.

Spojrzała na mnie.

– Ile masz lat, *mija*?

– Szesnaście – odrzekłam cicho.

Pogładziła mnie po kolanie.

– Mój syn byłby starszy od ciebie o rok, gdyby jego przewód tlenowy nie pękł w gorącej wodzie. – Uniosła głowę i ogarnęła wzrokiem siedzących w kręgu. – Tak, jestem pewna.

– Jeżeli uda się nam uciec, polecimy z powrotem do Herr Tsukina w Ny Kyoto. – Cassia mówiąc do brata, jednocześnie sygnalizowała na migi. – Tam obmyślimy, jak zawieźć cię do Milah.

Nachyliłam się blisko do Aneley.

– Jak wy dwoje zdołaliście zaplanować aż tyle? – Spojrzałam na Nethanela. – Chodzi mi o to, że przecież on nie mówi.

– Znaleźliśmy sposób. – Aneley wyciągnęła rękę i palcem drugiej powiodła po dłoni, kreśląc kształt litery S. – Zobaczyłam go, gdy pierwszy raz wyprowadzili nas na zewnątrz do pracy. Uznali go za ograniczonego umysłowo, ale wiedziałam, że się mylą. Dostrzegłam to w jego oczach.

Popatrzyła na Nethanela.

– Jeden z nich ciągle... próbował mnie dotknąć, a wtedy Nethanel puścił korbę wciągarki, którą obracał. Patrzył prosto na mnie i puścił ją, chociaż wiedział, co oni mu zrobią.

– Zmuszają cię do pracy? – Rzuciłam spojrzenie na jej brzuch i zmarszczyłam brwi. – Mimo że jesteś w...

W przeszłości miałam tylko jedno zajęcia z biologii dotyczące procesu rozrodu, ale zorientowałam się, że Aneley musi być co najmniej w piątym miesiącu ciąży.

Przez jej twarz przemknął wyraz lęku zmieszanego z furią. Odwróciła ode mnie wzrok i popatrzyła na zaryglowane drzwi. Zacisnęła zęby.

– Tak – wycedziła.

Pulga gwałtownym ruchem głowy wskazał drzwi.

– *Ya vienen* – rzekł z popłochem malującym się na twarzy. – Światło.

„Nie. Jeszcze nie teraz”. Potrzebowaliśmy więcej czasu. Wszyscy rozpierzchli się po kątach, słychać było szuranie stóp i szelest podartych ubrań. Sięgnęłam do rękawów skafandra i w ostatniej chwili zgasłam światełka. Drzwi naszego więzienia otworzyły się.

Ustawili nas w dwóch szeregach, krzyżując i wymachując elektrycznymi paralizatorami. „To tylko ludzie”, mówiłam sobie, starając się nie cofnąć i nie przygnać plecami do ściany.

– Ty – rzuciła Juna, jedyna kobieta w grupie strażników, wskazując na mnie. – Umiesz pływać?

Serce mi zamarło, ale skinęłam głową.

– Dobrze. Stań w szeregu. – Machnęła ręką w kierunku stojących tam już Aneley i jej ojca, a potem odwróciła się do Cassii. – A ty, *tös*? Umiesz pływać?

– Oczywiście – odrzekła Cassia dość śmiało, jednak usłyszałam w jej głosie nutę jakby lęku.

Poprowadzili nas korytarzem do windy. Szliśmy parami, ja z Rubiem, Nethanel z Cassią. Pochwyciłam spojrzenie Rubia, a on ledwie dostrzegalnie pokręcił głową. „Jeszcze nie”. Potrzebowaliśmy więcej czasu, żeby opracować szczegóły planu, i żeby Rubio nauczył nas walczyć. Cokolwiek czekało nas na końcu tej długiej drogi, musimy to przetrwać.

Zacisnęłam pięści. Zabiłam bronę. Zwyciężyłam bandę *Dakaitów*. Weszłam do kryjówki wiedźmy i uratowałam nas przed zatruciem. Przetrwałam tajfun. Ci nędzni *tatti* mnie nie pokonają.

Za mną Cassia zdusiła jęk. Obejrzałam się na nią szybko. Twarz miała zieloną.

– Co się stało? – szepnęłam.

Pokręciła głową.

Zagonili nas do windy – tej samej, którą Rött zwiózł mnie z powierzchni. Popchnęłam Cassię w głąb kabiny, z dala od strażników, i nachyliłam się tuż do niej.

– Co się dzieje?

– Skłamałam. – Popatrzyła na mnie oczami rozszerzonymi lękiem. – Nie umiem pływać.

Przełknęłam nerwowo i objęłam ją.

– Trzymaj się blisko mnie, dobrze? Nie pozwól, żeby nas rozdzielono.

Drzwi windy się rozsunęły i znaleźliśmy się znowu na górnym poziomie wrzeciona. Kilku strażników obserwowało nas z przeszklonej dyspozytorni przylegającej do rozległego hangaru. Serce zabiło mi mocniej na widok Mendicanta. Wciąż tam stał, z otwartym włazem rampy załadowniczej. Ale minęliśmy go. *Dakaici* wepchnęli nas do dwóch promów pozbawionych okien, oddzielając Cassię i mnie od Rubia i Nethanela. Wzdłuż ścian ładowni promu stały niskie metalowe ławki. Podłogę stanowiła otwarta śluza. Mocniej ścisnęłam rękę Cassii, gdy drzwi ładowni zatrzasnęły się za nami i szczęknął zamek.

– Może mają pływające deski – szepnęła ze spuszczoną głową.

Rzuciłam spojrzenie na mężczyznę pełniącego straż. Wzrok miał pusty i znudzony. Nie dostrzegłam żadnych desek.

– Możliwe – odpowiedziałam, chociaż te słowa nawet w moich uszach nie zabrzmiały przekonująco.

Na zewnątrz rozległy się zgrzyt i łupnięcie, statek się zatrząsł i wpadliśmy na siebie

nawzajem. Dudnienie silników się nasiliło.

– Ruszyliśmy! – krzyknął pilot za siebie do naszego strażnika.

Strażnik stęknął, wyciągnął z komory w grodzi pojemnik i podał go ojcu Aneley, siedzącemu na podłodze u nóg córki. Stary człowiek drżącymi rękami wyjął parę gogli, czołówkę i zniszczony plastikowy worek, a potem przekazał pojemnik kobiecie obok niego. Gdy nadeszła moja kolej, wyjęłam zestaw dla siebie i obejrzałam go. Gumowa taśma gogli była postrzępiona, a szkła pokrywała pajęcza sieć rys. Zdecydowanie nie będzie żadnych podwodnych desek. Wyteżyłam umysł, usiłując przypomnieć sobie to, co czytałam o oceanach Enceladusa. Jaka jest tutaj woda? Lodowata jak wokół Ny Kyoto? A może wrząca od kriowulkanu? Czy tu też żyją brony? Po naszym powrocie do wrzeczona Tsukina powinnam była mniej czasu spędzać na uzalaniu się nad sobą, a więcej na zapoznawaniu się z zawartością bazy danych Mendicanta.

Silnik promu zwolnił.

– Wszyscy wstawać! – warknął strażnik.

Podźwignęliśmy się na nogi. Poszukałam wzroku Aneley.

– Mają dla nas skafandry, prawda? – spytałam.

Rzuciła wylężnione spojrzenie na strażnika i przecząco pokręciła głową.

Oczywiście, nie mieli. Posyłali ciężarną kobietę i starca w głąb mrocznego morza... po co?

Nie miałam czasu o to zapytać. Strażnik puścił w obieg inny pojemnik, tym razem z zestaloną kreatyną. Więźniowie kolejno smarowali nią odsłonięte dłonie i stopy. A więc w taki sposób zamierzano wysłać nas na zewnątrz.

– Grupa pięć, na stanowisko! – krzyknął pilot.

Strażnik otworzył schowek w grodzi, w którym znajdowało się kilka szpul przezroczystych plastikowych rur. Każda rura była grubości szlauch ogrodowego, ale kilkadziesiąt razy dłuższa. Wyciągnął koniec jednej i podał ojcu Aneley. Stary mężczyzna włożył ją sobie do ust.

Spojrzałam na Lisbeth. Przypomniałam sobie jej słowa: „Gdyby jego przewód tlenowy nie pękł...” Skinęła głową.

Chaila. Ze zdenerwowania zaczęły mi się pocić dłonie.

Strażnik wstukał kod w panel na ścianie i pociągnął dźwignię zamontowaną w pancernej płycie. Ładownię wypełnił chlupot i świst. Tam gdzie przed chwilą był fragment podłogi, pojawił się zawrotny wir wody i sprężonego powietrza. Śluza.

Pozostali kolejno nałożyli gogle i czołówki i ustawili się w rzędzie. Cassia i ja stanęłyśmy na końcu. Strażnik podał każdemu plastikową rurę i dłuto. A potem skoczyli. Kiedy znikali w skłębionej wodzie, ta obryzgała ściany ładowni. Gdy nadeszła moja kolej, zawahałam się i spojrzałam w spieniony wir i majaczącą za nim ciemność. Usłyszałam szybki, gwałtowny oddech stojącej za mną Cassii.

„Nie potrafię tego zrobić. Nie potrafię”.

Strażnik pchnął ku mnie przewód tlenowy.

– Chcesz powietrze czy nie?

Otępiała wzięłam rurę i dłuto i podeszłam do skraju śluzy. Nie miałam wyboru. „Wszystko w porządku. Ciśnienie hydrostatyczne jest równe iloczynowi ciężenia grawitacyjnego, gęstości cieczy i głębokości zanurzenia. Ciśnienie hydrostatyczne...”

Ale nie potrafiłam zmusić nóg do zrobienia następnego kroku przed siebie. Cofnęłam się odrobinę.

Za moimi plecami strażnik westchnął. Popchnął mnie i wpadłam w wir.

Bryzgi wodnej mgiełki smagneły mnie w policzki i włosy. Niemal zgubiłam gogle, ale szybko przycisnęłam je do twarzy i mocno trzymałam rurę tlenową. Woda uderzyła we mnie. Ciemność i ciśnienie. Zimno. Zimno, ale nie lodowato. Wzięłam głęboki, rwany oddech przez rurę i wciągnęłam w płuca zastałe, stęchłe powietrze. Siłą woli powstrzymałam się przed zakasaniem i odsunięciem rury. „Nie panikuj. Nie panikuj”. Musiałam rozeznaczyć się w sytuacji.

Pogmerałam przy czołówce i zapaliłam ją. Snop światła nie przeniknął zbyt daleko przez mrok i odpadki, ale kilka metrów pode mną dostrzegłam innych nurków nad kipiącymi strumieniami czarnej wody. Za nimi wlekły się przewody powietrzne prowadzące do promu, który unosił się nad nami w słonej wodzie, rozjarzony światłami. Z jakiegoś powodu przywiódł mi na myśl rybę żabnicokształtną.

Z tyłu za mną Cassia wpadła do wody. Miotła się i młóciła rękami. I krzyczała – z jej ust wypływała długa wstęga bąbelków, gdy dziewczyna zaczęła tonąć z powodu ciężaru ubrania. Energicznie machnęłam nogami i chwyciłam jej przewód tlenowy, zanim zdążył odpłynąć. Złapałam go, z powrotem wcisnęłam jej w ręce i ujęłam ją pod ramię. Kaszlnęła w wylot rury. Wskazałam na swoje stopy. Cassia gwałtownie machnęła nogami, naśladując z grubsza moje ruchy. Nadal opadałyśmy na dno, ale wolniej, w bardziej kontrolowany sposób. Kiwnęłam głową i włączyłam jej czołówkę.

Podążyłyśmy za innymi ku wąskiemu obszarowi pomiędzy skalnymi kominami, z których tryskały strumienie czarnej wody. Ciśnienie wokół nas wzrastało. Mocno trzymając moją rurę powietrzną, rzuciłam okiem za siebie, gdy wylądowałyśmy na dnie z łupku ilastego. Było tu kilkadziesiąt razy więcej skalnych kominów wyrzucających czarną wodę niż wokół wrzeciona Fru Rangnvaldsson. Woda była gęsta od soli i minerałów, tak że z trudem dostrzegałam cokolwiek oprócz świateł latarek innych nurków.

Ruszyłyśmy przed siebie. Blask naszych czołówek obejmował nie więcej niż kilka metrów. Mogłam tylko wdychać wystarczającą ilość powietrza i prowadzić nas obie przez wodę. „Krok, oddech, krok, oddech”. Światła przed nami znieruchomiały. Nagle promień mojej czołówki omiótł jakiś olbrzymi biały kształt. „Brona. Uciekaj!”

Ale kształt się nie poruszał. Wyciągnęłam rękę i musnęłam go czubkami palców. Był twardy i gładki jak ściana. Spojrzałam w górę. Zakrzywiona biała powierzchnia wznosiła się wyżej, niż sięgał promień mojej czołówki, usiana czarnymi kropkami.

Nie, nie kropkami. Iluminatorami.

To statek.

Spojrzałam na Cassię, z trudem powstrzymując słowa wyrywające mi się z gardła. „Statek”. Po chwili jednak dotarło do mnie w pełni znaczenie tego odkrycia. Statek taki jak Ranganathan, rosnący tutaj. „A jak myślisz, kto jest naszym największym kontrahentem?”

Cassia mnie szarpnęła. Zamrugałam i oderwałam wzrok od burty statku. W odległości kilku metrów stała Aneley i przywoływała nas machaniem ręką. W ślad za nią okrążyłyśmy dziób i przez jeden z niżej umieszczonych iluminatorów wspięłyśmy

się do nieukończonego korytarza podobnego do tych w Ranganathanie. Ściany po obu stronach były grube i gładkie, ale sufit jeszcze nie całkiem się ukształtował. Spojrzałam w górę na delikatne wewnętrzne rusztowanie statku – przezroczyste łańcuchy substancji odżywczych, z których wyrosną podłogi, windy towarowe, jadalnie. Przez chwilę zapomniałam, dlaczego tu jesteśmy. Przeniknął mnie dreszcz zachwytu. Przebywając na jednym z tych statków, łatwo zapomnieć, że są dziełem tak wspaniałego procesu bioinżynieryjnego – kaskadowych reakcji chemicznych zachodzących między podłożem składającym się ze związków kreatyny a bogatymi w minerały wodami mór Enceladusa. Ilu ludzi miało szansę znaleźć się wewnątrz takiego statku, kiedy jeszcze rósł, zobaczyć od środka, jak się rodzi? Zaraz jednak powróciło do mnie gwałtownie poczucie rzeczywistości, przygniatające jak masy oceanu nade mną. Nie byłam teraz naukowcem obserwującym triumf ludzkiej wynalazczości. Zostałam tu uwięziona, razem z innymi.

Aneley podała mi dłuto i wskazała na innych, którzy odłupywali pąkle i skorupiaki przywierające do wewnętrznych ścian statku. Ogarnęła mnie wściekłość, wypierając resztki zachwytu.

Dołączyliśmy do pozostałych. Podważaliśmy pąkle i wrzucaliśmy je do worków. Mięczaki czarki okazały się trudniejszym wyzwaniem. Z jakiegoś powodu wydawały się żywsze niż pąkle, a jeśli nie działaliśmy dostatecznie szybko, przysysały się do ścian tak mocno, że nie sposób było ich oderwać. W końcu zdołałam odcepić jednego i wrzucić do worka, ale Aneley wyjęła go i przecząco pokręciła głową, po czym wsunęła czarę do kieszeni. „Racja!”. Broń, a przynajmniej coś najbardziej do niej zbliżonego, co mogliśmy zdobyć. Uświadomiłam sobie, że tutaj, na dnie oceanu, głuchota Nethanela nie stanowi przeszkody. Jego sposób porozumiewania się na migi być może nawet dawał mu przewagę nad resztą nas.

Straciłam poczucie czasu. Pąkle – torba. Czarki – Aneley. Kiedy jej kieszenie były już pełne, wskazała na Cassię. Próbowalam odliczać sekundy – „jedna, dwie” – ale wymykały mi się i płątały, w głowie mi się mąciło, widocznie z niedoboru tlenu.

Przez mgłę mojego ośpienia przebił się stłumiony okrzyk. Odwróciłam się i zobaczyłam, że Lisbeth trzyma się za dłoń oświetloną promieniem czołówki. Dłoń otaczał jaskrawoczerwony obłoczek. Wszyscy w pobliżu kobiety się cofnęli. Aneley złapała rurę oddechową Lisbeth, zanim ta mogłaby się wyslizgnąć, i wepchnęła ją z powrotem w otwarte usta kobiety. Lisbeth chrapliwie wciągnęła przez nią powietrze; oczy miała wybałuszone z bólu. Jej dłoń przecinała głęboka rana. Dłuto leżało u stóp.

Podpłynęłam do niej i odwróciłam jej dłoń, żeby móc się lepiej przyjrzeć. Luźny płat skóry wisiał oderwany od rany, z której tryskała krew. Dłoń była przetrzieta aż do kości. Musieliśmy zatamować krwotok i opatrzyć ranę, zanim Lisbeth straci zbyt dużo krwi. Nikt oprócz Aneley nie ruszył się, żeby mi pomóc. Niektórzy nawet zapakowali swoje dłuta do worków i skierowali się do iluminatora, przez który tu weszliśmy.

Aneley chwyciła swój przewód tlenowy w zęby i oderwała kawałek własnej koszuli. Owinęła nim dłoń Lisbeth i przewięzała sznurkiem, który wyjęła ze swoich włosów. Do wody nadal jednak wsączał się cienki strumyczek krwi. Lisbeth zamrugnęła powoli i oparła się plecami o ścianę. Aneley rozejrzała się i wskazała ręką w górę. „Prom”.

Jej ojciec pokręcił głową, ale Aneley stuliła dłoń i naśladowała nią ruch pełznięcia,

a potem wskazała na rękę Lisbeth. Coś w wodzie może wytropić krew.

Ojciec Aneley i ci, którzy pozostali, podpłynęli do iluminatora. Aneley potrząsnęła Lisbeth za ramię, ale starsza kobieta się nie poruszyła. Zaświeciłam jej w oczy czołówką. Źrenice nie zwęziły się, jak powinny. Jeszcze oddychała, ale zostało niewiele czasu. Aneley zarzuciła sobie na ramię jedną rękę Lisbeth i gwałtownym gestem ponagliła mnie, żebym zrobiła to samo z drugą.

Przeniosłyśmy ją przez iluminator. Kilkadziesiąt metrów nad nami migotały światła promu. Kilkoro nurków było już tylko odległymi świetlnymi punkcikami; płynęli do śluzy powietrznej. Głowa Lisbeth opadła bezwładnie. Chwyciłam przewód tlenowy kobiety i wsadziłam z powrotem w jej usta. Co mogło nadpłynąć? Coś groźniejszego niż rekiny tygrysie, jakie czaiły się pod równiną odpadków Gyre? Coś gorszego od brony?

Ktoś pociągnął mnie za tył kombinezonu. Odwróciłam się szybko. Cassia wpatrywała się we mnie szeroko otwartymi oczami i przypominałam sobie, że ona nie umie pływać. Jeśli pomogę przenieść Lisbeth na górę, kto pomoże Cassii dotrzeć do promu?

Aneley popatrzyła kolejno na nas obie; na jej twarzy malował się niepokój. Gwałtownie wskazała głową w górę, w kierunku odległych świateł. „Pośpieszcie się”. Wyciągnęłam rękę do Cassii. Potem wskazałam na siebie, na prom nad nami i znowu na nią. „Wróć po siebie”. Skinęła głową i cofnęła się do burty statku.

Aneley i ja popłynęłyśmy w górę, trzymając między sobą Lisbeth. Mięśnie nóg paliły mnie z bólu. Woda z jakiegoś powodu wydawała się teraz gęstsza. Zaczerpnęłam z rury głęboki haust skwaśniałego powietrza. Nie patrzyłam w górę. Po prostu płynęłam uparcie i modliłam się, żebym wytrzymała. Aż wreszcie dotarłyśmy. Nad naszymi głowami wirowała śluza powietrzna. Wepchnęłyśmy Lisbeth w ten wir. Ktoś po drugiej stronie złapał ją za ramiona i wyciągnął. Aneley dała nura po niej.

Przez chwilę byłam całkiem sama, a morze zacisnęło się jak imadło wokół mojej klatki piersiowej. Machnęłam nogami i zanurkowałam. W wodzie unosiła się krew i coś się zbliżało.

Tym razem nie było żadnych światełek, które wskazywałyby mi dno oceanu. Wszędzie wokoło tylko zimna ciemność. Na skraju promienia światła mojej czołówki mignął jakiś cień. Serce zabiło mi szybciej i nie starałam się go spowolnić. Potrzebowałam całej adrenaliny, jaką mogło wytworzyć moje ciało. Potem w polu widzenia pojawił się statek i Cassia przywierająca kurczowo do iluminatora.

Gdy do niej dopłynęłam, przy dnie morza coś się poruszyło. Albo raczej poruszyło się samo dno. Patrzyłam, jak w promień mojej czołówki wbiegł opalizujący szary stwór podobny do kraba, za nim następny i jeszcze jeden, a po chwili toczyła się ku nam już cała ich fala. Powstrzymałam krzyk. Chwyciłam Cassię za rękę i rzuciłam się z powrotem w górę. Cassia też machała nogami i wznosiłyśmy się przez wodę. Tym razem spoglądałam w górę na światła promu. Wciąż płynęłyśmy zbyt wolno i zaczynałam słabnąć. Na skraju mojego wzroku coś zamigotało. Cassia przestała poruszać nogami. Obejrzałam się za siebie. Te stworzenia wdrapywały się kolejno jedne na drugie i ich piramida rosła w ślad za nami niewiarygodnie szybko. *Vaat*. Przez wodę dotarł do nas chrzęst setek szponów skrobących o egzoszkielety. Szarpnęłam Cassię za ramię – „Nie przestawaj!” – i popłynęłam szybciej.

Byłyśmy już prawie na miejscu. Jeszcze dwanaście metrów... dziewięć... siedem...

pięć. Nagle, bez ostrzeżenia, wyrwano mi z ust rurę tlenową i wciągnięto ją do promu. Cassia popłynęła w ślad za nią, szamocąc się i młócąc rękami, a ja mogłam tylko kurczowo trzymać się jej; moje płuca skurczyły się wokół ostatniej odrobiny powietrza, jaką zdążyłam zaczerpnąć z rury. Wzrok zaćmiły mi wirujące czarne plamki. Byłyśmy zgubione. Tamci porzucili nas na pewną śmierć. Spojrzałam w dół. Rosła pod nami piramida stworów, które kłapały ostrymi dziobami, wspinając się na grzbiety swoich towarzyszy.

„Płyn dalej” – dobiegł mnie z ciemności głos matki. Byłyśmy w wodzie przy brzegu Gyre, w odcinku morza odgrodzonym siatką od rojących się w pobliżu rekinów i mięsożernych kałamarnic. „Ruch jedną ręką, a potem drugą”. Matka była w wodzie zaledwie kilka metrów ode mnie, lecz wydawało się to tak daleko. „Wiem, że jesteś zmęczona, ale już prawie dotarłaś do mnie. Nie przestawaj płynąć”.

Nade mną rozwarł się rozjarzony otwór i usłyszałam ssący odgłos śluzy powietrznej. Cassia szamotała się w miejscu. Złapałam ją jedną ręką za nadgarstek, a drugą wzniosłam ku górze, w wir. Moją dłoń uchwyciły czyjeś suche, szorstkie palce i wciągnęły nas obie do promu.

Wpłynęliśmy do doku. Nie było tam promu, który zabrał Rubia i Nethanela. Wróciliśmy za wcześnie i Lisbeth miała z tego powodu świeżo rozciętą wargę.

– *Aho*. – Nasz strażnik splunął do kratki odpływu i spiorunował nas wzrokiem. – Możecie wszyscy podziękować tej tutaj bezużytecznej *fitta* za to, że jutro będziecie nurkować dłużej niż zwykle.

Lisbeth nie podniosła na nas wzroku. Wspierała się ciężko na Aneley, zdrową ręką kurczowo trzymając się jej ramienia. Jej prowizoryczny opatrunek przesiąkł czerwienią i miała ziemistą, bladyszara twarz. Straciła mnóstwo krwi.

Strażnicy poprowadzili nas obok Mendicanta. Cassia wbiła mi paznokcie w ramię.

– Co? – szepnęłam.

Wskazała głową nasz statek. Dwaj mężczyźni pogrążeni w rozmowie zeszli po rampie załadowniczej. Jeden z nich oparł się o pneumatyczne wysięgniki wjazdu i wskazał za siebie na podwozie Mendicanta.

– Pośpiesz się. – Nasz strażnik pchnął mnie z tyłu paralizatorem. – Chcesz wrócić do wody? Chcesz, żebym rzucił cię z powrotem tym *rovdjur* krabom?

Prąd elektryczny przeszył moje ciało zimnym ogniem. Z gniewną miną natarłam na strażnika, zaciskając pięści.

– Hola! – zawołał ze śmiechem. – Nadal jesteście zadziorni, co, *lillflicka*?

Wyciągnął nóż z cholewki buta i jednym płynnym ruchem ciął mnie w kość policzkową.

Łzy napłynęły mi do oczu, a krew pociekła na brodę, ale najbardziej zabołały mnie szok i upokorzenie. Poczułam się znowu dzieckiem ukrywającym się w schowku, przeżywającym wstyd i wściekłość.

– Masz ochotę na jeszcze trochę zabawy? – zapytał mężczyzna z szerokim uśmiechem, jakby liczył, że odpowiem twierdząco.

Otarłam krew z twarzy i rzuciłam spojrzenie na Mendicanta. Stał tak blisko, zaledwie kilka metrów ode mnie. Ale nigdzie nie widziałam promu wiozącego Nethanela i Rubia. Zgrzytnęłam zębami. Nasza wolność była na odległość rzutu kamieniem, a zarazem miliona lat świetlnych.

– Chodź, Mi – powiedziała Cassia i wciągnęła mnie z powrotem do szeregu.

– A zatem innym razem! – zawołał za mną strażnik, wsuwając nóż za pasek. – Mam cię na oku.

Całą drogę powrotną do celi szłam drżąca, ze spuszczoną głową.

Czekałyśmy w ciemności celi na powrót pozostałych. Lisbeth spała na jednej z ławek, a Cassia, Aneley i ja skupiłyśmy się w kółku pod drugiej stronie pomieszczenia, próbując ogrzać się nawzajem. Cassia wcisnęła się w krąg obok mnie, dygocąc. Zawahałam się przez chwilę, a potem otoczyłam ją ramieniem. Pomimo wilgotnych włosów miałam przynajmniej skafander. Tamte trzy całkiem przemokły.

– Ile czasu potrwa, zanim Lisbeth wydobrzeje? – spytała szeptem Cassia.

– Nie wiem – odparłam. Ostrożnie dotknęłam policzka. Moje rozcięcie było płytkie i zaczęło już pokrywać się strupem, ale jeśli go nie wykuruję, zyskam kolejną bliznę do

kolekcji. – Przez dzień czy dwa będzie słaba wskutek utraty krwi, ale tak głęboka rana zagoi się całkowicie dopiero za kilka tygodni. O ile nie wda się zakażenie.

Popatrzyłam w kierunku odpływu ścieku. W ciemności nie widziałam go wyraźnie, ale nie dało się zignorować smrodu. To będzie cud, jeśli uda się nam utrzymać ranę Lisbeth w czystości.

Chaila. Musimy się stąd wydostać. Wszyscy.

Aneley poruszyła się w mroku.

– Ona nie zdoła wystarczająco szybko poradzić sobie z przełącznikami systemu zabezpieczeń, mając tylko jedną sprawną rękę – powiedziała, zniżając głos. Wszystkie o tym myślałyśmy, ale Lisbeth nie potrzebowała tego usłyszeć. – Ja mogłabym to zrobić.

– Aneley, nie! – zaprotestowałam, a jednocześnie Cassii wyrwał się nieartykułowany okrzyk sprzeciwu.

To oznaczałoby wyrok śmierci. Albo coś gorszego.

– Sza – uciszyła nas Aneley. – Obudźcie ją.

– Ale twoje dziecko... – wyszeptałam.

– Moje dziecko i tak jest już skazane na śmierć – powiedziała Aneley zachrypłym głosem. – Nie zamierzam pozwolić, żeby dorastało tutaj.

– Więc nie będzie tu dorastać – rzekła stanowczo Cassia. – Dorośnie tam.

Nie mogłam jej widzieć, ale niewątpliwie wskazywała odległe niebo.

– W takim razie... kto inny miałby to zrobić? – spytała Aneley głosem, w którym brzmiało znużenie.

Zamilkłyśmy. Gdzieś w ciemności kropla wody skapnęła na podłogę. Wiedziałam, co powinnam powiedzieć. Wiedziałam, co powiedziałyby moja matka, gdyby się tu znalazła. Ale nie byłam nią i nie potrafiłam zmusić się do wypowiedzenia tych słów. Chciałam się stąd wydostać. Chciałam przeżyć.

– Ja to zrobię – przerwała ciszę Cassia.

– Cass...

– Nie. – Głos jej drżał, ale zapanowała nad nim. – Zastanów się nad tym. Ty, Rubio i Nethanel jako jedyni umiecie pilotować statek, więc nie możemy narażać żadnego z was. Lisbeth jest ranna. Aneley spodziewa się dziecka. Pulga jest zbyt młody. Przybyłam tutaj, aby sprawić, że Milah odzyska ojca, i właśnie to zamierzam zrobić.

Miałam wrażenie, jakby wyrwano spode mnie przyciąganie grawitacji.

– Wiesz, że nie tego chciałby Nethanel.

– I dlatego nie powiesz mu o tym. – W głosie Cassii zadźwięczała twarda nuta. – Żadna z was mu nie powie.

Chciałam wrzeszczeć, płakać, a jednocześnie poczułam, że zwymiotuję. Jak Cassia mogła tak postąpić? Jeśli zginie albo co gorsza pozostanie tu uwięziona... Nie mogłam o tym nawet myśleć. Czy ona nie wie, że jej życie jest warte równie wiele co życie Nethanela? Czyż nie wie, że nie istnieje żaden rachunek, żadna ustalona cena? Że wszyscy stracą, jeżeli którekolwiek z nich dwojga zostanie tutaj na pewną śmierć?

– Przyrzeknijcie mi to – zażądała Cassia.

W korytarzu rozległ się głuchy huk. Zgrzytnął otwierany zamek drzwi. Pośpiesznie rozbiegłyśmy się pod ściany. Lisbeth uniosła głowę i zamrugnęła, gdy do celi wpadł

nagle ostry snop światła z korytarza.

Weszli Nethanel, Rubio i inni z drugiego promu, przemoczeni i dygocący z zimna. Cassia podbiegła do brata i otoczyła go ramionami, a tuż za nią podeszła Aneley.

Zasygnalizował coś szybko na migi, zanim drzwi się zatrzasnęły i odcięły nas od światła.

Osunęłam się na podłogę przy ścianie. Przyznawałam w duchu ze wstydem, że cieszę się, iż Cassia zaofiarowała się zostać tutaj, więc ja nie muszę. Nikt nie chce być zgwałcony, bity, zamordowany – czy cokolwiek czekało tych z nas, którzy nie dotrą na pokład Mendicanta i nie wydostaną się z tego wrzeciona – a ja nie byłam wcale wyjątkiem. Nie jestem odważna. Nie jestem bohaterką. Przycisnęłam dłonie do oczu i usiłowałam nie wyobrażać sobie tego, co stanie się z Cassią. Przypomniałam sobie nagle, co podczas naszego lotu do Wrzeciona Kazań powiedział Rubio o Avie i Sorai: „Czy nie sądzisz, że one pragną, abyś wróciła, tak jak Cassia i Milah pragną powrotu Nethanela? Nie sądzisz, że równie mocno im na tobie zależy?”. Teraz chyba rozumiałam, co miał na myśli. Ani moje życie, ani Cassii nie zyskają większego znaczenia, jeśli je stracimy. Życie – czyjekolwiek, każde – ma wartość samo w sobie. Nie możemy porzucić Cassii. Ja też nie zrezygnuję, nie bez walki. Musi być jakiś inny sposób.

„Statek”. Z mojej pamięci wypłynął obraz tamtych dwóch mężczyzn stojących na rampie załadowniczej. Czy robili coś z Mendicantem? Instalowali w nim urządzenie namierzające czy może go unieruchamiali? Jeżeli Rött jednak uwierzył w moją bajeczkę o szukającym nas IGS, jeżeli myśli, że za pośrednictwem tego statku można jakoś nas wytropić, będzie chciał jak najszybciej się go pozbyć. Rozebrać na części albo zatopić na dnie oceanu.

Wstałam.

– Aneley?

– Tak?

– Czy istnieje jakaś inna droga wyjścia stąd, która nie jest monitorowana? To znaczy, prowadząca do doku.

– Wszystko tu jest ściśle kontrolowane – odrzekła. Walnęła pięścią w najbliższą ścianę. – Gdyby była taka droga, już spróbowałibyśmy nią uciec. A dlaczego pytasz? Co masz na myśli?

– *Clínico* – wymamrotał ojciec Aneley gdzieś za jej plecami. – *Clínico! Clínico! Clínico!*

– Już dobrze, papo. – Aneley odwróciła się do niego. – *Què es eso del clínico? Què quieres decir?*

– *Hay un conducto de aire en el techo del clínico* – powiedział starzec głosem drżącym z podekscytowania. – *Lo he visto. Lo he visto.*

Aneley szeroko otworzyła oczy.

– On mówi, że w gabinecie medycznym jest szyb wentylacyjny, który być może dochodzi do doku.

– Muszę się tam dostać i sprawdzić stan naszego statku – oświadczyłam.

– Jak? – spytała. – Oni zabierają nas na tak wysoko położoną kondygnację tylko wtedy, gdy mamy tam sprzątać.

Ale gdy to mówiła, przyszedł mi do głowy pewien pomysł. Odwróciłam się w stronę

Lisbeth leżącej w ciemności na ławce. Gdyby udało mi się przekonać naszych porywaczy, że warto ocalić jej życie, może zdołam uratować też nas wszystkich.

Waliliśmy w drzwi przez kilka godzin, jak się zdawało, zanim wreszcie zjawili się strażnicy. Jeden z nich uchylił je nieznacznie.

– *Dou itta!* Do diabła, o co cały ten raban?

– Proszę – powiedziałam, przybierając moją najbardziej potulną minę. – Lisbeth czuje się gorzej. Musicie jakoś jej pomóc.

Przewrócił oczami, a ja poprzysięgłam sobie już nigdy więcej sama tego nie robić.

– Nikt nie wezwie dla niej lekarza – odparł. – Sama jest sobie winna, że była tak nieostrożna.

Pchnął mnie do środka i zaczął zamykać drzwi.

– Chwileczkę. – Chwyciłam brzeg drzwi. – Jestem sanitariuszką. Mogę się nią zaopiekować, jeśli mi pozwolicie.

Znieruchomiał i zastanowił się.

– To dobra pracownica, prawda? – dorzuciłam. – Chyba jest dla was coś warta?

Uniósł brew i chrząknął.

– Zaczekaj.

Drzwi się zatrzasnęły. Chodziłam nerwowo po celi, odliczając upływające minuty. „Dwie, pięć, siedem...”. Znowu szcękniętą otwierany zamek i w progu stanął Rött. Kilka kroków za nim stali Juna i drugi strażnik.

– Jesteś sanitariuszką? – rzucił.

Przytaknęłam.

– Chodź ze mną – polecił i odwrócił się.

– Ale co z...

– Powiedziałem: chodź ze mną.

Rzuciłam bezradne spojrzenie na Lisbeth i pośpieszyłam za nim.

Starłam się zapamiętać drogę, którą podążaliśmy przez wrzeciono. Dwa piętra w górę windą. Długi korytarz. Skręt w lewo. Krótki korytarz. W prawo, a potem znowu w lewo. Stanęliśmy przed porysowanymi szarymi drzwiami. Jeden ze strażników wstukał kod w klawiaturę panelu zamka. Drzwi się rozsunęły i ujrzałam metalowe półki zarzucone bezładnie pudłami i fiolkami oraz stół do badań lekarskich przykryty popękana winylową ceratą. Gabinet medyczny? Powiodłam wzrokiem po pomieszczeniu i dostrzegłam to, czego szukałam – metalową kratę w lewym górnym rogu.

Rött usiadł na wysokim stole, ściągnął koszulę przez głowę i obrócił się. Na plecach miał wielką purpurową cystę nabrzmiałą od ropy.

– Jeśli się tym zajmiesz, dostaniesz trochę bandaży dla swojej lekkomyślnej przyjaciółki – powiedział.

Zerknęłam na Junę. Ta sytuacja mogła potoczyć się źle na wszelkie możliwe sposoby.

– Potrzebuję rękawiczek.

Kobieta machnęła ręką w kierunku półek.

– Pewnie są tam jakieś.

Obeszłam Rötta i poszperałam w pudłach. Znalazłam jedną lateksową rękawiczkę,

potem drugą. Były różnych rozmiarów, ale musiały mi wystarczyć. Z braku umywalki, wyszorowałam ręce aż do łokci antyseptycznym płynem Betadine ze staroświeckiej butelki i wciągnęłam rękawiczki. Podeszłam do Rötta.

– Dotknę tego, dobrze? – powiedziałam spokojnym, pewnym tonem.

Jak lekarka. Nikt nie będzie chciał zabić lekarki.

Rött chrząknięciem wyraził zgodę.

Lekko dotknęłam guli, wymacałam jej kontury pod skórą.

– Czy to boli?

– Oczywiście, że boli – warknął Rött. – Durna *fitta*.

Cofnęłam się.

– Wygląda na to, że to tylko cysta łojowa, ale uległa zakażeniu. Będziemy musieli otworzyć ją i odsączkować.

– Co to do cholery znaczy? – spytała Juna.

– Muszę ją rozciąć i usunąć ropę – wyjaśniłam. Spojrzałam Röttowi prosto w oczy. – To zaboli, ale później poczujesz się o wiele lepiej.

– Ból to dla mnie żaden problem – rzekł. – Chcę się tego pozbyć.

Skinęłam głową.

– Potrzebuję trochę gazy, skalpel i rolkę plastra zasklepiającego rany.

Strażnicy wymienili spojrzenia. Juna parsknęła ponurym śmiechem.

– Skalpel, tak? Masz nas za idiotów?

– Dajcie go jej – wycedził Rött przez zaciśnięte zęby. Spojrzał na mnie. – Ona wie, co się stanie, gdyby spróbowała jakiejś sztuczki.

Przytaknęłam. Znaleźli rzeczy, o które prosiłam. Rozłożyłam je starannie na stole do badań obok butelki Betadine. Obmyłam płynem dezynfekującym plecy Rötta, a potem zrobiłam u szczytu cysty niewielkie nacięcie w kształcie iksa. Wyciekły z niego krew i ropa. W pomieszczeniu rozszedł się obrzydliwy zapach.

Strażnik zakrzuszył się, a Rött spiorunował go wzrokiem.

– Teraz zaboli – ostrzegłam.

Nacisnęłam podstawę guli i z nacięcia trysnęła tłusta, gęsta, żółtawobiała ropa. Wytarłam ją i znowu ucisnęłam cystę.

– *Jävlar!* – zaklął Rött i stłumił jęk.

Zacisnęłam usta. „Dobrze. Miałam nadzieję, że go zaboli”.

Nadal uciskałam, aż strużka ropy poróżowiła od krwi, a w końcu stała się całkiem czerwona. Jeszcze raz przemyłam Röttowi plecy, umieściłam w ranie sącdek z gazy, po czym oderwałam pasek plastra zasklepiającego i nakleiłam na nacięcie. Kiedy nikt nie patrzył, ukradkiem schowałam do kieszeni resztę rolki plastra.

Rött na próbę poruszył ramieniem, a potem z powrotem włożył koszulę.

– W porządku – rzekł.

– Musisz utrzymać ją w czystości – powiedziałam. Staralam się nie patrzeć na szyb wentylacyjny. – Ale nawet jeśli zachowasz ostrożność, ropa znowu może się zebrać.

Rött zmarszczył brwi.

– Nie chcę jeszcze raz przez to przechodzić.

Ściągnęłam rękawiczki.

– Gdyby znów się zaczęło, mogłabym zrobić ci zastrzyk sterydowy, ale...

Nie dokończyłam, tylko wskazałam bałagan na półkach. „Kto wie, co tam jest?”.

– Więc zrób tu porządek. Znajdź, czego potrzebujesz. – Rött ześliznął się ze stołu i znowu poruszył ramieniem. – Juna, przynieś jej coś do jedzenia.

Kobieta uniosła brwi.

– Słyszałaś, co powiedziałem – rzekł Rött. Popatrzył na mnie z aprobatą. – Nieczęsto zdarza się schwytać kogoś, kto rzeczywiście coś potrafi.

Juna rzuciła mi gniewne spojrzenie, ale kiwnęła głową i wyszła z pokoju.

Przełknęłam nerwowo.

– A co z Lisbeth? Muszę do niej wrócić.

Rött prychnął.

– Skoro tak bardzo się o nią troszczysz, możesz do niej zajrzeć, kiedy skończysz tutaj sprzątać.

Skinął ręką na strażnika i obaj wyszli, zostawiając mnie samą ze środkami medycznymi porozrzucanymi bezładnie na półkach, kłębkami brudnej gazy i kanałem prowadzącym do Mendicanta.

Szyb wentylacyjny był tak wąski, że ledwie się w nim mieściłam, jednak powoli posuwałam się do przodu. Musiałam poczekać, aż Juna wróci z kromką suchego białego chleba i kawałkiem jakiejś nieokreślonej wędzonej ryby, i dopiero potem mogłam zaryzykować wdrapanie się do szybu. Nie chciałam, żeby strażniczka przyglądała się, jak jem, ale nie zamierzała wyjść, póki nie skończę, a żołądek wciąż burczał mi z głodu.

Gdy przeżuwałam ostatni kęs, oparła się o drzwi i rzuciła:

– Więc jesteś teraz ulubienicą Rötta.

Nic nie odpowiedziałam.

– Hm – mruknęła. Zmierzyła mnie ostrym spojrzeniem i wstuknęła kod w panel drzwi.

– Tylko nie zacznij się uważać za kogoś wyjątkowego, *tös*. Röttowi w końcu nudzi się każda, którą sobie upatrzy. A jak myślisz, co spotkało tę Aneley?

Widocznie usatysfakcjonował ją wyraz zgrozy na mojej twarzy, bo zaśmiała się i wyszła, zatrząskując za sobą drzwi.

Szyb przede mną rozgałęził się na dwa równie słabo oświetlone kanały. Zamknęłam oczy i spróbowałam przypomnieć sobie rozkład wrzeczona, na ile potrafiłam. Dok znajdował się trzy piętra nad celą, w której nas więziono, a wejście do niego było dokładnie naprzeciwko drzwi do windy. To oznaczało, że powinien być piętro nade mną i gdzieś po lewej. Popełzłam lewą odnogą, krzywiąc się, ilekroć kolanem czy łokciem uderzyłam w ścianę i w pustym szybie rozbrzmiewało stłumione echo.

Dotarłam do jakiejś kraty i zerknęłam przez nią. Siedmiu strażników siedziało w swobodnych pozach na krzesłach wokół stołu. Odrywali kawałki chleba od bochenka i smarowali je jakąś zieloną pastą. W kącie stał manekin treningowy z moim hełmem nasadzonym na pałubę służącą mu za głowę. Z jego piersi sterczały strzałki do ciskania i noże. *Chaila*. Ruszyłam dalej, możliwie jak najciszej, aż dotarłam do załomu. Szyb biegł tam cztery metry pionowo w górę i u szczytu rozgałęział się na dwa korytarze.

– *Vaat* – zakląłam.

Kiedy byłam mała, czasami wpierałam boscie stopy w boki framugi drzwi mojej sypialni i posuwałam się tak w górę aż do szczytu. Ava wyśmiewała się ze mnie, że

widocznie mam stopy gekona. Teraz jednak byłam cięższa i już wiele lat temu przestałam wspinać się dla zabawy.

Stałam w pionowym szybie, przycisnęłam dłonie do jego boku i podskoczyłam, żeby móc też oprzeć stopy o przeciwległy bok. Metalowa ściana zadudniła, gdy uderzyłam w nią nogami. Zamarłam w bezruchu. Na pewno mnie usłyszeli. Czekałam, ale minęło kilka minut i nikt się nie zjawił.

Posuwałam się powoli w górę szybu, centymetr po centymetrze. Ręce paliły mnie z wysiłku. W końcu wywindowałam się przez górny skraj i wśliznęłam się do kanału następnego piętra. Leżałam na brzuchu, dysząc. Nie powinnam była nigdy porzucić wspinania się po framugach.

Wreszcie doszłam do siebie i popęzłam dalej. Za następną kratą było pomieszczenie pełne szafek, za kolejną dyspozytornia z widokiem na hangar, a w końcu dok rzęsiście oświetlony brzęczącymi lampami rtęciowymi. Obydwa ociekające wodą promy spoczywały na swoich stanowiskach cumowniczych, a obok nich stał Mendicant, dokładnie nad jedną ze śluz powietrznych. Nadal miał wysuniętą rampę załadowniczą. Przynajmniej w tym jednym dopisała mi odrobina szczęścia pośród ciągu wszystkich tych okropieństw. Ale żeby dotrzeć do naszego statku, musiałam jeszcze przebiec przez pół jaskrawo oświetlonego hangaru i modlić się, żeby w tym czasie nikt go nie obserwował.

Wstrzymałam oddech i nasłuchiwałam. Żadnych dźwięków, żadnych głosów, tylko brzęczenie lamp wysoko w górze. Obróciłam sworznie mocujące kratę i jak najdelikatniej położyłam ją na podłodze. Dłonie miałam śliskie od potu i niemal ją upuściłam. Wyrzłam w lewo, potem w prawo. Nadal nikogo. Wymknęłam się do jasnego, pustego doku i przykucnęłam przy ścianie. Lampy tak głośno brzęczały. Wszystko było takie głośnie. Bicie mojego serca. Mój oddech. Szelest mojego kombinezonu, gdy się podnosiłam. „Teraz – powiedziałam sobie. – Muszę to zrobić teraz, zanim ktoś nadejdzie”.

Ale moje ciało nie chciało się poruszyć. Nie mogłam się zmusić, żeby oderwać się od ściany. Stałam na widoku, pośród moich wrogów, a krew zastygła mi w żyłach. Miałam wrażenie, jakbym znowu była w schowku w domu na Gyre i nie mogła powstrzymać tego, co dzieje się po drugiej stronie drzwi. „Oni cię obserwują. Tylko czekają, żebyś się ruszyła, a wtedy cię złapią”.

„Idź. Musisz iść”. Usłyszałam głos matki: „Wchodź, Miyole!”.

Popędziłam do Mendicanta.

Jedna sekunda.

Druga.

Trzecia.

Czwarta.

Piąta.

Pod moimi nogami zabrzączała rampa i po chwili zniknęłam u jej szczytu w ciemnym włazie ładowni. Zatrzymałam się, dysząc ciężko. Obejrzałam się za siebie. Nikt mnie nie ścigał. Nikt nie wszczął alarmu. Dotarłam przynajmniej tak daleko.

Przy podłodze Mendicanta nadal jarzyły się pomocnicze lampki, ale nie odważyłam się zapalić żadnych innych świateł, gdy szłam ostrożnie do kokpitu, dotykając jedną ręką ściany. Ogarnęło mnie dziwne uczucie, jakbym już kiedyś odbyła tę drogę i wiedziała, co zastanę.

A jednak jęknęłam cicho na ten widok. Synaptyczne panele przed kokpitem wybebeszono metodycznie i kompletnie. Tam gdzie wcześniej były przewody i złącza, widniały wycięte w ścianie dwa puste, idealnie kwadratowe otwory. W kokpicie ktoś wyłamał obudowę pulpitu sterowniczego, pozostawiając odsłonięty mechanizm.

– Nie – wyszeptałam.

Nogi miałam jak z waty, ale zdołałam jakoś wejść do kokpitu. Zawiesiłam dłonie nad odsłoniętymi puszkami montażowymi i kablami, jakby to mogło je naprawić. Wtyk igłowy, który umożliwił nam zlokalizowanie wrzeciona Tsukina, leżał w dwóch kawałkach na podłodze pośród porzucanych luźnych sworzni. Owszem, powiedziałam Aneley, że właśnie tego się obawiam, niemniej nie mogłam uwierzyć własnym oczom. Ci *Dakaici* rozebrali Mendicanta na kawałki.

Osunęłam się na fotel kapitański i popatrzyłam pustym wzrokiem na dok. Nie przypuszczałam, że wypatroszą statek tak szybko. Sądziłam... sama nie wiem... że uda mi się go jakoś naprawić. Że będę w stanie odwrócić uczynione przez nich szkody. Mielisśmy odlecieć wszyscy razem, tak aby jeśli jeden z pilotów zostanie ranny, drugi mógł go zastąpić. Wiedziałam, że możemy użyć promów, ale ryzyko zwielokrotniało się, ilekroć się rozdzielaliśmy.

Bez przekonania puknęłam w sensorowy włącznik na pulpicie sterowniczym. Po prawej stronie konsoli zamigotały lampki. Przesiadłam się na fotel drugiego pilota i sprawdziłam, co pozostało nienaruszone. Tylko telemetria, pneumatyka i oświetlenie. Nie było żadnej możliwości uruchomienia silników. Żadnej cyrkulacji powietrza. Niczego, co pozwoliłoby nam wydostać się stąd.

Moją uwagę zwrócił nagły ruch. Dwaj mężczyźni szli żwawo przez hangar prosto do Mendicanta. *Vaat*. Zerwałam się na równe nogi i wyłączyłam konsolę. Odwróciłam się do otworów wyciętych w ścianach, a potem z powrotem do przedniego iluminatora. Nie zdążyłabym wyjść. Cofnęłam się do grodzi. Musiałam się ukryć, ale gdzie?

„Przedziały magazynowe”. Niewątpliwie sprawdzili je jako pierwsze, szukając towarów, więc może nie wejdą tam ponownie. Chyba, że zajrzeli do gabinetu medycznego, zobaczyli, że jest pusty, i szukają mnie. Z pewnością w całym wrzecionie są kamery monitoringu, ale czy ktokolwiek przegląda ich nagrania to inna kwestia. Gdy na rampie załadowniczej zadudniły kroki, poszłam szybko i cicho w głąb korytarza.

– ...i trzeba będzie użyć do tej krypy piły termicznej.

Chaila. Nie zdążę do magazynu.

– Przynajmniej możemy sprzedać ten wrak na złom. Jak to mówią o darowanym koniu? Żeby nie zaglądać mu do pyska, czy jakoś tak?

Zawróciłam. Nie schowam się w magazynie ani kokpicie czy kajucie sypialnej. A przez wycięte w ścianach otwory przepęłznąłby Tybet, ale nie ponadprzeciętnie wysoka dziewczyna w skafandrze ciśnieniowym.

Drugi mężczyzna się roześmiał.

– Nauczył cię tego twój rodziciel? Ja nigdy nie pojmę tych staroświeckich porzekadeł.

Fragment podłogi ugiął się, gdy szłam po nim szybko. Oczywiście. Pod spodem był korytarz towarowy, w którym kiedyś ukryliśmy się przed *Dakaitami*. Jeżeli ludzie Rötta rozbierają statek, najprawdopodobniej tam zajrzą, ale teraz deptali mi już po piętach. Nie miałam innego wyboru.

Uniosłam płytę podłogi, skoczyłam w dół i umieściłam płytę z powrotem na miejscu w momencie, gdy tamci dwaj mężczyźni wchodzili do korytarza. Zasłoniłam obiema dłońmi usta, żeby stłumić odgłos mojego oddechu.

– Nie rozumiem, dlaczego nie możemy sprowadzić tu tych parobków, żeby to zrobili.

– *Che*. Naprawdę chcesz dać im do ręki piły termiczne?

– Nie tym nowym. Mam na myśli tych, którzy są już okiełznani.

„Parobkowie... okiełznani...” Niewątpliwie mówił o nas i naszych towarzyszach niedoli. O ludziach uwieczonych w tamtej ciemnej celi trzy piętra niżej. Ogarnął mnie gniew. Zapragnęłam walnąć ich głowami o ścianę. Chciałam zobaczyć, jak powoli się wykrwawiają.

– Rött nie zechce ryzykować wypuszczenia ich z celi do roboty, dopóki w okolicy nie przestaną się pętać wszystkie te urzędasy. Wystarczy, że jeden z więźniów ucieknie i zacznie gadać, a tym rządowym typkom trudno będzie przymknąć na to oko.

Drugi mężczyzna prychnął.

– Chciałbym zobaczyć, jak poradziliby sobie tutaj choćby przez rok. Robiliby to samo co my.

„Rządowe typki? Urzędasy?”. Widocznie na orbicie wokół Enceladusa przebywał ktoś ważny. Ktoś, kogo reputacja ucierpiałaby, gdyby się wydało, że pozwala na handel niewolnikami. „Zezwolenie wyjścia na ląd”, przypomniałam sobie nagle. Ranganathan. Czy mogło chodzić o nich? Obliczyłam w myśli czas. Cztery tygodnie lotu z wolniejszą prędkością Ranganathana... to możliwe. Mieli się tu zatrzymać. Tak, to możliwe. Nawet bardzo prawdopodobne. A jeśli uda mi się do nich dotrzeć... zdecydowanie wolałabym być więźniem na Ranganathanie niż tutaj.

Potem jednak do mojego umysłu wkradła się wątpliwość. Nawet jeśli to oni, IGS nie jest zainteresowany węszeniem tutaj. Dlaczego mieliby to robić? Przecież kupują statki od Rötta albo przynajmniej od ludzi, którym on je sprzedaje. Sam to powiedział.

– *Jälvar* – rzekł jeden z mężczyzn i splunął. – Ta banda hipokrytów nie chce wiedzieć o tym, jak zarzyna się dla nich kurczaki.

Rozejrzałam się po kablach i gniazdach wokół mnie. Nadal był tam tłumik sygnału, który Rubio i ja zamontowaliśmy na początku naszego lotu. Mogłabym go usunąć. Może to między innymi on zakłócił działanie naszego systemu łączności dalekiego zasięgu, kiedy wetknęliśmy w gniazdo tamten wtyk z kulistej skrzynki kontaktowej. Gdybym wyjęła tłumik, mogłabym naprawić nadajnik, pod warunkiem, że miałabym dość czasu. Być może. O ile przyczyną rzeczywiście był tłumik. I gdyby ludzie Rötta wystarczająco długo zostawili mnie w spokoju. Żałowałam, że nie ma tu Rubia. Może umiałam naprawiać ludzkie ciała, ale z maszynami jemu szło o wiele lepiej niż mnie.

– Nadal chcesz zabrać te fotele? – zapytał nade mną jeden z mężczyzn.

– *Säkerligen*, chcę. Są lepsze od tych, które mamy teraz w dyspozytorni.

Usłyszałam odgłos ich kroków wracających do kokpitu.

Wypuściłam powietrze z płuc. Mogą brać z kokpitu, co zechcą, byle tylko nie uszkodzili dalej systemu łączności.

Położyłam się na plecach i wetknęłam paznokcie pod płytę obudowy urządzenia sygnałowego. Zawsze uważałam, że maść wzmacniająca paznokcie, której używały inne dziewczyny w Akademii Revati, jest nieskuteczna, ale teraz pożałowałam, że jej nie mam. Jeszcze lepszy byłby nóż. Albo magnetyczny lewar. Przesunęłam płytę na tyle, że zdołałam wcisnąć palce do wewnątrz. Pękł mi jeden paznokieć, ale stłumiłam okrzyk bólu i wysłałam krew. Już prawie się udało.

Płyta spadła mi na klatkę piersiową, odsłaniając ekranik urządzenia sygnałowego i tłumik – biały plastikowy kwadracik umieszczony w miejscu, gdzie powinien być wzmacniacz. Wykres sygnału był tylko niebieską linią drgającą u dołu wyświetlacza wskazującego zasięg.

Zawahałam się. A co, jeśli to wszystko na próżno? Jeśli tam w górze na orbicie wcale nie ma Ranganathana? Albo jeśli załoga statku zignoruje mój sygnał alarmowy? Przecież nie chcieli wysłać myśliwców w pościg za *Dakaitami*, kiedy na ich oczach porwano Nethanela. Dlaczego więc mieliby zareagować na anonimowy sygnał? Rött i jego ludzie szybko zorientują się, że Mendicant nadaje. I nawet jeżeli zdołam wrócić kanałami do gabinetu medycznego, zanim odkryją moją nieobecność, będą musieli kogoś o to obwinić. Zaczną nas pilnować jeszcze staranniej i stracimy jakąkolwiek szansę przejęcia promów.

Ciszę rozdarł jakiś zgrzyt, a potem brzęk i łupnięcie, gdy coś się przewróciło. „Fotele w kokpicie”. Widocznie wyrwali jeden z nich z podłogi.

Łzy zamgliły mi wzrok, ale je otarłam.

– Manman – szepnęłam. – Co mam zrobić?

„Nie musisz już teraz podejmować decyzji – odpowiedział spokojny głos gdzieś z głębi mojego umysłu. – Nie wiesz nawet, czy uda ci się naprawić system łączności dalekiego zasięgu. Lepiej pozostaw sobie możliwie jak najwięcej opcji, a potem zorientujesz się, jak rozwija się sytuacja”.

Usunęłam kwadracik tłumika z gniazda. Wykres na ekranie urządzenia sygnałowego natychmiast się zmienił – wciąż nie była to precyzyjna, elegancka linia, jakiej potrzebowalibyśmy, aby przesłać do Ranganathana komunikat albo dane, jednak wskazywała na ilość energii wystarczającą do wysłania sygnału alarmowego, jakiego używają statki IGS, gdy znajdują się w niebezpieczeństwie. Gdybym jeszcze mogła wrócić do kokpitu, żeby się przekonać, czy działa nadajnik dalekiego zasięgu, i zaprogramować sygnał.

W statku rozbrzmiał echem zgrzyt wyrwania drugiego fotela, a potem dobiegły mnie stłumione głosy:

– ...cięższy niż wygląda.

– Weź ten, a ja wezmę drugi.

Rozległ się długi, przenikliwy zgrzyt, dźwięczący w moich zębach – to ciągnięto fotele po podłodze. Odgłos zmierzał ku mnie i po chwili usłyszałam go tuż nad korytarzem towarowym, w którym się kryłam. Zasłoniłam dłońmi uszy i zacisnęłam

szczęki. Minął mnie jeden mężczyzna, potem drugi. Zeszli z rumorem po rampie załadowniczej. Rozległ się metaliczny brzęk, gdy postawili fotele na podłodze doku. Czekałam, wyęzając słuch. Usłyszałam tylko wysoki, przenikliwy wizg.

Uniosłam się do pozycji siedzącej i wypchnęłam płytę podłogi nad sobą. Korytarz był pusty. Stąpając jak najciszej, dotarłam do kokpitu. Wydawał się większy bez foteli pilotów. Tamci dwaj strażnicy przeszli już przez dok i wciągali fotele do sąsiadującej z nim dyspozytorni. Stałam nad konsolą i zawahałam się. Może powinnam wrócić, póki jeszcze mogę. Ludzie Rötta z pewnością nie odkryli jeszcze mojej nieobecności w gabinecie, gdyż w przeciwnym razie nie łąziliby, rozprawiając o fotelach. Obmyślony przez Nethanela i Aneley plan przejęcia promów jest pewniejszy.

Ale pewne było również to, że jeżeli wcielimy go w życie, co najmniej jedno z nas zostanie tutaj. Poza tym skoro tamci nie zamierzali pozwolić nam na ponowne opuszczenie celi, dopóki nie odleci ten ktoś krążący w statku wokół Enceladusa, oznaczało to kilka dni, może nawet tydzień przebywania w zatłoczonym pomieszczeniu, w smrodzie i kompletnych ciemnościach. Jak długo wytrzyma Lisbeth? Ile czasu minie, zanim ludzie Rötta zaczną się nudzić i dla rozrywki pobiją jedno z nas, odetną nos albo zrobią z którąś to co z Aneley?

Ryzyko istniało tak czy owak. Żałowałam, że nie ma tutaj Cassii i pozostałych, żeby mi powiedzieli, którą drogę wybrać. Ale nie było ich i musiałam zdecydować sama, tu i teraz. Jeśli się myliłam, jeśli to nie Ranganathan krąży po orbicie, zapłacimy wysoką cenę, gdy Rött i jego ludzie odkryją wysłanie sygnału. Zemdliło mnie z napięcia. Czy tak właśnie czuła się manman, gdy wymierzyła rewolwer w tego mężczyznę leżącego na podłodze naszej sypialni? Co odczuwali nasi przodkowie sprzed stuleci, kiedy decydowali czy walczyć o swoją wolność, czy poczekać na bardziej sprzyjający moment? Jak ktokolwiek może w ogóle wiedzieć, co jest słuszne? A może po prostu działa się spontanicznie i modli, żeby to była właściwa decyzja?

Popatrzyłam na konsolę systemu łączności, a potem znów wyjrzałam przez przedni iluminator na strażników, którzy ustawiali w dyspozytorni fotele z Mendicanta. Wyobraziłam sobie Rötta dotykającego Cassii i wyraz jej oczu taki, jaki teraz ma Aneley. Nie mogłam wiedzieć, czy podejmuję dobrą decyzję. Być może nigdy się tego nie dowiem.

Włączyłam konsolę.

Ekran systemu łączności ożył. Ściszyłam odbiornik i otworzyłam zewnętrzny kanał. Nic. Podkreśliłam głośność. Rozległ się tylko niski, cichy szum. Żadnych rozmów w przestrzeni kosmicznej, jakie powinnam usłyszeć, żadnych sygnałów wywoławczych. Na czoło wystąpił mi zimny pot. Spojrzałam w kierunku dyspozytorni na końcu doku. Jeden ze strażników śmiał się rozwalony w skradzionym fotelu. „To nic nie znaczy”. Nadajnik może jednak działa, nawet jeśli odbiornik dalekiego zasięgu jest głuchy.

Dałam nura pod konsolę łączności. Przynajmniej jej nasi porywacze nie wybebeszyli. Otworzyłam interfejs sterujący staroświeckimi urządzeniami Mendicanta i wywołałam diagnostykę systemu łączności. Linia odbioru płonęła czerwono, ale linia nadawania była zielona. Czyli nadajnik powinien działać. Musiałam tylko zaprogramować go, żeby wysłał używaną przez IGS sekwencję impulsów alarmowych.

Wyciągnęłam głowę spod konsoli i sprawdziłam, co z tymi *Dakaitami*. Nadal byli w dyspozytorni. Przełączyłam nadajnik na tryb pulsacyjny i ustawiłam natężenie i częstotliwość tak, żeby sygnał mógł zostać odebrany przez wszystkich. Teraz mogli go wychwycić również ludzie Rötta, ale nie znałam na pamięć sygnatury wywoławczej Ranganathana, więc musiałam podjąć to ryzyko. „Proszę, niech on będzie tam w górze. Proszę, niech nas usłyszy”.

Przełączyłam ekran z powrotem na diagnostykę i w napięciu wstrzymałam oddech. Na linii wykresu nadajnika pojawił się zygzak. Potem następny. I wciąż była zielona. Nadajnik działał. Nie wiedziałam, jak długo wytrzyma, i nie mogliśmy odebrać żadnej odpowiedzi, ale chwilowo działał. Przez kilka sekund wyobrażałam sobie ucieczkę i co zrobię, jeśli się stąd wydostanę. Znowu uściskam Sorayę tak, jak zwykłam robić, kiedy byłam małą dziewczynką. A także Avę i Rushila. Pojadę odwiedzić New Gyre, do czego stale namawiała mnie Ava. Zobaczę, czy jest tam coś podobnego do domu z mojego dzieciństwa...

Dosyć. Nie mogłam sobie pozwolić na zbyt głębokie pograżanie się w tej fantazji. Zaprogramowałam zapętłone powtarzanie serii sygnałów alarmowych i znów popatrzyłam na obydwu *Dakaitów*. Jeden z nich coś pił. Drugi wylegiwał się w fotelu, z nogami na biurku. Pora ruszać.

Przykłękłam w cieniu rampy załadowniczej Mendicanta. Teraz pozostało tylko czekać, czy z Ranganathana wyślą kogoś po nas, czy może wcześniej Rött i jego ludzie wykryją naszą transmisję. Musiałam wrócić do pozostałych i powiedzieć im, co zrobiłam. Powinniśmy być gotowi.

Od szybu powietrznego oddzielało mnie około dwudziestu metrów jaskrawo oświetlonej przestrzeni. Ile czasu zajmie mi przebiegnięcie tego dystansu i wciągnięcie kraty z powrotem na miejsce? Dziesięć sekund? Piętnaście? Mężczyźni tam na górze, w dyspozytorni, mogli w każdej chwili wyjrzeć na hangar. Nawet jeśli mnie nie złapią, podniosą alarm. Ale im dłużej czekałam, tym bardziej ryzykowałam, że Juna albo Rött odkryją moją nieobecność. Moje szanse na powrót do pozostałych malały z każdą minutą w postępie geometrycznym.

Popędziłam ile sił w nogach do szybu. „Nie patrzcie. Nie patrzcie. Nie patrzcie”. Zatrzymałam się gwałtownie przy ścianie i straciłam kilka cennych sekund na

wciśnięcie się do otworu szybu nogami naprzód. Gdy pełzłam na brzuchu, walnęłam kolanem o boczną ścianę kanału. Zamarłam. *Vaat*.

W ciszy rozległ się elektroniczny odgłos otwierania drzwi dyspozytorni.

– Co to było? Słyszałeś uderzenie?

Trzęsącymi się rękami podniosłam kratę i umieściłam ją w wylocie szybu. Bolce zaskoczyły z cichym szczęknięciem. Skrzywiłam się. „Nie tutaj. Nie tutaj. Nie patrzcie w tę stronę”.

– Niczego nie słyszę. Może to winda?

– Nie, to było gdzieś tam.

Na schodach zatupotały kroki, a potem zaczęły się zbliżać.

– Zaczynasz słyszeć duchy? – rzucił drugi mężczyzna, podążając za pierwszym. – Nie powinienesz słuchać tego, co wygaduje Njord. To kompletny pomyleniec.

– *Skit på dig*. Pomyślałem...

Zobaczyłam przez kratę nogi jednego z nich. Zacisnęłam powieki.

– Niczego tu nie ma – rzekł drugi.

– No tak... – powiedział pierwszy, jednak nadal z nutą powątpiewania.

Otworzyłam oczy.

– Mówię ci, to winda.

– Pewnie tak. Albo może znowu mamy tu szczury.

Drugi mężczyzna się roześmiał.

– Wiesz, co to oznacza. Sezon potrawek ze szczurów.

– Kielbasek ze szczurów – dorzucił pierwszy.

– Pierogów ze szczurami.

Drżąc, odczołgałam się do tyłu. Ich śmiech cichł, w miarę jak posuwałam się w głąb kanału. Droga powrotna była łatwiejsza, zwłaszcza zejście pionowym szybem pomiędzy piętrami. Wparłam dłonie i stopy w jego ściany, żeby nie spaść szybko i nie rąbnąć w dno. Bezszelestnie minęłam pomieszczenie z szafkami, a następnie to z manekinem treningowym w moim hełmie.

W końcu dotarłam do gabinetu medycznego i zerknęłam przez kratę. Pokój wyglądał dokładnie tak jak wtedy, gdy go opuściłam. Kilka okruchów chleba na stole do badań i bałagan na półkach.

Zeskoczyłam na podłogę, ponownie włożyłam kratę, a potem zgięłam się w pół i zrobiłam głęboki wydech. To było takie przyjemne – wydech zmienił się w śmiech i po chwili śmiałam się tak, że ledwie mogłam oddychać. Uchodziło ze mnie całe napięcie i odreagowywałam konieczność zachowywania ciszy. Śmiałam się i śmiałam, aż poczułam ból tak ostry, że łzy napłynęły mi do oczu. To już wcale nie było zabawne, a ból przeszył mnie aż do mostka, ale nie mogłam przestać się śmiać. Pewnego razu, kiedy byłam mała, zjadłam trochę zjełczałego masła i potem wymiotowałam niepowstrzymanie, póki się go nie pozbyłam. Teraz czułam się podobnie. Jakby moje ciało nie mogło przestać, dopóki nie wyrzuci z siebie wszystkiego.

Odłożyłam zbyt luźne rękawiczki i rolki plastra zasklepiającego i zaczęłam sortować buteleczki z pigułkami i surowicami. Zastanawiałam się, gdzie jest Juna. Czy obserwuje mnie, czekając, aż skończę? Wykluczone, gdyż wówczas zauważyłaby wcześniej, że

pokój jest pusty i postawiłaby na nogi wszystkich we wrzecionie, żeby mnie szukali. Znalazłam pojemniki z niemi chirurgicznymi i inne z wacikami. Więcej Betadine i co jeszcze lepsze – tubki antybakteryjnego kleju chirurgicznego. Wsadziłam jedną do kieszeni i wytarłam półki.

Czy wrócą po mnie? Rött powiedział, że tak. Obiecał, że kiedy skończę tutaj sprzątać, będę mogła zająć się Lisbeth. „To także on porwał wszystkich więzionych w tej celi i przystawił ci rewolwer do skroni – rzekł głos w mojej głowie. – Dlaczego miałby kiedykolwiek dotrzymać słowa?”.

Potarłam blizny na dłoniach. Nie mogą bez końca trzymać mnie tutaj samej, prawda? Wyobraziłam sobie, że Rött spotyka się z komandor Dhar i zapewnia ją, że nie dzieje się nic złego, a Mendicant to tylko wrak z wadliwie funkcjonującym nadajnikiem. Że my wszyscy zostaniemy tutaj na łasce Rötta. I że tutaj umrzemy.

Gardło mi się ścisnęło. Bez żalu porzuciłam moje laboratorium i miejsce w IGS, ale zmarnować całe życie? Dotąd nigdy w gruncie rzeczy nie myślałam, że ucieczka może się nam nie powieść. To znaczy, wiedziałam, że teoretycznie to możliwe, jednak aż do tej chwili nigdy naprawdę w to nie wierzyłam. W moich wyobrażeniach uratowaliśmy Nethanela, a ja znalazłam inną drogę życiową, inny sposób wykorzystania moich umiejętności. Miałam okazję pokazać Cassii plaże i parki Mumbaju, miałam szansę poznać prawdziwą ją, a nie tylko tę przestraszoną i mściwą część niej. Mogłam opowiedzieć jej wszystkie moje marzenia i wspomnienia. Do oczu napłynęły mi palące łzy. Kto będzie pamiętał moją matkę, kiedy umrę? Kto będzie pamiętał Gyre albo historie, które matka opowiadała mi o Haiti? Wszystko to umrze wraz ze mną w obskurnym gabinecie medycznym na złodowaciąłym księżycu.

Walnęłam pięścią w drzwi.

– Juna!

Nikt nie odpowiedział.

Uderzyłam ponownie, mocniej.

– Juna, proszę!

Nadal cisza.

Rąbnęłam w drzwi obiema pięściami.

– Proszę, wypuście mnie! – Łzy zamgliły mi wzrok. Zaczęłam walić w drzwi coraz szybciej. – Juna czy ktokolwiek tam jest, proszę!

Juna wpadła do pokoju jak burza.

– Co się tu dzieje? – Popatrzyła na półki, potem na moją twarz zalaną łzami. – Do *helvete*, co ty wyprawiasz?

Wbiłam paznokcie w dłonie. Chciałam przestać płakać, ale nie mogłam.

Juna uderzyła mnie w twarz, potem złapała za kark i potrząsnęła.

– Zamknij się! Powiedziałam, zamknij się!

– Pomyślałam, że mnie tutaj zostawicie – wydusiłam.

Na twarzy strażniczki pojawił się wyraz odrazy zmieszanej z niepokojem. Niewątpliwie uważała, że oszalałam.

– Chcesz wrócić do swojej jamy? Czy właśnie o to ci chodzi?

Nie odważyłam się przytaknąć. W jej mniemaniu nikt o zdrowych zmysłach nie chciałby porzucić względnej wygody gabinetu dla naszej zimnej i wilgotnej celi.

– Lisbeth... – wyjąkałam suchymi wargami.

Juna z pewnością o tym pamięta.

Przewróciła oczami.

– Nadal się nią przejmujesz?

Nic nie odpowiedziałam.

Strażniczka zacisnęła usta w wąską linię.

– Doskonale.

Wciąż trzymając mnie mocno za kark, wywlekła mnie z pokoju i zjechała ze mną windą do celi, w której oczekiwali pozostali. „Dziękuję, dziękuję”, powtarzałam w duchu, chociaż boleśnie ścisnęła mi szyję. Otworzyła drzwi, wepchnęła mnie do środka i szybko zatrzęsnęła je za mną. Upadłam na kolana. Brakowało mi tchu i byłam posiniaczona, ale wróciłam tam, gdzie chciałam.

– Mi? – Cassia podbiegła do mnie. – Co się stało? Nic ci nie jest?

– Nic – odparłam. Zbyłam ją machnięciem ręki i włączyłam lampki mojego skafandra. – Ze mną wszystko w porządku. Nikt mnie nie skrzywdził.

Rubio podszedł szybko do nas. Za nim cisnęli się Aneley i Nethanel.

– Co się stało? Udało ci się dotrzeć do statku? Nadal jest zdolny do lotu?

Przełknęłam nerwowo.

– Tak, dotarłam do niego. I nie, nie nadaje się do lotu. Zaczęli go już złomować. Działa w nim tylko oświetlenie i nadajnik dalekiego zasięgu...

Rubio jęknął.

Nethanel trącił Cassię w ramię i zasygnalizował do niej na migi.

– Nic nie szkodzi – przetłumaczyła dla nas. – Nadal możemy użyć promów, prawda?

– No tak...

– Widzisz? – rzekła. – Po prostu wracamy do dawnego planu, to wszystko. Wciąż może się udać.

– Problem w tym... – urwałam i zawahałam się.

Spojrzeli na mnie.

– Usłyszałam ich rozmowę. Chyba jest szansa, że Ranganathan krąży po orbicie nad nami.

– Co to takiego? – spytała Aneley i przeniosła spojrzenie ze mnie na Nethanela.

– To nasz statek należący do Instytutu Głębinowych Sondowań – wyjaśnił Rubio. – Ten, który próbował odpędzić tamtych *Dakaitów*. – Popatrzył na Nethanela. – Przykro mi, że nie zdążyliśmy w porę.

Nethanel potrząsnął głową.

Odchrząknęłam.

– Powinniście się dowiedzieć, że ja... ee... coś zrobiłam.

W celi zapadła cisza. Pozostali wymienili zaniepokojone spojrzenia.

– Powinnam najpierw was zapytać, ale nie było czasu. Pomyślałam...

– Co zrobiłaś? – rzuciła Aneley.

– Naprawiłam system łączności Mendicanta – odpowiedziałam. – Nie całkiem, tylko częściowo. Wystarczająco, żeby wysłać sygnał alarmowy.

Zaległo między nami milczenie tak napięte, że niemal nie do zniesienia.

Rubio popatrzył na mnie z niedowierzaniem na twarzy.

– Chcesz powiedzieć, że... Ranganathan przyleci po nas?
Cassia i Nethanel zaczęli gwałtownie rozmawiać na migi.

– Być może – odrzekłam.

– Jak to „być może”? – spytała Cassia.

– Nie jestem pewna, czy to rzeczywiście oni. A nawet jeśli tak, to nie wiem, czy się zjawią. – Spojrzałam na Nethanela. – Nie zezwolili nam na wyruszenie po twojego brata.

– Ale mogliby przylecieć? – spytała Aneley podekscytowanym tonem. Odwróciła się do mnie. – Rött nie walczyłby z okrętem rządowym.

Rubio potrząsnął głową.

– Jeden sygnał alarmowy. Mogą go w ogóle nie zauważyć.

– I dlatego zaprogramowałam zapętłone powtarzanie transmisji – powiedziałam.

Znowu zapadła cisza. Potem odezwał się Rubio:

– Czyli sygnał wciąż jest nadawany?

Przytaknęłam.

Rubio podniósł się z podłogi.

– *Maldito sea* – powiedział.

– Co? – spytała Aneley. – Co to znaczy?

– To, że wykryją ten sygnał – wyjaśnił z posępną miną. – Rött i jego chłopcy. Nadal rozbierają nasz statek. Nie sądźcie, że zauważą nadawanie?

– Co takiego? – rzuciła napiętym tonem Aneley.

– Miyole, jak to? – spytała z niepokojem Cassia.

– Musiałam zaryzykować – oświadczyłam.

Spojrzałam na Cassię. Pragnęłam, żeby zrozumiała moją decyzję. „Zrobiłam to dla ciebie. Nie chciałam, żebyś samotnie tu została. Nie chciałam, żebyś się dla nas poświęciła”.

– Och, Boże – jęknęła Aneley. Wstała. – Oni nas zabijają. Zanim ktokolwiek zdoła nas odszukać.

Nethanel poderwał się i przytulił ją, przecząco kręcąc głową.

– Ty nie wiesz – rzekła, spoglądając na mnie błędnym wzrokiem. – Nie wiesz, do czego są zdolni.

– Ale możemy podjąć z nimi walkę – powiedziałam, jednak opuściła mnie pewność, jaką czułam, kiedy stałam przy konsoli Mendicanta. – Musimy tylko dostatecznie długo stawić im opór...

– Sama powiedziałaś, że ci z Ranganathana mogą nie przylecieć – rzekła Cassia. – Nie chcieli wysłać nikogo w pościg za *Dakaitami*. Dlaczego mieliby teraz interweniować?

Rubio spojrzał na nią gniewnie.

– Odstraszyliśmy ich, kiedy atakowali wasz statek. Stale o tym zapominasz.

– Jeżeli otrzymają jednoznaczny sygnał – powiedziałam. – Jeżeli nie będą mogli go zignorować...

Przerwał mi ojciec Aneley, krzyząc:

– *Ki ki ri ki! Ki ki ri ki!*

W chwili ciszy, która nastąpiła po jego wybuchu, usłyszałam coś, co zmroziło mi

krew w żyłach. Dudnienie zbliżających się ciężkich kroków.

Rubio dał nam ręką znak, żebyśmy cofnęli się od drzwi, i przywarł płasko do ściany obok nich. Zgasiłam lampki mojego skafandra. Przyzwyczajenie wzroku do ciemności mogło stanowić naszą jedyną przewagę.

Drzwi otwarły się gwałtownie. Rubio podstawił nogę pierwszemu strażnikowi. Mężczyzna runął jak długi, elektryczny paralizator wypadł mu z ręki i przeleciał po wilgotnej podłodze. Cassia podniosła broń i z wraskiem rzuciła się przez drzwi na następnego strażnika. Nethanel wypadł za nią, a po chwili dołączyła do niego Aneley dzierżąca w każdej ręce muszlę czarki. Jeden ze strażników zamachnął się paralizatorem na Nethanela, a chłopak uchylił się i rąbnął go łokciem w zębra. Aneley gwałtownie zaatakowała tego samego strażnika; mierzyła ostrymi muszlami w barki, ale chybiła i jedna werżnęła się w jego szyję. Mężczyzna krzyknął z bólu i przycisnął dłoń do rany, upuszczając paralizator.

Dałam nura po tę broń, ale uprzedził mnie Punga. Chwycił paralizator i dźgnął nim w stopę następnego strażnika. Przez nogę mężczyzny przebiegł w górę elektryczny prąd, trzaskając i iskrząc na metalowych okuciach buta. Strażnik zwinął się z bólu, oczy uciekły mu w głąb czaszki, i osunął się na podłogę tuż przed drzwiami. Z korytarza dobiegł ryk syreny tak ogłuszający, że miałam wrażenie, jakby świdrował mi oczy. Lecz Nethanel się nie zawahał. Mocno rąbnął jednego strażnika w szczękę i natarł na kolejnego, wypychając obydwu na korytarz. Tam któryś zamierzył się na niego paralizatorem, ale Cassia trafiła napastnika swoim w klatkę piersiową.

– Chodźcie! – krzyknął Rubio.

Pobiegłam do drzwi, ale po chwili przypomniałam sobie – Lisbeth. Starsza kobieta podźwignęła się z ławki i powoli, z wysiłkiem ruszyła chwiejnie w kierunku drzwi, wspierając się ręką o ścianę, żeby nie upaść.

– Idźcie – rzuciła z twarzą ściągniętą grymasem bólu. – Dogonię was.

– Sama nie dasz rady – powiedziałam.

Mocno otoczyłam ramieniem plecy Lisbeth, a jej ranną rękę przerzuciłam sobie przez barki. Krew przesiąkała już przez prowizoryczny opatrunek. Przypomniałam sobie o rolce plastra zasklepiającego w kieszeni, ale nie było teraz czasu, żeby go użyć.

Pośpieszyliśmy wraz z pozostałymi na korytarz, mijając strażników leżących pokotem na podłodze. Niektórzy broczyli krwią, inni byli martwi. Może powinnam się tym przejąć, ale nie potrafiłam. Nie miałam czasu na jakiekolwiek emocje, a zwłaszcza na współczucie dla nich. Podniosłam jakiś porzucony paralizator i przekroczyłam ostatnie ciało.

Rubio, Cassia, Nethanel i Aneley poprowadzili nas korytarzem. Należało pobiec, ale większość z nas była zdolna tylko do w miarę szybkiego, choć mozolnego marszu. Lisbeth i ja przesunęłyśmy się bliżej czoła naszego pochodu. Zatrzymaliśmy się przed windami. Cassia sięgnęła, żeby nacisnąć guzik i przywołać jedną, ale Rubio chwycił ją za rękę.

– Nie windą. Utkniemy w pułapce.

– Nie ma innej drogi na górę do doku – zaoponowała. – Jak inaczej się stąd wydostaniemy?

Nethanel pociągnął ją za rękaw. Wskazał w głąb korytarza, który rozgałęział się na prawo, a potem palcami wskazującymi zrobił ruch naśladujący wchodzenie po schodach.

– Schody awaryjne? – spytała, unosząc brwi.

Skinął głową.

Pośpiesznie ruszyliśmy korytarzem, mijając puste pomieszczenia bez drzwi. Zastanawiałam się, w jakim celu zbudowano to wrzeciono. Czy miało być załącznikiem miasta takiego jak Ny Kyoto? Naukową placówką badawczą? W każdym razie z pewnością nie planowano, że stanie się siedzibą handlarzy niewolników.

Dotarliśmy do drzwi.

– Kod dostępu? – szepnęła Cassia, jednocześnie sygnalizując do Nethanela.

„Dziewięć trzy dwa cztery”, odpowiedział na migi, a ja uświadomiłam sobie, o co jej chodzi. Poznając kody dostępu zamków, przygotowywała się do pozostania tutaj, i robiła to w taki sposób, żeby brat nie odgadł jej zamysłu.

Wstuknęła kod w klawiaturę. Drzwi się otworzyły i przeszliśmy przez nie, Rubio na czele. Lisbeth spojrzała w górę na wnoszące się nad nami kondygnacje schodów i ściągnęła brwi.

– Trzymam cię – rzekłam do niej i mocniej ją objęłam. – Uda się nam, jasne?

Rubio dotarł już na pierwszy podest. Przystanął, powstrzymując nas uniesieniem ręki, przechylił głowę na bok i nasłuchiwał. Po chwili drgnął, jakby zszokowany.

– Z powrotem! – polecił chrapliwym szeptem, machając ku nam rękami i zbiegając po stopniach. – Zawracajcie!

Przez naszą grupę przebiegł szmer lęku. Niektórzy zamarli w bezruchu, inni usiłovali przepchnąć się przez wąski otwór drzwiowy.

Aneley opanowała sytuację.

– Po kolei – szepnęła, dotykając ramion ludzi i kierując ich do drzwi. – Ruszajcie. Po kolei.

Ale teraz usłyszałam to, co Rubio. Ciężki tupot kroków schodzących po schodach.

Rozejrzałam się w panice; serce tłukło mi się w piersi. Dotąd mieliśmy przewagę w postaci elementu zaskoczenia, teraz jednak nasi przeciwnicy wiedzieli już, że uciekliśmy z celi, a tylko kilkoro z nas było zdolnych do biegu, zaś jeszcze mniej do walki. Pociągnęłam Lisbeth w dół do ciemnego klinowatego miejsca pod schodami. Pulga wpełzł tam za nami.

Aneley zdążyła już zagonić przez drzwi prawie wszystkich, z wyjątkiem Cassii, Rubia i kilkorga maruderów, gdy na podeście nad nami zadudniły kroki pierwszego z prześladowców. Rubio odwrócił się błyskawicznie i pociągnął Cassię za sobą.

– Zatrzymajcie się natychmiast! – zabrzmiał na klatce schodowej głos Juny.

Podczołgałam się do balustrady i zerknęłam pomiędzy prętami. Juna powoli, ostrożnie schodziła po schodach, a tuż za nią podążało pięciu innych strażników. Każdy z nich niósł karabin. Cofnęłam głowę z powrotem w cień i starałam się oddychać jak najciszej.

– Zapłacicie za to, wy nędzne *skitstövets* – rzekła Juna. Zeszła z ostatniego stopnia. – Myślicie, że umiecie walczyć, ale dopiero przekonacie się, co to walka.

Rubio dał mi znak wzrokiem, a potem znów skierował spojrzenie na Junę. Zważyłam

w ręku paralizator. Wiedziałam, czego Rubio ode mnie oczekuje.

Uniósł ręce, chcąc zyskać na czasie.

– Zrobiliśmy tylko to, co wy byście zrobili.

– Karmiliśmy was, daliśmy wam dach nad głową – powiedziała Juna i zbliżyła się o kolejny krok. – A wy tak nam za to odpłacacie?

W głowie zabrzmiał mi głos mojej manman: „Twój lud ujrzał szansę zdobycia wolności i wykorzystał ją”. Dłonie miałam śliskie od potu. Wytarłam je o kombinezon, mocniej ścisnęłam paralizator i wymknęłam się spod schodów.

Juna puściła się biegiem. Dźgnęłam paralizatorem w górę, pomiędzy barierką schodów, w wewnętrzne zgięcie jej kolana. Krzyknęła i upadła, wstrząsana gwałtownymi drgawkami. Pozostali strażnicy otworzyli ogień. Rubio upadł do tyłu na Cassię, a w korytarzu za klatką schodową rozległy się wrzaski.

Wyszarpnęłam paralizator spod Juny. Jeden ze strażników błyskawicznie odwrócił się ku mnie i wystrzelił, lecz w tym samym momencie ktoś szarpnął mnie do tyłu, z powrotem pod schody. Wpadłam na ścianę obok Lisbeth, dysząc ciężko. To Pulga mnie wciągnął. Spojrzał na mnie oczami o rozszerzonych źrenicach, a potem rzucił się w wir walki.

Skoczyłam za nim i próbowałam złapać go za skraj koszuli, ale nie zdążyłam.

Rubio poczołgał się do przodu i znalazł rewolwer Juny. Wystrzelił w górę schodów, odrzucając jednego ze strażników do tyłu na ścianę. Pulga z wrzaskiem skoczył na innego i dźgnął go paralizatorem w mostek. Pozostali strażnicy ponownie wypalili z karabinów. Pociski wstrząsnęły ciałem Pulgi. Chłopiec przewrócił się do tyłu i z okropnym trzaskiem uderzył głową o najniższy stopień schodów.

Z klatki schodowej uchodziło powietrze. Wstałam chwiejnie; dzwoniło mi w uszach.

Pośród tych, którzy ocalili, rozbrzmiał pierwotny, niehumaniczny dźwięk, pełen udreki, coś jakby wrzask czy może jęk. Czułam go w ustach, przenikał moje kości i krew. Byłam tym dźwiękiem wydawanym przez wszystkich.

Cassia z nieartykułowanym okrzykiem rzuciła się przed siebie. Ruszyliśmy za nią w górę schodów falą, która zmiotła ostatnich trzech strażników. Walnęłam paralizatorem jednego z nich, osunął się bezwładnie. Pięści ściskające muszle czarek wzniosły się i opadły. Powietrze wypełniły pomieszane ze sobą krzyki bólu i wściekłości, a potem widziałam już tylko krew i słyszałam swój ciężki, urywany oddech.

Opatrzyłam rannych najszybciej, jak zdołałam. W przypadkach najcięższych ran zakładałam opaski uciskowe, na lżejsze nalepiałam plastry zasklepiające. Dla martwych nie mogliśmy nic zrobić oprócz pozostawienia ich tam, gdzie padli. Lada moment mogli nas zaatakować następni strażnicy.

Osiemnaścioro z nas ruszyło dalej w górę schodów. Trzyznaścioro leżało na stopniach. Obwiązałam porządnie dłoń Lisbeth, ale kobieta była osłabiona wskutek utraty krwi. Inni podtrzymywali rannych, gdy powoli, mozolnie zmierzaliśmy ku wyższym piętrům wrzeczona. Cassia i Rubio szli na przodzie, a kolumnę zamykali Nethanel i Aneley. Nad nami wciąż wyły syreny alarmowe, lecz mój umysł je ignorował.

Zatrzymaliśmy się przy drzwiach prowadzących do doku.

– Wszyscy z bronią niech przejdą na czoło – polecił Rubio. – Nie wiadomo, ilu przeciwników jest za tymi drzwiami.

Przekazałam Lisbeth innej kobiecie, Belen, i ruszyłam do przodu. Rubio posłał mi krzywy uśmiech.

– Chcesz pójść pierwsza, Miyole? Wyglądasz groźnie z tym paralizatorem.

Cały Rubio. Nawet teraz próbował żartować. Ale ten uśmiech nie objął jego oczu i coś w nich sprawiło, że serce ścisnęło mi się boleśnie. Przełknęłam twardą gulę w gardle.

– Za tobą – odparłam.

Oparł się plecami o drzwi i skinął głową. Nacisnęłam płytkę włącznika zamka. Drzwi się rozsunęły i Rubio wpadł do doku, strzelając. Cassia, Nethanel, Aneley i ja ruszyliśmy za nim ze wzniesioną bronią.

Dopiero gdy przebiegliśmy kilka metrów, uświadomiłam sobie, że nikt nie próbuje nas powstrzymać. Nikt nie stawiał nam oporu. Wybrzmiało echo ostatniego wystrzału Rubia. W pustym doku stały tylko promy i wybebeszony Mendicant.

– Gdzie oni są? – wydyszałam.

Zabiliśmy kilku strażników, ale kilku pozostałych tylko raniliśmy, a poza tym nigdzie nie widzieliśmy Rötta. Coś tu się nie zgadzało.

– Czy to ważne? – rzuciła Cassia. – Tutaj ich nie ma.

– Niech wszyscy nadal zachowają czujność – polecił Rubio. Odwrócił się w kierunku promów i zlustrował wzrokiem hangar. – Bądźcie gotowi.

Cassia ujęła mnie za ramię.

– Dopilnuj, żeby on pozostał w promie, dobrze? – poprosiła i spojrzała na Nethanela, który szedł szybko, trzymając za rękę Aneley. – Postaraj się odwrócić jego uwagę.

Zatrzymałam się.

– Co? – spytałam, a potem zobaczyłam dyspozytornię i przypomniałam sobie. Zawiodłam. Ranganathan nie wysłał nikogo, o ile w ogóle to on był na orbicie. A teraz Cassia zamierzała się poświęcić. – Nie powinnaś musieć tego zrobić.

Wyglądała na znużoną.

– A kto inny, jeśli nie ja?

– Nie wiem, może...

Popatrzyłam na garstkę ocalałych zmierzających do promów. Ale to nie było zadanie, które można komukolwiek zlecić. Ktoś musiałby zgłosić się na ochotnika.

– Właśnie tak musi być, Miyole – rzekła Cassia. – Zaufaj mi. Pamiętasz, co mówiłaś o zaufaniu?

Gardło mi się ścisnęło. Istotnie, pamiętałam. Mimo to wciąż chciałam jej powiedzieć: „Nie zostawaj tutaj. Nie poświęcaj się”. Ale miałam wrażenie, że coś mnie dusi.

– Tak – zdołałam wykrztusić.

– Idź. – Wskazała głową na stojące promy. – Oni cię potrzebują. Wyprowadź ich stąd.

Odwróciłam się z piekącymi łzami w oczach. Cassia miała rację. Tamci mnie potrzebowali. I jeżeli się wydostanę, zdołam znaleźć kogoś, kto zainteresuje się tym, co dzieje się we Wrzecionie Kazań i innych wstrętnych zakamarkach pod lodową powierzchnią Enceladusa. Ktoś przyleci tu po nią. Jeśli będzie jeszcze żyła. I jeśli nie załamie się jak ojciec Aneley.

Gdy szłam ku pozostałym, zwalczyłam chęć obejrzenia się za siebie. Nethanel niczego jeszcze nie zauważył, ale Aneley ze smutkiem skinęła do mnie głową. „Właśnie tak musi być”.

Stojący za nią Rubio usiłował odblokować elektroniczny zamek drzwi promu. Nie otworzyły się. Pochwycił moje spojrzenie, zmarszczył brwi i ponowił próbę.

Nagle w doku eksplodował pomarańczowy błysk. Uderzył we mnie zgrzytliwy huk jakby zderzających się pociągów. Coś pchnęło mnie mocno. Nie pamiętałam upadku, ale zorientowałam się, że leżę na plecach, patrzę w górę na odblaski światła na metalowych krokwiach stropu i czuję w ustach smak krwi. Uniosłam głowę. Krew płynęła mi z nosa. „Co się stało?”. Wstałam z trudem. Moje uszy wypełniało jęklliwe wycie, a chmura czarnego dymu spowijała szczątki promu, obok którego przed chwilą stał Rubio. Czas zwolnił, jakby przebijał się przez skałę.

– Nie! – krzyknęłam.

Poczułam to słowo w gardle, ale słyszałam tylko dzwonienie w uszach.

Nethanel, Aneley i reszta naszej grupy z oczami wytrzeszczonymi z szoku przykucnęli w pobliżu drugiego promu. Aneley zakryła dłonią usta. Obok wraku promu leżały na podłodze ciała.

Za nimi otworzył się włącz drugiego promu. Rött i jego ludzie wyszli w rozwiewający się dym, uśmiechając się na widok tej masakry.

Ktoś chwycił mnie za ramię. Wyrwałam się i odwróciłam, gotowa walczyć, ale to była tylko Cassia. Jej usta wypowiadały słowa, których nie mogłam słyszeć.

Przecząco potrząsnęłam głową.

– Rubio! – spróbowałam powiedzieć, ale pociągnęła mnie w górę schodów w kierunku dyspozytorni.

Coś śmignęło obok mojego barku. Podniosłam wzrok. Rött i czterej jego strażnicy stali w doku z karabinami wycelowanymi w Nethanela, Aneley i pozostałych ocalałych. Piąty klęczał obok nich z bronią wymierzoną we mnie i Cassię.

Cassia coś powiedziała. Słyszałam nagłą ton jej głosu, ale słowa docierały do mnie stłumione, jakbym była pod wodą. Nachyliła się do płytki z klawiaturą zamka drzwi.

W ścianę za nami wbił się pocisk. Cassia wzdrygnęła się, ale drzwi wreszcie się otworzyły. Wpadliśmy do środka, gdy kolejne strzały odbiły się rykoszetem od pancernych szyb dyspozytorni. Cassia rzuciła się na jeden z foteli z Mendicanta i zaczęła wstukiwac coś w panel konsoli.

Położyłam się na podłodze, oszołomiona. Przed oczami wciąż miałam ciało Rubia. Czy on żyje? Gdybym mogła go zbadać... Ale stał zbyt blisko eksplozji. Nawet jeśli w niej nie zginął, nie przeżyje długo. Poczułam ucisk w piersi, łzy napłynęły mi do oczu. Gdybyśmy byli na pokładzie Ranganathana, może zdołano by wyleczyć Rubia. A gdybyśmy znajdowali się gdziekolwiek indziej, moglibyśmy przynajmniej spróbować.

Wstałam i wyrzłam na dok przez szklane ściany dyspozytorni. Jedna z kul pozostawiła na pancernym szkłe pajęczą siateczkę pęknięć. Rött i jego ocaleli ludzie kazali resztce naszej grupy uklęknąć z rękami za głową obok wraku promu. Rött wskazał lufą rewolweru najbliższą kobietę, Belen, i coś krzyknął. Przyjrzałam się przyciskom konsoli i włączyłam interkom.

Niewielką dyspozytornię wypełnił głos Rötta. Wskutek dzwonienia w uszach ledwie mogłam rozróżnić słowa.

– Daję wam trzydzieści sekund, żebyście wyszły.

Zwilżyłam językiem wargi. Poczułam smak krwi.

– Zabijesz nas – powiedziałam.

– Nie, jeśli natychmiast wyjdziecie – rzekł Rött. – Ale jeżeli postanowicie tam zostać, będę musiał wyładować złość na waszych przyjaciółach.

Rzuciłam okiem na Cassię. Przecząco potrząsnęła głową i popatrzyła znacząco na konsolę. Co usiłowała dać mi do zrozumienia? Podeszłam bliżej, żeby spojrzeć nad jej ramieniem.

– Czas minął – oznajmił Rött.

Spojrzał na klęczącą obok niego Belen, uśmiechnął się do niej i pociągnął za spust.

Zakryłam dłońmi oczy i krzyknęłam. Kiedy je odsunęłam, Belen leżała bezwładnie na podłodze doku przy nogach Rötta.

Mężczyzna pochwycił moje spojrzenie i podszedł do następnej osoby w szeregu, Aneley.

– Zaczekaj... – zawołałam.

Aneley odwróciła się do mnie i powoli pokręciła głową. „Nie wychodźcie”.

Ale co innego mogliśmy zrobić? Mogliśmy pozostać tutaj, aż umrzemy z głodu, a wszyscy nasi przyjaciele zginą, albo wyjść i spróbować ich uratować.

– Miyole – szepnęła Cassia.

Wskazała na ekran telemetrii wrzeciona. Jakiś statek lądował na lodowej skorupie wysoko nad nami. Jego sygnał był silny i wyraźny. Sygnatura IGS.

– My... wyjdziemy – powiedziałam do Rötta. – Proszę, nie zabijaj jej. Wyjdziemy, w porządku?

Spojrzałam na Cassię i nieznacznie skinęłam głową. Wstuknęła do systemu komendę otwierającą dostęp do windy wrzeciona.

– Wychodźcie natychmiast – rzekł Rött; uniósł karabin i wymierzył w głowę Aneley.

– Dobrze – powiedziałam.

Podniosłam ręce i powoli powlekłam się do drzwi.

– Ta druga też.

Cassia podniosła się powoli znad pulpitu kontrolnego i również uniosła ręce. Rzuciła ostatnie spojrzenie za siebie na ekran telemetrii, a potem podeszła i stanęła obok mnie. Czas. Potrzebowałyśmy czasu. Tylko kilku minut, żeby ci wysłani z Ranganathana dotarli do windy i zjechali do nas.

Otworzyłam drzwi. Ruszyłam powoli, noga za nogą. „Czas”. U podnóża schodów strażnicy Rötta chwycili nas i poprowadzili przez hangar. Rzuciłam spojrzenie na Rubia, ale nie potrafiłam rozstrzygnąć, czy jego klatka piersiowa rzeczywiście nieznacznie wznosi się i opada, czy to tylko mój umysł usiłuje zaprzeczyć martwemu bezruchowi chłopaka.

Strażnicy pchnęli nas na kolana obok naszych towarzyszy.

Rött przeszedł przed nami.

– Myślałem, że macie więcej rozumu. – Przystanął i wyciągnął rękę w kierunku ciał leżących obok zniszczonego promu. – Widzicie, co się dzieje, kiedy próbujecie mi się przeciwstawić?

Odwróciłam wzrok.

– Pozostaje pytanie, dlaczego tak postąpiliście. – Rött zarzucił karabin z powrotem na ramię. – Niektórzy z was nigdy dotąd nie sprawiali mi żadnych kłopotów. Z pewnością nie chcecie powodować problemów. Wiecie, jaką nauzkę musiałbym wam wówczas dać. Ktoś nakładł wam do głów jakieś głupie pomysły.

Spojrzenie Rötta zatrzymało się przez moment na mnie, a potem spoczęło na Cassii. Podeszedł bliżej do niej.

– Ktoś nowy. Ktoś kogo jeszcze nie wytresowano tak, jak należy.

Rzuciłam ukradkowe spojrzenie na drzwi windy. „Proszę, pośpieszcie się”.

Rött stanął przed Cassią.

– A teraz pytanie, czy spróbuję ją odpowiednio wytresować, czy może uznam, że to niewarte zachodu.

Cassia w milczeniu zmierzyła go gniewnym wzrokiem.

Mężczyzna zacisnął palce na lufie karabinu.

– Mój wuj zawsze mawiał, żeby nie trzymać wściekłego zwierzęcia w stadzie, bo zarazi pozostałe. – Przesunął lufę w dół, tak że celowała w głowę Cassii, i położył palec na spuście. – Myślę, że to może dobra rada w tej sytuacji.

Nethanel próbował podbiec do Cassii, ale Aneley objęła go obiema rękami i powstrzymała.

– Przestań! – krzyknęłam do Rötta i zerwałam się z podłogi.

Nie miałam pojęcia, co zamierzam zrobić. Wiedziałam tylko, że potrzebujemy jeszcze kilku minut. Jeszcze trochę więcej czasu.

Czyjaś ręka wylądowała na moim ramieniu. Jeden ze strażników stojących za mną pchnął mnie z powrotem na kolana.

Rött uśmiechnął się złośliwie.

– Mamy jakieś obiekcje, *kurai tös*?

– To... to nie ona – wyjąkałam.

– Ach tak? – Rött uniósł brew i machnął ręką w kierunku ciała Belen. – Więc co, zamierzasz mi powiedzieć, że to był jej pomysł?

– Nie. – Myślałam gorączkowo, szukając czegokolwiek, co pozwoliłoby nam zyskać trochę czasu. – Mój – oświadczyłam. Jako sanitariuszka byłam dla nich cenna. Liczyłam, że dzięki temu jeszcze przez kilka minut nikogo nie zabiją. – To ja ich do tego namówiłam.

– Nie! – wykrzyknęła Cassia i rzuciła na mnie zaciekle, gniewne spojrzenie. – Zamknij się, Mi.

Spojrzałam na nią, usiłując dać jej do zrozumienia, żeby się nie wtrącała. „Pozwól mi przyjąć winę na siebie. Oni mnie nie zabiją. Pozwól mi zyskać czas, którego potrzebujemy”.

– Doskonale – rzekł Rött. – Zobaczmy, która będzie pierwsza.

Wycelował palec we mnie, potem w Cassię i wskazując na nas na przemian przy każdej sylabie, skandował powoli:

– *Chu, chu, ta, ka...* – Ostatecznie skończył na Cassii i na jego wargach pojawił się uśmiech zimny jak lód nad nami. – *Nochu*. Ty najpierw, *lillflicka*.

– Zaczekaj! – krzyknęłam, ale jeden ze strażników powłókł mnie za włosy do przodu.

Rött wyciągnął Cassię z szeregu i pchnął na podłogę obok mnie. Kłęczaliśmy jedna naprzeciw drugiej. Cassia i Nethanel popatrzyli na siebie. Chłopak miał napiętą szyję, w jego oczach lśniły łzy. Aneley obejmowała go mocno; zaciskała powieki, a jej usta poruszały się bezgłośnie.

– Chcę, żebyście wszyscy to widzieli – zwrócił się do nich Rött. – I byli wdzięczni, że to nie spotkało was.

Znowu popatrzyłam na drzwi windy. Moją niepewność zastąpił strach. Tamci muszą natychmiast się zjawić.

Cassia spojrzała na mnie. „Wybacz mi”, zasygnalizowała na migi.

– Nie... – zaczęłam, ale głos mnie zawiódł, więc zamiast tego zrobiłam znak, którego nauczyła mnie przed wszystkimi tymi tygodniami, pod osłoną naszego koca: „Kocham cię”.

Rött uniósł karabin i wycelował w głowę Cassii.

Sięgnęłam do jej dłoni.

Za mną zazgrzytał metal, coś łupnęło i potoczyło się przez hangar. Rött wybałuszył oczy.

Metalowy pojemnik zatrzymał się pomiędzy nami i rozwalonym promem. Przez

chwilę leżał bezgłośnie, a potem szcęknął i trysnął w powietrze białym dymem.

– *Kör!* – wrzasnął Rött. – Zaatakowano nas! Ruszcie się!

On i strażnicy rzucili się w kierunku dyspozytorni, ale dym rozprzestrzenił się zbyt szybko i pochłonął ich tumanem białej mgły. Stojący pośrodku Rött zachwiał się, a strażnicy zaczęli upadać jeden po drugim, ledwie widoczni we mgle. Poczułam na języku gorzki chemiczny smak. Zakręciło mi się w głowie.

Ktoś pchnął mnie na podłogę. Obróciłam się, starając się siłą woli zmusić do dalszej walki, ale rozpoznałam Nethanela. Pchnął na podłogę również Cassię i położył się obok nas. Tutaj dym był mniej gęsty. Dostrzegłam przez białą mgłę buty Rötta, gdy zatoczył się i upadł. Podeszwy butów były czarne jak rybie oko. Po chwili kłęby dymu potoczyły się niczym fale zimnej gorzkiej wody chlupoczącej nade mną.

– Nie mdlej, Mi – rzuciła Cassia i potrząsnęła mną. – Oddychaj przez ubranie – poradziła i podciągnęła pod nos kołnierzyk swojej koszuli.

Ale z moim kombinezonem nie dało się tego zrobić. Dym wokół nas zgęstniał. Ostatnim co zobaczyłam, zanim ogarnęła mnie ciemność, był jaskrawoniebieski świetlny punkcik unoszący się we mgle i jakiś cień pochylający się nade mną.

Było mi zimno. Spadałam w głąb morza, coraz niżej. Na dno, gdzie spoczywają kości mojej matki. Nie śmiałam odetchnąć, gdyż moje płuca zalałaby słona woda i zanurzałabym się jeszcze szybciej. Ale powstrzymywanie oddechu było zbyt trudne. Nie mogłam opierać się bez końca. Wzięłam płytki wdech, oczekując palącego bólu w płucach i paniki, spodziewając się, że utonę. Zamiast tego płuca wypełniło słodkie, łagodne powietrze.

Moje powieki zatrzepotały – otworzyłam oczy. Otaczał mnie jasny błękit, a nie groźny mrok lodowatego morza. Coś zakrywało mi usta i nos. Maską tlenową. Spróbowałam ją zdjąć i zorientowałam się, że ktoś trzyma mnie za rękę. Zamrugałam, gdyż coś mgliło mi wzrok. Ujrzałam Cassię.

– Obudziłaś się – powiedziała z ulgą w głosie.

Ściągnęłam maskę w dół.

– Co się stało? – spytałam, lecz w tym samym momencie przypomniałam sobie.

Dym. Światelko płynące ku mnie. Nie zginęliśmy, co mogło oznaczać tylko jedno. Widocznie jednak ktoś przybył nam na pomoc.

Cassia delikatnie założyła mi z powrotem maskę.

– Powiedzieli, że musisz ją nosić. Uratowali nas twoi ludzie. Jesteśmy znowu na waszym statku. Na pokładzie medycznym.

Światło wciąż się zmieniało i zdałam sobie sprawę, że to na przeciwległej ścianie wyświetlana jest zapętłona sekwencja obrazów kwiatów – uroczynów czerwonych, lili, ostróżek, jaśminów.

– Nethanel mówi, że ci dziękuje. Jest teraz z Milah – powiedziała Cassia i uśmiechnęła się do mnie.

Odetchnęłam głęboko. Czułam się taka wyczerpana. Może mogłabym znowu zamknąć oczy, tylko na chwilę...

Ocknęłam się gwałtownie.

– A Rubio?

– On... – Cassia urwała. Twarz miała nieprzeniknioną. – Trzymają go dalej, w głębi korytarza.

Spojrzałam na nią zdezorientowana, ale po chwili zaczął do mnie docierać sens jej słów.

– Nic mu nie jest? Nie zginął?

Zacisnęła usta, a potem powiedziała:

– Nadal robią co w ich mocy.

– Ale on żyje? – Spróbowałam usiąść, lecz ostry ból w ręce uzmysłowił mi, że jestem podłączona do kroplówki dożylniej. – Mogę go zobaczyć?

Cassia położyła mnie ostrożnie z powrotem na łóżko.

– Będziemy wiedzieć więcej za kilka godzin. Tymczasem po prostu odpoczywaj.

Opuściłam głowę na poduszki.

– Ale obiecuj, że gdy tylko czegoś się dowiesz, powiadomisz mnie, dobrze?

– Obiecuję – powiedziała. – Jeśli ty obiecasz, że usniesz.

Zamknęłam oczy. „Słodki sok pity przy grobli, bosa stopy na piasku, wymachujące

ręce...”

Zanim zapadłam w nieświadomość, poczułam jeszcze na czole dotyk miękkiej dłoni Cassii.

Kiedy znowu się obudziłam, byłam sama w tym błękitnym pokoju. Chciało mi się pić. Tak bardzo, że ściągnęłam z twarzy maskę tlenową, usunęłam przewód kroplówki dożylniej i ostrożnie postawiłam bosc stopy na podłodze. Na małym stoliku w nogach łóżka stała karafka z wodą. Wypiłam wszystko prosto z niej, przyglądając się cyklowi zmieniających się obrazów kwiatów na ścianie, a potem objęłam się rękami, przeniknięta nagłym chłodem. Gdzie są wszyscy? Gdzie jest Cassia?

Włożyłam niebieski płaszcz kąpielowy wiszący przy łóżku i poszłam cicho korytarzem. Sprawdzałam ekraniki informacyjne na każdych drzwiach, szukając nazwiska Rubia. Znalazłam je dwanaście pokoiów od mojego.

Nazwisko: Hayden Rubio

Wiek: 19

Stan: krytyczny, ale stabilny

Westchnęłam z ulgą i przebiegłam wzrokiem pozostałe dane. Zatrzymałam spojrzenie na opisie interwencji medycznych. Lekarze musieli wymienić mu nerki, a na przyszły tydzień zaplanowano kolejną operację...

Przewinęłam w dół informacje na ekranie i zakryłam dłonią usta, tłumiąc jęk. Ogarnęło mnie dojmujące poczucie winy.

„...przeszczepy skóry oraz wymiana lewej ręki i obydwu nóg poniżej kolan”. Umieściłam ekranik z powrotem w ramce i zamknęłam oczy. „To moja wina. Gdybym spróbowała bardziej stanowczo powstrzymać Cassię przed wciągnięciem nieprzytomnego Rubia do promu, kiedy uciekałyśmy z Ranganathana. Gdybym pozwoliła mu ulotnić się na Ceres albo później przekonała go, żeby został we wrzeczonie Herr Tsukina. Gdyby Rubiowi w ogóle na mnie nie zależało...”

Umknęłam z powrotem do mojego pokoju, wgramoliłam się do łóżka i naciągnęłam koc na głowę. Wcześniej sądziłam, że postępuję słusznie. A w każdym razie najlepiej jak potrafię. Sądziłam, że narażam tylko siebie, lecz tak naprawdę ryzykowałam coś więcej. Narażałam Rubia. Ryzykowałam unicestwienie tego, co pozostało z Haiti i Gyre przechowane w mojej pamięci. Ryzykowałam, że historia wszystkich tamtejszych ludzi zostanie na zawsze utracona, jeżeli zginę, nie przekazawszy jej innym. Przywykłam myśleć, że moje życie ma znaczenie tylko ze względu na to, czym mogłoby się kiedyś w przyszłości stać, do czego mogłabym je wykorzystać – a nie ze względu na to, czym było dotychczas. Myliłam się.

– Specjalistka Guiteau?

Usiadłam na łóżku. W progu stała komandor Dhar, wyprostowana, z rękami założonymi z tyłu.

– Dzień dobry, pani komandor.

Owinęłam się szczelnie płaszczem kąpielowym, niepewna co jeszcze powiedzieć.

– Podobno prosisz o możliwość zobaczenia pana Rubio.

Z napięcia zaschło mi w gardle.

– Ja... – Z wysiłkiem przełknęłam ślinę. – Tak. Jeśli to możliwe.

– Chodź ze mną – rzuciła i odwróciła się, nie czekając, by się przekonać, czy ruszyłam się z łóżka.

Gdy wlełam się korytarzem, ujrzałam przelotnie swoje odbicie w lustrzanej zewnętrznej ścianie jednego z gabinetów lekarskich i zdałam sobie sprawę, że wyglądam jak wrak. Miałam worki pod przekrwionymi oczami, potargane włosy, ziemistą cerę.

Komandor Dhar przystanęła przed drzwiami pokoju Rubia i przytknęła kciuk do płytki zamka. Weszłam za nią do środka. Rubio leżał na łóżku, z lekko uniesioną głową, pogrążony w głębokim śnie. Z kącika jego ust sterczała rurka intubacyjna. Powieki chłopca wydawały się cienkie i sine. Z miejsca, w którym stałam, nie mogłam widzieć jego lewej ręki, ale tam gdzie powinny być nogi, kołdra leżała płasko.

Podeszłam bliżej. Przez moją skórę przebiegło mrowienie – to antyseptyczne nanoboty usuwały wszelkie bakterie, jakie mogłabym wnieść. Chciałam wziąć Rubia za rękę, ale był w tak głębokiej narkozie, że nie sądziłam, by to poczuł. Ten gest tylko poprawiłby nastrój mnie, a uważałam, że na to nie zasługuję.

– Rubio – wydusiłam. – Nie zamierzałam...

Komandor Dhar zacisnęła dłoń na moim ramieniu. Spojrzałam na nią.

– Czy on wyzdrowieje? – spytałam. – Czy... czy będzie mógł znowu pilotować statki?

– Być może. Musimy poczekać i się przekonać. Lekarze mówią, że jego ciało dopiero za mniej więcej sześć miesięcy przystosuje się do nowych kończyn.

Przygryzłam usta.

– A potem?

Komandor Dhar potrząsnęła głową.

– To zależy od tego, jak silne są jego połączenia nerwowe. Jeżeli nie ulegną atrofii, może po pewnym czasie odzyska w wystarczającym stopniu kontrolę motoryczną.

Odwróciłam się. Nie chciałam patrzeć na zrujnowane ciało Rubia. Wiedziałam od początku, że kiedyś będę musiała stawić czoło konsekwencjom ucieczki z Cassią. Nie przypuszczałam tylko, że będą aż takie.

– Oczywiście, zatroszczymy się o niego – powiedziała komandor Dhar. – Otrzyma pełną pensję IGS. I dożywotnią opiekę medyczną, jeżeli będzie jej potrzebował.

Pokręciłam głową. On nie tego chciał. Pragnął latać.

Na moment zapadła cisza. Obie spoglądałyśmy na Rubia, obserwowałyśmy, jak jego klatka piersiowa wznosi się i opada, gdy respirator wpompowywał mu do płuc kolejne porcje powietrza.

– To moja wina – powiedziałam.

– Dlaczego tak mówisz? – spytała komandor Dhar ze szczerym zdziwieniem.

– Pomogłam Cassii. Przystałam na jej plan. Powinnam była wymyślić jakiś sposób odesłania Rubia z powrotem...

– Zapoznałam się z opinią komisji dyscyplinarnej – przerwała mi komandor. – Uważają, że nie byłaś sprawczynią tego, co zaszło. Pan Rubio miał wiele okazji, by do nas wrócić.

Skrzywiłam się. „Komisja dyscyplinarna”.

– Nie w tym rzecz – powiedziałam. – Gdybym to ja zamiast niego stała obok tamtego

promu...

– Nie mów tak.

Odwrociłam wzrok.

– Specjalistko – rzekła komandor Dhar ostrzejszym tonem. – Nie powinnaś tak mówić. On ucierpiał przez tych *Dakaitów*, nie przez ciebie.

Przyglądałam się, jak pierś Rubia unosi się i opada w rytm pracy pompy respiratora.

– Oprócz poświęcenia życia są też inne czyny godne szacunku – powiedziała cicho komandor Dhar. – Przetrawanie. Życie. One także są wartościowe. I czasami trudniejsze.

„Wchodź, Miyole!”, usłyszałam głos mojej manman. Stała u podnóża drabinki. Jej statek zmagał się z wichurą i zacinającym deszczem. Jego reflektory przeszywały szary mrok. Przyleciała, żeby mnie uratować.

– Chodź ze mną – rzekła nagle komandor.

Podążyłam za nią w głąb korytarza do małej windy bez okien, o której istnieniu dotąd nawet nie wiedziałam. Komandor wstukała kciukiem kod w klawiaturę zamka drzwi i przez jej twarz przemknął nikły uśmiech.

– Winda dla starszych oficerów – wyjaśniła.

Zjechałyśmy do gabinetu komandor, niewielkiego pokoju w kształcie muszli, którego umeblowanie stanowiły szerokie biurko z brązu i białe fotele. Wzdłuż naturalnej fałdy wznoszącej się na ścianie ku sufitowi stały zabytkowe kompasy i teleskopy. Przyjrzałam się nerwowo tej fałdzie. Przypominała mi aż nazbyt wyraźnie o tym, że ten statek wyhodowano, a nie zbudowano. I o miejscu, w którym, jak już teraz wiedziałam, powstał.

– Proszę, usiądź – rzekła komandor Dhar, wskazując ręką jeden z foteli.

Usłuchałam.

Komandor zajęła miejsce w fotelu za biurkiem, naprzeciwko mnie. Spoglądałyśmy na siebie. Połowa mnie chciała przeprosić za to, co zrobiłam, poprosić o przesłuchanie przed komisją dyscyplinarną i o możliwie łagodną karę. Lecz drugą połowę mnie ogarnął gniew. Komandor Dhar miała rację – to *Dakaici* byli sprawcami tego wszystkiego. Ale kto pozwolił im uciec? Kto kupował od nich statki i w ten sposób pomagał im prosperować? Kto chętnie przymykał oko na ich proceder, dopóki nie ucierpieli jego ludzie?

– Wysłuchaliśmy relacji panny Kaldero – przerwała ciszę komandor. – Czy chciałabyś dodać coś od siebie?

Poruszyłam się nerwowo w fotelu. Istotnie, chciałam coś powiedzieć, ale nie o sobie.

– Czy pani wiedziała? – spytałam wreszcie.

Komandor Dhar zamrugnęła zdziwiona.

– O czym?

– O tym skąd pochodzą nasze statki – wyjaśniłam.

Zanim komandor odpowiedziała, milczała chwilę, a potem splótła palce, pochyliła się do przodu i spojrzała mi w oczy.

– Nasz dostawca zapewniał nas, że te statki powstają w firmach, których pracownicy podpisują legalne kontrakty i są godziwie wynagradzani.

Zmarszczyłam brwi.

– Ale nikt tego nie sprawdził? Nikt nie chciał się upewnić?

Komandor zacisnęła usta i odwróciła wzrok, jakby chciała przyjrzeć się mapie na ścianie z zaznaczoną trasą lotu Ranganathana przez układ gwiazdny. Tyle księżyców i planet. Tyle kolonii i placówek badawczych. O czym jeszcze IGS nie chce wiedzieć?

– Specjalistko, zapewniam cię, że Instytut Głębinowych Sondowań rygorystycznie zbada wszystkie przyszłe zakupy statków – rzekła wreszcie.

– To wspaniale – powiedziałam nie całkiem szczerze. – Ale co z obecnie więzionymi ludźmi? Co z fałszowaniem umów w firmie Rangnvaldsson? Muszą być jeszcze tysiące miejsc podobnych do tych, które odkryliśmy.

– Owszem. – Komandor odchrząknęła. Jej spojrzenie powędrowało ku wiszącej na ścianie starej mapie w złożonych ramach. – Zapewne ucieszy cię wiadomość, że polecono firmie Rangnvaldsson Keramik, by przekazała wszystkie swoje dokumenty do wnikliwego audytu.

– Więc Petya i pozostali są już wolni?

Komandor Dhar skinęła głową.

– Tak.

– I pomożecie wyswobodzić innych? Wyślecie ekipy ratunkowe, tak jak zrobiliście w naszym przypadku?

Komandor się zawahała.

– Specjalistko, możemy ponosić odpowiedzialność tylko za nasze własne działania. – Rzuciła mi znudzone spojrzenie. – IGS nie jest policją. A ta sytuacja ma skomplikowane aspekty polityczne.

– Na czym polega ta komplikacja? – spytałam, podnosząc głos. – Czy na Enceladusie posiadanie niewolników jest legalne?

– Nie, ale...

– Więc dlaczego nie możecie czegoś z tym zrobić? – Do oczu napłynęły mi łzy frustracji. – Albo powiadomić odpowiednich służb?

Komandor zmarszczyła czoło.

– Czytałam twoje akta, specjalistko Guiteau. Jesteś młoda. Może zbyt młoda, by zrozumieć. W grę wchodzi nie tylko to, czego chce IGS, lecz także suwerenność Enceladusa.

– Chodzi o istoty ludzkie – odparowałam. – O ludzką suwerenność.

Komandor Dhar spuściła wzrok na blat biurka.

– Jesteś wyczerpana, specjalistko. Masz za sobą ciężkie przejścia. Myślę, że być może przydałoby ci się trochę odpoczynku. – Nacisnęła guzik komunikatora na biurku. – Czy możecie przysłać eskortę dla panny Guiteau?

Po chwili w drzwiach stanęli dwaj sanitariusze. Gdy mnie wyprowadzali, rzuciłam za siebie gniewne spojrzenie na komandor Dhar. Nie pozostało nic więcej do powiedzenia.

Drzwi mojego pokoju otwierały się tylko od zewnątrz. Każdego dnia sanitariusze prowadzili mnie korytarzem do Davida i jego żurawi origami i wtedy pozwalali mi po drodze zajrzeć do Rubia. Nie był już tak blady i odłączono go od respiratora, lecz wciąż zanadto zamroczony środkami odurzającymi, by mógł usłyszeć, jak mówię: „Przepraszam”. Poprosiłam, żeby przyszła Cassia, lecz się nie zjawiała. Albo może moja wiadomość w ogóle do niej nie dotarła.

Przynoszono mi posiłki. Zjadałam je, ale nie czułam ich smaku. Obserwowałam obrazy kwiatów pojawiające się i znikające na ścianie, póki nie nauczyłam się na pamięć kolejności, w jakiej je wyświetlano. Spałam. I znowu spałam.

A potem pewnej nocy obudził mnie cichy brzęk i świst powietrza, gdy moje drzwi się rozsunęły.

Obróciłam się ku nim. W progu stała komandor Dhar z tabletem w ręku.

– Czego pani chce? – spytałam i usiadłam.

– Po prostu porozmawiać. – Wskazała ku nogom łóżka. – Mogę?

Przełknęłam nerwowo.

– Proszę.

Usiadła i odłożyła tablet na łóżko obok mnie.

– Wiesz, przeczytałam twoje notatki dotyczące procesu zapylania.

– Ach tak?

Spojrzałam na tablet. Czy właśnie to mi przyniosła?

– Miałaś rację co do tego, że rozwiązanie problemu tkwi w genetyce. – Wskazała głową tablet. – Zapewne ucieszy cię wiadomość, że twoi podopieczni mają się teraz doskonale.

– Och.

Nie wiedziałam, co jeszcze powiedzieć. Owszem, cieszyło mnie, że owady zapylające radzą sobie dobrze, ale to, że nie myliłam się co do nich, już nie miało dla mnie obecnie znaczenia. Wszystko to wydawało mi się odległym, zamkniętym rozdziałem.

– Panno Guiteau, jesteś dobrym naukowcem. – Komandor Dhar uśmiechnęła się do mnie. – Niezależnie od tego, co jeszcze można by o tobie powiedzieć.

Popatrzyłam na nią.

– I przyszła pani, żeby mi to oznajmić? W środku nocy?

– Nie. – Spojrzała mi w oczy. – Chcę poznać twoją opinię w pewnej delikatnej kwestii.

– Moją opinię? – spytałam, unosząc brew.

– A co, gdyby... – urwała.

Spojrzałam na nią ostro.

– Gdyby co?

– Są na Enceladusie ludzie, których tamtejsza sytuacja oburza równie mocno jak ciebie i mnie, rozumiesz?

Splotła dłonie i wpatrzyła się w nie.

Zmierzyłam ją przenikliwym spojrzeniem.

– Tak...

Podniosła wzrok na mnie.

– A gdybym ci powiedziała, że IGS przeznaczą pewną sumę pieniędzy do dyspozycji dowódcy każdej z misji, żeby mógł nią rozporządzać według własnego uznania?

Zmarszczyłam brwi i odchrząknęłam.

– O jakiej sumie mówimy?

– Wystarczającej, by sfinansować niezależny zespół złożony z mieszkańców Enceladusa zainteresowanych ukróceniem procederu handlu niewolnikami i przeprowadzeniem śledztwa w sprawie fałszowania kontraktów pracowniczych.

Nic nie odpowiedziałam, więc komandor Dhar mówiła dalej:

– To nie naprawiłoby wszystkiego, jednak stanowiłoby dobry początek.

– Prosi mnie pani, żebym wstąpiła do tego zespołu?

– Och, nie! – Parsknęła nagle ostrym śmiechem. – Obawiam się, że twoje ostatnie niepowodzenie czyni to niemożliwym.

– Czy zostanie postawiona przed komisją dyscyplinarną?

– Mogłoby się tak stać. – Podniosła rękę i włączyła go. – Ale wygląda na to, że przede wszystkim IGS popełnił poważny błąd, zezwalając ci na udział w tej misji.

– Ach tak? – rzuciłam i serce zabiło mi mocno z niepokoju.

Komandor Dhar przygwoździła mnie wzrokiem.

– Ile masz lat, specjalistko?

– Osiemna... – urwałam, widząc, że skrzywiła kącik ust. Kłamanie w tej kwestii nie miało już sensu. – Szesnaście.

Komandor skinęła głową.

– Nie możemy postawić nieletniej przed komisją dyscyplinarną, prawda?

– Nie? – rzuciłam.

– Nie – potwierdziła. – Ale mamy obowiązek odesłać ją do domu.

– Do domu? – wydusiłam przez ściśnięte gardło.

– Powiadomiliśmy już twoją opiekunkę i zorganizowaliśmy dla ciebie transport.

– Kiedy... kiedy mam odlecieć? – spytałam.

– Gdy tylko otworzy się nasze orbitalne okno – odpowiedziała komandor Dhar. – Za dwa dni.

– Dwa dni? – powtórzyłam. – Czy Rubio... to znaczy...

– Jeszcze nie wiemy. – Komandor rzuciła mi współczujące spojrzenie. – Zobaczymy.

Kwiaty na ścianie pojawiały się i znikwały – liliowiec, storczyk vanda, róża herbaciana, champa.

Komandor Dhar odchrząknęła.

– Instytut Głębinowych Sondowań przygotowuje kolejną wyprawę za pięć lat. Będziesz wtedy miała... ile? Dwadzieścia jeden?

Kiwnęłam głową. Tak naprawdę jednak nie potrafiłam sobie wyobrazić siebie w tym wieku. To wydawało się niemożliwe, mimo iż wynikało z obliczeń. Dwadzieścia jeden lat brzmiało tak dorośle.

– No cóż – rzekła komandor. – Ja, na przykład, byłabym rada, gdybyś ponownie złożyła podanie, kiedy nadejdzie pora kolejnej wyprawy IGS. Oczywiście pod moim dowództwem. I przy założeniu, że nie będziesz już więcej kraść żadnych promów.

Spojrzałam na nią nieufnie.

– Naprawdę?

– Naprawdę – zapewniła i wstała. – Nie rezygnuj, specjalistko Guiteau. I chociaż nie mogę napisać tego w moim oficjalnym raporcie, podziwiam to, czego dokonałaś.

Następnego ranka pozwolono wreszcie Cassii mnie odwiedzić. Przyniosła mi wiadomości o Rubiu – a także Tibbeta.

– Po dokonaniu nalotu na firmę Rangnvaldsson złożono wizytę Herr Tsukinowi i jego ludziom – oznajmiła, sadzając kota na łóżku obok mnie. – Komandor Dhar zabrała mnie na to spotkanie, ponieważ ich znam. Byłam kimś w rodzaju ambasadora.

– Cześć, obrzydliwy zwierzaku – rzekłam do Tibbeta.

Kot tryknął mnie łbem i zamruczał gardłowo.

– Rubio się ocknął – powiedziała Cassia. – Dziś rano otworzył oczy. Jego ciało przyjmuje przeszczep kończyn.

Podniosłam na nią wzrok, skrobiąc Tibbeta w szyję.

– Widziałaś się z nim?

Cassia skinęła głową.

– Pytał o ciebie.

– Tak?

– Tak. Prosił, żebym ci powiedziała, że i tak zawsze chciał mieć biomechaniczny szkielet.

Z gardła wyrwał mi się krótki nerwowy śmiech, a zaraz potem łzy zapiekły mnie w oczy. Potrząsnęłam głową i otarłam je grzbietem dłoni.

– Cały Rubio.

Cassia palcem nakreśliła kółko na prześcieradle.

– Co zamierzasz robić po powrocie do domu?

– Nie wiem. Być wiecznym utrapieniem Sorai?

Cassia się roześmiała.

– A później?

Zahaczyłam swój palec o jej.

– Na pewno chciałabym wrócić na Gyre i zobaczyć, co z niej odbudowano. Ale poza tym... Pomyślałam, że może chciałabyś odlecieć stąd ze mną.

– Mi...

– Wiem, przebywałabyś z dala od swojej rodziny, ale to nie byłoby na zawsze – dorzuciłam pośpiesznie. – Tylko póki nie skończę osiemnastu lat, a potem mogłybyśmy udać się, dokąd zechcemy.

– Miyole.

– Mówiłaś, że nie powinnaś się z nikim wiązać, gdy Nethanel zaginał, ale teraz wszystko wróci do normy...

– Miyole. – Cassia pochyliła się do przodu i ujęła mnie mocno za ramiona. – Nie mogę.

Znieruchomiałam. Poczułam, jak otwiera się we mnie maleńka próżnia.

– Dla-dlaczego? – wyjąkałam i spojrzałam Cassii w twarz.

Milczała przez chwilę. Spuściła głowę i zwilżyła językiem wargi.

– Komandor Dhar przedstawiła mi swój plan. Spytała, czy chciałabym utworzyć na

Enceladusie oddział wyzwolicieli.

– Ach tak? – rzekłam cicho.

To było jedyne, w czym nie mogłam uczestniczyć i nie mogłam prosić, żeby z tego zrezygnowała.

– Ja po prostu... muszę to zrobić – powiedziała Cassia. – Nie mogę pozwolić, żeby tamci nadal krzywdzili ludzi, tak jak skrzywdzili Nethanela, Aneley i wszystkich pozostałych.

– Chcę polecieć z tobą – oświadczyłam. – Nigdy nie miałyśmy szansy...

Twarz Cassii wykrzywił bolesny grymas.

– Nie, Mi. To i tak już jest zbyt trudne.

Myślałam gorączkowo, usiłując znaleźć jakieś wyjście. Jakiś sposób, żebyśmy mogły pozostać razem. Żebyśmy mogły uniknąć odesłania mnie daleko od niej.

– Mogłybyśmy się stąd wyrwać. Mogłybyśmy znowu uciec.

Spoglądałyśmy na siebie przez chwilę, a potem wybuchnęłyśmy śmiechem. To był chyba najgorszy pomysł w historii świata.

Cassia pierwsza spoważniała.

– Ale wtedy nie powstałaby ta grupa wyzwolenicza. A odpowiedzialność za to poniosłaby komandor Dhar.

Mój śmiech zgasł. Ukryłam twarz w dłoniach. Cassia miała rację, chociaż niełatwo przychodziło mi to przyznać.

W ciszy, jaka zapadła, Cassia położyła się obok mnie na szpitalnym łóżku i objęła mnie. Oparłam głowę na jej ramieniu. Przytuliła mnie mocno, a ja zamknęłam oczy. Pragnęłam możliwie jak najdłużej czuć ciepło jej skóry, dotyk miękkich falistych włosów na moim ramieniu. Pragnęłam ją całować i zapamiętać wzór jej piegów. Pragnęłam mieć więcej czasu, by poznać prawdziwą Cassię.

– Odszukamy się nawzajem – rzekła cicho. – Kiedy wszystko to się skończy.

Uniosłam głowę, żeby móc na nią spojrzeć.

– Przyrzekasz?

– Przyrzekam – odpowiedziała i przycisnęła czoło do mojego.

Nasze usta się zetknęły. Całowałam ją bez końca i powstrzymywałam łzy, gdyż nie chciałam, żeby jej ostatnie wspomnienie o mnie było zabarwione smutkiem. Całowałam ją, ponieważ nie wiedziałam, jak wiele czasu upłynie, zanim każda z nas upora się ze swoimi zobowiązaniami. Całowałam ją, bo to było właściwe.

– Spokojnie – powiedziała Ava. – Leć na tyle nisko, by uniknąć porywów wiatru.

– Panuję nad sytuacją – odrzekłam.

Siedziałam w fotelu pilota słupa Avy, mrużąc oczy przed ostrymi promieniami słońca rejonu Pacyfiku. Na horyzoncie, na skraju enklawy, pojawiła się niewielka flotylla statków i pontonów powiązanych ze sobą. Za nimi unosiły się na powierzchni oceanu hektary plastikowych odpadków i śmieci.

– Czy to już? – spytałam i rzuciłam okiem na Avę siedzącą w fotelu drugiego pilota.

Skinęła głową.

– To New Gyre.

Odwrociłam się znowu ku rozjarzonemu słońcu i obserwowałam, jak statki rosna w oczach, gdy się zbliżyłyśmy. Wokół jednego z masztów krążyło stadko mew.

– Myślisz, że okaże się w czymkolwiek podobne do dawnego Gyre?

– Może tak, a może nie – odparła Ava. Zmarszczyła brwi. – Rozmyśliłaś się?

– Nie – powiedziałam.

Nasza ładownia była pełna medykamentów – szczepionek, antybiotyków, szyn do unieruchamiania złamań, środków przeciwbólowych. Zamierzałam otworzyć tutaj aptekę, a Ava za miesiąc miała wrócić, przywożąc więcej potrzebnych środków medycznych. Nie uratuję świata, ale wniosę swój drobny wkład. Sprawię, że w rany nie wda się gangrena, złamane kończyny się zrosną, a ból nie będzie towarzyszył porodowi ani zakłócał ostatnich dni umierających.

Uniosłam głowę i spojrzałam przez iluminator w górę na intensywnie błękitne niebo. Gdzieś tam daleko Cassia pomaga ludziom, a ja będę tutaj robić to samo.

Wylądowałyśmy w dokach handlarzy. Nie znajdowały się od strony morza, jak przed wieloma laty, jednak coś w nich ożywiło moje wspomnienia. Słone powietrze pachniało domem. Zamknęłam oczy i ujrzałam moją manman machającą do mnie z naszego dachu. Ujrzałam Kaia pędzącego przez kładki – i łodzie wypływające o świcie w morze. Wiedziałam, że ceną będzie życie tutaj i pamiętanie. Ale odzyskam wspomnienia i spokój.

Otworzyłam oczy. Wysoko nad szczytami dachów i łagodnie kołyszącymi się masztami wzlatywał na wietrze czerwony latawiec.

Przekład: Janusz Maćczak
Redakcja: Katarzyna Dug
Korekta: Magdalena Mierzejewska, Maria Żbikowska
Projekt okładki: Sylvie le Floc'h
Ilustracja wykorzystana na okładce: © 2015 by Mariusz Poczowski
Projekt logo imprintu: Julia Karwan-Jastrzębska

Skład i łamanie: www.pagegraph.pl

Grupa Wydawnicza Foksal Sp. z o.o.
00-391 Warszawa, al. 3 Maja 12
tel. 22 828 98 08, 22 894 60 54
biuro@gwfoksal.pl
www.gwfoksal.pl

ISBN 978-83-280-4941-3

Skład wersji elektronicznej: Michał Olewnik / [Grupa Wydawnicza Foksal Sp. z o.o.](http://GrupaWydawniczaFoksalSp.zo.o)
i Michał Latusek / [Virtualo Sp. z o.o.](http://VirtualoSp.zo.o)

virtualo